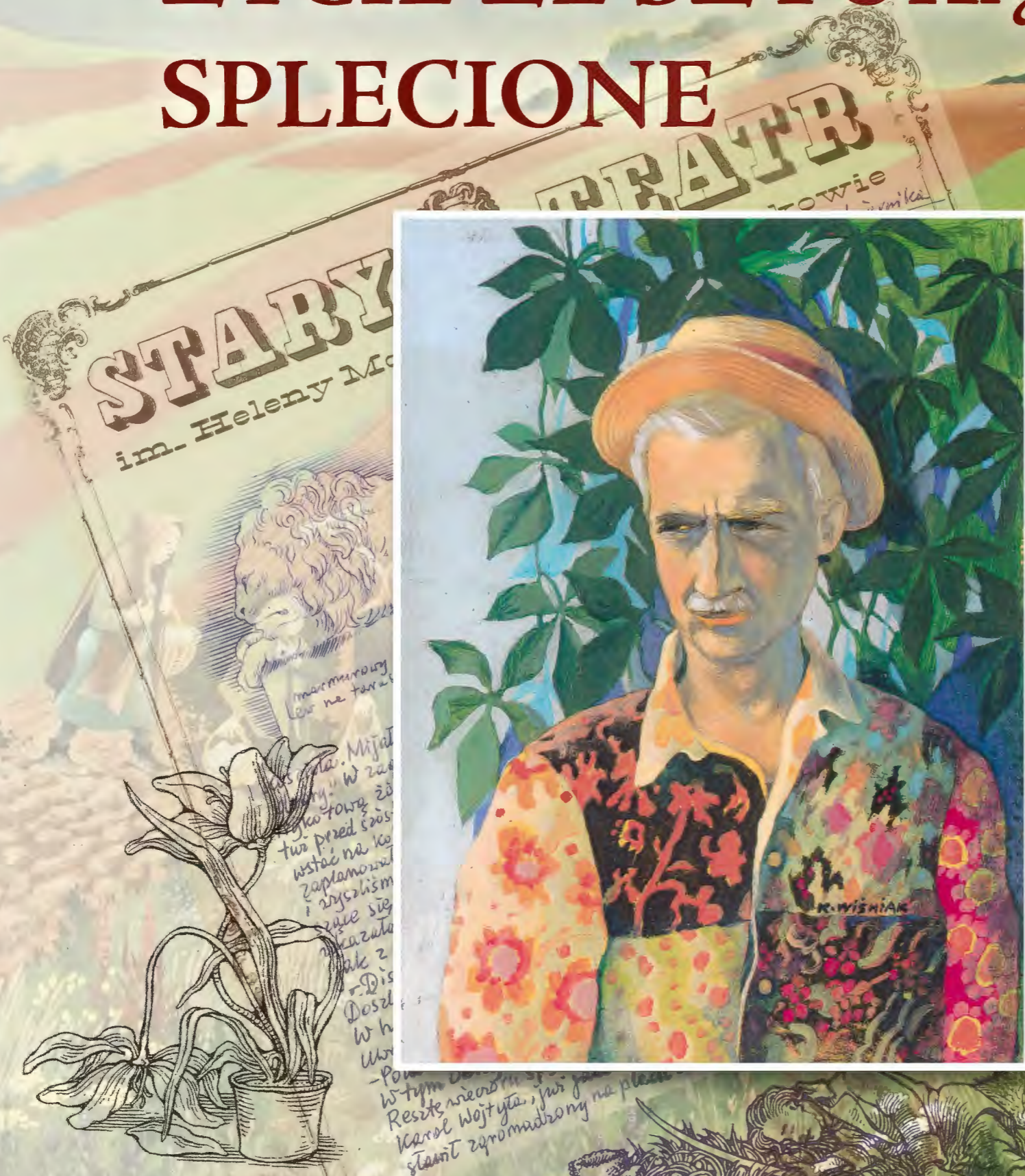


KAZIMIERZ WIŚNIAK



ŻYCIE ZE SZTUKĄ SPLECIONE



WYDAWNICTWO
VANDRE

K. WIŚNIAK 2001

Kazimierz Wiśniak

Życie ze sztuką splecione

Copyright © Wydawnictwo VANDRE, Kraków 2012
pod zarządem Władysława Andreasika
wa.wlad@gmail.com

Redaktor: Jerzy Duda

Opracowanie graficzne:
Andrzej Błaszczuk, Łukasz Buchała

Projekt okładki: Andrzej Błaszczuk

Korekta: Józef Pyzik

ISBN 978-83-932734-0-9

Nakład 500 + 25 egz. numerowanych

Wydanie I

Wydawnictwo i drukarnia
Towarzystwa Słowaków w Polsce
ul. św. Filipa 7, 31-150 Kraków
tel.: 12 634-11-27, fax: 12 632-20-80
DTP 12 633-09-41,
www.tsp.org.pl

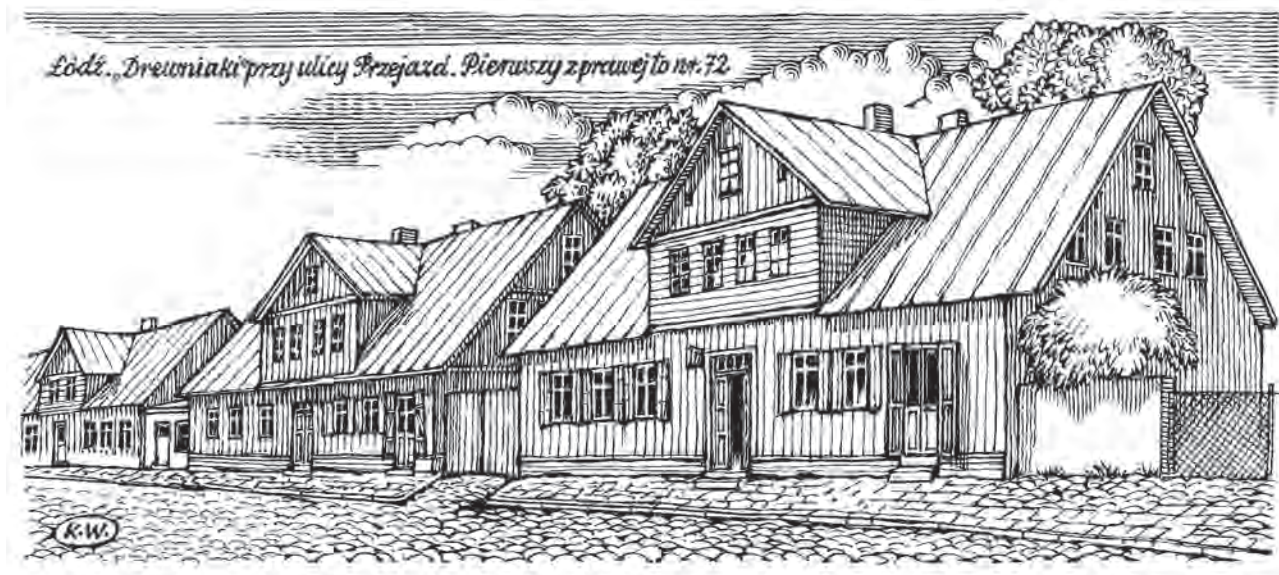
Kazimierz Wiśniak

Życie ze sztuką splecione





Urodziłem się w piątek, 11 grudnia 1931 roku jako ostatnie, czwarte dziecko Franciszki z Wieczorków i Adama Wiśniaka – łódzkich tkaczy zamieszkałych w drewnianym domu przy ulicy Przejazd 72. Na chrzcie dano mi imiona Kazimierz i Leszek. Choć Kazimierz było pierwszym, w domu mówiono do mnie Leszek. Z rodzeństwa najstarszą była Irena, po niej w kolejności Jerzy i Janina. To dzięki siostróm umiałem już dobrze pisać i czytać przed pójściem do szkoły.



W podstawówce ukończyłem zaledwie pierwszy rok. Na drugi, od 1 września 1939 roku, nałożyła się wojna. 2 września Łódź przeżyła pierwszy nalot bombowy, w następnych dniach Luftwaffe kilkakrotnie bombardowało miasto. 8 września wkroczyły wojska Wehrmachtu. Okupant znaczył obecność swastyką i napisami „nur für Deutsche”. Listopadowe spalenie prawie wszystkich synagog było publicznym wyrazem wprowadzonego terroru. Niemcy włączyli Łódź do III Rzeszy, zmienili nazwę miasta na Litzmannstadt, nazwę ulicy Przejazd na Meisterhausstrasse. Mężczyzn w sile wieku kierowali na przymusowe roboty.

Z rodziny wywieziono ojca pod Düsseldorf w służbę do bauerki, którą wojna pozbawiła męża. Jerzego skazano do obozu koncentracyjnego w Dachau, później przesłano go do Neuengamme koło Hamburga, gdzie nie wiadomo dlaczego wpisano go do rejestrów jako Woźniaka z nr 21878.



Kazimierz Leszek Wiśniak, 1942 r.



Irena Wiśniak, 1942 r. Foto: A.V.
Bochmann Litzmannstadt,
Hermann Göring str. 90

Od czasu tych wydarzeń, małoletni przebywałem w świecie bez mężczyzn. W sąsiedztwie też pozostały samotne kobiety i dzieci strzeżone ich wzrokiem. Najstarsza siostra była krawcową i zarabiała na utrzymanie domu. Miała wierne klientki z lat przedwojennych. Druga siostra Janina zastępowała mi szkołę. Przekazywała wiedzę, którą sama zdobyła przed laty. Matka chorowała. Miała przepuklinę, traciła siły. W tym nieszczęsnym czasie siostry otrzymały nakaz do robót przymusowych na rzecz armii niemieckiej, Janina gdzieś pod Płock, Irena do wsi Cielce koło Turka. Opuściły dom, w którym zagościły rozpacz i bieda.



Janina Wiśniak, czerwiec 1943 r.

Z cierpiącą matką pozostałem sam i musiałem sobie poradzić. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, bez choinki, bez świeczek, bez jasełek u salezjanów przy ulicy Wodnej. Przed wojną oglądałem tam pierwsze w życiu przedstawienie. Niecierpliwa ciekawość ustąpiła z odsłonięciem kurtyny. Na scenie, pod gwieździstym niebem leżeli uśpieni pasterze, ale za chwilę, wśród tych gwiazd, na chmurze pojawił się anioł i śpiewem rozbudzał śpiących. To było zachwycające...

Ostatnia wojenna wigilia tkwi we wspomnieniach jako bardzo smutny obraz. Matka jeszcze nie nadeszła, a tu już wieczór, za oknami ciemno. Siedziałem i czekałem w chłodzie, przy tłącej się lampie naftowej, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem, a tam w korytarzu stał niemiecki żołnierz ze smagłym mężczyzną w długim szynelu, i ten smagły zapytał o Irenę. Musiałem odegrać scenę, że pozostałem tylko sam. Oni popatrzyli na mnie, na smutek mieszkania i po chwili w smutku odeszli... Potem matka mi wyjaśniła: – To musiał być ten Angelo, którego odwiedzała Irena! – Rzuciła mu przez ogrodzenie paczki z żywnością. Je-



Żołnierze włoscy, przy karabinie maszynowym
pierwszy z lewej – Angelo Raimondi

den z włoskich żołnierzy trzymany w niemieckim obozie wraz z innymi swymi rodakami. Wymieniał z siostrą listy i fotografie. Strażnicy niemieccy też tęsknili za atmosferą domowych świąt. I tak we dwójkę, znając adres, wybrali się w odwiedziny.

W pewne dni matka brała torby, mnie za rękę i szliśmy na pobliskie tory kolejowe zbierać węgiel, który spadał z przejeżdżających wagonów. Zdarzały się też kartofle. Przychodziło tam wiele ludzi, więc strażnicy gwizdali i przeganiali nas. Trzeba było działać z ukrycia, szybko i zdecydowanie dobiec do szyn, coś tam zebrać do torby i nim strażnik zauważy, zawrócić ze zdobyczą. Matka stała w ukryciu, a ja biegałem tam i z powrotem.



Po wojnie szczęśliwie wracali kolejno do domu: Janina, Irena, ojciec i po długim oczekiwaniu Jerzy. Mnie przyjęto do piątej klasy Publicznej Szkoły Powszechnej nr 32 przy ulicy Zagajnikowej, tej samej, w której zaczynałem naukę w 1938 roku. Teraz była to szkoła ośmioklasowa. Kierownikiem był Karol Kahl, jego żona Eugenia – panią od polskiego.



Łódź. Szkoła Powszechna przy ul. Zagajnikowej.
Fotografia Kazimierza Kowalczyka



Kazimierz Leszek Wiśniak, 1945 r.
Fotografia z ulicznego automatu

– Królestwo Kahl – tak nazywaliśmy szkołę. W klasie stanowiliśmy grupę o dużej rozpiętości wiekowej, ale tuż po wojnie to zjawisko należało do powszechnych. Każdy z nas, uczniów, miał inne doświadczenia, inaczej przeżył pięć okupacyjnych lat. W jednej klasie znaleźli się dorośli kawalerowie i dwunastolatki.



Kazimierz Wiśniak
w harcerstwie.

Z harcerstwem spędziłem dwa letnie obozy pod namiotami: nad Wisłą koło Tarnobrzega i nad Pilicą koło Spały. Odszedłem z organizacji tuż przed jej rozwiązaniem.

W 1948 roku zakończyła się nauka w Publicznej Szkole Powszechnej. Na świadectwach miałem z rysunku zawsze notę „bardzo dobry”.

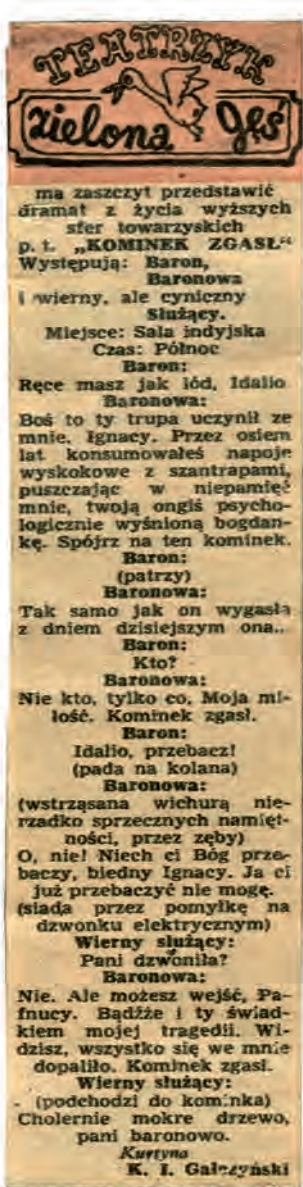
O dalszej edukacji zdecydowały siostry. Wtedy wznoszono z gruzów Warszawę, potrzebni byli ludzie związani z budownictwem, dlatego wybór padł na Liceum Budowlane. Irena założyła kapelusz, pod rękę wsunęła torebkę. Ja miałem na sobie nowy garnitur.



Harcerska naszywka
na rękaw munduru, 1948 r.



Widok z okna biura Zarządu Nieruchomości Miejskich w Łodzi, przy ul. Piotrkowskiej. Fot. Kazimierz Wiśniak.



„Zielona Gęś”
– obowiązkowa lektura

Tak wystrojeni stawiliśmy się w gabinecie dyrektora tego liceum, pana Milewskiego. Siostra pokazała świadectwa, wychwalała mnie, dyrektor marszczył czoło, wnikliwie się przyglądał, a ja się czerwieniłem. Zostałem przyjęty.

Po dwóch latach nauki, Liceum Budowlane przemianowano na Technikum Budowlane i przeprowadzono szkołę z ulicy Zielonej na Kilińskiego, bliżej mojego zamieszkania. Zajęcia trwały po południu i pozwalały podjąć zarobkową pracę w Zarządzie Nieruchomości Miejskich w charakterze technika i kreślarza przy drobnych remontach. Dzięki temu miałem własne zarobki. Mogłem wesprzeć rodzinną kasę, trochę zostawić dla własnych

potrzeb, choćby na ulubiony teatr. Podziwiałem już „Krakowiaków i górali”, później „Igraszki z diabłem” i „Kram z piosenkami”. Zachwycała plastyka i dynamika tych przedstawień. Wszystkie stworzył Leon Schiller. Wcześniej, obowiązkową cotygodniową lekturą była „Zielona Gęś” w „Przekroju”.

W Technikum Budowlanym wychowawcą był między innymi inż. Józef Karolak, specjalista od surowej dyscypliny. Wskazywał na wielką rolę rysunku w edukacji przyszłego technika. – Aby zrobić dobry rysunek, trzeba mieć zawsze dobrze zaostrzony ołówek, a jeśli chce się zrobić cień, to nie rozmazywać palcem, a cierpliwie nanosić go kreseczkami, jedna po drugiej... – mawiał nauczyciel rysunku. Na wszystkich świadectwach Liceum i Technikum Budowlanego miałem noty: „rysunek odręczny – bardzo dobry”.



W 1952 roku otrzymałem świadectwo dojrzałości i prawo używania tytułu technika budowlanego. Absolwenci nie mieli wtedy wolnego wyboru pracy, podlegali nakazom. Musiałem pojechać do Ministerstwa Budowy Miast i Osiedli skąd skierowano mnie do Ministerstwa Obrony Narodowej, a to wskazało Poznań. Było tam Zjednoczenie Budownictwa Wojskowego przy ulicy Solnej. Stawiłem się tam tylko po to, by odebrać pismo polecające do oddziału tego zjednoczenia w Gubinie. Więc pojechałem do Gubina, granicznego miasta nad Nysą Łużycką. Miasteczko sprawiało przygnębiające wrażenie. Domy zburzone, te ocalałe w stanie ruiny, gruzy, gruzy, gruzy. W dobrym stanie były koszary na wzgórzu i w nich zamieszkałem razem z żołnierzami.

W chwilach wolnych od pracy błądziłem wśród ruin, odkrywałem ocalałe resztki średniowiecznych murów, okrągłą wieżę, wewnątrz trzynawowej fary ze zwalonym sklepieniem. W opuszczonych sadach na południowym stoku wzgórza zbierałem jabłka o doskonałym smaku. Rosły tam pigwy z owocami wielkości gruszek. Przy ulicy Piastowskiej, ciągnącej się wzdłuż granicznej Nysy, stały ocalałe z zawieruchy wojennej eleganckie, secesyjne domy, świadczące o niedaw-



TECHNIKUM

Budowlane

(nazwa szkoły)

Miast. Budownictwa Miast i Osiedli

(przynal.ność administracyjna)

w *Lodzi*

Nr 136

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Mieczysław Kazimierz Leszek

urodzony dnia *11 grudnia* 19 *31* r. w *Lodzi*

(nazwisko i imię)

powiat:

przyjęty do klasy *piątej* technikum *budowlanego*

(stopień)

na podstawie świadectwa ukończenia kl. *siódmej*

Publicznej Szkoły Towarzystwa Nr. 32 w Lodzi

(nazwa szkoły)

o kierunku

Ukończył naukę na wydziale *budownictwa miejskiego*

Zdał egzamin przed Komisją Egzaminacyjną, powołaną przez

Ministerstwa Budownictwa Miast i Osiedli

w *Warszawie* pismem z dnia *26 IV* 195 *2* r.

Nr *2.111/211/3522/52* uzyskał prawo używania tytułu

TECHNIK *Budowlany*

Świadectwo niniejsze uprawnia do studiów w szkołach wyższych w myśl art. 26 Ustawy z dnia 15 grudnia 1951 r. o szkolnictwie wyższym i pracownikach nauki (Dz. U. R. P. Nr 6, poz. 38, r. 1952) i Uchwały Nr 448 Prezydium Rządu z dnia 23 czerwca 1951 r. w sprawie ustroju szkolnictwa zawodowego (Monitor Polski Nr A. 59, poz. 776).

Lodz, dnia *27 czerwca* 195 *2* r.

CZŁONKOWIE
KOMISJI EGZAMINACYJNEJ:

Wojciech...
...
...



PRZEWODNICZĄCY
KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

V. red. nr. 61/SZ - III - 48 1952.

Z. S. P. N. Ruda - zam. 416,52 - 42600 - F 3 - 27142.

Świadectwo dojrzałości z prawem używania tytułu technika budowlanego, 1952 r.



*Jerzy Afanasjew, technik budowlany, poeta.
Fot Kazimierz Wiśniak, 1952 r.*

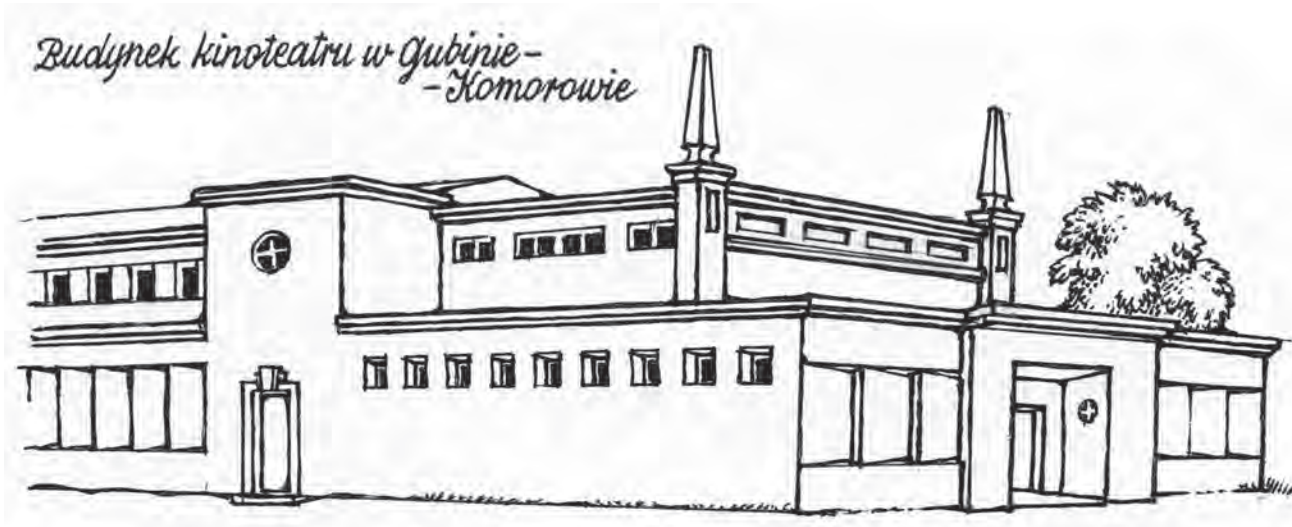


Żołnierski zespół dekarzy

nej zamożności miasta. Nikt w nich nie mieszkał, nikt nie dewastował, bowiem ulicę patrolowały straże graniczne strzegąc, by Polacy jak i Niemcy nie przekraczali bez uprawnień granicy. Pustkę miasta ożywiały ekipy rozbierające spękane domy dla odzysku cegieł gotyckich, potrzebnych do odbudowy zabytków Poznania, może nawet Warszawy.

Pewnego dnia stawił się w pracy nowy technik po białostockiej szkole budowlanej, Jerzy Afanasjew. Poznawaliśmy się, odkrywając przed sobą artystyczne zainteresowania. Pisał wiersze, nieustannie coś wymyślał. Nie umiał rysować, ale chętnie towarzyszył, kiedy z blokiem papieru i ołówkiem gdzieś szedłem, by poszkicować. Afanasjewa skierowano do nieciekawej pracy przy remoncie domów dla rodzin oficerskich. Był w nieustannych konfliktach z robotnikami, żołnierzami zatrudnionymi przy budowach.

Moja praca była ciekawa. Współ z miłym majstrom Michalskim z Poznania nadzorowałem budowę kinoteatru dla żołnierzy. Przez okrągły rok. Od samego początku, od wykopów pod fundamenty aż po dach, na którym zatknięto wiechę. W księdze budowy złożyłem podpis i zamknąwszy ją, zakończyłem jeden z rozdziałów mojego życia. Żegnając miasteczko, odwiedziłem po raz ostatni ruiny fary. Stojąc pośrodku nawy, życzyłem murom ocalenia od rozbiórki. W górze, gdzie niedawno były sklepienia zaglądało wieczorne niebo z pierwszymi gwiazdami. Rodziły się myśli o studiach i dryfowały gdzieś w przestrzeni, ku Krakowowi...





Kraków nie był przypadkowo wywołanym miastem. Przed wojną ojciec wyrażał pragnienie rodzinnej wycieczki do dawnej stolicy Polski. Miał nawet osobliwy przewodnik-książkę Ambrożego Grabowskiego „Opis historyczny Miasta Krakowa i jego okolic”. Dzięki kolorowym rycinom przedstawiającym krakowiaków w swych strojach z różnych podkrakowskich wsi, była ta książka również moją ulubioną, wydaną w 1822 roku, z pisownią: Xiądz, Xiążę, Oyców, Mikołay... sprawiała trudności w czytaniu, ale miała magiczną moc przyciągania. Z niej czerpałem wiedzę o Krakowie.

Afanasjew kierował się do Gdańska a ja, w 1953 roku zaopatrzony w zarobioną w Gubinie gotówkę, pozwoliłem sobie na pierwszą w życiu podróż powietrzną. Czytałem w „Przekroju” jak to Picasso po raz pierwszy leciał samolotem dopiero w 1948 roku – z Paryża do Warszawy – zmierzając do Wrocławia na Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju. Miał wtedy 67 lat. Stwierdził ze zdumieniem, że ziemia z lotu ptaka wygląda jak wielki kubistyczny obraz. Też chciałem to zobaczyć, a przede wszystkim zdążyć na egzamin wstępny do krakowskiej Akademii Sztuk Plastycznych. Wrzuciłem do walizki „Opis historyczny Miasta Krakowa i jego okolic” i pojechałem na łódzkie lotnisko. Małe dwupłatowce zabierały najwyżej sześciu, czy ośmiu pasażerów, ale tym razem oprócz mnie leciały tylko trzy osoby. Loty pasażerskie nie były jeszcze popularne. Przy bezchmurnym niebie obraz ziemi rzeczywiście okazał się wyrazistą abstrakcją, która szybko mnie znużyła. Jednak po kilku godzinach serce забиło mocniej na widok wież, budynków i placów Krakowa. Lecieliśmy dość nisko, zataczając łuk nad miastem. Rozpoznałem Wawel, Sukiennice, kościół Mariacki – rozrzucone jak misterne zabawki. Spełniło się marzenie wielu lat! Serce waliło, szybciej, szybciej, niżej!

Do wstępnego egzaminu z rysunku przygotowano w Akademii dużą salę zastawioną sztalugami. Na każdej był ustawiony pionowo prostokątny blat drewniany z przypiętym wielkim arkuszem papieru. Dotychczas rysowałem na małych formatach, najczęściej siedząc przy stole, a tu – niewygodna nowość – rysowanie na stojąco, w dodatku nagiego mężczyzny pozującego na podium. Kandydaci po liceach plastycznych posługiwali się węglem, obcym mi narzędziem. Peszyła powierzchnia papieru. Nigdy nie robiłem tak wielkich rysunków! Wierny swemu nauczycielowi z łódzkiego technikum wyjąłem dobrze zaostriżony ołówek i na tym olbrzymim papierze ustawiłem małą figurkę modelu. Cienie naniosłem kreseczkami, jedną obok drugiej, wydobywając plastykę umięśnienia. Miniaturowy rysunek odróżniał się wyraziście od wszystkich innych, robionych węglem. Zwrócił uwagę profesorów komisji.

Miałem za sobą naukę budowlaną i roczną praktykę w Gubinie. Chciałem kontynuować ten kierunek, dlatego na Akademii wybrałem architekturę wnętrz. Polubiłem rysunek prowadzony przez trzech pedagogów: Włodzimierza Sawulaka, Jana Śliwińskiego i Eugeniusza Wańka. Natomiast nie zachwycały przedmioty z dziedziny projektowania architektonicznego, zadania nużyły. Akademia nie wyposażyła pracowni w stoły kreślarskie. Odrabianie zadań w akademiku, gdzie mieszkałem, było niemożliwe z powodu ciasnoty. Tak naprawdę, architektura wnętrz była według mnie najnudniejszym wydziałem na uczelni.





*Studenci pierwszego roku Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie, przed bramą uczelni.
Od lewej: Elżbieta Arend, Andrzej Chłopek-Orłowski, Stanisław Maszewski, Marian Chwedczuk, 1953 r.*



Starsi studenci Akademii Sztuk Plastycznych. Rysunek Kazimierza Wiśniaka, 1953 r.



22 kwietnia 1956 roku zerwałem się z łóżka o szarym świcie. Obudził mnie sen pełen ciemności. Gęsta ciemność zalegała wokół, a gdzieś z daleka ktoś mnie wołał po imieniu, ktoś bliski, matka... rozpoznałem jej głos. Serce waliło, nie mogłem już zasnąć. Po śniadaniu, sąsiad zza ściany przyniósł z portierni telegram. Matka umarła...

Pojechałem do Łodzi. Pogrzeb odbył się na Starym Cmentarzu. Wstrzymywałem łzy, ale od chwili zasypywania trumny już nie mogłem opanować płaczu. Wracając do Krakowa, płakałem w pociągu.



Tego samego miesiąca dyrektor Krakowskiego Domu Kultury, Leopold Grzyb, oddał zagracone piwnice Pałacu pod Baranami studentom wyższych szkół artystycznych, aby utworzyli w nich Klub Młodziży Twórczej. Opowiadano o tym na ucho, klub miał być dla wtajemniczonych. Przeżywałem jeszcze odejście matki i nie byłem w nastroju, by uczestniczyć w licznych zebraniach programowych i dyskusjach. Nie brałem też udziału w pierwszomajowym pochodzie. Było chłodno, gdy ulicami Krakowa przepłynęła czerwona rzeka falujących flag; nad nimi unoszono białe prostokąty z portretami Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina. Był też Nowotko, Rokossowski z uniesioną brwią, Róża Luxemburg. Olbrzymie portrety na biało zagruntowanych tłach tworzone metodą wcierania pędzlem czarnej farby olejnej. Od tego byli zaufani fachowcy, wybrani przez partię działacze Akademii. Nieźle przy tym zarabiali. 2 maja rozpoczął się IX Wyścig Pokoju Warszawa-Berlin-Praga, ulubiona Polaków impreza, która na wiele dni zatrzymała ludzi przy radioodbiornikach. Ulice opustoszały.



Wiesław Dymny, w akademiku przy ul. Dzierżyńskiego, 1954 r.

Pracowałem wtedy z grupą studentów dekorujących miasto z okazji pierwszych Juwenalii, które miały się zacząć już w najbliższy piątek, 11-go. Przy

zbiegu ulic Wiślniej i św. Anny rozwieszaliśmy ręcznie malowane flagi, gdy nadszedł straszliwie wybrudzony kolega z malarstwa, Wiesio Dymny. Odciągnął mnie na bok i namówił do obejrzenia piwnic w Pałacu pod Baranami, a było to tuż, tuż. Poszedłem za nim. Ze słonecznego dziedzińca w piwniczną ciemność wprowadził mnie trzymając za rękę. Jedyne światło wskazywała dalszą drogę ku dużej sali gotycko sklepionej. Pod zadymionym stropem jarzyła się prowizorycznie podpięta żarówka. Było wysprzątane, ale unosił się niemiły zapach wilgotnej posadzki, wielokrotnie polewanej i zamiatanej, dla pozbycia się pyłu. Ułożona z czerwonej cegły i białego wapienia stale ten pył dostarczała. Stąd



Na Kazimierzu. Wiesław Dymny, w głębi Kazimierz Wiśniak. 1954 r.



Wartownik międzyuczelnianego Studium Wojskowego.
Rysunek Kazimierza Wiśniaka, 1954 r.



Rysunki piesków z teki
Kazimierza Wiśniaka, 1956 r.

częste polewanie i zamiatanie. W kominku tańczyły płomienie. Czerwona poświata malowała w ciemnościach pierwszych ochotników pracy porządkowej: rzeźbiarza Bronisława Chromego, Rajmunda Jarosza ze szkoły aktorskiej. Były dziewczyny zmiotłami, niczym czarownice, w tym piekielnym oświetleniu.

Tylko dlatego, że międzyuczelniane Studium Wojskowe robiło wspólne ćwiczenia dla studentów wszystkich szkół artystycznych, znaleźliśmy się między sobą doskonale. Tworzyliśmy młodą grupę malarzy, aktorów i muzyków. Aktywnością wykazywali się chłopcy z Akademii Sztuk Plastycznych – Bronisław Chromy, Józef Sulma, Wiesław Dymny i z Wyższej Szkoły Aktorskiej – Rajmund Jarosz, Franciszek Miecznikowski. To oni oczyścili lochy z graciarni, węgla, kartofli, rozbili zbudowaną przez Niemców ladę ze zbrojonego betonu, gruz wywieźli. Do zamiatania i szorowania dopuszczono dziewczyny. Krzysztof Penderecki chronił dłonie i odmawiał pracy fizycznej. Zbigniew Bujarski też się migał.

Zaczarowała mnie ta piwnica i obiecałem Wiesiowi Dymnemu włączenie się do grupy sprzątających, ale dopiero po ukończeniu zadań z architektury wnętrz.



Na wydziale mieliśmy pełnego kultury, miłego adiunkta, architekta Bohdana Paczowskiego, o którym głośno było w Krakowie. Nie miał jeszcze dyplomu w kieszeni, a był już fantastycznym projektantem. Rozpierała nas duma, bo właśnie on, ten najlepszy z młodych, robił nam korekty. Ale nasze prace nie wzbudzały jego entuzjazmu, bo naprawdę nie było się czym zachwycać. Pamiętam jak podszedł do stołu, przy którym siedziałem kreśląc plany jakiegoś sklepu z ladą i półkami, spojrzął na wyskalowane rzuty na kalce technicznej i nic nie powiedział. – Co pan ma w tej tece? – zapytał po chwili. Obok leżała teczka wypchana moimi przeróżnymi rysunkami. – Czy mogę zobaczyć? – Z pewnością myślał o złożonych w niej szkicach architektonicznych, a ujrzał pokracczne pieski, potworki, dziwne zwierzątka. Dużo tego było, może ze sto sztuk. Uśmiechnął się. Chciał spokojnie obejrzeć rysunki, dlatego tekę pożyczył do domu.

Po kilku dniach otrzymałem wiadomość, abym stawił się w „Przekroju” u naczelnego redaktora Mariana Eilego. Idąc na ulicę Manifestu Lipcowego, gdzie w budynku Drukarni Narodowej mieściła się redakcja, zastanowiłem się w jakiej to sprawie mnie wzywają? Poszedłem tam z tremą. Nie czekałem długo na rozmowę. Eile uchylił drzwi i poprosił do gabinetu. Na jego biurku leżała otwarta

teka z moimi rysunkami. Chciał je zostawić i mieć pod ręką, aby kolejno zamieszczać w „Przekroju”. – Dużo nie płacimy, ale myślę, że studentowi każdy grosz się przyda – powiedział.



Trzy dni i noce trwały Juwenalia. W tym czasie, chyba w sobotę 12 maja, Tadeusz Kantor w Domu Plastyka na Łobzowskiej otworzył działalność Teatru Cricot 2 premierą „Mątwy” Stanisława Witkiewicza. Przedstawienie szokowało scenograficzną abstrakcją ale równocześnie nużyło automatycznie wypowiedzianym tekstem. Tadeusz Kwiatkowski napisał w „Dzienniku Polskim”: „widzimy na scenie aktorów i amatorów. To pomieszanie ma swoje dobre strony. Przynosi świeżość...”. Mnie z kolei zmęczyła przewaga formy nad treścią. Nic nie zrozumiałem. Ciekawszy był dalszy ciąg wieczoru, po zakończeniu przedstawienia. Większość widzów pozostała przy stolikach, zawierano interesujące znajomości i rozmawiano o kulturze. Tworzył się towarzyski salon.

Drugi salon zaistniał w piwnicach Pod Baranami. Otwarcie ustalono na sobotę, 26 maja. Pachniało bzem. Wielkie bukiety tych kwiatów w wiadrach z wodą poustawiano w zakamarkach. W kominku buzował ogień, a ludzie stali w grupkach i rozmawiali półgłosem. Tajemniczość tworzyły świeczki i tylko w ich świetle komnaty wyglądały najpiękniej. Nie używano elektryczności. Spodobały mi się te ciemności Piwnicy pod Baranami i przychodzący ludzie. Przystąpiłem do współdziałania. W czerwcu zawiesiłem swoje obrazy. To było ryzykowne, ale żarówki umieszczone w butelkach bez dna harmonizowały z wnętrzem i dobrze oświetlały wystawę siedmiu obrazów. Po mnie wystawił swoje prace Leon Canger, po nim Ryszard Horowitz fotografie, zaraz też Wojciech Plewiński i Zbigniew Łagocki pokazali fotosy. Spotkania poetyckie urządziła Janina Garycka, znana z tego, że w 1948 roku jej pracę magisterską pisaną na polonistycę u profesorów Kazimierza Wyki i Stanisława Pigonia uznano za doktorską. Do Janiny lgnęły młodsze poetki, także starsze jej koleżanki i słuchały jak czytała swoje bajki: „O słowikach”, „O lisie w studni”, „O pluskwach pobożnych, a cudzołożnych”, które mieszkają pod świętym obrazem, a noce spędzały w cudzym łóżku.

Nadaremno planowano koncerty. Próba z fortepianem nie sprawdziła się. Warunki „klimatyczne” Piwnicy źle wpływały na instrumenty klawiszowe, dlatego studenci Szkoły Muzycznej przestali bywać. Ich miejsce zajął Krzysztof Litwin z Akademii Sztuk Plastycznych. Miał gitarę, próbował komponować. Ze Szkoły Aktorskiej Rajmund Jarosz grał na ustnej harmonijce, śpiewał francuskie piosenki. Dołączył jego kolega Rysio Fischbach z własną gitarą.

Piotra Skrzyneckiego znałem głównie z widzenia. Przystojny brunet raz zobaczony, zapadał w pamięć. Był ruchliwy i jak to się mówi, obecny w kilku miejscach naraz. Reżyserował w amatorskich teatrzykach, studiował historię sztuki, oprowadzał widzów po wystawach obrazów, przesiadywał z gronem wielbicielek w Jamie Michalika, biegał podniecony po Piwnicy, gdy inni wyno-



Student Wydziału Architektury Wnętrz ASP. Rysunek Kazimierza Wiśniaka, 1954 r.



Tadeusz Kantor



Leon Canger



Janina Garycka



Krzysztof Litwin

sili kosze z gruzem. Jak on to wszystko godził z sobą? – Został członkiem Klubu Piwnicy pod Baranami, ale nie podobały mu się nasze koncepcje, zaczął mącić, mieszać po swojemu i z hukiem wyleciał – wspominał Bronisław Chromy. W końcu został, jednak jego szalone pomysły były odrzucane.

8 lipca 1956 roku jest ważną datą w moim życiorysie, bowiem w „Przekroju” ukazały się rysunki poprzedzone zapowiedzią Mariana Eilego: „Przedstawiamy Czytelnikom nowego polskiego rysownika KAZIMIERZA WIŚNIAKA. Oto jego rysunki z cyklu ROWER”. Sprawił to Bohdan Paczowski. Po pięćdziesięciu latach, gdy przyjechał z Luxemburga do Krakowa zapytałem go o Eilego. – Nie znałem go, nie znałem ludzi z „Przekroju” – powiedział – ale pańskie rysunki uznałem za godne druku i dlatego tam zaniósłem.

Joanna Olczakówna wywodziła się ze słynnej rodziny Mortkowiczów, przedwojennych warszawskich wydawców wartościowych „książek z kłosem”. Studiowała prawo, ale porzuciła je dla tej piwnicznej bohemy, dla Piotra. Mieszkała w Domu Literatów przy Krupniczej, z babką i matką. Miała swój pokój z oknem na ulicę. Na półkach wielotomowa encyklopedia i mnóstwo książek. Przychodziłem tam z Marianem Chwędczukiem, Krzysiem Zrałkiem, Wiesiem Dymnym – wszyscy z Akademii Sztuk Plastycznych. Joanna, podobnie jak my, pisała wiersze i też biegała do Piwnicy.

Wydawałem wtedy w jednym egzemplarzu ręcznie pisaną zielonym atramentem „Latarnię”, pisemko dla piwniczian. Wręczałem ją Joannie a ona to czytała, pokazywała innym. „Latarnia” miała wskazywać drogę i rozpraszać piwniczne mroki. Byłem dumny z wymyślonemu tytułu, ale nie zdążyłem podnieść gazetki na godny poziom. Zapotrzebowanie na gazetkę wymusiło produkcję większej ilości. „Latarnię” chciał ten i tamten. Podniosłem więc nakład do trzech, czterech sztuk. Każdy egzemplarz miał inną grafikę, ale zawierał te same opowiesci o okrutnej markizie, z dalszym ciągiem w następnym numerze.



Piotr Skrzynecki.
Fot. Krzysztof Malski

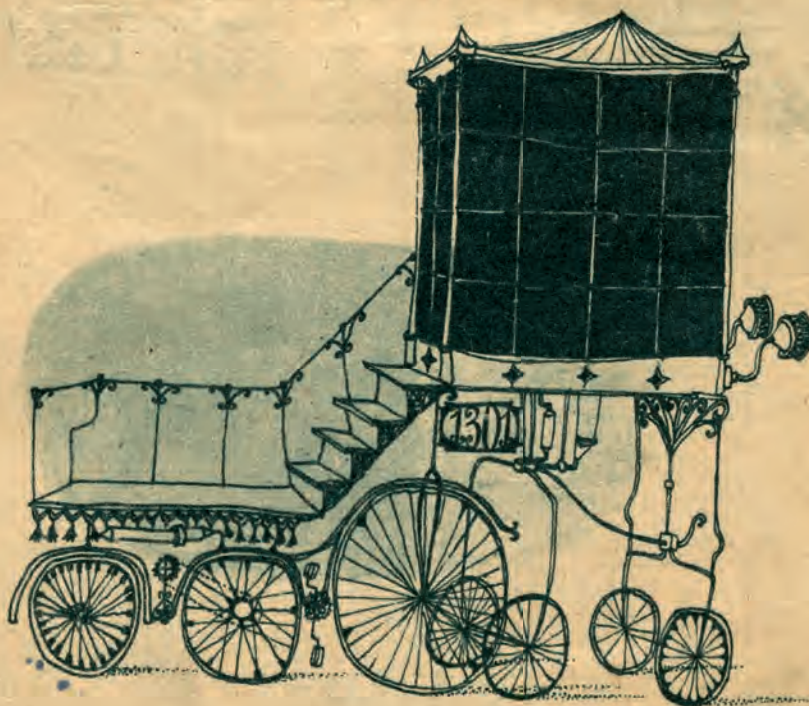
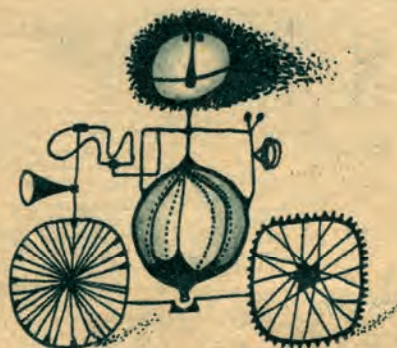
Jesienią przywędrowała do Krakowa Barbara Nawratowicz i zaraz trafiła do Piwnicy. U Joanny dostała na noclegi składane łóżko polowe i tamże brała udział w naszych spotkaniach. „Na jednym z takich spotkań twórczych Kazimierz Wiśniak wręczył mi do przeczytania świeżo napisaną historię okrutnej markizy, którą wygłosiłam grobowym, jak mi się wydawało głosem, wywołując

nieoczekiwany zachwyty zebranych. Krzysztof Zrałek natychmiast rzucił hasło, żeby mnie z tym monologiem pokazać w Piwnicy, więc znalazłam się na kilku skleconych przez Wiesława Dymnego pakach, służących za podwyższenie, i przeczytałam kręcącym się tam artystom in spe – Wiśniakową „Markizę”. To był pierwszy wygłoszony przed publicznością monolog w historii kabaretu „Piwnica pod Baranami” przypomniała Barbara Nawratowicz w swojej książce „Piwnica pod Baranami”, Wydawnictwo Petrus, Kraków 2010, str. 9.



Przyjaźniłem się z Andrzejem Majewskim. Byliśmy na tym samym roku w Akademii. On na malarstwie u profesora Adama Marczyńskiego. Uwielbiał muzykę operową. Pod jej wpływem tworzył żywe w kolorach dekoracyjne obrazy, bez postaci, jakby oczekujące na wejście w nie śpiewaków i chórów z „Carmen”, „Pajaców”, „Turandot”. Ponurej Piwnicy pod Baranami unikał. Z twórczości Kantora żartował, ale kiedy twórca Cricot 2 zaprosił nas do urządzenia wystawy w Domu Plastyka – ochoczo wyraził zgodę. Kantor radził nam zawiesić obrazy w przestrzeni, najlepiej na sznurkach pod sufitem, by nie przeszkadzały w innych jego imprezach, a było ich wiele. Mówiono, że Kantor stworzył tam „Mały Paryż”. Przychodziła elita miasta ciekawa nowinek, oglądali rozwieszone obrazy.

Przedstawiamy Czytelnikom nowego polskiego rysownika KAZIMIERZA WIŚNIAKA. Oto jego rysunki z cyklu ROWER





Powyżej i poniżej: Andrzej Majewski ze swoimi obrazami



Andrzej Majewski i Kazimierz Wiśniak pod Kościołem Mariackim w Krakowie



Krzysztof Zrałek w „Mątwie”. S.I. Witkiewicza. Teatr Cricot 2, 1956 r.

Piotr Skrzynecki też bywał. Napisał recenzję, która ukazała się 1 grudnia 1956 roku w „Echu Krakowa”: „...ekspozycja obrazów urządzona jest przestrzennie, obrazy wiszą w różnych przenikających się poziomach. Ten typ wystawy wydaje się znacznie ciekawszy od nudnego wieszania obrazów na ścianach... Majewski i Wiśniak to dwie bardzo interesująco kształtujące się indywidualności. Wiśniak – skupiona gama kolorystyczna, poszukujący poezji małego przedmiotu-rekwizytu codziennego życia. Majewski: intensywne, częstokroć kontrastami barwnymi działające płaszczyzny. Obaj szukający dziwności, fantastycznych, tajemniczych i niecodziennych przygód malarzkich. To tworzy wokół nich atmosferę liryzmu i częstokroć smutku. „Pokój ubogich kochanków”, tempera Wiśniaka – gra złamaną czerwienią, szaro żółtymi odcieniami – kompozycja niezwykle prosta, surowa... jakieś starzejące się łóżko, suchotniczy kwiat, smutek ścian, małego lusterka i obrazków na ścianie... „Arlekin” Majewskiego: dwie przytulone, o smutnych oczach postacie kontrastujące strojami z tłem intensywnej, pięknej czerwieni, obramowane białym, delikatnym konturem...”. Ledwie zaczęliśmy czwarty rok studiów, a tu już pierwsza w życiu recenzja. Dla mnie była to już druga wystawa po wcześniejszej w Piwnicy pod Baranami.

Krzysztof Zrałek, warszawiak, przybył do krakowskiej Akademii z listem polecającym od Jarosława Iwaszkiewicza do profesora Karola Frycza i został przyjęty na zajęcia ze scenografii. Przyłgnął do Kantora, wystąpił w „Mątwie”, także w Teatrze na Wozie objeżdżającym place miasta z okazji Dni Krakowa, popisywał się w Piwnicy pod Baranami recytując wiersze i śpiewając. Był szalonym ekscentrykiem. Joanna Olczakówna, która wieczory spędzała w Piwnicy i też brała udział w improwizowanych występach uznała, że tak dalej być nie może, zaproponowała, aby te wszystkie popisy zebrać, coś dodać i wyreżyserować w formie kabaretu. Zadanie to przyjął Zrałek. Ponie-

waż zbliżały się święta Bożego Narodzenia, w moście były szopki satyryczne odgrywane przez aktorów, program kabaretu Piwnicy pod Baranami nazwaliśmy nie szopką, ale Polską Stajnią Narodową.



Premiera odbyła się w niedzielę, 16 grudnia 1956 roku. Wystąpili: Ryszard Fischbach, Rajmund Jarosz, Tadeusz Kwinta, Kika Lelicińska, Krzysztof Litwin, Barbara Nawratowicz, Joanna Olczakówna, Marysia Pawełek i Krzysztof Zrałek. Basia Nawratowicz polubiła moje teksty, zarezerwowała wszystkie odcinki „Markizy”. W tym pierwszym programie odegrała jeden z nich. Miałem też nowo napisany „Felieton świąteczny” o Dziadku Mrozie. Później, Piotr Skrzynecki skarżył się: – Chciałem mówić taki ładny tekst Kazika o tym, że idzie zima, śnieg pada na Rynku, a dobry Dziadek Mróz już jedzie ze Związku Radzieckiego i wiezie polskim dzieciom upominki. Ale Joanna mi nie pozwoliła. Zabroniła mi występować, powiedzieli, że seplenię, że wszystko pomylę, nie dali ani grosza... –

Pierwszy popis zakończył się skandalem. Krzysztof Zrałek wystąpił przeciw konwenansom, zademonstrował dosłowny atak kabaretu na widza: z estrady, jak awanturnik, zaczął rzucać drewnianymi składanymi krzesłami w oniemiałą publiczność. Skrzynecki był przerażony. Cały zespół ostro skrytykował chulikańską brewerię. Jej sprawca wkrótce wyjechał do stolicy. Po nim, w 1957 roku konferansjerem był krótko Marian Chwedczuk. Kiedyś nie stawiał się na występ i jego miejsce zajął wreszcie Piotr Skrzynecki, rozbawiając publiczność do łez. Osiągnął niespodziewany sukces. Od tamtego czasu Piwnica przeżywała prawdziwy szturm widzów.

Kiedy publiczność wypełniła szczelnie salę, Stanisław Sztyc – dozorca Pałacu pod Baranami zamykał bramę od Rynku. Spóźnialskim pozostawało małe okienko piwniczne od strony ulicy św. Anny. Ci odważni kładli się brzuchem na ulicznym chodniku, wsuwali w okienko nogi, następnie



Okno piwniczne od ulicy św. Anny. Rysunek Kazimierza Wiśniaka



Zimne ognie. Na pierwszym planie od lewej: Marian Eile, pod zimnym ogniem Janina Ipohorska, Piotr Skrzynecki. Fot. Wojciech Plewiński

przeciskali resztę ciała i po klamrach żelaznych zamocowanych w murze schodzili w dół, do wnętrza, wprost na estradę. Umorusani, wywoływali ogólną wesołość siedzących w Piwnicy widzów. Piotr dbał, by płonęły świece i gwiazdy zimnych ogni. Tylko przy takim oświetleniu gotycka sala nabierała uroku. Wprowadził dzwonek z rączką i potrząsając nim, uciszał rozgadaną widownię, aby rozpocząć kabaret.

W Piwnicy bywali literaci, muzycy, plastycy – redaktor „Przekroju” Marian Eile z Kamyczkiem, czyli Janiną Ipohorską, krytyk Ludwik Flaszen, profesor Kazimierz Wyka, młody pisarz Sławomir Mrożek i starsi od niego: Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Jerzy Broszkiewicz, Tadeusz Kwiatkowski, profesor Karol Estreicher, Tadeusz Kantor, poeta Ludwik Jerzy Kern, scenografowie Lidia i Jerzy Skarżyński, redaktorka „Echa Krakowa” Teresa Stanisławska z mężem Janem Adamczewskim, redaktor „Tygodnika Powszechnego” Jerzy Turowicz, mecenas: Ruta Buczyńska i Maurycy Wiener, psychiatrzy: Antoni Kępiński, Maria Orwid, Adam Szymusik, taternik Jan Długosz, aktorzy: Mieczysław Voit czy Leszek Herdegen, malarka Danuta Leszczyńska-Kluzowa, poeci: Tadeusz Śliwiak, Andrzej Bursa, Ireneusz Iredeński... Profesorowie zmieszani ze studentami, artyści z amatorami, wśród nich sportowcy, była arystokracja.

Piwniczne życie wygrywało z moimi studiami architektury wnętrz, gdzie takie przedmioty jak instalacje ciepłe, elektryczne, konstrukcje stalowe, statyka, kosztorysowanie, tłumili radość obcowania ze sztuką, gasiły wewnętrzny żar. Zastanawiałem się, co będę robił po ukończeniu tych studiów. Ówczesna polska rzeczywistość nie dawała możliwości dla twórczej działalności architekta.



Od wiosny 1957 roku współpracowałem z redakcją pisma kulturalnego „Zebra”. Nawiązaliśmy kontakt z Opolem. Pojechałem tam z obrazami i grafikami młodych artystów krakowskich – Danuty Leszczyńskiej-Kluzowej, Stanisława Wałacha, Stanisława Wójc



Opole. Władysław Majeranowski prezentuje pracę Danuty Leszczyńskiej-Kluzowej. Fot. Kazimierz Nowakowski

towicza, Mianowskiego, Majewskiego, swoimi – razem około 80 prac rozwiesiłem na wystawie. Były na sprzedaż. Andrzej Bursa reprezentował poetów. Zaprzyjaźniłem się z Władziem Majeranowskim, redaktorem opolskiego radia. – Wyprawiam synów na wakacje, ich pokój będzie wolny, przyjeźdź do nas! – i jego żona Hala też zachęcała. Sympatyczni ludzie, sympatyczne miasto. Obiecałem powrócić.

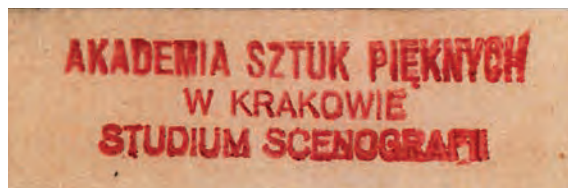
Andrzej Majewski żegnał malarstwo i przenosił się na Studium Scenografii. Namawiał, bym uczynił podobnie. Architektura wnętrz jest męczarnią bez nadziei – należy ją porzucić. Bywałem wtedy w teatrach i przyglądając się wnikliwie dekoracjom uznałem, że to też architektura wnętrz, zbudowana w przestrzeni sceny i efektownie oświetlona. Tego nie uczono mnie na wydziale. Uczono na oddzielnym studium, na które wybierał się Majewski. No i ja, za nim. Zostaliśmy przyjęci bez problemów. Tylko my dwoje.

W lipcu powróciłem do Opola. U Majeranowskich spędziłem prawie cały miesiąc. Namalowałem im obraz na jakimś lichym płócienu naciągniętym na liche ramki.

Niezwykłym przeżyciem był pobyt w więzieniu. Władzio przygotował magnetofon, mikrofon i słuchawki do nagrania reportażu. Naczelnik karnego zakładu w Strzelcach Opolskich przyjął nas kawą i ciasteczkami, po czym wprowadził za okratowane bramy twierdzy. Gdy za plecami zasuwano się automatycznie krata, druga otwierała się przed nami. Po przepuszczeniu zatrzaśkiwała się z chrzęstem. Pokonaliśmy kilka warownych przejść, aż dotarliśmy do olbrzymiej sali widowiskowej ze sceną. Wszystkie miejsca zajmowali więźniowie. Szare drelichy, wystrzyżone głowy, a my, idąc środkiem do pierwszego rzędu, bo tam zarezerwowano krzesła, czuliśmy skierowany na nas wzrok setek skazańców. Więźniowie przedstawili „Ożenek” Gogola. Dekoracje, kostiumy, peruki, charakterystyka jak w prawdziwym teatrze, no, może amatorskim, jak u Kolejara przy Bocheńskiej w Krakowie. Dziwnością spektaklu była obsada. Role kobiece grali mężczyźni, w sukniach i upudrowanych makijażach pokazali przejęskrawioną kobiecość, co raziło, przekraczało granice dobrego smaku, ale rozbawiało i przerażało jednocześnie. Pozostało mi trwale w pamięci to przedstawienie, jego widzowie i miejsce gdzie się odbywało. Taka okazja może zdarzyć się raz w życiu?



W Akademii Sztuk Plastycznych nauka na wydziale scenografii trwała dotychczas 4 lata i odbywała się w dwóch pracowniach: jedną prowadził prof. Karol Frycz, drugą prof. Andrzej Stopka. Studenci mogli wybierać, sami decydowali u jakiego chcą być



Opole, lato 1957 r. Od lewej: Andrzej Bursa, Władysław Majeranowski, Kazimierz Wiśniak, Tadeusz Poniecki. Fot. Kazimierz Nowakowski



Kazimierz Wiśniak w pracowni Studium Scenografii krakowskiej Akademii, 1957 r.

profesora. W 1957 roku przywrócono uczelni dawną nazwę: Akademia Sztuk Pięknych, zlikwidowano wydział i w jego miejsce stworzono dwuletnie Studium Scenografii z dziekanem Karolem Fryczem i Andrzejem Stopką, profesorem. Administracja uczelni nie zadbała o porządek. Graciarnie po studentach z obu zlikwidowanych pracowni zrzucano do jednej sali na parterze, jak do śmietnika. I do tego śmietnika nazwanego Pracownią Studium Scenografii wydano nam klucze. Kilka dni sprzątaaliśmy pomieszczenie decydując co pozostawić a co wyrzucić. Wysoką ścianę pracowni od podłogi po sufit wykleiliśmy rysunkami z żurnali, litografiami, fotografiami, reprodukcjami – nie zostawiając pustej powierzchni. Powstała „tapeta” do czytania i oglądania. 6 października 1957 roku odbył się inauguracyjny wykład dziekana, prof. Karola Frycza. On siedział na fotelu, z boku którego wystawała sprężyna, a vis a vis na krzeselkach dwójka studentów: Majewski i Wiśniak. On mówił, a my słuchaliśmy.



Jama Michalika. Meble proj. Karola Frycza

Karol Frycz miał za sobą architekturę na politechnice w Monachium, wiedeńską Kunstgewerbeschule, historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim, malarstwo u Stanisława Wyspiańskiego, Ludwika Mehoffera i Leona Wyczółkowskiego w Akademii Sztuk Pięknych, potem studia w Paryżu, w Londynie. Był przedstawicielem Młodej Polski, współtwórcą Zielonego Balonika. Był postacią legendarną. Wysoki, postawny starzec liczył ponad 80 lat i tylko z powodu sędziwego wieku przychodził do nas raz w tygodniu, potem co 2 tygodnie, w końcu coraz rzadziej. Był dziekanem, bez obowiązku prowadzenia systematycznych zajęć. Pod budynek Akademii przyjeżdżał doróżką i zaraz kierował kroki do naszej pracowni na parterze. Siadał na tym zepsutym fotelu, dłoń z sygnetem wspierał na okutej srebrem lasce i w takiej pozycji trwając, opowiadał o kolo-

rach Dalekiego Wschodu, o teatrze francuskim czasów Moliera, o modzie i zachowaniu w salonach epoki cesarstwa. Te wykłady, wygłaszane przepiękną polszczyzną zachowałem w pamięci jako najwznioślejsze przeżycia z krakowskiej Akademii. Doróżkarz czekał na Placu Matejki tak długo, jak długo trwał wykład. Po nim odwoził profesora z powrotem do domu. Przyjazd i odjazd oglądaliśmy z okien.

Andrzej Stopka od 1926 do 1931 roku studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, między innymi u profesora Karola Frycza. W 1942 roku był aresztowany przez hitlerowców i zesłany do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W 1950 roku został profesorem wydziału scenografii. Mały, pękaty, z nieodłącznym plecakiem lub torbą na ryby, bo wędkarzem był, w tenisówkach, wyglądał jak kłoszard i niczym nie przypominał profesora czcigodnej Akademii. Lubił opowiadać anegdotki i mimicznie odgrywać zachowania krakowian. Nie przebierał w słowach i używał tych najbardziej dosadnych. Przybierał przy tym miny, pozy, gestykulował – zamieniając się w komika dla trafnego przedstawienia tej, czy tamtej powszechnie znanej osoby. Chwalił się żartem jaki wymyślił dla Kantora. Wysłał mu telegram: TEATR CRICOT 2 – ZRÓBCIE PRAPREMIERĘ MOJEJ OSTATNIEJ SZTUKI – JP SARTRE. Był twór-

cą znakomitych portretów-karykatur zamieszczanych co tydzień w „Życiu Literackim”. Znał moje rysunki, chwalił zmysł obserwacji i dobrą kreskę. Dzięki prof. Stopce i komicznym scenom, które przede mną odgrywał, nauczyłem się patrzenia na śmieszności tego świata.

Jedyną osobą przebywającą z nami na co dzień był asystent Marian Szulc. Szczupły, lekko zgarbiony nosił miękką zamszową kurteczkę w kolorze tabaki, która harmonizowała z jego spokojem i życzliwością. Dyskretnie podglądał, co robimy, i kiedy na jego zatroskanej twarzy pojawiał się uśmiech – byliśmy szczęśliwi, bo to był znak aprobaty dla naszych szalonych pomysłów. Bardzo go lubiliśmy, a on chyba nas, wciągniętych w żywioł projektowania. Miał z nami milczący kontakt i wyczuwał, kiedy służyć radą i pomocą. Nauczył mnie rzeczy prostych i praktycznych, przydatnych na całe życie. Choćby takich jak przyrządzić klej stolarski odpowiedniej gęstości i temperatury i jak sklejać nim tekturowe makiety, aby były mocne i nie ulegały odkształceniom... albo w jakich miejscach dużych elementów scenografii stosować podziały, aby później, na scenie, łączenia ich były niewidoczne... albo jak malować projekt kostiumu, aby wzorujący się na nim krawiec z krawcową nie mieli żadnych wątpliwości przy szyciu...

Oddany scenograficznym studiom w ciągu dnia, wieczorem śpieszyłem do Piwnicy. Jesień 1957 roku przyniosła tam żałobę. W połowie listopada, mając zaledwie 25 lat zmarł nagle Andrzej Bursa, uznany i drukowany poeta, twórczo zaangażowany we współczesność i przeciwko niej zbuntowany. Współpracownik Piwnicy pod Baranami i krakowskiego magazynu kulturalnego „Zebra”. Wiersze i prozę Bursy z właściwym zrozumieniem wygłaszał zawsze jego wierny przyjaciel Jan Güntner, i dzięki niemu twórczość ta utrwałała się w pamięci słuchaczy.



Chyba tej samej jesieni trafiła do Piwnicy Szaszkiwiczowa. A może to było wcześniej? Zapytana, zastanawiała się. – Aha! Już wiem. Zaprowadził mnie do Piwnicy Rysiek Krzyżanowski, aktor starego Teatru... Od niego się dowiedziałam, że jest takie tajemnicze miejsce, że trudno tam się dostać, że trzeba wchodzić przez okienko. Był to chyba rok 1957.



Andrzej Stopka z karykaturą
Bertholda Brechta, 1960 r. Fot. Barącz



Tadeusz Kantor
w karykaturze Andrzeja Stopki



Irenka Jarochovska. Fot. Kuczyński – zakład artystyczno graficzny, Kraków, Pałac Spiski

A kiedy tam już trafiłam, zaczęłam bywać stale. – Irena z Jarochovskich Szaszkieviczowa „Kika” urodziła się w czasie I wojny światowej, w rodzinie ziemiańskiej. Była panią z dworu w Bibicach, niedaleko Rzeszowa. Słynną szkołę gospodarstwa domowego w Snopkowie pod Lwowem ukończyła tuż przed wybuchem II wojny światowej. Jej miłość do 5 lat młodszego Antoniego Szaszkievicza przypieczętował ślub w 1944 roku. Opuścili Babicę przed wejściem Rosjan. Po wojnie z ojcem, bratem i mężem zamieszkała w Kłodzku, gdzie urodziła synów Maćka i Jaszę. Szczęście w małżeństwie trwało kilka lat. Antoni porzucił je dla romansu z panną Niną. Jarochovski opuścili Kłodzko. „Kika” z dziećmi przywędrowała do Krakowa, wioząc tobołek z cennym skarbem: urwaną przez bombę gotycką głową kamienną ze zniszczonej katedry wrocławskiej. Majątek w Babicy rozparcelowano. Jej siostra Maria „Maja” Jarochovska, pionierka literatury socrealistycznej, autorka „Buraczanych liści” drukowanych w „Przekroju” w 1948 roku – zamieszkała w Warszawie. Tam też zamieszkał jej brat Konstanty „Kot” Jarochovski, ceniony fotografik tygodnika „Świat”. Szaszkieviczowa za-



Szaszkieviczowa na platformie wagonu kolejowego w okolicy Kłodzka 1945 r.



Irena z Jarochovskich Szaszkieviczowa „Kika” z Kazimierzem Wiśniakiem, w Krakowie. Fot. Mściwoj Olewicz

trzymała się w Krakowie, przy ulicy Urzędniczej 30. Podjęła pracę pielęgniarki w kombinacie w Nowej Hucie. Wesoła, otwarta, niezwykle towarzyska, z odwagą śpiewania solo wiedeńskich walców, wzbudzała ogromne zainteresowanie bywalców Piwnicy. Wieczór bez Szaszkieviczowej był wieczorem straconym.

Mieszkała na Urzędniczej w bliskości mojego akademika przy ulicy Dzierżyńskiego. Odległość między domami to 3 minuty czasu. Często się odwiedzaliśmy. Miejscem przypadkowych spotkań był też sklepik spożywczy, w którym Szaszkieviczowa kupowała, nie płacąc. Miała otwarty kredyt, a właściciel podliczał pod koniec miesiąca. Wtedy mnie prosiła: – Wesprzyj, bo brakuje mi na spłatę... – Do tego sklepu

przychodziłem ze słoikiem. Były tam doskonałe powidła śliwkowe, trzymane w kamiennym garnku na ladzie. Nakładanie ich do słoika ożywiało osy, więc latały z bzyczeniem po sklepie. U Szaszkiewiczowej ciągle ktoś mieszkał: Piotr Skrzynecki, Barbara Nawratowicz z Wieśkiem Dymnym jako zakochana para, bezdomny Mieczysław Święcicki, bardzo krótko osiemnastoletni poeta Ireneusz Ireduński. Andrzej Majewski, który nie przepadał za Piwnicą i rzadko do niej zaglądał, zaczął bywać u Szaszkiewiczowej. Bardzo się polubili.



Dzięki naszym obrazom zawieszonym zeszłego roku w Domu Plastyka i dobrej o nich opinii, przyjechali z Warszawy i wprost ku pracowni w Akademii skierowali swe kroki – Zofia Góralczyk z Jerzym Markuszewskim. Ona dziennikarka, on związany z tygodnikiem „Po prostu” i Studenckim Teatrem Satyryków. Przyjechali obejrzyć nasze nowe prace. Podobały się, więc zaproponowali wystawę w stolicy. Skazani byliśmy znów wystąpić w duecie Majewski-Wiśniak. Był grudzień, sporo czasu do stycznia, by namalować jeszcze coś nowego.

Otwarcie wystawy odbyło się 15 stycznia 1958 roku w Salonie Młodej Plastyki ZMS przy ulicy Smolnej 40. Poznałem wtedy interesujące osobowości: Jana Biczyskiego – twórcę klubu „Stodoła”, architekta Andrzeja Niewęglowskiego, publicystę Zygmunta Kałużyńskiego, tancerza Witolda Grucę, także brata Szaszkiewiczowej – fotografa „Kota” Jarochońskiego. Robił zdjęcia dla prasy. Andrzejowi Osęce nie podobały się moje obrazy. Napisał o tym w „Przeglądzie Kulturalnym”. Inni krytycy: „Wiśniak popularny i inteligentny rysownik nie wydaje się jednak jeszcze w malarstwie osobowością skryształowaną. Jego obrazy nieco surrealistyczne w koncepcji, choć zgrabnie wykonane – robią wrażenie rzeczy wymyślonych, a nie powstałych z wewnętrznej konieczności...” doniosło „Życie Literackie”. W „Od nowa”: „...Niesłychanie dowcipne rysunki, znane czytelnikom „Przekroju”, nieprawdopodobne sytuacje, śmieszne ludziki – znajdują swój malarski wyraz w obrazach...”. Zygmunta Kałużyńskiego uznał, że mój obraz „Pokój ubogich kochanków” to wariacja sławnego „Pokoju w Arles” Van Gogha: „...toutes proportions gardées, obrazek Wiśniaka podejmuje ten sam temat, lecz



Zygmunt Kałużyński,
dziennikarz, krytyk, eseista.



Zygmunt Żurowski, plakat Salonu Młodej Plastyki w Warszawie

pasja pokoju w Arles zostaje tu zastąpiona uważną kontemplacją...”. Cytowany fragment pochodzi z tekstu zatytułowanego „Refleksje bywalca wystaw malarskich”. Ten tekst, wraz z innymi „notatkami kibica z okresu fermentu” stanowi zawartość książki Kałużyńskiego „Nowy Kaliban” wydanej przez „Czytelni-ka” w 1961 roku.

Rzeczą wymyśloną był na pewno komiks o Szaszkiewiczowej. Opracowałem go z Piotrem Skrzyneckim, zaraz po zamknięciu warszawskiej wystawy. Pierwszy odcinek zaniósłem do pokazania Eilemu. On zachwycony nadał mu tytuł „Szaszkiewiczowa czyli Ksylolit w Jej życiu – obrazkowa powieść współczesna”. – Rysunki dokładnie obliczone, zmieszczą się na całej stronie „Przekroju”. Zaraz przekażę do druku! – Skrzynecki czekał na ulicy. Opowiedziałem mu o decyzji Eilego. Piotr oniemiał, ale po chwili krzyczał z radości, był szczęśliwy. Historyjka obrazkowa ukazywała się w czternastu kolejnych numerach „Przekroju”. Mieszała fikcję z rzeczywistością. Występowały w niej osoby z krakowskiego środowiska pod zmienionymi nazwiskami, np. Janina Garycka jako Janina Sorycka, Skarżyński jako Arżyński, Joanna Olczakówna jako Joasia O. – młoda pisarka, Wanda Warska jako Wanda W., Kazimierz Wiśniak jako Ksylolit Kiśniak, itd. Historyjka wywołała dużo szumu nie tylko w Krakowie. „Przekrój” czytała cała Polska, a dodatkową sensacją było, że Szaszkiewiczowa żyje naprawdę i mieszka z dziećmi w Krakowie. Imię jej kochanka, Ksylolit, to pamięć o obietnicach założenia w Piwnicy podłogi z masy plastycznej o takiej właśnie nazwie. Gdy już jeden z ostatnich odcinków oddałem do rąk redaktora, on rozbawiony opowiedział mi jak to jakaś fabryka mydła zwróciła się do niego z prośbą, aby nazwiskiem Szaszkiewiczowa reklamować swój wyrób. Mydło do prania Szaszkiewiczowa! – Ale widzi pan – ciągnął Eile – otrzymałem też taki list: „uprzejmie prosimy o podanie do wiadomości, że z panią Szaszkiewiczową – bohaterką wesołej opowiadki w tygodniku „Przekrój” nie mamy nic wspólnego i nie o nas jest ta opowieść. Teresa z Horodyskich Aleksandrowa Szaszkiewiczowa, Róża z Bnińskich Romanowa Szaszkiewiczowa, Maria z Bobrowskich Włodzimierzowa Szaszkiewiczowa, Zofia z Przedzrymirskich Antoniowa Szaszkiewiczowa, Katarzyna z Romerów Cezarowa Szaszkiewiczowa, Halina z Grodowskich Arturowa Szaszkiewiczowa. Kraków, dnia 12 maja 1958 r.” Marian Eile zamieszczał też króciółkie wiadomości o Szaszkiewiczowej, jak tą o balu w Piwnicy z okazji nowej podłogi z ksylolitu. Na balu dokonano wyboru Miss Piwnicy i tytuł ten uzyskała Szaszkiewiczowa. Potem o krowie-przemycniczce: „Patrol WOP ujął na granicy czeskiej krowę obładowaną przemycanymi towarami. Ani się spodziewali nasi autorzy obrazkowej historyjki o Szaszkiewiczowej, że rzeczywistość przewyższy ich fantazje o przemytnikach przebranych za kozice!”.



Koledzy mieli spokojne studia, dużo czasu na odpoczynek i sen w akademiku. Dla mnie za krótki był dzień, i noc za krótka do malowania, rysowania, projektowania rodzących się nieustannie pomysłów. Przyciągała też Piwnica z wieczornymi wydarzeniami, które trwały często do rana. W sobotnie popołudnia wyruszałem z Szaszkiewiczową i Majewskim w podkrakowskie okolice odkrywać nieznanne nam szlaki i zabytki. Zachwycała wiosna, kwitnące sady, domy bielone i kościółki. Pewnego razu zważyło nas ognisko na kościelnym cmentarzu. Krzątały się przy nim zakonnice. Znosiły z dzwonnicy podarte ornaty i na ogień kładły... piękne stare hafty na pastwę płomieni! Nieczułe na prośby o haftowany skrawek, odpowiedziały odmownie. – To szaty święcone, nie oddaje się poza kościół! – Niszczyły zniszczone, prawdopodobnie zgodnie z przepisem. Nauczeni tym zdarzeniem, podczas następnych wycieczek uchylaliśmy drzwi dzwonnicy, by ogarnąć wzrokiem rupieciarnię. Bez skrupułów wyniosłem przełamany świecznik drewnia-

SZASZKIEWICZOWA

czyli »Ksyłolit w Jej życiu«

OBRAZKOWA POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

AUTORZY: PIOTR SKRZYŃECKI I KAZIMIERZ WIŚNIAK

MOTTO:

A życie płynie powoli i spokojnie

*

Prawa przedruku i przekładu na wszystkie języki i narzecza zastrzeżone



Oto Szaskiewiczowa

Dom przy Magistrackiej 30. Okno z krzyżkiem — jej mieszkanie

Plan garsoniery Szaskiewiczowej



Ojciec ziemianin, matka z dobrego domu

Sąsiedzi o matce i ojcu

Siostra Kora z W-wy, brat Kret z W-wy. Sasza i Jasza synowie

Pamiątki rodzinne: posążek Buddy, wazon różowy, wachlarz po babci



Przedmioty specjalne: globus, zegar-budzik, wiaderko o którym później będzie jeszcze w powieści

Okrzyki okolicznościowe Szaskiewiczowej

Sublokatorzy: a) Piotr Skrzypek wstaje o 12-tej, b) Stanisław Chybek twórca teatryku „Alfa 58”

Chór sąsiadów



Kolekcje osobiste: 1. kanarki, 2. ko-perty od H. i innych, 3. dzwonki

Przyjaciółki: Nina Hawaliwadze — krawcowa amatorka, Zaza Hulanicka — doktorowa, Georgetta Kłapikowa — redaktorowa i Wanda W. śpiewaczka swingująca przy akompaniamentem męża pianisty

Ksyłolit Kiśniak — bohater tej powieści p.t. „Ksyłolit w Jej życiu”



Rywalka Szaskiewiczowej

Podstawowe toalety bohaterki

Zakończenie wstępnych wyjaśnień, obok pierwszy rozdział powieści

Pierwszy odcinek komiksu „Szaskiewiczowa”



Zdzisław Jachimczyk w wojsku

Wyniki techniczne (w kolejności wag od muszej do ciężkiej, na pierwszym miejscu zawodnicy Cracovii): Kokoszka zremisował z Danielem, Burzyński pokonał Tkacza, Kudła (Wanda) zdobył punkty w.o. z powodu nadwagi przeciwnika, Izbrandt przegrał przez dyskwalifikację za nieczystą walkę z M. Skiminą, Powroźnik zremisował z H. Skiminą, Chmielka poddał sekundant Synowcowi, Drabik wypunktował Budzowskiego, Jachimczyk zremisował z Konopką, Marianowi Kamińskiemu poddał sekundant Kośmidera i Miecz.

ny, potem przełamany świecznik cynowy z inskrypcją „X.PB” i datą 1729. W Krakowie świeczniki naprawiono, wzmocniono od środka, przedłużono im „życie”.

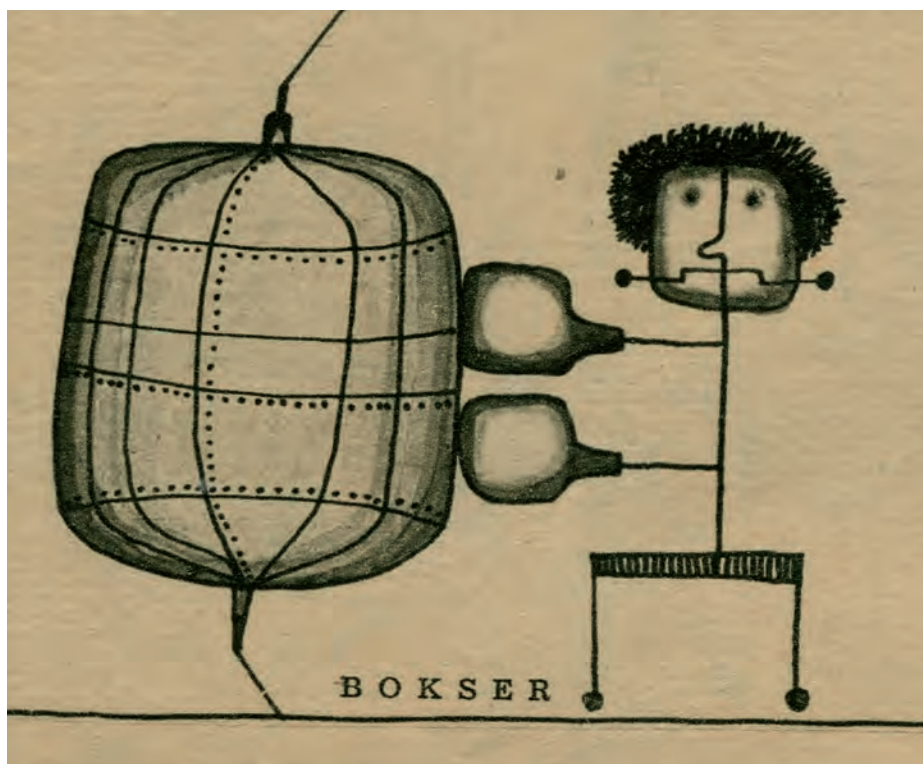
Obiady jadaliśmy blisko Akademii, przy Rynku Kleparskim w knajpie dla przekupek. Tania, dobra kuchnia. Za stołami zasiadała galeria ciekawych typów z placu targowego. Chłopy przy piwie, baby w krakowskich gorsetach, wytartych, ale jeszcze kolorowych, chyba tych ostatnich, noszonych na co dzień. Z Andrzejem Majewskim zajmowaliśmy stołki skierowane na szeroko otwarte drzwi ku straganom. Gwarно było, bo głosy placu mieszały się z tymi znad talerzy. Przyjeżdżał tam chłopak na rowerze. Miał spięte dołem spodnie, kibić smukłą a ramiona szerokie. Cechy brutalne mieszały się z delikatnością ruchów. Wpadł mi w oko, bo wyzywająco piękną twarzą wyróżniał się wśród przekupek z nosami jak kartofle. Kilka dni później poznałem go w „Kolorowej” na Gołębiej. Pierwszą salę zajmowali sportowcy, a w drugiej, bliżej baru Piotr Skrzynecki przesiadywał ze swoją gromadką. Znalazłem jedyne wolne miejsce między pierwszą salą a drugą i siadłem na foteliku, nie widząc torby sportowej pozostawionej pod stolikiem. Za chwilę zgłosił się po nią chłopak, ów rowerzysta z knajpy dla przekupek, no i tak go poznałem, Zdzisia Jachimczyka „Cezara”, boksera klubu Hutnik.



Pracował w kombinacie Nowej Huty, ale od czasu do czasu, bo jako sportowiec miał wolne dni na treningi. Natura porywczą, niespokojną ciągnęła do koleżków od wódki, łobuzów i rozrabiaczy. Druga jego natura przyjazna i ciepła lgnęła do mnie. Bywał w pracowni scenograficznej, w akademiku, zabierał mi brudną pościel i koszule do domowego prania. Mieszkał z ojcem i siostrą w małym domku przy ulicy Widnej na Rakowicach. Nie kibicowałem dotąd bokserom, ale zachęcony jego zaprosze-



Ilustracja z „Przekroju” do opowiadania Van Vogta



Kazimierz Wiśniak, rysunek z „Przekroju”

wiedzić jego krewnych. Zatrzymali nas do następnego dnia ze względu na oktawę Bożego Ciała. Spaliśmy w pachnącej stodole na sianie. Nazajutrz Zdzisia witali znajomi i prosili, by niósł baldachim. Mieli trzech wysokich i jego też wysokiego jako czwartego. Patrzyłem z zachwytem, jak kroczył dostojnie i pobożnie śpiewał. Ludzie się tłoczyli w upale, śpiewali. Ministranci dzwonili całą mocą, nie oszczędzano kadzidła. Piękna procesja, ale nagle przerwana chaosem, machaniem rąk, panicznym gwarem... to pszczoły nadleciały zwabione zapachem i w kadzielnianym dymie żądliły wieśniaków. Zdzisia ukąsiły w szyję, a on widział, że i księdza niosącego monstrancję, ale obaj zachowali spokój, aż do końca.

Innym razem w Krakowie, wieczór mglisty był, szedłem ot tak, przed siebie, a naprzeciwko Zdzisio podążał. Oboje w wilgotnych płaszczach stanęliśmy u wejścia do „Feniksa”. Światła, muzyka zapraszały do środka. Mimo braku krawatów wpuszczano nas. Usiedliśmy z boku. Zdzisio chwalił się, że przeglądał „Przekrój” i widział moje rysunki. Eile nadal je umieszczał, ostatnio powierzył do zilustrowania opowiadanie Van Vogta „Zorl – kot przestrzeni”. Na obrazku umieściłem profil mężczyzny wpatrzonego w międzyplanetarną przestrzeń za oknem. Rysując twarz, podświadomie zrobiłem portret Zdzisia. Udał się bez pozowania. Wieczór w „Feniksie” byłby miły, gdyby nie natrętny, nieznany typ. Z uporem maniaka podchodził do stolika i odciągał Zdzisia na bok, w jakiejś sprawie. To się powtarzało, sytuacja stawała się męcząca i napięta. – Wyjdźmy, bo zrobię awanturę i gościa pobiję – rzucił Zdzich. Odebraliśmy płaszcze z szatni, zeszliśmy na dół, do wyjścia, a na ulicy znowu ten potwór przy nas, z zaczepką. Zdzicha poniosły nerwy. Złapał go za klapy, uniósł w górę, przeniósł na drugą stronę ulicy i wrzucił do wyciemnionej witryny kawiarni „Śnieżka”. Dźwięk rozbitej szyby był przerażający. Kawiarnia pusta, bezludna ulica we mgle, śpiący taksówkarze... nikt nie słyszał, nikt nie widział?

Roztrzęsionego Zdzicha wsadziłem do taksówki. W akademiku miałem samodzielny pokój, w którym powoli uspokajał się, aż zasnął.

niem poszedłem na zawody. Chciał bym zobaczyć, jak walczy na ringu z Kopką. Był pewien wygranej. Ja trzymałem kciuki, pragnąłem, by wygrał, ale ogłoszono remis. Po walce chciał zostać przy mnie. Skrzywdzony niesprawliwym wyrokiem sędziego żalił się, przecież czuł swoją przewagę, liczył na wygraną... – Remis nie oznacza przegranej – mówiłem, ale on smutny pozostał i tym smutkiem mnie obdarzał.

W czerwcu pojechaliśmy koleją do Dębicy, skąd na nogach za południowe wzgórze, do Stasiówki, od-



Kończył się 1958 rok. W Piwnicy poruszenie wywołały przygotowania do nieznanego nam XIX wiecznej opery „Jezioro wieszczek”. Janina Garycka podsunęła Skrzyneckiemu zapomniane libretto a on zachwycony przystąpił do prób. W „Echu Piwnic pod Baranami” zwrócił się do Obywateli miasta Krakowa: „...przejrzyjcie swoje strychy, komórki i piwnice... wypchane zwierzęta, stare makaty, posągi, wachlarze, strusie pióra... jelenie rogi... pożyczcie je nam na nieokreślony czas...”. Do tej pory obywaliśmy się bez



dekoracji a tym razem Wiesio Dymny: – Ty jesteś ze scenografii, zrób dekoracje! – naznosił z zakamarków Piwnicy płyty dykty, listwy gwoździe, piłę. Wyciąłem kontury skał i drzew. W dwa wieczory wymalowałem w manierze XIX-sto wiecznego landszaftu jezioro otoczone górami. Piotr się zachwycał. – To nie koniec, zobaczysz, co jeszcze zrobię! – Na krawędzi sceny ustawiłem kinkiety. Świeczki za osłonkami kierowały światło ku dekoracji, pozostawiając widownię w cieniu. Kika Szaszkiewiczowa przywiozła z nowohuckiej przychodni

bardzo szerokie zwoje gazy. Znalazły się metalowe kółeczka, sznury i stalowe linki do zmontowania urządzenia, za pomocą którego ukryty za kulisą artysta, ciągnąc za sznur, mógł odsłaniać na boki lub zasuwac kurtynę. Piotr szalał z zachwytu! Przy zapalonych kinkietach a zasuniętej jeszcze kurtynie majaczyły w głębi bajkowe góry i jezioro za ową gazą, jak we mgle. Zauroczony Piotr wyściskał mnie i wyprosił na koniec, bym wstawił jeszcze na scenę wypchaną sarnę, jeden z darów czytelnika „Echa Piwnic pod Baranami”.



Była to pierwsza dekoracja w naszym kabarecie. Ireneusz Ireduński napisał w „Ekranie”:

„...wiedz patrząc na skały, pięknie wymalowane jeziora i ptaszki, lasy i tyrolskie chatki odczuwa specyficzną przyjemność uczestnictwa w mistyfikacji. Czuje się obdarzony zaufaniem”.



W końcu grudnia odnalazł mnie Romek Polański. Kręcić zamierzał szkolny film „Gdy spadają anioły”, chyba dyplomowy, o babci klozetowej, która wspomina miłość czasów swej młodości. „Zwróciłem się do studenta krakowskiej ASP... którego prace znałem i wysoko ceniłem. Wspólnie zaprojektowaliśmy szalet, zrobiliśmy gipsowe odlewy fajansowych pisuarów z końca XIX wieku i postawiliśmy całość w szkolnym studiu. Wzorowaliśmy się na pisuarach znajdujących się pod Sukiennicami w Krakowie. Nasz szalet miał sufit z matowych szklanych kafli... Właśnie przez ten sufit, spod ziemi, można było oglądać przetaczającą się falę ludzkich istot, słyszeć stukot anonimowych kroków”. (Roman Polański „Roman” Wydawnictwo Polonia, Warszawa 1989, str. 121). Szklany sufit był potrzebny. W finale filmu miał roztrzaskać się pod stopami lądującego z nieba anioła. Przyjeżdżałem do Łodzi, by uzgadniać z Romkiem różne szczegóły.

Spotykaliśmy się w „Honoratce”, ulubionej kawiarni studentów „filmówki”. Przesiadawali w niej, oprócz studentów, uznani reżyserzy i grupki pięknych dziewcząt marzących o filmowej karierze. Romek był przygotowany do pracy. Oglądałem z podziwem jego zeszyt, w którym miał przemyślane kadry. W małych prostokątach narysował precyzyjnie ujęcia, od początku scenariusza, scena po scenie, aż do końca.

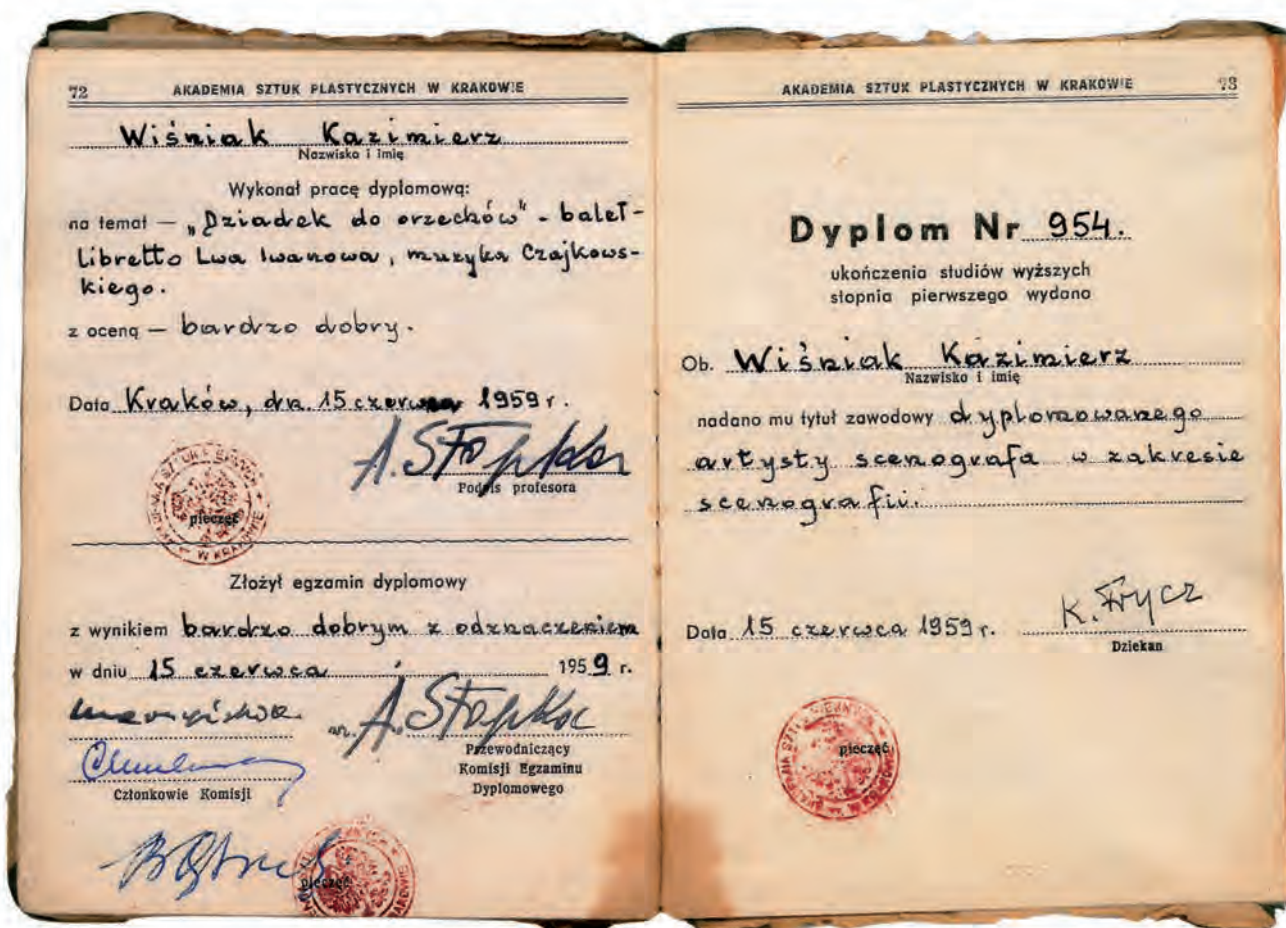


Zaczął się rok 1959 i tuż po święcie Trzech Króli skupiłem uwagę na pracach w Akademii. 5 miesięcy pozostało do oddania i obrony pracy dyplomowej. Wybrałem temat: „Dziadek do orzechów” Piotra Czajkowskiego wg. libretta Ernesta Theodora Amadeusa Hoffmanna; rosyjskie libretto Lwa Iwanowa też było mi znane. Orkiestrowe miniatury pobudzały moją wyobraźnię i pozwoliły myślom odpłynąć w nastrój Świąt Bożego Narodzenia. Przyjemność sprawiało mi projektowanie kostiumów. Dzień po dniu, od rana do nocy spędzałem w pracowni. Marian Szulc pomagał przy instalacjach elektrycznych. Makiety prac ustawione w czarnych pudłach imitujących sceny teatralne były oświetlane małymi żaróweczkami. Nabierały urody w blasku i cieniach, eksponował się kolor i układ przestrzenny. Nauki z łódzkiego technikum budowlanego bardzo mi pomogły. Czułem funkcjonalność przedmiotów w odniesieniu do człowieka, tu do aktora poruszającego się wśród nich na scenie. Wiedziałem jaki wymiar powinien mieć stopień schodów, jaka może być wysokość podestu bez potrzeby użycia barierki ochronnych, jakie stosować odległości między kulisami, aby aktorka ubrana w szeroką krynolinę mogła swobodnie poruszać się między nimi. Andrzej Majewski miał z tym trudności, nawet z rysunkiem technicznym, którego nie lubił. On uwagę skupiał na wartościach malarskich projektu.

Dużo kolegów z innych wydziałów, zwłaszcza z malarstwa przychodziło popatrzeć na nasze prace. Przychodzili też ludzie spoza Akademii, reżyserzy, aktorzy. Makiety oglądał profesor Szkoły Aktorskiej Jerzy Kaliszewski, dyrektor teatru w Zielonej Górze Jerzy Zegalski, który zaproponował mi opracowanie scenografii do „Johna Gabriela Borkmana” Henryka Ibsena. O jego zielonogórskiej scenie dobrze pisano,



Pierwsza dekoracja Kazimierza Wiśniaka w profesjonalnym Teatrze Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze do dramatu Ibsena „John Gabriel Borkman”. 1959 r.



więc zgodziłem się na tę pierwszą w życiu realizację w instytucjonalnym teatrze. Z nowym zadaniem uporałem się szybko, bo to dramat kameralny z ośmioosobową obsadą aktorską.

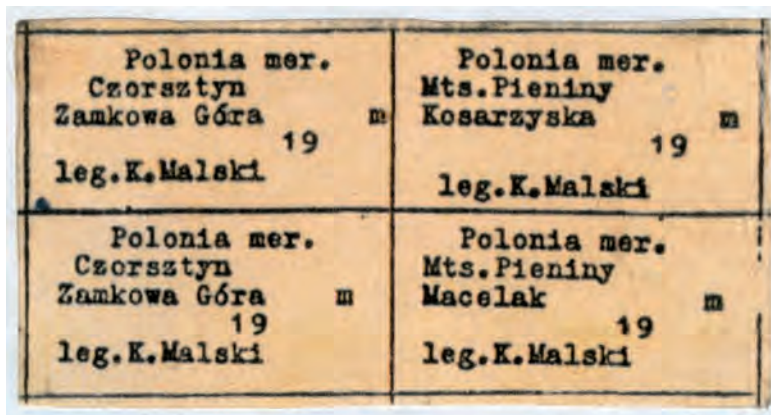
Jeździłem do odległej Zielonej Góry przez Łódź. Krótki pobyt w rodzinnym mieście przeznaczałem na spotkania z Romkiem Polańskim i kontrolę budowanych dekoracji filmowych. Potem odbywałem dalszą podróż do zielonogórskiego teatru. Wracając, znów zatrzymałem się w Łodzi. W Krakowie kończyłem pracę dyplomową i urządziłem wystawę wieńczącą studia w Akademii. Wyzwoliły się siły. Dzięki nim udało się zrealizować wszystkie prace rozrzucone w trzech miastach.

Z początkiem czerwca poruszenie w pracowni wywołała wizyta dyrektora Wrocławskiej Pantomimy Henryka Tomaszewskiego. Przyszedł z grupą mimów obejrzyć projekty, oświetlone makiety. Tomaszewski gratulował nam, potem opowiedział o zamierzeniach w swoim teatrze. Chciał mieć młodych scenografów prezentujących nowoczesną sztukę i dlatego zaproponował całej naszej trójce (bo jeszcze Krzysztof Zrałek był z opóźnioną o rok pracą dyplomową) współpracę ze swoim teatrem. Zrałek miał już dyplom w kieszeni, więc zgłosił natychmiastową gotowość stawienia się w Teatrze Pantomimy. Po kilku miesiącach jego nazwisko widniało na afiszach i programach, ale zmienione na Pankiewicz.

„Dziadek do orzechów” otrzymał ocenę: bardzo dobry a także egzamin dyplomowy dał wynik bardzo dobry z odznaczeniem. Wydano mi dyplom nr 954 z datą 15 czerwca 1959 roku, podpisany przez Karola Frycza. Na tym skończyły się studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.



Nie miałem żadnych planów. Jak lekkoduch, poddałem się życiu, by ono mnie niosło, na miarę posiadanych sił i w dobrych kierunkach. Jedynym pragnieniem był odpoczynek, gdzieś w odludnym miejscu. Myśląc o takich wakacjach spotkałem Krzysia Malskiego, pracownika Polskiej Akademii Nauk. Wybrał się na badania entomologiczne w Pieniny i zachęcił do wspólnego tam pobytu. Czorsztyn zachwycał. Dzika przyroda, skały z ruinami zamków, połyskujący nurt Dunajca. Nurt bywał groźny po deszczach. Właśnie urwał skały i nabrzeżną drogę uczynił nieprzejezdną. Flisacką tratwą popłynęliśmy do Sromowiec Niżnych, gdzie przy drodze wiodącej wzdłuż Dunajca mieszkała pani Maria Dziurnowa i u niej wynajęliśmy pokój z balkonem. Krzysio po śniadaniu, z torbą i siatką wyruszał obserwować i łapać muchy, jakiś rzadko spotykany gatunek występujący tylko w Pieninach. Ja szedłem na małą plażę położoną tuż przed Przełomem Dunajca i tam leżałem, kąpałem się, rysowałem, liczyłem przepływające wodą tratwy. Na niektórych śpiewano. W Sromowcach Niżnych cisza i spokój, bo górale w polach, a na rzece ruch jak na Marszałkowskiej w Warszawie: tratwy, tratwy jedna za drugą, wszystkie pełne turystów. Obiady wydawała gospodyni księdza proboszcza na werandzie plebanii. Z wędrówek po skałach wracał Krzysio i między talerzami z zupą wykladał swoje pudełeczka z uśmierconym szpilką owadem. Po dwóch tygodniach wrócił do Krakowa. Dla mnie wielkim przeżyciem był spływ z flisakami Przełomem Dunajca. „Każdy, kto raz odbył wycieczkę w Pieniny łodzią, tak wiele zawdzięcza jej romantycznych wrażeń, że często powracać tu będzie, bo nigdzie nic piękniejszego i bardziej malowniczego nie zobaczy. Znaną jest piękność brzegów Renu, skał w Saskiej Szwajcarii, przełomu Dunaju w Żelaznej Bramie – ale z Pieninami żadna z tych stron równać się nie może”. Tak napisał w swoim „Ilustrowanym przewodniku po Galicji” dr Mieczysław Orłowicz, wydany w Lwowie 1919 roku. Mnie, romantycznych wrażeń dostarczyła burza w Wąwozie Szopczańskim. Przeżyłem trwogę, gdy raptownie wiatr się zerwał nad szczytami skał, wyginał skrzypiące drzewa a pogodne dotychczas niebo pokryły czerwone pręgi od zachodniej łuny i pędzące strzępy czarnych chmur. Szamotane wia-



Karteczki do oznaczania złowionych w Pieninach owadów

Szamotany, drogi Panie Karimierz!
Proszę się ze mną skomunikować:
chciałbym jeszcze raz porozmawiać z Panem
na ten sam temat "katoniecki" ...
Czwartek, piątek, sobota - będę na próbach
reżanarskiej "Najmy Trojańskiej"; w najbliższej
jednak niedzieli będę w domu; może nawiąże
może nawiąże się telefonicznie?
Łączę najlepsze pozdrowienia!
J. Kaliszewski -
31. VIII. 59

List od Jerzego Kaliszewskiego

trem piszczały nietoperze, krzyczały sowy i inne ptaki. Pioruny i błyskawice dostarczały niesamowitości. Truchlałem ogłuszany hukami potęgowanymi przez ściany wąwozu, ale z góry nie spadła choćby kropla deszczu. W Pieninach spędziłem dwa miesiące. To były najpiękniejsze wakacje.

W Krakowie czekał mnie list od Jerzego Kaliszewskiego, aktora Starego Teatru i profesora Wyższej Szkoły Aktorskiej, nawiązujący do krótkiej między nami rozmowy sprzed wakacji, gdy oglądał wystawione prace scenograficzne końcowego przeglądu w Akademii: „Szanowny i drogi Panie Kazimierzu! Proszę się ze mną skomunikować: chciałbym jeszcze raz porozmawiać z Panem na ten sam temat „Katowicki”. Czwartek, piątek, wtorek – będę na próbach wznawianej „Wojny Trojańskiej”; najchętniej jednak widziałbym Pana u siebie w domu; może umówimy się telefonicznie? Łączę uprzejme pozdrowienia! J. Kaliszewski, 31.VIII.59”.

Mój kochany, dobry Anioł Stróż! To on wywiódł mnie z Gubina, skierował do ukochanego Krakowa, roztaczał opiekę i wskazywał jak poruszać się po tym świecie. Teraz, z początkiem ważnego etapu życia sprawił niespodziankę. List Jerzego Kaliszewskiego pisany zielonym atramentem wzbudził nadzieję. Dzięki Ci, Ty mój Aniele...



Z dniem 1 października 1959 roku Jerzy Kaliszewski jako dyrektor i kierownik artystyczny stanął na czele trzech scen Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach: Dużej Sceny, Małej i Teatru „Komedia”. Z krakowskiej Szkoły Aktorskiej przywiózł grupę zdolnych absolwentów oraz mnie jako scenografa. Na początek opracowałem dekoracje i kostiumy do sztuki Jerzego Broszkiewicza „Jonasz i błazen”. Projekty podobały się reżyserowi Jerzemu Grudzie, także obsadzonym w sztuce aktorom. Jedynie miejscowy scenograf Wiesław Lange oszczędził pochwał i skrytykował czerwone ściany dekoracji: – Są agresywne, zmęczą widzom oczy, stłamszą aktorów... – Odpowiedziałem, że pozostaną w półcieniu, a światło wydobędzie jedynie aktorów w kostiumach, a te są bez czerwieni. Będą miały dobre tło. Lange pozostał nieprzekonany. Od lat zżył się z szarzyzną Śląska, czyste barwy go raziły. A ja, do tej szarej rzeczywistości chciałem wpuścić ożywienie.

Życie towarzyskie teatru skupiało się w trzech miejscach: w bufecie, w bibliotece – archiwum i w magazynie materiałowym, którego szeroko otwarte drzwi zapraszały do odwiedzin pani Stefani Korejbo,



Reżyser Jan Biczyski

jednej z trzech siostr; pozostałe pracowały w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie: najmłodsza Janina i najstarsza Bronisława, krawcowa. Katowicka Stefania była żywym „dziennikiem” Teatru Śląskiego. Wiedziała co ważnego, co błahego wydarzyło się w ciągu dnia. Często ją odwiedzałem, by pogadać o tym i owym. Korejbianki przyjechały do Katowic w 1945 roku wraz z zespołem teatru lwowskiego i jego dyrektorem Bronisławem Dąbrowskim na czele. Dyrektor miał też przy sobie dwóch reżyserów: Aleksandra Bardiniego i Edwarda Żyteckiego, wyjątkowego oryginała, z twarzą rysowaną głębokimi bruzdami, haczykowatym nosem, wysuniętą brodą. Nieodłączna muszka i używanie monokla czyniły z niego modela odległych czasów. Mówiono, że przyjaźnił się z Polą Negri. Teraz miała mu słać listy z Ameryki. Pracowałem z nim przy trzech sztukach i nasłuchiwałem się, kiedy często krzyczał i wyzywał aktorów. Chciał być srogim reży-

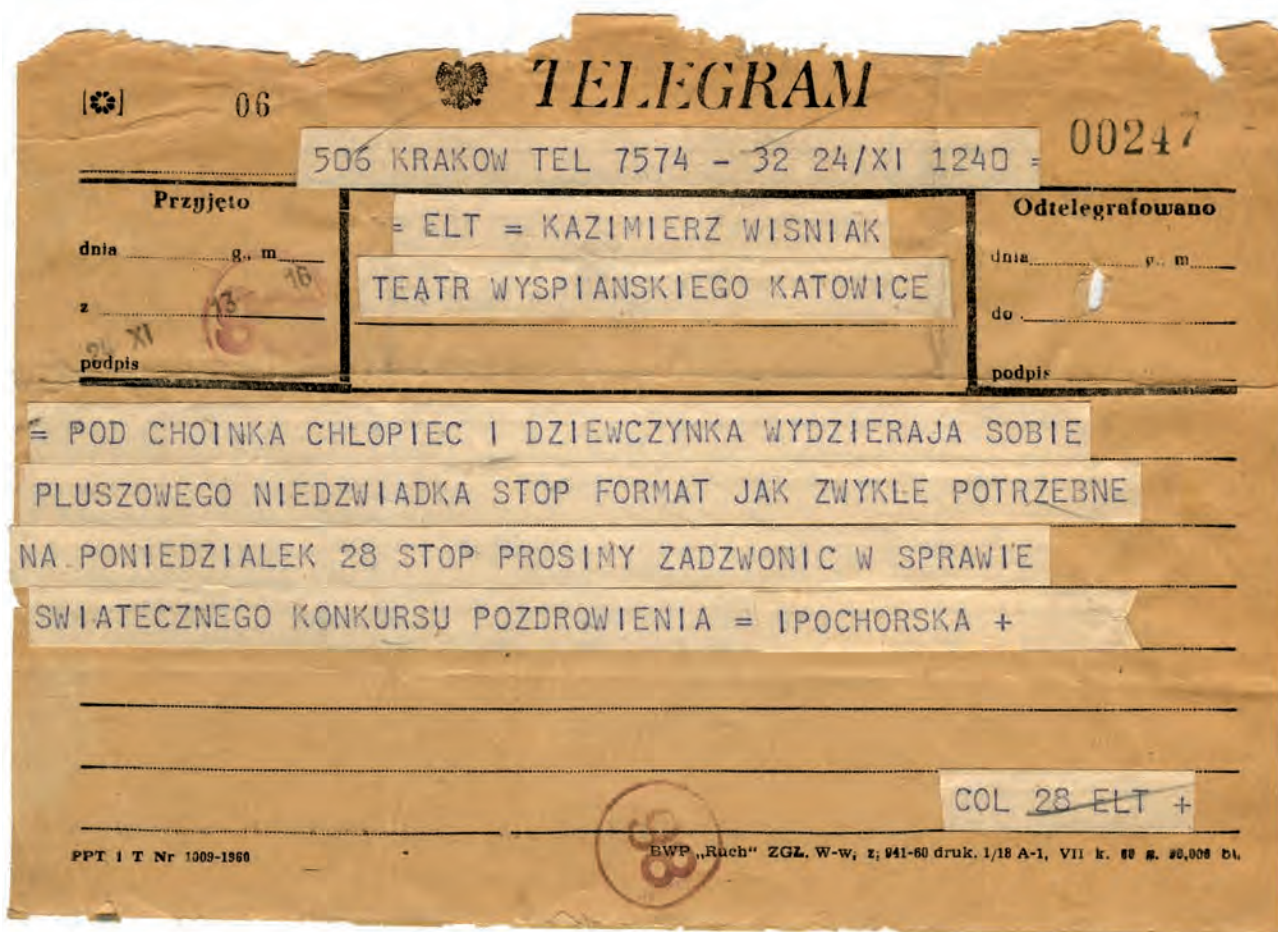
serem. Podczas prób wpadał na scenę, by zademonstrować z szaloną ekspresją jak należy grać. A grał jak aktor filmu nieme- go, z przesadną wyrazistością i gestykula- cją. Obserwujący go aktorzy śmiali się po kątach. Lubiłem tego dziwoląga. Inny reżyser, Jan Biczyski urodził się w Kato- wicach. Ojciec z dziadkiem handlowali mięsem. Mieli od frontu sklep, na po- dwórku małą rzeźnię, a nad tym miesz- kanie, w którym Janek się wychowywał. Jak większość Ślązaków, znał dobrze ję- zyk niemiecki. Studiował w Warszawie. Założył tam słynną „Stodołę” i wrócił do Katowic popracować w teatrze. Z wiel- kim hukiem zabrał się do „Opery za trzy grosze”. Zdobył partytury, ściągnął orkiestrę, przesłuchał aktorów (a słuch miał doskonały!). Ja w tym czasie wyko- nywałem projekty. Opracowałem plakat, kilka niezłych kostiumów odnalazłem w magazynie. Próby odbywały się w Te- atrze „Komedia”. Mieszkałem na piętrze w oficynie, która dotykała sceny i przez mury słysząc muzykę, wiedziałem jaki fragment próbują. W dłuższych prze- rwach od zajęć aktorzy wpadali do mnie na herbatę. Na dźwięk dzwonka zbiegali na dół do pracy. Po premierze, zaintere- sowanie songami Brechta-Weilla wypełniało widzami teatr. Ślązacy cenili muzykę.

W wolne dni wyjeżdżałem do Krakowa. Często z Krakowa do Katowic przyjeżdżali znajomi: Szasz- kiewiczowa, kilka razy był Zdzisio Jachimczyk „Cezar”, Piotr Skrzynecki przywiózł amerykańską dzien- nikarkę Martę Gellhorn, trzecią żonę Ernesta Hemingwaya. Jej celem było poznanie „niedzielnego ma- larza” Teofila Ociepki i jego obrazów, ale zwyciężyła pokusa wódki i cały wieczór spędziliśmy w nocnym lokalu „Europa” przy ulicy Mickiewicza. Marta tańczyła z górnikami, była zachwycona! Z kolei Janina Ipohorska „Kamyczek” z „Przekroju” systematycznie przysyłała tematy do obrazków, które rysowałem dla rubryki „Demokratyczny savoir-viv”, np.: „Łóżko, leży małżeństwo w średnim wieku (ona w papilotach). Od strony męża pali się lampka i on czyta książkę, a żona obrócona plecami wbija w przestrzeń tragicznie otwarte oczy (nie może zasnąć przy świetle)”. Albo: „Biuro. Dwa biurka naprzeciw siebie (blisko), przy jednym młody urzędnik, sam. Przy drugim dwie urzędniczki zatopione w poufnej rozmowie: jedna drugiej szepcze na ucho”. Czasem temat otrzymywałem telegramem, jak ten: „POD CHOINKĄ CHŁOPIEC I DZIEWCZYŃKA WYDZIERAJĄ SOBIE PLUSZOWEGO NIEDŹWIADKA STOP FORMAT



Okładka programu i projekt kostiumu dla aktorów grających role krasnoludków (za zastawką sięgającą kolan) w bajce Jerzego Rakowieckiego i Jerzego Wittina „Królowa Śnieżka”. Reż. Jan Biczyski, scen. Kazimierz Wiśniak. Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego w Katowicach, 1960.





Telegram od Janiny Ipohorskiej z „Przekroju”

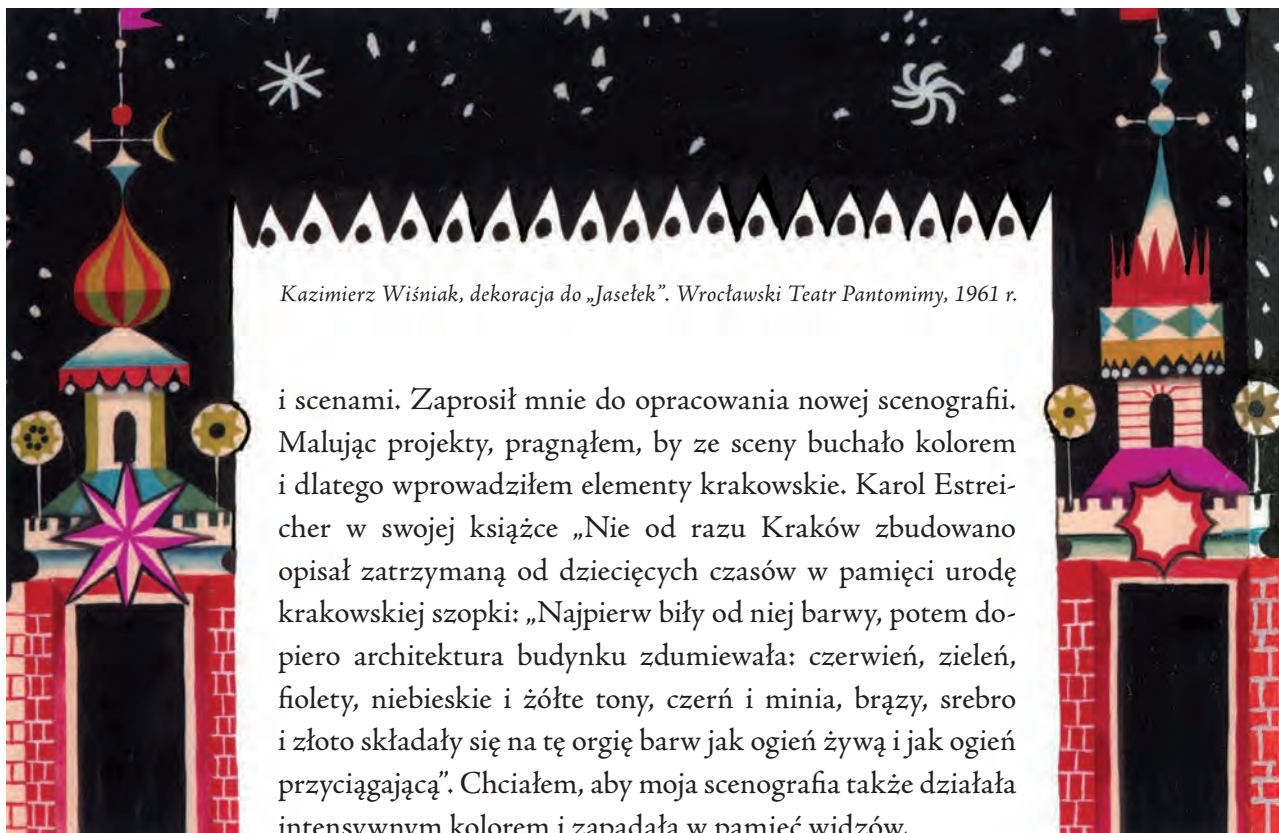
JAK ZWYKLE POTRZEBNE NA PONIEDZIAŁEK 28 STOP ZADZWONIĆ W SPRAWIE ŚWIĄTECZNEGO KONKURSU POZDROWIENIA = IPOHORSKA”. Odwiedzał mnie Zygmunt Brachmański, rzeźbiarz, mój kolega z lat studiów w krakowskiej Akademii, mieszkaniec Katowic. Było wesoło. Nocne Katowice oświetlały kolorowe neony. Mówiono, że ze wszystkich miast w Polsce, Katowice miały ich najwięcej!



Rok 1961 to początek współpracy z Henrykiem Tomaszewskim.

Biuro i sala prób Wrocławskiego Teatru Pantomimy mieściły się na parterze narożnego budynku przy ulicach Ofiar Oświęcimskich i Łaciarskiej. W dużej sali, obitej czarnym pluszem, odbywały się próby. Nocowali w niej również mimowie na materacach ukrytych za kotarami – bezdomni przybysze spoza Wrocławia. Tkwił tam zapach marnych zup gotowanych przez tych biedaków na elektrycznej kuchence. Dla mnie wstawiano leżankę do dyrektorskiego gabinetu. Mieściła się za biurkiem. Teatr Pantomimy zazerwował pieniądze na dekoracje i kostiumy, brakło, żeby wynająć pokój w hotelu.

„Jasełka” były utworem gotowym. Wchodziły w skład drugiego, świątecznego programu Studia Pantomimy, którego premierę pokazano 16 grudnia 1957 r. Kostiumy do całego programu opracował wtedy duet – Jadwiga Przeradzka i Aleksander Jędrzejewski. W 1961 r. zespół działał już pod nazwą Wrocławski Teatr Pantomimy. Jako teatr państwowy korzystał wreszcie z przyznawanych funduszy. Były pieniądze, więc Tomaszewski postanowił „odkurzyć” odstawione do lamusa „Jasełka”, wzbogacić nowymi pomysłami



Kazimierz Wiśniak, dekoracja do „Jasełek”. Wrocławski Teatr Pantomimy, 1961 r.

i scenami. Zaprosił mnie do opracowania nowej scenografii. Malując projekty, pragnąłem, by ze sceny buchało kolorem i dlatego wprowadziłem elementy krakowskie. Karol Estreicher w swojej książce „Nie od razu Kraków zbudowano” opisał zatrzymaną od dziecięcych czasów w pamięci urodę krakowskiej szopki: „Najpierw były od niej barwy, potem dopiero architektura budynku zdumiewała: czerwień, zieleń, fiolety, niebieskie i żółte tony, czerń i minia, brązy, srebro i złoto składały się na tę orgię barw jak ogień żywą i jak ogień przyciągającą”. Chciałem, aby moja scenografia także działała intensywnym kolorem i zapadała w pamięć widzów.

Henryk dawał mi krzesło na podwyższeniu, abym mógł próby oglądać z wysokości. Czasem ku mnie zerkał, sprawdzał, jakie wrażenie wywoływały poszczególne układy scen. W zdumiewająco prosty sposób wymyślił np. tę z góralami zdążającymi do stajenki. Mimowie ubrani w baranie czapy i białe kozuszki, wywrócone futrem na wierzch, zginali karki i z rękoma w dół opuszczonymi, w głębokim skłonie pozostając, upodobniali się do stada owiec. Dreptające stado poganiał pasterz z laską, a dźwięki dzwonek wykańczały tę „realistyczną” iluzję. Później w teatrach scena ta zbierała niezmiennie, gorące brawa na każdym przedstawieniu.

Miałem już za sobą kilkanaście zrealizowanych scenografii, poznałem wielu reżyserów i ich metody pracy, ale prawdziwe oczarowanie nastąpiło u Tomaszewskiego. Swoich mimów łączył w układanki, w skupieniu i ciszy tworzył kompozycje z ludzkich ciał. Trwałem w zachwycie. Było coś boskiego w tym tworzeniu.

Premiera „Jasełek” odbyła się w Genewie, w sierpniu 1961 roku.

Tuż po Świętach Bożego Narodzenia 1962 roku mimowie wyjechali na cały miesiąc do Izraela. „Tel Aviv – 3.1.62 (tu Henryk popełnił omyłkę, jest już rok 1963) Kochany Kaziu! – Od tygodnia gramy w Tel Avivie. – Pogoda tu jak u nas w sierpniu (25°+), siedzimy na plaży – ale ja i kilku z nas nie czujemy się zdrowotnie dobrze – za wielki tu skok temperatur. – Jazdę statkiem mieliśmy piękną i zwiedzaliśmy labirynt na Krecie. – Powodzenie mamy ogromne i rewelacyjne wprost recenzje. – Kraj to o zaskakujących zmianach obrazu – przy ultranowoczesnej architekturze nagle mała azjatycka egzotyka. Ściskam Cię mocno i do siego roku. Twój Henryk”.

Po przyjeździe pokazywał stos recenzji. Niektóre były już przetłumaczone, więc odpisałem sobie fragment jednej, dotyczący strony wizualnej „Jasełek”: „Do cudów widowiska zaliczyć trzeba kostiumy, a także światło, pełniące funkcje narracyjne. Światła eliminują w widowisku fragmenty sceny lub ciała ludzkiego, to znów podkreślają dla zaakceptowania pointy w narracji. Niektóre kostiumy wywołują zaska-



„Jaselka”. Paweł Rouba
jako Drzewo Świadomości, 1961 r.



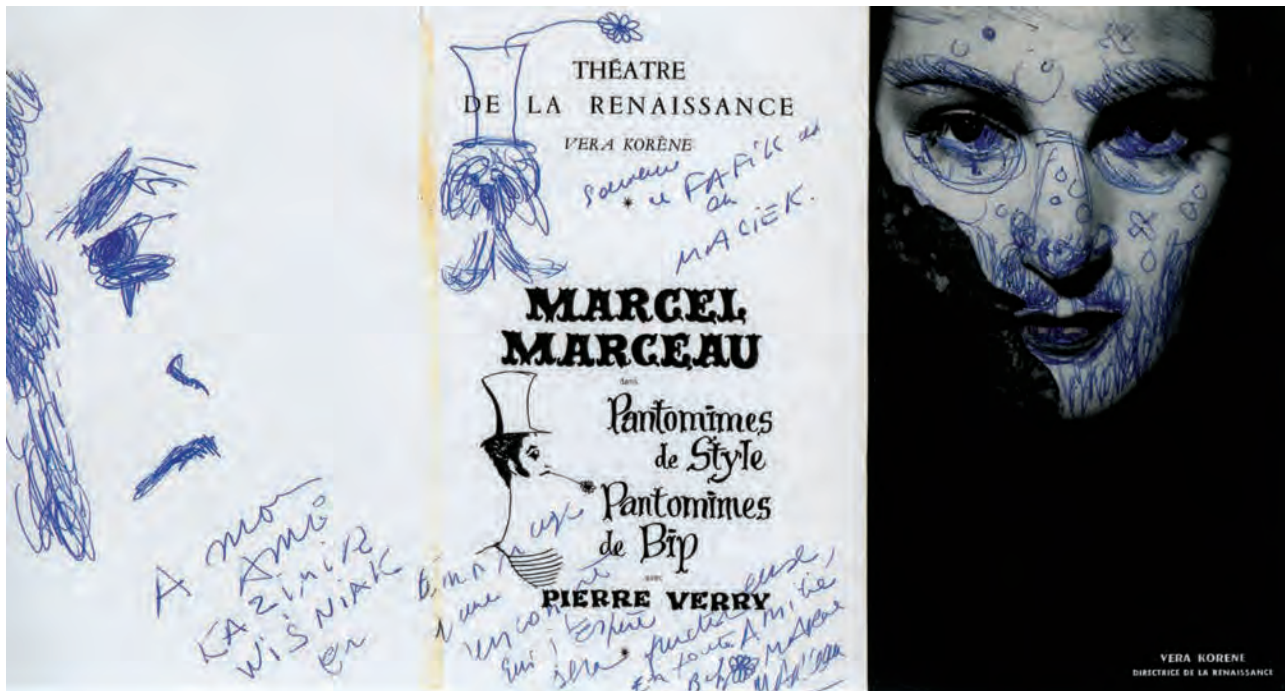
Marcel Marceau w etiudzie „Bip i dynamit”

kujące efekty, np. Drzewo Świadomości prezentuje prawie nagi aktor o atletycznej budowie z czterema jednakowymi twarzami patrzącymi w czterech kierunkach i ulistnionymi gałęziami we wspaniale muskularnych ramionach. To robi wrażenie istoty ludzkiej, zamienionej w drzewo” (Mendel Kohansky, „Geniusz polski w pantomimie” *The Jerusalem Post*, 11.01.1963).

Potem, gdy Pantomima Wrocławska występowała w Paryżu, po przedstawieniach pojawiał się za kulisami Marcel Marceau, światowej sławy mim. Kiedy z kolei Marceau odbywał tournée po Polsce, zawsze pamiętał, by odwiedzić Tomaszewskiego. Wydawało mi się, że Marceau z Tomaszewskim wzajemnie sobie zazdrościli. Tomaszewski, że Marceau jest największym na świecie mimem od czasów Deburau, a Marceau, że Tomaszewski ma trzydziestoosobowy zespół, z którym może przygotowywać wielkie widowiska. Marceau oglądał próby u Tomaszewskiego, zachwycał się sprawnością zespołu, a szczególnym uwielbieniem obdarzał Elę Jaroszewicz. Uczucie tych dwojga rozkwitało, pielęgnowane

wyznaniami w telefonach Paryż-Wrocław. W końcu Ela uległa namowom i wyjechała do Francji. W ten sposób Tomaszewski stracił aktorkę, jedną z pierwszych, tę, która była od samego początku tworzenia się zespołu.

W czasie pierwszego pobytu w Paryżu w 1964 roku trafiłem na występy Marcela Marceau w Theatre de la Renaissance. Wypełniona po brzegi widownia i oszałamiające brawa! Po spektaklu poszedłem do garderoby. Marcel zmywał z twarzy białą szminkę. Przedstawiłem się jako scenograf od Tomaszewskiego, na co on się ożywił. Podsunąłem program do podpisu. Narysował swój autoportret, coś wpisywał i wypytywał o Henryka. Złożył autograf i przystąpił do znęcania się nad zamieszczoną obok fotografią pięknej dyrektorki teatru, pani Very Korene. Dorobił jej wąsy, brodę, zaczernił ząb, a na policzkach umieścił pełno piegów, twierdząc, że nic nie jest w stanie jej oszpecić. Mimo tych zabiegów piękno twarzy pozostało... Jeszcze tej nocy pokazał mi swoje rysunki



Autograf Marcela Marceau w programie teatralnym. 1964 r.

i grafiki. Nie spodziewałem się, że był również doskonałym artystą w tej dziedzinie. Na dużych kartonach ulice Paryża w nieustannym karnawale, między dachami a księżycem pierrotów na linach, twarze pierrotów, on sam jako Bip w nieodłącznym, zniszczonym cylindrze z kwiatkiem.



W roku 1963 Teatr Pantomimy występował w Skandynawii. Nazajutrz, po pierwszym przedstawieniu Tomaszewski wysłał pocztówkę: „Oslo, 22 II 63. Kochany Kaziu! Już po premierze w Oslo – poszło dobrze – bardzo oficjalnie – z władzami. Dziś przyjęcie w ratuszu u burmistrza. Zwiedzamy miasto – dziś oglądaliśmy muzeum statków wikingowych – skocznię narciarską i ten monument »fallusowy« co na obrazku – przedstawiający ludzkość. – Wcale zimno nie jest – w dzień minus 6° – Ściskam Cię Henryk”. (Monument fallusowy to bardzo wysoki i masywny słupek kamienny, utworzony z przylegających do siebie niezliczonej ilości nagich postaci wyrzeźbionych przez Gustawa Adolfa Vigelanda w parku Frogner. Dla ogarniętego obsesją cielesności Tomaszewskiego musiał być obiektem długotrwałych oględzin, podobnie jak inne, ustawione wokół wielkie rzeźby przedstawiające nagich ludzi w ruchu). Pewnego wieczoru, po zakończeniu spektaklu, przyszedł za kuliszy młody Norweg z Bergen, zauroczony tym, co zobaczył. Wizualne bogactwo przedstawienia rozbudziło w nim utajone marzenie, by zostać projektantem kostiumów. Tomaszewski obiecał mu pomóc. Ponieważ uczelnie norweskie nie kształciły plastyków teatralnych, poradził przyjazd do Polski na studia scenograficzne i bliższe spotkania z ciekawymi



Helge Hoffmosen z koleżanką w Norwegii

twórcami teatru. Po powrocie z tournée zgłosił kandydaturę Norwega w Ministerstwie Kultury i Sztuki, u pani Reszke. Ona załatwiła stypendium z zaleceniem pobytu w Krakowie. I wkrótce przybył, Helge Hoffmosen, wrażliwy, utalentowany podjął studia na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Szybko nauczył się mówić i pisać po polsku.



W roku 1966 przyjechałem do Wrocławia realizować scenografię do „Ogrodu miłości” i w czasie dłuższego pobytu w tym mieście odwiedzałem Tomaszewskiego w jego garsonierze na pierwszym piętrze przy ul. Świdnickiej, niedaleko Rynku. Było tam ciasno od zbiorów, że aż niebezpiecznie. Bałem się, by czegoś nie potracić, nie potłuc. Wejście do łazienki wymagało wielkiej zręczności – drzwi, zablokowane dużą figurą drewnianego rycerza, ledwie się uchylały. Dyrektor administracyjny Teatru Pantomimy Marian Wawrzynek ze względu na tuszę nie mieścił się w tym mieszkaniu. Jeśli miał ważną sprawę, przekazywał wiadomość z klatki schodowej przez szparę w uchylonych drzwiach wejściowych. Ciasnota była nieznośna i wkrótce Tomaszewski postanowił kupić dom, głównie dla swoich ukochanych zbiorów. Uwagę skierował na Sudety. Jeszcze w latach sześćdziesiątych wielu Ślązaków opuszczało rodzinne strony; sprzedawali domy, ziemię i udawali się do Niemiec. Jeździłem z Henrykiem pod wskazane adresy, kierując się cenami i urodą okolicy. Oglądaliśmy, między innymi, niewielką willę w Sobieszowie. Za oknami roztaczał się romantyczny widok z górą i ruinami zamku Chojnik na szczycie. – Jak w bajce – pomyślałem. Na parterze willi piękne mieszkanie, ale na piętrze lokatorzy. Henryk szukał samotni. Pojechaliliśmy dalej, do Karpacza, gdzie na Słonecznym Stoku, na tle lasu stał drewniany domek. Od południa, w dali Śnieżka, mimo lata przyproszona bielą. Właścicielka „siedziała na walizkach” z pragnieniem natychmiastowego wyjazdu do swych koleżanek w Niemczech. Pani Bomba była wdową po architekcie, budowniczym tego właśnie domu. W czasie ostatniej wojny straciła jedyne syna. Poległ na wschodnim froncie. Z miłą panią Tomaszewski przeprowadził transakcję kupna-sprzedaży. Pokochał dom usadowiony na skale, ogród, okolicę, rozległe panoramy przywołujące twórczość Caspara Dawida Friedricha. Zadbał o kamień z żołnierskim krzyżem wkopany pod drzewem blisko domu, upamiętniający śmierć Johanna Bomby. W Święto Zmarłych Henryk zapalał mu świeczkę przy kamieniu.

Piwnica ze skalną ścianą, zawsze lekko wilgotną, i wykutymi w skale schodami, olbrzymi głąz w ogrodzie, górską roślinność, drzewa pełne ptactwa, podchodzące z lasu sarny – a więc naturalne środowisko dawało Henrykowi pełnię do dobrego odpoczynku. On uwielbiał przyrodę. Nie pozwalał przycinać krzewów, chyba tylko wtedy, gdy zarastały ścieżki, tworząc gęstwiny nie do przebycia. Wtedy z bólem serca likwidował nadmiar gałęzi. Pozwalał rosnąć pokrzywie. – Lubię zieleń i wszystko, co rośnie jak Pan Bóg przykazał. Nic nie zmieniam – mówił.

Pobyty w Karpaczu poszerzyły i pogłębiły jego wiedzę o tym regionie. Zainteresował się miejscową sztuką ludową. Zdobył malowane kolorowe meble śląskie, dewocyjne obrazki na szkle i pokaźną ilość szopek charakterystycznych dla tych okolic: w drewnianej gablotce szopkarz modelował górzysty pejzaż przypominający znany widok, ustawiał misterne domki, zamki, kościoły i drzewa, w końcu figurki przedstawiające ludzi przy różnych codziennych zajęciach, a gdzieś, najczęściej pośrodku, Świętą Rodzinę. Z przodu wprawiona szyba zabezpieczała przed zniszczeniem. Szopek śląskich przetrwało niewiele. Być może najwięcej miał ich Tomaszewski. Są świadectwem wysokiej i odrębnej kultury ludowej.

Miną lata i Tomaszewski przypomni teatromanom twórczość mieszkających na Dolnym Śląsku: Gerharta Hauptmanna (pantomima „Kaprys”), a także urodzonego i zmarłego w Głogowie barokowego



Szopka śląska z kolekcji Henryka Tomaszewskiego. Fot. Danuta Szatkowska

poety i dramaturga Andresa Gryphiusa (pantomima „Cardenio i Celinda”). Do obu inscenizacji wykonałem scenografię, z elementami wymuszonymi przez reżysera, np: – Zastosuj w kostiumach kolorystykę Willmana! – On też był ze Śląska, wielki malarz okresu baroku, twórca fresków i obrazów w Lubiążu i Krzeszowie.



W 1966 roku Tomaszewski przyjął propozycję z Oslo. Zaraz też przywołał z pamięci Norwega, któremu załatwił stypendium na studia scenograficzne do Krakowskiej Akademii. Teraz miał znakomitą okazję, aby zaprezentować jego twórczość w Norwegii. Ustawiając pantomimy w Det Norske Teatret w Oslo, przekonał dyrektora Tormoda Skagestada o potrzebie zatrudnienia trzech scenografów do programu, „Kjærleikshagen” (Ogród miłości). Pierwszą pantomimą w tym programie były „Bagasjen” (Bagaż) ze scenografią debiutanta Hoffmonsena, „Kjærleikshagen” w moim opracowaniu scenograficznym, trzecią „Kjolen” (Suknia) w dekoracji i kostiumach Jerzego Ławacza. 1 września na premierze uwagę krytyków i publiczności skupiły „Bagaż”. Z dwóch powodów: że temat zaczerpnięty z powszechnie znanego w Skandynawii opowiadania Hermana Banga „Franz Pander” i że teatr przedstawił scenografię nieznanego dotychczas Norwega. Podziwiano kostiumy i peruki. Hoffmonsens zebrał po-



Akwarela Kazimierza Wiśniaka, 1966 r.



Gazetowy anons o premierze „Ogrodu miłości”



Bilet do muzeum łodzi wikingów na Bygdøy

chwwały recenzentów, którzy podkreślali studia w Polsce, a Tomaszewski był szczęśliwy, bo trochę dopomógł młodemu artyście dotrzeć do teatru. Opracowanie scenograficzne „Ogrodu miłości” było dla mnie drugim z kolei, bowiem cztery miesiące wcześniej odbyła się polska premiera w Teatrze Pantomimy we Wrocławiu, a tam również były moje dekoracje i kostiumy. Tematyka scenariusza pozwoliła porozbierać mimów, pokazać ich piękne ciała. Występowała tam alegoryczna postać króla lasów i dla muskularnego mima zaprojektowałem jedynie futrzane majtki i głowę jelenia. Na końcowe próby w Oslo te majtki jeszcze nie były gotowe i na pierwszą próbę kostiumową potężny, mocno umięśniony Nordyk założył jedynie to, co mu do garderoby dostarczono – głowę jelenia. Z tą jelenią maską na głowie i całkowicie nagi wkroczył do teatralnej kantyny. Była właśnie przerwa na posiłek i licznie zebrani aktorzy zastygli z wrażenia, wypuszczając z rąk noże i widelce. Nawet Henryk, przywykły do golizny, rozlał swoją kawę. Wracając do Hoffmonsena, to wkrótce wpisał się do czołówki skandynawskich scenografów.



Późną jesienią 1966 roku zostałem stypendystą rządu włoskiego, ze skromnym portfelem i bogatym programem poznania zabytków Rzymu, Florencji, Wenecji. Stypendium otrzymał też kolega scenograf Janusz „Żagiel” Warpechowski, więc do Rzymu lecieliśmy razem. Już w powietrzu zaczęło się fatalnie, jakby czarty rozpięły walkę z pilotem, rzucając maszyną gdzie popadło. Stewardessom znikł przepisowy uśmiech. Oferowały pomoc roznosząc podróźnym plody i papierowe torebki na wypadek torsi. Silny



wiatr świstał w nawiewach, za oknami rozrywał czarne chmury i miotał samolotem. Było to już nad Rzymem. Przez dziury w chmurach wypatrzyłem po raz trzeci ten sam budynek z kopułą. Zataczaliśmy szarpane kręgi, aby opóźnić lądowanie.

Wreszcie Fiumicino. Wiotkie nogi ustawiłem po raz pierwszy na włoskiej ziemi. Twarz „Żagla” zdobyły kropelki potu. Inni pasażerowie też osłabieni i bladzi. Gorący wiatr targał palmami, potęgował mój niepokój i podniecenie.

„Żagiel” zdobył w Polsce tajemniczy numer telefonu. Nieznana nam mieszkanka Rzymu, Polka, signora Barbara Biel miała wskazać tani hotel. Zadzwoiłem, przedstawiłem się i natychmiast w słuchawce wyciszony głos wydał mi krót-

ki, rutynowy rozkaz, jakby z filmu o wywiadowcach wyjęty: – Pod Stazione Termini wsiadacie do autobusu z napisem Lago Argentina. Ostatni przystanek to miejsce naszego spotkania. Cierpliwie czekać! Będę trzymała kolorowe pismo z tytułem „Mirelle”. Jestem blondynką, po tym mnie poznacie...

Dzięki pani Barbarze zamieszkaliśmy w pesjonacie Tabor International przy via Corso Vittorio Emanuele 75 (telefon 6568866), na drugim piętrze. W centrum antycznego Rzymu! W sieni sześciła fontanna z białym, marmurowym amorem.

Wieczorem odwiedziliśmy koty w ruinach na Lago Argentina, potem Forum Romanum w delikatnej iluminacji sugerującej księżycową poświatę. Potem błędziliśmy w wąskich uliczkach, a wyszliśmy z nich wreszcie wprost na silnie oświetloną Fontannę di Trevi. To było mocne przeżycie pierwszego stypendialnego wieczoru.



Kazimierz Wiśniak z kotami
w ruinach Torre Argentina

Giovedì, 27 ottobre

Z ciekawością zaglądałem do podwórek i dziedzińców odkrywając niespodzianki: loggie, kolumnady, posągi i fontanny, często wiele kamiennych fragmentów rzeźb antycznych wmurowanych w ściany przez właścicieli, bo to, co znaleźli w ziemi na terenie swojej posesji uszanowali i wyeksponowali do oglądania.

Na Piazza dell'Espagna grupy urodziwej, modnie ubranej młodzieży ustawione jakby im ktoś kazał – reżyser lub choreograf – w wyszukanych pozach żurnalowych. Jedni wchodzili w górę, inni w dół schodzili, powoli, z godnością, z uśmiechem po marmurowych stopniach. Tuż obok artystyczna via Margutta, Cafe Greco, gdzie znane w Polsce ciasteczka makaroniki tu nazywają się amoretto, no i gdzie przesiadywał nasz Adam Mickiewicz.

Venerdì, 28 ottobre

Ubogie dzielnice nad Tybrem ruchliwe i rozkrzyżowane. Bazylika św. Piotra, Muzeum Watykańskie, Capella Sistina.

Wieczorem w Teatro Della Cometa na przedstawieniu komedii dell'arte o wędrownej trupie artystów, których prywatne życie mieszało się ze scenicznym. Grane z lekkością, jakby improwizowane, nieustannie rozśmieszające. Aktorom przygrywała polska klawicymbalistka Danuta Chmielecka. Na widowni, bogate panie z brylantową biżuterią dobrze się bawiły, zaakceptowały przedstawienie i długo były brawo.



Bilet na przedstawienie komedii dell'arte

Sabato, 29 ottobre

Via Apia Antica. Na tej drodze uciekający z Rzymu św. Piotr miał spotkać Chrystusa. – Quo vadis Domine? – znane z powieści Henryka Sienkiewicza legenda tu umiejscowiła, gdzie stoi kościół Domine Quo Vadis. Niestety, zbyt dużo samochodów tu jeździ i spacerzy w celu poddania się nastrojowi



Kazimierz Wiśniak, *Via Appia*, rysunek tuszem, 1966 r.

madzili się w korytarzu. Był bez okien, więc mniej straszło, a pomieścił wszystkich. Ale i tu, żarówki przygasały lub migotały w rytm szalejącej burzy.

Domenica, 30 ottobre

Obudziłem się niewyspany.

Przebywający w Rzymie ze swoją siostrą „przekrojowy” rysownik Adam Macedoński z Krakowa nakazał mi telefonicznie, bym w niedzielne przedpołudnie odwiedził targ Porta Portese na Trastevere. Dotychczas znałem tylko słynny paryski pchli targ z antykami. Ten rzymski, może dlatego, że trwa tylko w poranki niedzielne, był tłoczny, rozśpiewany i wesoły, z różnym towarem na sprzedaż: żywe rybki w torebkach nylonowych wypełnionych wodą, w klatkach żywe ptaszki, także ptaki wypchane, antyczne graciarnie, stare samochody i części do nich, ubrania, płyty gramofonowe z towarzyszącą im muzyką, dobre rzeźby kamienne, także liczne stragany i budy pełne bubli. Niektóre stragany kilkupiętrowe służyły jako magazyny i scenki, na których Włosi reklamowali towar dramatycznymi gestami i deklamacją. Tu i tam płynęła słodka muzyka z gramofonów. Można było zjeść pizzę, ośmiornicę i inne frutti di mare, można było wygrać i przegrać na hazardowych stoliczkach. Ten targ mnie ożywił i odsunął w niepamięć brudnawy paryski pchli targ.

Wieczorem na Corso jechał na skuterze chłopak w bamboszach na gołych nogach, za nim siedziała dziewczyna w szlafroku – a to wszystko w drobnym deszczu. Kelner w naszej taniej trattorii dał popis tańca i śpiewu, roznosząc makaron. Cudowni i weseli są Włosi!

Lunedì, 31 ottobre

Pod Stazione Termini utworzył się monstrualny korek samochodowy z towarzyszeniem klaksonów. Szedłem 15 minut wzdłuż unieruchomionych pojazdów, aż wreszcie skręciłem w bok i uwagę skupiłem na fontannach i obeliskach. Trudno by było zliczyć te arcydzieła i wybrać najlepsze. Być może najpopular-

tej starożytnej, pięknej drogi są utrudnione, mogą być niebezpieczne. Po prawej i lewej stronie w cieniu cyprysów i pinii trwają ruiny rodzinnych grobowców. W Katakumbach św. Kaliksta odkryte korytarze liczą podobno 18 km, a te nieodkryte, być może drugie tyle. Cztery piętra pod ziemią rozciąga się skomplikowany labirynt.

Noc oświetlana błyskawicami była przeraźliwie jasna. Wiatr łomotał okiennicami, wydawało się, że wypchnie futryny w naszym pokoju. Od piorunów drżały szyby. Strwożeni pensjonariusze opuścili pokoje i zgromadzili się w korytarzu.

18 NOV 66 ST 225
R 3 TELE 453
ROMA TERMINI
NAPOLI C.I.E.
L. 2200 245
L. 2200 245

VENEZIA
PADOVA
VERONA
BOLZANO
TREVISO
UDINE
TRIESTE
GORIZIA
PIEMONTE
VALLE D'AOSTA
LOMBARDIA
EMILIA
MARCHE
LAZIO
TOSкана
SARDEGNA
SICILIA

10 listopada 66
Po trzytygodniowej deszczach w północnych regionach wylaty wiatr, 1/2 terytorium wioch pokryła woda. Lirno przekroczyła poziom alarmu i w przecią 4 dni spadła wzbierająca woda wzdłuż się gwałtownie do miasta Florencji i około rowanej trójkolorytowym flagami z okazji obchodów 1000-letniej rocznicy w 1918 r. Rieka pokazała historyczną moc. Zalała domy, eleganckie sklepy, restauracje, zaparkowane samochody, zrucające je w stopy podobne do banknotów. Kościoły, muzea, pałace, biblioteki zwały się w muliste wodzie, która w innych położonych częściach miasta sięgała 7 m. Florencja nie przyjmie turystów, więc musisz wymienić bilety kolejowe z Rzymu na Rzymek północny.

Opłata lotnicza	800
650 + 650 =	1300
	2100
Przejazd wj.	400
	2500

Stragany i budki pełne bubli. Niektóre stragany kitch-piżnowe - piżna służy jako magazyn oraz ścianki, na których wisi reklamuje towar dramatycznymi gestami. Tu i tam płynie słodka muzyka z gramofonów. Można zjeść pizzę, osmiornicę lub inne świnstwo, można wygrać i przepaść na hazardowych stołkach.

Wczoraj na Corso jechał na skuterze chłopak w bamboszu na góskich nogach, za nim siedziało dziewczyna w szlafroku - a to wszystko w drobnym deszczu.

Kelner w naszej taniej restauracji dał popis tańca i śpiewu, roznosząc makaron.

Kartofle w siatce

Na tarasu przy Palazzo Farnese

7995 7964
7995 7964
7995 7964

50
LIRE
3788
76484
017

5 novembre 66

W ostatnich tygodniach w Rzymie pełno polowania na drzewa a parki i Villa Borghese przedstawiły ciekawy widok. Włoszy i Florenccy błądzą od świąt, morze wylaty, wiatr, wzdłuż po plażę św. Marce, płyną gondole. Drugi tydzień tygodnia z kłosa dym z nad Tiberem, jak widać, przetrwał. Wom i kolegów kolegów przetrwa, a tu jeszcze podłogami a stygnące jednogazowe ciarki zakamionowane, histaria o leżących, spadkach i proz nie preparowane pani

Przebrałam o zaplanowanie nowej planety. Po południu rozgadałam auto, Pan Kapitan obrócił nas w Rzymie. EUR - nowoczesne dzielnice Rzymu - takie mniej więcej powinne być, ale nasze Nobile Plate pod Kralowem!

W nocy z bladem Maccedonia i bladem

Volksstudia za Tiberem

22 novembre 66

Palace w Palazzo Barberini. O godzinie 19:30 zgrzytny obrót u P. Pasenkiewicz. Orzechówka, rytki w pomidorach, zupa jarzynowa, aniołki zapiekane w ciście, sałata, owoc polski, wina białe, żagiel długi opowiada jak to się przebiega tranzytem przez Rosję - a tu dobieła aparatura na podłogach!

Wczoraj przyszedł signor Nando i Signorina Barbara z mnóstwem różnych duperek do kraju: szatunki do mycia garnków, długopisy, zabaweczki plastikowe itp. pierdolki. Odechodząc zapowiedział, że jeszcze trochę drobniaków doniesie nam, jak będziemy zapjeżdżać.

W nocy w luksusowym kinie oglądaliśmy BATMANA - amerykański film, komiksowy bohater dobiegnie zrobiony. Film oteżrzeliśmy dwa razy pod rząd. Jutro chęba wyjeżdżamy do Wenecji, festi wszystko ułożone powysmie.

Przeź S. Ignazio

Kartki z rzymskiego dziennika

niejsza to Fontana di Trevi rozpowszechniona dzięki filmowi „Dolce vita”, w którym Anita Ekberg, w tej fontannie zażywa perwersyjnej kąpieli.

Martedì, 1 novembre, Ognissanti

Ulice pustawe, cały Rzym na cmentarzach. Ja też, na Cimetiero di Campo Verano. Od centralnego wejścia fin de siècle pozostawił tu swój popis. Wytworne damy w gestach rozpaczy oplakują odeszłych. Piękne stroje, tiurniury, koronki wyrzeźbione naturalistycznie w białym marmurze. Oto piękna kobieta okryta muślinowym szalem leży wśród poduszek na tapczanie. Dalej, dziewczynka w stroju marynarskim, z rozwianymi lokami i rączkami do modlitwy złożonymi tkwi na łodzi tonącej w spienionych falach. Bohatera mundurowego okrył sztandar z frędzlami. Na piersi order. Wygląda, jakby spał w cieniu cyprysów. Bardzo dużo tu tych wspaniałości. Liczni mieszkańcy szorowali nagrobki, myli stare plastikowe kwiaty, używając bardzo dużo proszku IXI i wody. Między kwaterami płynęły błękitne potoki, jakby po wielkim praniu utworzone.

Okolo południa, kiedy doszedłem do piętrowego kolumbarium, zaczęło padać. Padało do wieczora a potem całą noc.

Mercoledì, 2 novembre

Dzień rozpoczął się pięknym słońcem na czystym niebie, co było radosne. Szliśmy po drugiej stronie Tybru. W powietrzu silne zapachy mandarynek i pieczonych kasztanów. Na Lungotevere Sanzio tłum ludzi obległ kamienną balustradę i w dół patrzył, a tam wyłowiono z rzeki topielca – mężczyznę. W butach, spodniach i koszuli, napęczniały wodą leżał twarzą do ziemi. Policja robiła zdjęcia i pomiary.

O 17-tej w Bazylice św. Piotra na Mszy św. Żałobnej, odprawianej przez papieża Pawła VI. Na przygotowanych trybunach wśród ważnych gości wiele kobiet w czarnych mantylach koronkowych. Przed mszą przemarsz gwardii papieskiej i korpusu dyplomatycznego w liberjach, frakach, orderach, wielu w kostiumach historycznych. Papież z orszakiem kardynałów wszedł z boku od głównego wejścia, gdzie zgromadzeni tam ludzie zaczęli bić brawo, w związku z czym wzdłuż szpaleru przebiegł mistrz ceremonii w czerwonym fraku, powtarzając: „proszę nie bić braw, papież tego nie lubi...” czy coś w tym sensie. Później pstrykały nieustannie aparaty fotograficzne, błyskały flesze i pracowały kamery filmowe. Były tłumy zakonnic ze wszystkich stron świata, wszystkie w stanie bliskim do ekstazy. Wreszcie papież przeszedł do ołtarza, pod pozłacany Baldachim Berniniego. Z tyłu, nieco w głębi śpiewał chłopięco męski chór. Papież, odczytał kazanie w językach: angielskim, niemieckim, hiszpańskim, francuskim i włoskim.

Po mszy, na placu koło fontanny zwróciłem uwagę na stojącego młodziana. Pomyślałem – toż to sam Dawid, Michała Anioła, tylko że żywy i ubrany w beżowe spodnie i takiż sweterek.

Giovedì, 3 novembre

Przez cały dzień sirocco targało ludźmi i drzewami, a koło północy zaczęło zacinać deszczem.

Venerdì, 4 novembre

Przedwczoraj nie mogłem otworzyć drzwi naszego piętra, bo klucz, lekko skrzywiony, utrudniał przekręcanie. Długo się męczyłem, aż wreszcie pomoc przyszła od wewnątrz. Drzwi otworzył nieznamny mi, mieszkaniec pensjonatu Tabor. Dziś poznałem go bliżej. To Francuz, Robert Bouchet, architekt. Zawiedli go Włosi. Obiecali pracę, ale obietnicy nie spełnili. Dlatego Włochów nie lubi, Rzym go męczy.

Tak się skarżył, ale po chwili ożywiony wspomniał, że piętro wyżej mieszka una bella Polacca i muszę ją poznać. Wjechaliśmy więc windą na to trzecie, zupełnie mi nieznanne piętro, gdzie istotnie, w wielkiej sali wypełnionej łózkami, na jednym z nich, leżała obłożona książkami Marysia i uczyła się do egzaminu,

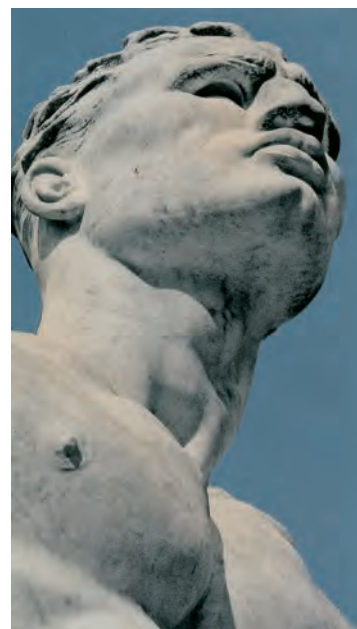
Z okazji Dnia Armii podziwiałem nocną iluminację: błędzące po wieżach i kopułach niebieskie światła reflektorów.

Sabato, 5 novembre

Po huraganowym wietrze Ogrody Borghese zostały zdewastowane. Nadal wieje, ale słabiej, z towarzyszeniem deszczu. W taką aurę odwiedziła nas pani Barbara Biel. Rozłożyła w kącie pokoju mokrą parasolkę, zdjęła przeciwdeszczowy kaptur, potem płaszcz i stojąc na zachlapanej deszczówką posadzce odegrała przed nami teatr grozy.

– ...Rzeki wezbrały, morze wylało, Florencja i Wenecja odcięte od świata. Po Placu św. Marka płyną gondole, komunikacja kolejowa przerwana... nowy huragan znad Hiszpanii wkrótce tu dotrze... Ojcu Pio otworzyły się stygmaty! Widziano latające spodki a wśród ludzi krążą groźne przepowiednie o zagładzie naszej planety... –

Po południu przyjechał samochodem znajomy pani Barbary, emerytowany kapitan, aby obwieźć nas po nowoczesnych dzielnicach Rzymu. Zobaczyliśmy niezwykle EUR, czyli Esposizione Universale di Roma czyli Rzymską Wystawę Światową, niezrealizowaną z powodu wojny. W monumentalnym budynku ulanym z betonu mieszczą się biura rządowe. Architektura, jakby z obrazów Georgio de Chirico zaczerpnięta albo ze snu. Następnym obiektem był stadion Mussoliniego pełny marmurowych posągów umięśnionych sportowców. Etos siły pomieszany z erotyzmem. Kapitan pokazał nam frapujące obiekty faszystowskie budzące do dziś wiele pytań.



Atleta ze Stadionu Mussoliniego. Fot. z pisma „Autoportret”, nr 1, 2008 r.

Domenica, 6 novembre

Od świtu niespodziewane słońce, dlatego też Porta Portese ukazała mi się po raz drugi w pełni swojego niecodziennego blasku. Było bardzo hałaśliwie, bo wszędzie grały patefony i gitary, biedni chłopcy śpiewali, baby reklamowały towar waląc w ogromne bębny. Połykacz ognia dał wielkie przedstawienie – rozrywał żelazne łańcuchy oplatające jego tors i wyrzucał z ust płomienie. Wśród przeróżnych lalek i marionetek wypatrzyłem figurkę św. Michała. Głowa z terrakoty, rączki i nóżki drewniane, polichromowane, haftowany pancerzyk, miecz i tarcza blaszane. Pokusa kupna wzrastała. Figurkę trzymałem w ręku, targowałem się. Sprzedawca żądał 25000 lirów. Ja dawałem 8. Sprzedawca opuścił na 20, a ja nadal mówiłem 8, bowiem tylko tyle w kieszeni miałem. Sprzedawca wyrwał mi z rąk figurkę, machnął ręką, a ja odszedłem. Po chwili znów stanąłem przy tym straganie wpatrzony w owego świętego. Sprzedawca zrezygnowanym głosem powiedział 15. Wtedy położyłem na straganie swoje 8000 lirów i w geście rozpaczy wywróciłem na wierzch wszystkie kieszenie, pokazując że są puste. Dramatyczną sytuację podkreśliły pomruki z niebios. Zbliżała się burza i nagły grzmot przyspieszył handlowy finał. Niezadowolony sprzedawca szybko zwinął figurkę w gazetę i rzucił mi do rąk. Byłem szczęśliwy. Do pensjonatu wróciłem w deszczu na nogach. Nie miałem pieniędzy na autobus.

Lunedì, 7 novembre

W Tabor Internazional odebraliśmy wiadomość zostawioną przez Adama Macedońskiego: „Byłem, żeby się umówić (bo przechodziłem obok) – jutro rano o 10-ej muszę być blisko Was i jeśli będzie pogoda, to pojedziemy do Ostii Antycznej (z moją siostrą) – jeśli nie – to zrobimy coś innego. Na razie cześć! – Zatelefonujcie do mojej siostry (78-56-764) – bo siedzi w domu i się nudzi. Adam Macedoński”.



Ostia Antica. Wanda Macedońska, Janusz Warpechowski
„Zągiel”, Kazimierz Wiśniak, 1966 r.

Martedì, 8 novembre

Przyszła Adam z siostrą Wandą i zaraz zachęcił do odwiedzenia znajdującego się tuż obok naszego pensjonatu Muzeum Baracca z kolekcją starożytnych rzeźb rzymskich, także pochodzących z Asyrii, Egiptu, Grecji i Etrurii. Po tym wyjechaliśmy do Ostii, dawnego portu handlowego Rzymu. Zaczęliśmy tam od obiadu, na murku pod kościołem, z towarzystwem jaszczurek i ślimaków. Adam znał dyrektora wykopalisk. Bardzo sympatyczny starszy pan pokazał nam ruiny klozetu, łaźni, barów, teatru. – Wystarczy pogrzebać palcem w ziemi a trafi się zawsze na jakiś ciekawy kamyk! – mówił.

Mercoledì, 9 novembre

Adam zabrał mnie nocą na Zatybrze do Folkstudio, które od niedawna zaczęło działalność i cieszy się zainteresowaniem miłośników muzyki ludowej. Harold Bradley, ciemnoskóry o wyglądzie amanta, lat około 40, lekko szpakowaty, z dłońmi jak łopaty i pięknym głosem, prezentował egzotyczny zespół Trinidad Steel Band, a ci grali na blaszanych beczkach i wydobywali z nich wszelkie możliwe dźwięki.

Giovedì, 10 novembre

Aura deszczowa, przygnębiająca. Wpadła do nas pani Barbara Biel z niedobrymi wiadomościami: zwiedzanie Florencji i Wenecji jest niemożliwe, bo miasta zalane są wodą, odcięte od świata, zdewastowane powodzią. Straty sięgają 800 miliardów lirów. Jeśli chcemy wyrwać się z Rzymu, to raczej na południe, np. do Neapolu. Wpadła też nasza sąsiadka panna Marysia pożalić się nad swoim losem. Traci siły, najchętniej wróciłaby do Polski, bo tu nic się jej nie udaje; ani studia, ani balet, ani miłość. My też w depresji, ale przyczyną jest ponura pogoda.

Venerdì, 11 novembre

Pada, pada, pada i może doprowadzić do nowej katastrofy. Kupiłem gazety i przy pomocy słownika odtworzyłem groźbę kataklizmu. Po trzytygodniowych deszczach w północnych regionach kraju wylały rzeki. 1/3 terytorium Włoch pokryła woda. Arno przekroczyła poziom alarmowy i wezbrane wody wdarły się gwałtownie do Florencji udekorowanej trójkolorowymi flagami z okazji zbliżającej się rocznicy zwycięstwa w 1918 roku. W bestialskim ataku na ludzi i dzieła sztuki rzeka pokazała niszczycielską moc. Zalała piwnice i części parterowe domów, a więc eleganckie sklepy i restauracje, zgarnęła samochody, zrzucając je w stosy podobne do barykad. Kościoły, muzea, biblioteki, pałace znalazły się w mulistej wodzie, która



4 listopada 1966 r. Wody Arno wdzierają się na Piazza del Duomo. Pocztaówka wydana we Florencji

w niżej położonych częściach miasta sięgała 7 m. Wielu skazańców ratując życie przed powodzią uciekło z więzienia i stworzyło dodatkowe zagrożenie dla mieszkańców. W ciągu 24 godzin żywioł dokonał strasznego zniszczenia. Była to najtragiczniejsza doba w długiej historii tego miasta. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ogłosiło listę ofiar powodzi. Między 3 a 9 listopada zginęło 87 osób a 21 zaginęło.

W strugach deszczu poszliśmy zwiedzić Pałac Corsini, gdzie wisi Caravaggio, Rubens, van Dyck, Murillo. W pałacu gościł młody Michał Anioł, Bramante, Erazm z Rotterdamu, królowa Szwecji Krystyna, która tu zmarła w 1689 r., co upamiętnia wmurowana we wnętrzu tablica.

Sabato, 12 novembre

Dalej mokro i chłodno.

Domenica, 13 novembre

Wypogodziło się, dobry czas na wycieczkę podmiejską do Tivoli. Ogrody Willi d'Este słyną z fontann. Rzeźby obrosnięte bluszczem i mchem, w połączeniu z tryskającą wodą, tworzą bajkowy świat spokoju. Miejsce odpoczynkowe, trochę zaniedbane, pozwala pomarzyć o niegdysiejszej świetności.

Wieczorem, panna Marysia zabrała nas na mecz szermierski. Poznaliśmy jej chłopca, uroczego i bardzo przystojnego carabinieri Franco la Feltra. Pięknie walczył i przeszedł do finałów.

Lunedì, 14 novembre

Franco odjeżdżał do Mediolanu na mistrzostwa szermiercze i z Marysią poszliśmy go pożegnać na Stazione Termini. Przy okazji Marysia próbowała dokonać zamiany naszych biletów kolejowych do



Kartki z rzymskiego dziennika

Florencji i Wenecji na bilety z kierunkiem na Sycylię, ale okazało się to niemożliwe. Skazani będziemy na oglądanie miast północnych, obklejonych błotem. A ja marzyłem już o słonecznej Sycylii... Z dworca skierowaliśmy się na Piazza del Popolo. Trasa daleka, a z Marysią żwawo. Chce nas poznać z malarzem o nazwisku Apap. Artysta mieszkał przy via Babuino, równoległej do słynnej via Margutta. Był w domu, przyjął nas w obszernej pracowni z tarasem na dachu. Piliśmy likier cytrynowy i oglądaliśmy obrazy. Na dużych formatach, sięgających sufitu, rytmy pionowych smug światła wydobywały z cienia fragmenty scen z obnażonymi postaciami, co przy tematach sakralnych, np. w obrazie ze zdjęciem Chrystusa z krzyża, wzmacniało dramatyzm. Artystę fascynuje ciało ludzkie.

Willie Apap urodził się na Malcie, gdzie przed wojną ukończył pierwszą szkołę artystyczną, drugą była Accademia di Belle Arte w Rzymie. Marysia czuła się w pracowni jak u siebie w domu. Jest modelką malarza, w ten sposób sobie dorabia.

Martedì, 15 novembre

Muzeum Kapitołińskie, potem film Jacopettiego „Africa, addio” – wstrząsające obrazy rzezi zwierząt i ludzi w Afryce współczesnej (1964 r.).

Mercoledì, 16 novembre

Co mnie tu zwięciło? Tylko ciekawość, bo to podobno sklep żyda polskiego przy via Ferruccio 30 pod szyldem Libero e Otello Bottini. Pełno tu kupujących Polaków, także naszych księży, bo tanio. Kupują płaszcze ortalionowe poszukiwane w kraju, także lekkie moherowe pledy. Liczny personel uwija się wśród stert towaru, mówi biegle po włosku, żydowsku, po polsku...

Wieczorem nadchodziła burza i z „Żaglem” schroniliśmy się w Colloseum, bo było na trasie. Niebo dało popis błyskawic a w mieście nagle zgasło światło. Przeżyłem niesamowity spektakl światła i dźwięku. Pioruny waliły, wypełniały pomrukami arkady, a błyskawice oświetlały zniemacka różne fragmenty budowli oglądanej przez nas od środka. Było groźnie i podniecająco.

Venerdì, 18 novembre

Hotelik w Neapolu polecony przez naszą koleżankę, również scenografkę, Krysię Zachwatowicz, która tu kiedyś mieszkała, nazywa się Rondine czyli Jaskółka. Przyjęła nas właścicielka, pulchna staruszka w białych loczkach, w otoczeniu chłopca do posług, rudego kocura i psa. Recepcja wyklejona tapetą ze scenami z polowania.

Sabedi, 19 novembre

Zabłąkani w biednej dzielnicy Neapolu trafiliśmy przypadkiem na grupkę komediantów dell'arte. Byli poprzebierani sami mężczyźni, bez Colombiny, która może już odegrała swoje sceny i z Arlekinem skryła się w bramie. Biały Pulcinella zagadywał śmiejących się gapiów a Capitano od czasu do czasu podrywał flectistę i tamburyn do góry. To była już końcówka przedstawienia odegranego pod suszącym się w górze na sznurach sobotnim praniem. Pulcinella podniósł maskę na czoło, zdjął stożkową czapkę i zbierał pieniądze. Przygrywał jeszcze flet z tamburynem, bo roztańczona dzieciarnia nie chciała zakończyć zabawy. Dalej, wśród handlarzy, marynarz zachwalał siedzącą mu na ramieniu olbrzymią papugę. W eleganckim samochodzie siedział żywy lampart. Sympatyczna panienska z życzliwym uśmiechem sprzedała mi muszlę za 200 lirów. Na kruszących się fasadach pełno ołtarzyków z pięknymi figurkami świętych w otoczeniu

żarówkę do nocnej iluminacji. Przy blaszanych beczkach z żarem można było się ogrzać i wypić rosół z ośmiornicy.

Domenica, 20 novembre

Zmęczyło wejście na wzgórze, ale trud wynagrodziły zbiory Capodimonte, zwłaszcza ekspozycja szopek neapolitańskich. Po to warto było z Rzymu przyjechać. Każda z szopek składa się z niezliczonej ilości barwnych figur przedstawiających mieszkańców Neapolu lub okolicznych wsi zajętych codziennymi czynnościami: handlowaniem, gotowaniem czy jedzeniem z towarzyszeniem domowych zwierząt. Figury ulepione z terrakoty ubrano w stroje uszyte z właściwie dobranych materiałów, wykończono w najdrobniejszych szczegółach wg. mody minionych epok. Wśród tej ciżby ludzi i zwierząt przypominającej tłok współczesnych ulic Neapolu jest zawsze miejsce dla św. Rodziny, które z trudem trzeba wypatrzyć. Grupa Trzech Króli na koniach i z wielbłądem zwraca uwagę bogatym ukostiumowaniem, haftowanym złotymi nićmi. Każda z figur szopkowych wymodelowana jest w niepowtarzalnym ruchu. Każda jest dziełem sztuki, bez cech amatorszczyzny. Il presepe napoletano – szopka neapolitańska – najpiękniejsza w świecie!

Szopka krakowska to przede wszystkim wymyślona architektura kościelno-pałacowa wzorowana za bytkami Krakowa, zbudowana z tanich materiałów i obklejona różnokolorowym staniolem. Oświetlona ukrytymi żaróweczkami prezentuje się jako kunsztowny przedmiot związany z Bożym Narodzeniem.

Szopka neapolitańska przede wszystkim przedstawia ludzi zajętych swoją codzienną pracą, tych bogatych i biednych. Wymodelowane z wielkim artyzmem figury zestawione w grupach przypominają mogą niedysyjsze „żywe obrazy”, w których unieruchomieni aktorzy przedstawiali sceny ważnych wydarzeń historycznych.



Venezia, Sabato, 26 novembre

Hotel San Lio, a due minuti dalla Piazza San Marco e dal Ponte di Rialto. Tutti i comforti moderni. Miejsce mojego spania.

Po Canale Grande płynęła gondola, cała w kwiatach czerwonych i gałęziach palm. Przewożono nią trumnę na cmentarz znajdujący się na jednej z wysp. Na Placu św. Marka dużo marynarzy spacerujących w grupach. Ruch uliczny kończy się o 9 wieczorem i miasto ogarnia cisza. Ulice nie nazywają się tu via, ale calle, fundamenta albo salizada.

Wracając do pogrzebu, przypomniałem sobie że Rosjanin, Siergiej Diagilew, założyciel międzynarodowego zespołu Les Ballets Russ pochowany został w Wenecji. Widziałem gdzieś fotografię z 1929 roku, na której funeralna gondola płynęła z jego trumną ustawioną pod baldachimem.

Domenica, 27 novembre

O świcie opuściłem Wenecję. Za oknami pociągu zdążającego do Florencji pejzaże zmieniały się jak w bajkowym filmie. Jesienne góry z zamkami na szczytach przypominały dalekie plany renesansowych obrazów.

We Florencji, po wyjściu z dworca bardzo ruchliwie i ulica wiodąca do katedry czyściutka, ale sklepy zdewastowane i im bliżej świątyni, zniszczeń coraz więcej, coraz więcej błota. Oblepiani nim właściciele sklepów łopatami usuwali tłusty muł, wybierając z niego co cenniejsze przedmioty. Rzecz znalezioną, płukano w wodzie. W innych miejscach, gdzie były sklepy z biżuterią, używano sitek lub durszłaków. Zaczepnięte nimi błoto przelewano wodą, by odzyskać coś małego ale kosztownego. W wielu miejscach na prowizorycznych stojakach wystawiono przemycane buty i inne skórzane wyroby na sprzedaż po bardzo niskich cenach. Były mokre futra, ubrania eleganckie, ale wymięte.

Na placach, mieszkańcy tworzyli długie kolejki po odbiór swoich racji żywnościowych.

Czułem się intruzem. Z trudem znalazłem czynną kawiarnię, gdzie mogłem zjeść śniadanie z kawą. Wróciłem na dworzec, do najbliższego pociągu jadącego w kierunku Rzymu.

Lunedì, 28 novembre

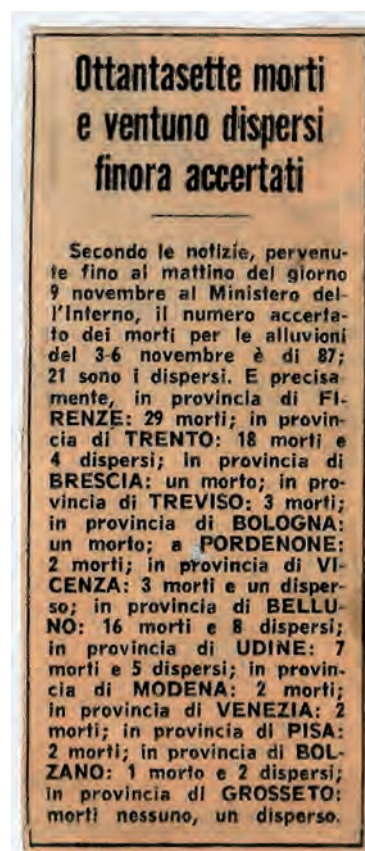
Na Stazione Termini sprawdzamy jak często odjeżdżają autobusy do lotniska Fiumicino, a tu kto idzie? Nie Lollobrigida, która w Rzymie mieszka, nie Sophia Loren, ale Józef Szajna, mieszkaniec dalekiego Krakowa. Zagadał nas monologiem na temat swoich obrazów i scenografii. Męczące spotkanie. Kilka dni temu oglądaliśmy tu wystawę (chyba 24 listopada) jego prac w Instytucie Polskim, koło tego słonia co dźwiga obelisk. Prace porozwieszane na półkach z książkami, pinezkami przychepione, widok żałosny...

Martedì, 29 novembre

Pod wieczór przyszedł do pensjonatu Franco ze swym kolegą, też karabinierem i butelką Lancii, aby urządzić pożegnanie. Marysia pobiegła na dół, do „Il Delfino” po ciastka, a „Žagiel” po szampana. Karabinierzy przynieśli adapter i płyty. Puścili muzykę z „Mary Poopins”, odtńczyli fragment z parasolkami. Marysia napisała list do matki (który mamy zabrać do Polski) i zalała się łzami. Franco ją tulił i pocieszał. Wieczór był smutny, pożegnalny. Smutny też Rzym, w deszczu za oknem.

Mercoledì, 30 novembre

Z Fiumicino odlot przy pełnym słońcu na czystym niebie. Nawet wiatru nie ma. Palmy, którymi miotają sirocco w dniu naszego przybycia, stoją nieruchome i wyglądają jak sztuczne. Trochę żał wracać do kraju...



Gazetowy komunikat o zmarłych i zaginionych ofiarach powodzi



Okno przy ulicy Cappellari.
Rysunek Kazimierza Wiśniaka, 1966 r.



W roku 1967 Tomaszewski po raz pierwszy w Polsce podjął się reżyserii w teatrze słowa. Było to „Męczeństwo i śmierć Marata” Petera Weissa w Teatrze Polskim w Poznaniu, trzy lata po głośniejszej berlińskiej prapremierze Konrada Swinarskiego. Próby przebiegały sprawnie dzięki zapałowi aktorów. Moją scenografię zbudowano nadzwyczaj starannie i szybko. Znakomita organizacja pracy poznaniaków dała nam sporo wolnego czasu. Henryk Tomaszewski (właśc. Heinrich König) urodził się w Poznaniu. Znał tu każdą niemal ulicę. Po próbach wodził mnie po mieście, pokazywał wnętrza kościołów, muzea, a także miejsce dawnej kawiarni, do której jako chłopiec chodził z matką na niedzielne ciastka. Pewnego dnia w czasie naszych wędrówek wypatrzyłem w witrynie antykwariatu porcelanowe popiersie lalki, z dziurkami, co świadczyło, że wcześniej przyszyte było do skórzanego korpusu. Pokazałem Henrykowi. Zrazu nie wyraził zainteresowania tym niekompletnym obiektem, ale wszedł do sklepu. Długo oglądał inne figurki i dopiero po chwili poprosił o laleczkę z witryny. Obracał ją w dłoni, grymasił: – Bez rąk, bez nóg... destrukcja nic niewarty... – Ale delikatna buzia, różowe policzki, oczy błękitne kusyły. Wreszcie stwierdził, że to ładna porcelana i kupił ją. – Jak tę lalkę rozpakowałem w hotelu, ustawiłem na stoliku, ponury pokój zaraz zmienił się w ciepły i przytulny – powiedział mi nazajutrz. A po latach przyznał się, że od tego czasu zaczął kolekcjonować lalki i zabawki. To prawda. Jednak już rok wcześniej, na przysłanej z Anglii



Z kolekcji Henryka Tomaszewskiego: Lalka francuska, koniec XIX w. Fot. Jaśko i Zawadzki

pocztówce chwalił się laleczkami: „Edenburg 8.9.66, Kochany Kaziu, jesteśmy po premierze i prasę mamy świetną. Wszystkie 7 przedstawień wyprzedane do jednego miejsca – (sam stoję) – Najwięcej podoba się „Suknia” i „Jasełka”. – Edenburg piękny – stary – taki angielski Kraków. – Kupiłem piękne stare laleczki angielskie. Ja i Marian bardzo! byśmy się cieszyli, gdybyś pojechał z nami do Rosji – gdybyś mógł, to daj zaraz znać do Pagar-tu. – Do zobaczenia w Krakowie. – Napiszę jeszcze z Kopenhagi. – Ściskam Twój Henryk – pozdrów Walka Wal. i Andrzeja”. (Edenburg to Edynburg, gdzie trwał Festiwal; Marian – Marian Wawrzynek; Walek Wal – Marian Wallek Walewski, krytyk muzyczny; Andrzej – Andrzej Majewski, scenograf).

Miał lalki z całego świata. Kupował je wszędzie tam, gdzie Teatr Pantomimy występował i zwoził do Wrocławia. Najpiękniejsze były porcelanowe, dziewiętnastowieczne, nabywane za wysokie ceny w antykwariatach. Z powodu lalek uchodził za dziwaka. Lalki zawinięte w bibułki i zamknięte w kolorowych pudłach na strychu, w piwnicy, pod łóżkiem, w biurach teatru ponad ćwierć wieku będą czekały na rozpakowanie. Aż do roku 1994!

W roku 1968 Konrad Swinarski reżyserował w La Scali operę Hansa Wernera Henzega „Bachantki”. Zaprosił do współpracy Tomaszewskiego, by ustawił choreografię. Henryk przyjechał do Mediolanu wraz ze swoim zespołem mimów. „Kochany Kaziu, siedzę tu z całym zespołem, jak wiesz, i robię tę operę, co

Swinarski ją reżyseruje. – Robota idzie bardzo swobodnie, – Śpiewaczki próbują w futrach i kapeluszach z nutami w ręku. Podniecamy się statystami. – Piękny jest jeden Gabriello – Podobno dobrze wyglądam. – Ważne! Jedziemy z Pantomimą do Czechosłowacji 9-23 czerwca, podałem Ciebie na listę. Mam nadzieję, że będziesz mógł. – Jedź z nami, będzie wesoło! Ściskam Ciebie i pozdrów Andrzeja [Majewskiego]. Twój Henryk – mój adres H.T – Teatro La Scala – Milano, jestem tu do 6 IV”. Komiczny obraz próby mógłby być gotowym wzorem do naśladowania dla reżysera spektaklu muzycznego. Często te próby wspominał Swinarski. Opowiadał mi, jak to każde wyjście na scenę rozebranych, umiędzionych pięknie mimów wywoływało nerwowe reakcje chórzystek, które chichocząc, zakrywały twarze kartkami z partyturą.

Minie dziesięć lat i coś podobnego wydarzy się w Australii. Na festiwal teatralny w Adelajdzie wyjadą: Wrocławski Teatr Pantomimy i Teatr Kantor. Zespoły zamieszkają w tym samym hotelu. Podczas śniadania Kantor nie wytrzyma, nie zniesie widoku przybywających do sali młodych, zgrabnych mimów Tomaszewskiego, bowiem nie na jego skrzywionej fizjonomii, ale na urodziwych mimach skupi się uwaga hotelowych gości. Kantor zacznie krzyczeć, wywoła publiczną awanturę, że kręcący tyłkami pederasci odbierają mu apetyt i w takim hotelu mieszkać nie będzie!

Rok 1969 był ściśle wypełniony pracą zarówno u Henryka, jak i u mnie. Nie wypuszczaliśmy z rąk walizek, przemieszczając się z kraju do kraju, każdy swoimi trasami, zgodnie ze swoim planem. Teatr Pantomimy wystąpił w Egipcie, Syrii, Libanie, później w Rumunii i Anglii. W tym czasie Henryk przygo-



Kazimierz Wiśniak, projekt kostiumu do „Bagaży” wg. Hermana Banga. Królewski Teatr w Kopenhadze, 1969 r.



Duńska wycinanka rozdawana z okazji Adwentu gościom Hotelu Langelinie w Kopenhadze, 1969 r.

tował dla Opery Wrocławskiej balet „Oczarowanie” do muzyki Blocha, w Teatrze Polskim dał pamiętną premierę „Protesilasa i Laodamii” Wyspiańskiego. Ponadto przeprowadził się ze swoim teatrem z rogu Ofiar Oświęcimskich i Łaciarskiej do nowej siedziby przy ulicy Dębowej 16, gdzie zaraz otworzył Studium Pantomiczne, przyjmując pierwszych stażystów. Ja z kolei opracowałem „Szklaną menażerię” Williama w Sliwen (Bułgaria), „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” Szekspira w Düsseldorfie, „Zemstę” Fredry w Kijowie, po raz drugi „Zemstę” w Krakowie, „Żeglarza” Szaniawskiego w Moskwie oraz jeszcze dwie sztuki w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu „Trzech muszkieterów” i „Kiedyś w roku dwudziestym”.



*Adam Wiśniak narysowany przez jego wnuka
Jurka Wiśniaka w latach sześćdziesiątych*

Muszę dodać, że w tym zatłoczonym pracą roku znalazł się czas na dwukrotne, dłuższe spotkania, z Henrykiem przy realizacji „Klątwy” Wyspiańskiego w Oslo i Bagaży wg Banga w balecie Królewskiego Teatru w Kopenhadze. A zatem jeszcze te dwie premiery dopychają wypełniony pracą rok 1969. Z perspektywy lat wydaje się to nieprawdopodobne, ale byliśmy wtedy młodzi, pełni sił i nienasyceni. Żyliśmy sztuką teatru.



W Łodzi, 28 marca 1969 roku zmarł ojciec w wieku ponad 82 lat. Od odejścia na wieczny odpoczynek jego żony, a mojej matki, Franciszki, 13 lat mieszkał samotnie. Był żywotny do końca, lubił spacerować. Po południu odwiedzał syna Jerzego, mojego brata, gdzie mógł porozmawiać z kochanym wnukiem Jurkiem. Z ulicy Dobrej, przy której mieszkał, szedł do nich na odległą ulicę Jaracza i wracał też pieszo. Nie chciał tramwajem, nie chciał taksówką. Miał mocne nogi, ale serce słabe, bo zmarł nagle w bramie, przed wejściem do swego mieszkania. Pogrzeb odbył się 1 kwietnia, w wiosennej aurze na Starym Cmentarzu. Opowiadałem cisnące się łzy, wzruszenie, którego nie potrafiłem stłumić przy pogrzebie matki, pochowanej nieopodal na tym samym cmentarzu.



Z Henrykiem łączyły mnie zbliżone upodobania. W świecie sztuki poruszaliśmy się w zgodzie, jakby tą samą ścieżką, z wielkim poszanowaniem dla tradycji. Wiele prac scenicznych rozpoczynaliśmy od nagłych i nieplanowanych rozmów, takich choćby jak ta 10 kwietnia 1973 roku. Załatwiałem w Warszawie paszport i bilet do Wiednia, dokąd nazajutrz miałem polecieć na spotkanie z dyrektorem Wiener Festwochen. Urzędowe czynności zajęły mi cały dzień, ale wieczór pozostał wolny, więc udałem się do Teatru Żydowskiego, gdzie zespół Teatru Pantomimy z Wrocławia dawał gościnne występy. Po spektaklu zasiadłem z Tomaszewskim w restauracji obok teatru, aby porozmawiać o „Grze w zabijanego” Ionesco. Miał ją wkrótce inscenizować. Nie czytałem zbyt dokładnie tego dramatu, ale już coś o nim wiedziałem. Henryk opowiedział mi wtedy o pomysłach wprowadzenia do akcji dodatkowej, niemej postaci – Śmierci. Swoją obecnością połączyłaby wszystkie sceny. Przedstawienie z tańcami winno trochę przypominać rewię. – Śmierć byłaby pierwszą solistką – powiedziałem. Przywołałem więc obrazy dance macabre ze średniowiecza i baroku: w kręgach tańczą szkielety z ludźmi wszystkich stanów społecznych. Ustaliliśmy, że kolejne sceny dramatu rozegramy w różnych epokach, od średniowiecza przez renesans, barok itd., zdążając do naszych czasów, bo plagi i zarazy spadały na Europę przez wieki i spadają nadal.

Podczas godzinnej rozmowy zjedliśmy pieczoną kaczkę ze śliwkami, popijając winem, i ustaliliśmy wszystko, co trzeba. Wiedziałem już, jakie zaprojektować dekoracje i kostiumy.

Tomaszewski zdumiewająco dobierał aktorów. W Teatrze Polskim we Wrocławiu, z lamusa aktorów odsuniętych od grania wydobyl Erwina Nowiaszaka do roli Śmierci, znając prywatnie jego umiejętności taneczne i skłonności do transwestytyzmu. Ja z kolei Erwina przebrałem za obrzydliwego wędrownego błazna. Chorobliwe guzy na nogach wypychały zniszczony trykot. Błazen miał też podarty i przybrudzony kubraczek, twarz kredową z wymalowanym uśmiechem kłowna, resztki włosów na łysiejącej głowie. Narzucając na siebie fragmenty innych kostiumów, błazen-śmierć przeobrażał się szybko w różne postacie i zjawiał na scenie jako Nauczyciel tańca, Siostra zakonna, Strażnik więzienny, Królowa karnawału, Trup do lekcji anatomii.

Owacja po premierowym przedstawieniu „Gry w zabijanego” świadczyła o sukcesie odniesionym u widzów. Byliśmy szczęśliwi. Potem cieszyły recenzje podkreślające spójność naszego przedstawienia: „Cały ten spektakl to ciąg artystycznych aluzji obejmujących wielkie obszary sztuki europejskiej wszystkich epok – od średniowiecza do – współczesności, zorganizowany we wzorowej współpracy ze scenografem...” (Jarosław Szymkiewicz, „Powszechna apokalipsa” Teatr 1973, nr 16). Po dziesiątkach lat przypomnienie sukcesu: „Wrocławska inscenizacja Gry w zabijanego uchodzi do dziś za najbardziej twórczą i najbardziej widowiskową realizację tego dramatu na świecie, a kreacja Erwina Nowiaszaka w roli Śmierci należała do najwybitniejszych, jakie się kiedykolwiek zdarzyły na tej scenie” (Tadeusz Burzyński w: „Teatr Polski we Wrocławiu – 50 lat”).



Erwin Nowiaszak jako Śmierć w „Grze w zabijanego” Ionesco. Teatr Polski we Wrocławiu, 1973 r.



Tuż po Nowym Roku 1976 spędziłem kilka dni w Poznaniu. Każdy dzień wypełniały rozmowy z dyrektorką Teatru Nowego Izą Cywińską o „Wijunach”, trudnym tekście pełnym symboliki wyłaniającej się z mrocznej rzeczywistości. Oto wojna skończona a dalej straszno, może straszniej jak w czasie wojny, na jakiejś podwileńskiej wsi. Obyczajowość przypomina „Dziady” Mickiewicza, trochę „Wesele” Wyspiańskiego. Sztuka urasta do dramatu narodowego. Iza wygłaszała pochwały dla autorki Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz. To jej debiut dramaturgiczny, nagrodzony w konkursie Teatru Ate-neum. Dla Izy zaszczyt, bo przedstawienie pokazane na jej scenie będzie prapremierą, wywoła zainteresowanie krytyki. Kiedy malowałem dekoracje, odczuwałem horror „Wijunów”, także przy szkicach do plakatu. Chciałem przekazać niesamowitość i dlatego ukazywał mi się krwi



Kazimierz Wiśniak z Izą Cywińską w Lanckoronie. 1973 r.



Kazimierz Wiśniak, szkic do plakatu „Wijunów”, 1976 r.

niespotykaną gdzie indziej precyzję odczytywania i realizacji projektów. Był jednym z najlepszych fachowców w tej dziedzinie. Zbudował mi na scenie bardzo realistyczne podwórko podmiejskie ogrodzone byle jak, trochę siatką drucianą, trochę płótem drewnianym, trochę ceglany murem. Na podwórku stały klatki na króliki, śmietnik, wyrzucone stare łóżko, pień do rąbania drewna. Potem z Rogulskim wiele godzin zabawialiśmy się nad efektem świeżo opadłego na tę graciarnię śniegu, by całość odrealnić. Było świetnie i reżyserowi Jerzemu Jarockiemu dekoracja się podobała. W 1971 roku na Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu scenografia została nagrodzona. W 1976 roku na XVII Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych wysoko oceniono poznańskie „Wijuny”. Nagrodami obdarzono reżyserkę Izę Cywińską, aktorkę Joannę Orzeszkowską i mnie za scenografię. Wcześniej, bo w kwietniu na II Opolskich Konfrontacjach Teatralnych Teatr Nowy z Poznania triumfował. Za inscenizację „Onych” Witkiewicza Iza otrzymała nagrodę, nagrodzeni zostali jej aktorzy: Halina Łabonarska, Michał Grudziński i ja, za scenografię. Był to szczęśliwy rok, bo jeszcze na XVI Kaliskich Spotkaniach Teatralnych przyznano mi nagrodę za scenografię „Wyzwolenia”.



22 grudnia 1976 w Krakowie. Po raz któryś w ciągu dnia usłyszałem: – Polański przyjechał! – Szybko rozchodzi się informacja w mieście. O 19-ej spotkałem go w „Literackiej”. Widzieliśmy się dwanaście lat wcześniej w Paryżu. Też była zima, ale nie grudzień tylko styczeń. Wtedy odwiedziłem Romka w domu,

łaknący wilkołak. Człowiek w skórze wilka, ale od wilka groźniejszy. Później, w marcu, dzień moich imienin świętowałem w Poznaniu, ale tylko rano, bo o świcie obudzili mnie mili maszyniści z kierownikiem technicznym Andrzejem Rogulskim. Wręczyli kwiaty i złożyli życzenia. Za chwilę zabraliśmy się wspólnie do ciężkiej pracy. Rogulski ustawił na scenie dekoracje, które trzeba było jeszcze podmalować. Układaliśmy sztuczny śnieg na płótnach i komórkach. To dało dobry efekt. Zagroda obrośnięta oszronionymi drzewami. Otulona śniegiem pojawiła się jak baśniowy obraz, ale bystre oko widza mogło dostrzec przysypane śniegiem narzędzia gospodarskie, głównie narzędzia do uśmiercania: topór, potrzaski, sidła, noże rzeźnicze, szpikulce. Pośrodku izba. Okna zamrożone, na stole trumna z nieboszczykiem...

Podobne zadanie miałem w 1970 roku, kiedy stworzyłem dekoracje do „Paternoster” Helmuta Kajzara we Wrocławskim Teatrze Współczesnym. Wtedy pracował tam ten sam kierownik techniczny, Andrzej Rogulski. Ceniłem go za

metro Jasmin, 15 rue Ribéra, dziesiąte piętro. Miał czarnego pudła wykształconego w dwóch językach. – Podaj łapę – podawał a na prośbę wyrażoną po francusku: – Donne moi la patte! – też podawał. Romek był już znany i lubiany, oblegany przez paryskich przyjaciół. Wieczór spędziliśmy w nowootwartym lokalu „Le grand Severin”. Poznał mnie wtedy z młodzieńcem, nieznanym jeszcze aktorem Pierre Clementi i z Geraldiną Chaplin. Córkę Chaplina oglądałem wcześniej w „Kopciuszkę” – baletowej feerii wystawionej z wielkim rozmachem. Chaplinównę wnoszono na olbrzymiej tacy. Miała wielkie brawa z powodu nazwiska. Jako tancerka stawiała pierwsze kroki na scenie bez wielkiego popisu. Siedząc na tacy pokazała tylko taniec rąk... W „Literackiej” obok Polańskiego, rozsiedli się Skarżyńscy, jakaś panienska i Renek Nowak. Romek i Renek byli kolegami w podstawówce. Należeli do grupy „Cudownych dzieci” występujących w przedstawieniach Marii Biliżanki na scenie Teatru Młodego Widza. Wyściskałem go, wycalowałem, – nic nie zmieniony – pomyślałem, a on to samo o mnie, tylko głośno: – Stary nic się nie zmieniłeś, jak ty to robisz? – Nie wiedziałem, co odpowiedzieć ze wzruszenia, że zobaczyłem go uśmiechniętego po chłopięcemu.



Umarł Wiesio Dymny. 20 lutego 1978 roku, o 14-ej pogrzb na salwatorskim cmentarzu. Dzień słoneczny, ale mroźny, wokół biało od śniegu. Dolina Wisły w zamgleniach, zamglony też kopiec Kościuszki i wzgórze ciągnące się ku kamedułowom.

25 lat temu przychodziłem z Wiesiem na te falujące łąki. Dla nas, studentów pierwszego roku Akademii były tu ulubione motywy malarskie: ukwiecone łąki, fort ceglany i rysująca się w dali sylwetka kamedulskiego kościoła. Otaczała nas jesień, grały świerszcze a nad nami białe obłoki. To były dobre, beztrudne godziny, ćwierć wieku temu...

Bardzo dużo ludzi przyszło na pożegnanie. Stali, tupali, bo zimno. Kwiaciarki krakowskie uplotły olbrzymi wieniec – tarczę z żywych, czerwonych kwiatów. Stałem, patrzyłem, wzruszyć się

nie mogłem, bo z pamięci wyłaniały się obrazy z tamtej jesieni, kiedy było ciepło, kolorowo i wesoło z moim przyjacielem Wiesiem...

Pamiętam dzień poznania. Ostrzyłem kredki do rysunków, gdy rozległo się pukanie i w drzwiach akademickiego pokoju stanął chłopiec. Miał garnitur granatowy w białe prążki, białą koszulę z wyłożonym kołnierzykiem, w ręku drewnianą walizkę przewiązaną paskiem, a na buzi, do drożdżowej kluski podobnej, nieśmiały uśmiech. Wszystko razem tworzyło obraz chłopca z prowincji. Był to Wiesio Dymny. Od pierwszego wejrzenia przypadliśmy sobie do serc. Walizkę, która mnie ciekawiła nazywał kuferkiem. – Zrobił go tata. O, tak się otwiera... – Oprócz skózanego paska, kuferek miał inne jeszcze urządzenia do zamykania: haczyki. Poodmykał je i z wnętrza zaczął wyjmować to, co mu w domu troskliwie zapakowano: garnek smalcu ze skwarkami, powidła śliwkowe, placek, trochę jabłek. Rozłożył wiktuały na stole, wyjął



kozik, pokroił ciasto i zaprosił do jedzenia. Był jeszcze z nami wtedy Krzysio Bucki z Pińczowa. Kiedy skończyliśmy poczęstunek, byliśmy już dobrymi kumplami. Wiesio zajął ostatnie, wolne łóżko w naszym siedmioosobowym pokoju.

Zajęcia na Akademii Sztuk Plastycznych rozpoczęły się z opóźnieniem spowodowanym remontami. Jesień słoneczna, ciepły październik – więc od rana chodziliśmy odkrywać Kraków. Zaopatrzeni w bloki rysunkowe, kałamarze z tuszem, piórka i patyki rysowaliśmy ruiny Kazimierza. Stara Synagoga była w malowniczej ruinie i wiele razy dostarczała tematu naszym szkicom. Bliżej akademika znajdującego się przy ulicy Dzierżyńskiego, Wiesio odkrył trasę wiejską. Należało skręcić w Urzędniczą i kierując się na północ minąć mostek na Młynówce. Tam były stare sady i uroczne domki drewniane, a także knajpka z piwem. Najpiękniejsze były dni spędzone na wzgórzach za Salwatorem, gdzie Wiesio stworzył pierwsze akwarele. Tak było w 1953 roku.



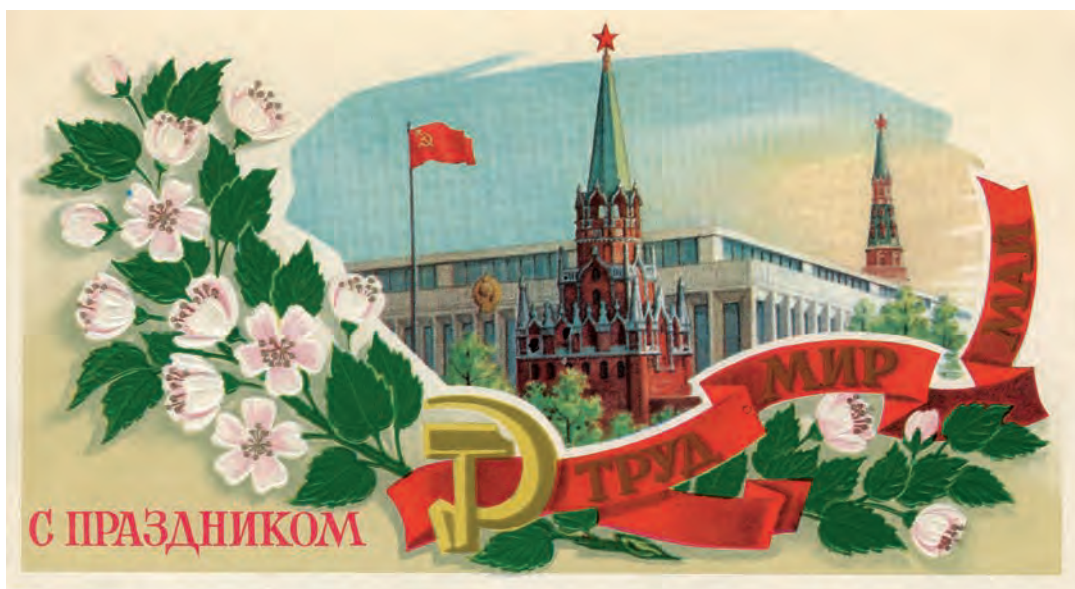
W magazynach kostiumowych Teatru Słowackiego przejrzałem dział sukman krakowskich. Musiałem wybrać jedną sukmanę dla krawców w Łodzi, jako wzór do uszycia nowej. Robiłem tam „Sędziów” Wyspiańskiego z reżyserem Andrzejem Wanatem. Łodzianie nie wiedzieli jak kroić materiał, nigdy sukmany nie szyli.

Znalazłem odpowiednią, pogryzioną przez mole, starą, oryginalną, być może pamiętającą autora dramatu. Pan Krupiński, magazynier, pytał zdziwiony dlaczego wybrałem taki łań. Opowiedziałem więc o krawcach w Łodzi, że na tym łańcu będą się uczyć. Krupiński śmiał się, wytrzepał mole, w księdze rejestracyjnej zapisał uwagę: „do likwidacji” i przekazał mi sukmanę w prezencie. W domu obejrzałem ją dokładnie. Stare sukno, od wewnątrz stara pieczętka z herbem miasta i napisem w otoku: Teatr Miejski w Krakowie, a więc z czasów kiedy jeszcze nie nazwano teatru imieniem Juliusza Słowackiego, to jest z przed 1909 roku. Być może sukmanę użyto do premiery „Wesela” Wyspiańskiego w 1901 roku? Od środka, na przyszytym płóciennym szyldziku wypisane było nazwisko nieznanego artysty, może statysty. Oderwałem to płócienko, przyszyłem nowe opatrując nazwiskiem Solski. Niech łódzcy krawcy będą zaskoczeni! Solski Ludwik występował w Teatrze Miejskim do końca XIX wieku a od 1905 roku był jego dyrektorem.



Z przedstawieniem warszawskiego „Króla Lira” wyjechałem do Związku Radzieckiego. Od 18 do 29 kwietnia 1978 roku zespół wystąpił w Moskwie i Leningradzie. W Moskwie, w Hotelu Rassija, od niedawnego pożaru wzmocniono strażę. Wejście tylko dla mieszkańców za okazaniem przepustki. Słońce odbite od złotej kopuły cerkwi wpadło mi przez okno i mile łaskotało oczy. Wychylając się z balkonu wypatrzyłem jeszcze cztery małe cerkiewki i Wasyla Błazennego – w sumie kilkanaście różnokolorowych i złoconych cebul oraz wieżę Kremla zakończoną czerwoną gwiazdą. Słońce wyraziście rysowało piernikową architekturę tych monastyrów. Były bajkowe, duże i maleńkie. Moskwę pucowali i malowali z okazji 1 maja. Ustawili olbrzymie rusztowania na fasadach GUM-u, bo cały Plac Czerwony miał być dosłownie czerwony, ubrany na czerwono. Dużo czerwieni, dużo złota.

19 kwietnia, od rana Teatr Wachtangowa. W holu barwne kwiaty, bukiety na nasze przywitanie, ale wszystkie w wazonach, jak w kwaciarni wystawione. Poza tym żywej duszy. Dziwne obyczaje, dziwne te bukiety w wazonach. Były też wieńce... ale oto ze schodów znoszą trumnę. Co się dzieje? A więc nie po-



Propagandowa
pocztówka.
Moskwa, 1978 r.

witalne, to kwiaty żałobne! Holoubek zakłopotany i my wszyscy również. Potem bufetowa poinformowała mnie: – On małodyj, dwadcat tri goda, artist, zariezan! I A jeszcze później opowiadano, jak to było: żona wyszła do kuchni, po chwili wróciła, a mąż już leżał w pokoju z nożem w plecach!

Wieczorne przedstawienie „Króla Lira” odniosło sukces, Gustaw Holoubek otrzymał wielkie brawa!



W 1978 roku odczułem bóle w lewej stronie klatki piersiowej, klucie, swędzenie w mostku, duszność, ogólne zmęczenie i senność.

Odmówiłem współpracy Robertowi Satanowskiemu w Operze Wrocławskiej i Janowi Maciejowskiemu z Teatru Jaracza w Łodzi. Gucio Holoubek chciał, bym zajął się węgierską sztuką w Teatrze Dramatycznym, ale odmówiłem. Odmówiłem Henrykowi Ciosowi z krakowskiej telewizji. Namawiał do Strindberga. Wojciech Marczewski nęcił dekoracjami do filmu „Zmory”. Znałem klimat Wadowic, Gorzenia Górnego – pokusa ogromna, ale odmówiłem. Odmówiłem Jurkowi Jarockiemu w powtórcie „Trzech siostr”, tym razem w Kolonii. Henrykowi Tomaszewskiemu odmówiłem współpracy przy dramacie „Equus” Shafpera. Także Danucie Michałowskiej – planowała „Pana Tadeusza” w Częstochowie. Komu jeszcze? Jerzemu Kreczmarowi. W warszawskim Teatrze Współczesnym chciał robić „Dziady”. Depeszował też Andrzej Łapicki w sprawie „Karykatur” Kisielewskiego, zaraz też Lidka Zamkow, aby przypomnieć w telewizji „Tragedię optymistyczną”. Robiłem z nią tę sztukę w 1965 roku. Teraz kategorycznie odmówiłem.



Niedziela, 14 maja

Obudziłem się zmęczony i spocony, zaraz też telefon zadzwonił. To Monika Lisicka z zaproszeniem na śniadanie, Mieszka tuż obok na sąsiedniej ulicy. Bywałem u niej wieczorami, rano nigdy. Dziś ciepły dzień, idę w koszuli. Jest godzina dziewiąta. Na pewno ruszyła już procesja z Wawelu na Skałkę z okazji św. Stanisława...



daję. Tu mam jasność, że śniadanie to pretekst. Monika zorganizowała lekarską wizytę. Nieznajomy pan to dr. Andrzej Hessek, neurolog, psychiatra – właśnie wyciągnął pióro i bardzo niewyraźnym pismem wypełnił rubrykę w formularzu, wynik wywiadu: „...z usposobienia nadwrażliwy, zamknięty, kontakty towarzyskie bardzo wybiórcze, lęk przed urazami, zainteresowania głównie artystyczne. Ostatnio upośledzenie przeczutności i koncentracji uwagi... utrzymujący się... nastrój... zalegający opornie, bez przedmiotowego zgnębienia, bezcelowości. Psychastenia”.

Kiedy dr Hessek skończył, Monika wniosła śniadanie. Tak chyba było między nimi umówione. Ponadto zobowiązała się wysłać wypełniony formularz natychmiast do Mosznej, bo ja mógłbym się zbyt długo zastanawiać.

Dużo słyszałem o istniejącym tam sanatorium. Aktor Jerzy Bińczycki był jego pacjentem i bardzo chwalił pobyt. Monika też była pacjentką. Wkrótce znowu tam pojedzie. Po nerwowej pracy w Starym Teatrze, gdzie prowadzi dział koordynacji artystycznej, zdrowie reperuje sobie w Mosznej.

Wtorek, 3 października

Zamek w Mosznej widziałem wcześniej na pocztówce od Moniki, a teraz pokazał się w odległej przestrzeni i zaraz znikł z oczu, bo wjechaliśmy w mroczny las mokry od jesiennej mgły. Wkrótce zza czarnych

drzew obrosniętych bluszczem wyłonił się w zbliżeniu jak białe widmo. Szeroko otwarta brama zapraszała, ale taksówkarz nie miał prawa wjazdu na teren sanatorium, więc wzięłem walizkę i wszedłem do ogrodu. Wokół pusto, przede mną w monumentalnym rozmachu stare z nowym połączyła elektryczna fantazja, a mgła delikatnie przysłoniła strzeliste wieże, wykusze, balkony.

Zameldowałem się w pokoju przyjęć. Chciałem odwlec termin leczenia, pisałem prośbę o przesunięcie, ale teraz



dyrektor Zygmunt Więcek zachęcił, bym pozostał, skoro już przyjechałem. Odebrałem klucz. W barokowej sieni czekała Monika. Musiała wiedzieć o moim przybyciu. Poprowadziła korytarzami do przydzielonego pokoju na drugim piętrze, gdzie złożyłem bagaż.

Poszliśmy do parku na spacer wypełniony monologiem Moniki:

– ...rzuciłam Stary Teatr. Wykańczała mnie praca... dwanaście godzin dziennie... tu dochodzę do siebie, prowadzę bibliotekę w zastępstwie... kie-



Zamek w Mosznej



rowniczka urlopuje w Szwecji... Popatrz na te drzewa! Są chore... źle na mnie działają... kikuty. Dlatego rzadko tędy chodzę... wiosną jest pięknie, kwitną azalie... kąpiele ziołowe załatwiłam nielegalnie, bo przecież nie mam już ubezpieczenia... Ze Starego odeszłam w krytycznym momencie. Straciłam tam zdrowie i nerwy... Tu znów jest za dużo wilgoci... Dyrektor mieszka na miejscu, w prawym skrzydle. To niezwykle miły człowiek... Zamek ma trzysta sześćdziesiąt pięć pomieszczeń... dziewięćdziesiąt dziewięć wież i wieżyczek...

Doszliśmy do małego cmentarza położonego wśród łąk na wzgórzu, gdzie w cieniu wiekowych dębów spoczęły zwłoki właścicieli zamku.

Środa, 4 października

Śniadanie o ósmej, a pół godziny później zajęcia zwane „społeczność”. Usiedliśmy pod ścianami na wygodnych fotelach i każdy po kolei opowiadał, jak mu minął ubiegły dzień. Nasłuchałem się o ciśnieniu, o zabiegach, jak kto śpi i czy miał apetyt. Ja powiedziałem o wrażeniu jakie wywarł na mnie oglądany cmentarz. Kuracjuszka w czerwonych spodniach, podobnie jak i ja, po raz pierwszy w sanatorium, żywo zareagowała i odsłoniła przed nami swoje tajemnice. Urodziła się w Mosznej i pamiętała dawne czasy zamku. Matka jej była pokojówką hrabiego.



– Ogarnęło mną wzruszenie, gdy po tylu latach znów się tu znalazłam. W pierwszej chwili szukałam śladów młodości. Piękne obrazy tu wisiały. Niektóre tak wielkie, że z trudem je kradziono w czterdziestym piątym. Dużo wywieźli Rosjanie, resztę wynieśli Polacy. Jedynie kaplica pozostała taka jak była, zwyczajem ewangelików zawsze miała gołe mury i prosty krzyż pośrodku.

Dyrektor sanatorium dodał, że z prostej linii po grafie Thiele-Winckler nikogo już nie ma, ale z bocznej przybył kiedyś potomek, mieszkaniec NRF-u. Przyjeżdża systematycznie na Targi Poznańskie załatwiać interesy swojej firmy.

– Oglądał zamek dokładnie, ale nic nie mówił. Chodził od sali do sali, jak hrabia. Zachwycił się jadalnią. Pamiętał ją z czasu wojny, kiedy zrobiono w niej magazyn.

Na obiad przyszedłem wcześniej. Przy stole siedział współbiednik, a panie jeszcze nie nadeszły. Razem, w czwórkę stanowimy komplet stołowy. Współbiednik wskazywał wolne miejsca i wyszeptał mi do ucha:

– Te dwie panie to nie byle kto. Mieszkają w białym apartamencie. Byłem tam, bo przyniosłem im kawę ze sklepu. Piękny pokój. Stare malowidła na ścianach i suficie...

Po południu niebo rozjaśniało, więc poszedłem znów na cmentarz odczytać napisy i odrysować herby z nagrobków.

Czwartek, 5 października



Oby nie zaspać! Obudziłem się w nerwach już o czwartej, potem o piątej, wreszcie szósta – więc zbiegłem w dresie do piwnicy, do kafflowego labiryntu, oddać się wodnemu biczowaniu.

O siódmej na ścieżce zdrowia. Las mokry, aromatyczny i świergotliwy. Pod dwunastą tablicą instruktarsową opuściły mnie siły, a dzięcioł zastukał w pień sosny, dając znak że już dość!

Zaraz po śniadaniu ćwiczenia z jogi. Nie mogłem się skupić, burczało w brzuchu, a noga w drgawkach. Popsuł się mój organizm i chcę go tutaj naprawić.

Po ćwiczeniach z jogi, psychoterapia. Znowu zasiedliśmy wokół pod ścianami.

– Skąd biorą się nerwice? – zastanawiał się głośno psycholog, prowokując rozmowę. – Może z tego między innymi, że chcemy dokonać bardzo dużo, a nie mamy na to ani sił, ani czasu? – To prawda. Pracowałem kosztem snu, odnosiłem sukcesy. Zbyt wielu reżyserów atakowało mnie propozycjami współpracy. Tegoroczny, zmasowany atak odparłem, ale pozostałem w stanie osłabienia.

Pięknym elementem Mosznej i okolic są stare dęby, pomniki przyrody. Rosną pojedynczo, często tworzą grupę lub cały las. Między dębami czarne rozlewiska z łabędziami i dzikimi kaczkami. Błądząc wśród drzew, stanąłem nagle na długiej alei wytyczonej rzędami potężnych dębów. Trzy rzędy z każdej strony. Czy to główna droga do zamku? Otwiera ją brama. Na dwóch cokołach posągi nagich gladiatorów z brązu.

W rękach miecze i tarcze, ale piersi przedziurawione. Rany nie przez rzeźbiarza zadane, ale prawdopodobnie przez bezmyślność prymitywnych żołnierzy zabawiających się strzelaniem w zwycięskim marszu na Berlin.

Piątek, 6 października

Przyjechałem tu we wtorek, w środę zostałem przebadany. Doktor Zygmunt Więcek stuknął młotkiem w moje kolana, kazał wyszczerzyć zęby, zacisnąć i otworzyć oko. Pytał o choroby. Psychiatra przeprowadził wywiad: jak się czuję, co robię, jak żyję. Mówiłem, on zapisywał. Wręczono mi książeczkę zabiegową i skierowano na Oddział III. Dopiero dziś skonstruowałem plan moich codziennych zajęć sanatoryjnych:

6.00 bicz szkocki albo kąpiel solankowa

7.00 biegi w lesie i ścieżka zdrowia

8.00 śniadanie

8.30 socjoterapia lub autogeny trening Schulza.

W czwartki wizyty lekarzy w pokojach

9.00 joga, ćwiczenia oddechowe i postawy asany

10.00 gimnastyka lecznicza

11.30 psychoterapia grupowa

12.45 pobieranie wody mineralnej

13.00 obiad

14.00 terapia pracą

18.00 kolacja

Ćwiczenie, terapia pracą jest niespodzianką. Jaka praca nas czeka, nikt nie wie. Wczoraj sadzono w szklarni sałatę. Dziś:

– Wejdziemy na wieżę robić porządki w pracowni malarskiej!

Podniecił mnie rozkaz, ale to co za chwilę ujrzałem, rozczarowało i zastanowiło. W pracowni malarza żadnych dowodów twórczej pracy. Wśród stosów pogniczonego papieru i tektury próbowałem trafić na jakiś ślad wrażliwości malarza, na rysunek, akwarelę – na próżno. Jedynym znaleziskiem był owalny linoryt z prymitywnym widokiem zamku. Patrząc na bałagan, stwierdziłem – jaki człowiek, takie po nim pamiątki. Z czubka wieży znosiliśmy ten śmietnik wprost do rąk palacza. Linoryt z zamkiem ocalałem przed ogniem. Zabrałem na pamiątkę.



Linoryt znaleziony w zamku

Sobota, 7 października

Wolna sobota. Ponad połowa pacjentów wyjechała na przepustki, stąd ta cisza. Dzień ponury. Deszcz wprawdzie nie padał od jakiegoś czasu, ale ziemia przesycona wilgocią nie wchłania już wody i jej nadmiar, zebrany w kałużach, odbija ciężkie chmury. Odkryłem nową aleję i z ciekawości, dokąd mnie wyprowadzi brnąłem przez błoto wzdłuż czarnego stawu. Drogę kończyły dwa kamienne słupy a na słupach złe lwy ze spiżu, z łapami podniesionymi, jakby chciały bronić wstępu do zamku. Spodobały mi się te rzeźby ukryte w koronach żółknących drzew. Baczenie je obserwując, zauważyłem na poduszkach podniesionych łap, jakieś nieanatomiczne wgłębienia, jakby rowki. Musiały czemuś służyć. Prawdopodobnie lwy opierały swe uniesione łapy o tarcze herbowe, a zatem nie wyglądały tak groźnie jak teraz, kiedy tarcze im odebrano.

Za groźnymi lwami szosa i pola. Ludzie w pracy, nawet dzieci zbierają kartofle. Oni nie mają wolnej soboty. Wszyscy utrudzeni. Ja też poczułem się bardzo zmęczony, bardziej niż przed przybyciem do Moskwy. Wróciłem do zamku, położyłem się na kanapie i przysypiałem.

Po niedojedzonej kolacji odwiedziłem Monikę w bibliotece. Siedziała w pustej sali. Przy przejściu do czytelni napis „Nie wolno na terenie ośrodka zatruwać powietrza nikotyną. Jeśli ktoś mimo dużej szkodliwości palenia tytoniu chce to uczynić – wolno to wyłącznie w kawiarni. Zachęcamy jednak do wykorzystania pobytu w Sanatorium na uwolnienie się od tego szkodliwego nałogu”. Monika, mimo zakazu, częstuje papierosem i zaprasza do umywalni, gdzie można spokojnie palić. Krępująca sytuacja, ale przecież coś ważnego mam usłyszeć, więc idę. Wiedziałem już o porzuceniu pracy w Starym Teatrze, a nowością – przeprowadzka z Krakowa do Warszawy. Tam czeka na nią bardzo ciekawa praca przy promocji polskich filmów dla zagranicy, połączona z wyjazdami na międzynarodowe festiwale.

Koordynując pracę artystyczną w teatrze, Monika zdecydowała, któremu z aktorów udzielić zgody na podjęcie pracy w filmie, bez szkody dla prób i przedstawień w teatrze. To była łamigłówka, bowiem zbyt często film potrzebował czołowych aktorów Starego Teatru, a oni grali w wielu spektaklach teatralnych. Producenci filmowi cenili Monikę za szybkie i trafne decyzje. Z tego była znana w Warszawie.

Wypalony papieros był trzecim w ciągu dnia. Następnego odmówiłem. Ona kurzyła, mówiła, ja obserwowałem przemarsz maleńkich mrówek faraona na marmurowym blacie umywalni.

Niedziela, 8 października

Obudziłem się punktualnie o szóstej ze świadomością, że to niedziela: bez kąpieli, biczów, żadnych przymusowych zajęć. Chętnie bym pospał, ale za oknem niebiesko, żółto, czerwono – mgła opadła, odsłoniła czyste niebo i jesienne drzewa.

Wciągnąłem dres i wybiegłem do lasu. Wschód słońca wyglądał tak, jakby wielka, świetlista monstrancja uniosła się między drzewami. W jej kierunku pofrunęło stado spłoszonych bażantów. Po wczoraj-



szym kryzysie powróciły siły i radość, chyba za przyczyną słońca, które pokazało się po długich tygodniach. Pobiegałem, po czym przebrałem się i znów do lasu na samotną włóczęgę... gdy nogi zaczęły dokuczać, z przyjemnością wszedłem na kawę do „Amazonki”, do ludzi. Niewiele ich było w kawiarni, ale przy stoliku obok siedziała grupa wiejskich chłopców i na nich skupiłem uwagę. Mieli po siedem, osiem lat, ubrani w niedzielne garniturki i białe koszule. Porządne, śląskie dzieci. Namawiali się, szeptali, rozglądali dookoła, aż wreszcie przyszedł, młodszy od nich blondynek ze sterczącą słomą we włosach. Za chwilę jeszcze dwóch chłopców, z pewnością braci. Tych poznałem. Wczoraj pracowali przy kartoflach w polu. Kelnerka przyniosła puchary z lodami, wyciągnęła małemu słomę z włosów. On złapał się za głowę i poczerwieniał. Chłopcy śmiali się z niego, machając łyżeczkami, a jeden z braci wstał i ucałował blondynka w czuprynę. Scena godna Viscontiego.

Poniedziałek, 9 października

W czasie psychoterapii nie zawsze klei się rozmowa, mimo że dr Adam Jawiński robi co może. Jego prowokacyjne zapytania i tematy pozostają niekiedy bez kontynuacji z naszej strony. Dziś chciałem coś powiedzieć, ale krępowalem się. Nie potrafiłem sprecyzować myśli. Wobec takiej sytuacji doktor stosuje inne metody, jak np. trening autogenny, technikę relaksacyjną na rozluźnienie poszczególnych grup mięśni. Usiadłem na fotelu pod ścianą a z głośnika przemówił spokojny głos: „...Oddycham lekko, równo i spokojnie...”.

Po seansie dr Jawiński zatrzymał mnie w gabinecie i wyjaśnił, że wszystkie stosowane terapie dobrze mi zrobią, będę się czuł wypoczęty. Ale nie o to tylko chodzi. Aby dotrzeć do przyczyn nerwicy, powinienem się poddać ćwiczeniom specjalnym i pozostać w sanatorium dwa tygodnie dłużej, w sumie 6 tygodni. Obiecał postarać się o farby i pędzle, bym mógł zająć się też malowaniem.

Skąd się to wszystko u mnie wzięło? – Rozmyślałem, chodząc po alei lipowej. Symbolicznej wartości nabrały dla mnie rosnące przy niej drzewa. Kikuty – jak je określiła Monika. Te lipy były po prostu bardzo starymi drzewami i aby utrzymać im żywot, starannie je pielęgnowano. Niektóre konary podciągnięto żelaznymi prętami, niektóre pnie skręccono obręczami, pośrubowano, dziury w pniach oczyszczono i zaciągnięto siatką lub popląbowano.

Wieczorem przyjechali artyści z opolskiego teatru i w zamkowej kaplicy, przy świecach recytowali poezje poświęcone warszawskiemu powstaniu. Wiersze wygłaszane bez wewnętrznego żaru, nużyły.

Wtorek, 10 października

Bicze wodne, od których zaczynam dzień, zostały urozmaicone nagłym, ale krótkim włączaniem zimnego strumienia. Pomyślałem – może aparatura się zepsuła, ale nie – zimny strumień powtarzał się. To było w programie. Ciepły, za chwilę zimny, ciepły, zimny itd.

Pogoda coraz piękniejsza i niektóre zajęcia odbyły się jakby ulgowo, np. gimnastyka lecznicza trwała krótko. Na powietrzu wykonaliśmy kilka ćwiczeń, po czym pobiegliśmy w głąb alei lipowej, dalej już krokiem spacerowym przez łąki do cmentarza.

– Tu jest miejsce wiecznego relaksu – powiedział jeden z pacjentów.

Znowu oglądałem groby. Pod jedną płytą spoczęło sześciodniowe hrabiątko...

Ciepłe popołudnie sprawiło dużo radości. W basenie puszczono fontanny i ten ożywczy akcent stworzył świąteczny nastrój, jakby powitanie spóźnionego lata, a przecież to jesień!

Dr Jawiński powiadomił mnie, że od jutra będziemy rozmawiać w cztery oczy. Mój życiorys będzie poddany analizie.

Środa, 11 października

Pamięć i niepamięć. Jak to było? Na pewno cała nasza czwórka urodziła się w tym samym mieszkaniu drewnianego domu w Łodzi przy ulicy Przejazd. Pierwsza na świat przyszła Irena, potem Jerzy, Janina i ja, najmłodszy. Za mojego dzieciństwa ulicą jeździł już tramwaj, wielu sąsiadów miało doprowadzoną elektryczność, gdy u nas oświetlano jeszcze lampą naftową, potwierdzającą ubóstwo. Dzielnicy nie skanalizowano. Miała szamba i ubikacje na podwórkach, także studnie. Za naszym domem był też rów do wylewania pomyj, które spływały do ulicznego rynsztoka. Przed zimą, w ogrodzie kopano głęboki dół do zlewania zużytej wody. Zасыpywano go wiosną.

Ojciec pracował w fabrycznej tkalni. Jego zarobek musiał pokryć wydatki sześciuosobowej rodziny, ale w czasie kryzysu przemysłowego pozostawał tylko zasiłek dla bezrobotnych. Wtedy zabrakło pieniędzy na opłacanie gimnazjum i Janina musiała przerwać naukę. Irena ukończyła kurs krawiecki u Marii Chmielowej i dorabiała szyciem, w domu była maszyna Singera. W pewne dni matka chwyciła wiadro i szła ze mną do parku 3-go Maja, gdzie w kuchni dla ubogich zjadaliśmy po talerzu mlecznej zupy. Zawsze była przypalona. Kucharki nalewały nam jeszcze zupę do wiaderka dla reszty rodziny, wręczały bochen chleba i tak zaopatrzeni wracaliśmy ulicą Przejazd w stronę domu. Mogli na nas patrzeć z okien, palcem pokazywać i opowiadać potem sąsiadom jak to Wiśniakowa z synem niosła zupę we wiaderku. Ojciec nie raz tracił pieniądze z zasiłku. W pobliskiej knajpie popijał ze znajomymi, potem zataczał się pod domem, wywoływał rodzinne awantury.

Dzięki siostrom, przed pójściem do szkoły, umiałem już czytać i pisać. Elementarz Falskiego znałem niemal na pamięć.

Brat miał koleżków od zabawy. Wędrowali gdzieś przed siebie, hałaśliwi, roześmiani. Chciałem im towarzyszyć, ale przeganiali, nazywali mnie smarkaczem. Raz poszedłem za nimi. Brat się odwracał i odganiał do domu, ja szedłem uparcie. Oni szybciej, ja też. Skręcili w jedną, drugą ulicę na prawo, w lewo, tak zwodzili, aż straciłem ich z oczu. Zmylili mi drogę. Próbowiałem wrócić, ale wśród nieznanych ulic nie wiedziałem w którym kierunku. Deszcz zaczął padać, ja bezradny, zapłakany... Para młodych ludzi szła pod parasolem. Zainteresowało ich moje nieszczęście. Dobrze, że znałem adres zamieszkania. Odprowadzili mnie wprost do rąk matki, a ona mnie zganiła. Wieczorem brat wyśmiewał się złośliwie. Raz, po lekcjach ostatni wyszedłem z klasy. W pustej szatni jeden tylko płaszcz wisiał na haku. Ubrałem go w przekonaniu że to mój. W domu stwierdzono pomyłkę. Był podobny do mojego ale większy, wyższego i tęższego chłopca. Zganiono mnie za nieuwagę, a brat się śmiał. Nazajutrz poszedłem do szkoły z matką, a tam już czekała pani z chłopcem ubranym w mój płaszcz. Bardzo lubiłem szkołę, ale niestety, kiedy zaczynałem drugi rok nauki rozpoczęła się wojna i polskie szkoły zamknięto.

Ojca wywieziono na przymusowe roboty pod Düsseldorf. Do matki pisał czułe listy „Kochana Franu...”, czasem dołączał 10 marek. W pierwszych miesiącach wojny brat ze swoją bandą coś ukradł z niemieckiego sklepu. Aresztowano go w 1940 roku, przed Wielkanocą, gdy wyszedł kupić cukrowego baranka. Janina dostała nakaz wyjazdu gdzieś pod Płock. Irena opuściła dom najpóźniej. Pamiętam jak oszczędzała na jedzeniu i z odłożonych resztek robiła paczuszki. Biegała z koleżankami pod mury obozu włoskich żołnierzy. Dziewczyny miały tam chłopców, siostra swojego Angela. Przygotowane w domu paczki z żywnością rzucały do rąk wyglądających zza muru żołnierzy. Potem Irenę wywieźli hitlerowcy gdzieś pod Turek, by kopała rowy obronne. Pozostałem tylko z przepracowaną matką. Miała przepuklinę. Mimo choroby, szła często na pobliskie tory kolejowe zbierać węgiel rozsypany z wagonów. Dźwigała go

w worku, zgarbiona od bólu i ciężaru. Ortopedyczny pas, który podtrzymywał brzuch matce, zepsuł się. Był już stary, znoszony, pękła w nim sprężyna i nie można było go naprawić. W czasie nocnego alarmu, kiedy bombardowano miasto, wszyscy mieszkańcy drewnianego domu z obawy przed pożarem kryli się na podwórku, w murowanej ślusarni. Jedyne co wyniosłem wtedy z domu to wrzucona do worka balowa suknia mojej siostry. Szyła ją latem 1939 roku z myślą o zabawie sylwestrowej, którą przekreśliła wojna...

– Tak mało powiedział pan o rodzicach... – zastanowił się dr Adam Jawiński. Wtedy i ja uświadomiłem sobie, że moja spowiedź dotyczyła wyłącznie zdarzeń smutnych, pomijała radosne. A to przecież musiało o czymś świadczyć. Doktor był pierwszą osobą, której opowiedziałem fragmenty swojego życia. On słuchał i chyba widział, jak było to dla mnie bolesne.

Wyszedłem na aleję lipową. Odczułem wielką ulgę, choć pamięć dostarczała jeszcze wiele dodatków do moich opowieści.

Czwartek, 12 października

Po obiedzie spotkanie z doktorem:

– Do wczorajszych przeżyć jeszcze wrócimy. Nad niektórymi momentami zatrzymamy się dłużej, wymagać one będą uzupełnień, ale dziś pójdziemy dalej...

...Niemcy opuścili Łódź nocą, w pośpiechu. Nastąpiły dni ciszy i niepewności, co ta cisza oznaczała. Po dwóch dniach wkroczyli Rosjanie. Widziałem z okna jeden z pierwszych oddziałów. Szli wystraszeni, ale napięci i czujni. Ja też byłem wystraszony i czujny. Spodziewałem się strzelaniny. Wkrótce nastąpiła grabież sklepów. Z chłopakami biegaliśmy do kolejowych magazynów wynosić mąkę w workach. Były okropnie ciężkie, więc połowę zawartości wysypywaliśmy na podłogę, a resztę, ile kto mógł unieść, dzwigaliśmy z workiem do domów. Straszliwie zziębnięty zdołałem przed chorą na łóżku matką, szczęśliwy z ofiarowanego prezentu. W tych pierwszych dniach obecności Rosjan, na jednym z podwórek przy naszej ulicy, na stercie cegieł ze zburzonego budynku, z twarzą w gruzach leżał w mundurze zabity żołnierz niemiecki. Leżał kilka dni. Tę ofiarę wojny miałem długo, długo w oczach. Trzymałem się grupy chłopców. Nazywali mnie „chudzielec”, czego nie znośm, ale łączyła mnie z nimi tęsknota za ojcami. Żyliśmy w świecie kobiet, bez męskiego nadzoru.

Wraz z wiosną wróciły siostry. Pierwsza pojawiła się Janina. Płakała z radości i zmęczenia, opowiadała, jak przechodziła przez zamarzną Wisłę pod Płockiem, jak lód trzaskał, a ona do przodu, do przodu, do Łodzi, cały czas na nogach. Potem przybyła Irena, obolała, zapłakana. Witaliśmy ja wszyscy, też zapłakani, z trwoźnymi myślami o ojcu i bracie. Dom ożył. Irena z czułością odkurzyła i naoliwiła Singera. W mieście ruszyły szkoły. Janina zgłosiła się do gimnazjum. Ja zapisałem się do trzeciej klasy, ale po sprawdzeniu czytania, pisania i liczenia, otrzymałem skierowanie do piątej. Piąta klasa była zbieraniną różnych roczników. Gdyby nie wojna, byłbym już w siódmej. Siedziałem w jednej ławce z Witkiem, rozwiniętym i dojrzałym chłopcem, i on rozbudził mój uśpiony jeszcze erotyzm. Nasze seksualne zabawy odbywały się w ławce, albo w ubikacji. Później uciekałem od jego nieustającego popędu.

Irena wracała myślami do Angela. Przechowała jego fotografię z ćwiczeń wojskowych we Włoszech. Z trójki żołnierzy leżących przy karabinie maszynowym, ten z przodu to Angelo – pokazywała palcem. Kilka razy musiałem jej opowiadać, jak to było w wojenną wigilię, kiedy przyszedł w wojskowym szynelu ze strażnikiem niemieckim, a ja sam w zimnym mieszkaniu, bez jedzenia, bez matki, która jeszcze nie wróciła z miasta. To było smutne i dla nich i dla mnie. Rozkładałem bezradnie ręce, a oni sobie poszli. Tak opowiadałem, Irena płakała.

Ojciec wrócił latem z opowieściami o gospodarnej bauerce ze wsi pod Düsseldorfem, o tym, jak go chciała przy sobie zatrzymać. Te wspomnienia raniły popłakującą matkę. Nastąpiły konflikty. Ojciec udręczony jej chorobą umykał z domu. Znalazł sobie jakąś kobietę, która miała odwagę spacerować prowokacyjnie pod naszymi oknami. Nienawidziłem jej widoku, bo matka stale płakała.

Oczekując Jerzego, mojego brata, traciliśmy nadzieję jego powrotu, ale pewnego dnia, pod wieczór stanął w drzwiach jak widmo. Był tak wynędzniały, że wszyscy na jego widok wydali z siebie wielki szloch. Głęboko ukrył swoje przeżycia i nie chciał do nich wracać. Zaczął popijać, wyniósł się z domu i wkrótce ożenił.

W domu nastąpiła wyraźna poprawa materialna, choć długo jeszcze w jesieni chodziłem w połatanym, kraciastym płaszczu. Wątpliwą radość sprawiła mi nauczycielka, która w ramach pomocy UNRRA wręczyła mi amerykański płaszcz wojskowy. Musiałem go zmierzyć przed całą klasą i wysłuchać zachwyków nauczycielki, jak on dobrze na mnie leży, pasuje, nie wymaga poprawek. Paliłem się ze wstydu demonstrując płaszcz z przodu, z tyłu, z boku...

Piątek, 13 października

Zorganizowano wycieczkę do Nysy i Paczkowa, od pierwszej chwili z komplikacjami. Było sporo kandydatów, a „Orbis” przysłał mały autobus, bez przewodnika. Zamiast jechać do Nysy, czterdzieści osób musiało pojechać do Opoła, gdzie przewodnik się znalazł, ale ogłosił inny plan: przed Nysą zwiedzić mamy jeński obóz Łambinowice! Ruszyliśmy i pech, bo to trzynasty i w dodatku piątek. Przymusowy postój na szosie z powodu wypadku! Samochód osobowy znalazł się między trzema ciężarówkami wiozącymi komandosów. Oczekaliśmy, po czym bez niespodzianek dojechaliśmy do obozu. Historia jego powstania sięga 1864 roku. W czasie pierwszej wojny światowej był niemieckim obozem dla jeńców, w czasie drugiej wojny światowej był hitlerowskim obozem dla jeńców. Obejrzelśmy muzeum, film, cmentarze i pomnik. Po Łambinowicach Nysa – polski Rzym, jak powiedziała przewodniczka, potem Paczków – polskie Carcassone. Zwróciła uwagę na zabytki i wiele szczegółów „jedynych w Europie”.

Sobota, 14 października

W czwartek zostałem wybrany starostą, a starościna tęga i miła pani doktor psychiatra z pod Olsztyna. Też na leczeniu. Naszym dzisiejszym zadaniem było pożegnać sześć odjeżdżających osób z grupy. Wręczyliśmy bukiety zrobione z trawek i gałązek głogu oraz pamiątkowe karteczki. Na każdej z nich zrobiłem rysunek i wypisałem życzenia: np. „Drogiemu Panu Zbyszkowi, aby długo zachował myśli i uczucia zdobyte w Zamku”. Tutejsze pożegnania są zawsze wzruszające i ci, co odjeżdżają mają, w oczach łzy. To jest też forma psychoterapii dla tych co zostają. Pobyt w sanatorium oczyszcza.

Dziś przydzielono mi do pokoju lokatora, internistę rodem ze Skały koło Krakowa. Pokazał się na krótką chwilę. Zostawił małą walizeczkę i powiedział, że musi wrócić do Opoła, gdzie czeka go kilka niezłatwionych spraw. Mieszkał w Opolu, pracował w innej miejscowości, a do Mosznej wpadł przejazdem. W Sanatorium stawi się na dobre w poniedziałek.

Doktora Stanisława (tak miał na imię) odprowadziłem drogą na Łącznik (prawie 5 km) do autobusu. Rozmawialiśmy o trudach codzienności. Doktor narzekał. Ma zbyt dużo pracy, mało czasu dla siebie, dla rodziny i zmęczenie go nie opuszcza. Mówił o zatrutych wodach i powietrzu.

– Gdzie w Polsce może być jeszcze czysto? W lubelskim już nie. Koło Suwałk? Tam będą kopać rudę. Chyba koszalińskie... Powietrze w Opolu jest zrobione głównie z cementu. Puszcza Niepołomska uschła...

Niedziela, 15 października

Szósta rano! Porwałem ręcznik i w piżamie zbiegłem schodami do piwnic a, tam drzwi zamknięte. W rozpędzie zapomniałem, że dziś niedziela i ani biczków, ani solanek nie będzie. Wróciłem na górę, ubrałem dres i truchtem na ścieżkę zdrowia do lasu. Potem tusz, śniadanie i pranie skarpetek.

W zamku cisza, jakby wszyscy umarli. Dużo pacjentów znowu wyjechało do rodzin, a ci co zostali, spędzali przedpołudnie w łózkach. Ogarnęła mnie nuda. Próbowalem czytać opowiadania Iwaszkiewicza, ale książka wypadła z ręki i zwyciężył sen.

Na obiad przyszło niewielu. Wreszcie mogłem spokojnie przyjrzeć się jadalni. To pastelowe wnętrza wyłożone różowym marmurem i ozdobione stiukami wyobrażającymi greckich bogów zamknięte zostało przeszkloną ścianą, za którą soczysta zieleń palmiarni tworzy zaskakujące zestawienie kolorystyczne z bielami i różowościami wnętrza jadalni. Ciepłarnia-palmarnia, jakby sanatoryjny szyld wyrażony symbolicznie.

Mam z sobą arkusze papieru ze staroświeckim nadrukiem STARY TEATR im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie. Jako zbyt pretensjonalne, nie zdały egzaminu przy poważanych urzędowych pismach teatru. Ozdobna grafika przeszkadzała treści. W Mosznej, arkusze służą mi do codziennych notatek.

Poniedziałek, 16 października

Wrócił z Opoła współlokator, dr Stanisław, zmęczony, z bólem głowy.

– Mamy szczęście oglądać jeszcze błękit nieba – powiedział patrząc w okno. – Za pięćdziesiąt lat, jak twierdzą naukowcy, kolor nieba będzie brązowy.

Założył piżamę i położył się do popołudniowej drzemki.

Zaczęły się chłody. W słońcu jeszcze rozkoszne ciepło, ale cień wywołuje dreszcze. Dla spaceru wybrałem ogrzaną drogę do Łącznika, wśród pól, z kierunkiem na strzelistą wieżę kościoła. Mijały mnie dzieci na rowerach. Wracaly ze szkoły i każde mówiło „dzień dobry”. W zagrodach sterty kartofli przygotowanych do złożenia w kopce dają świadectwo dobrej gospodarki śląskiej. Czysto w obejściach, sprzęty na swoich miejscach. W sklepiku kupiłem żółtą koszulkę chińską i wróciłem do zamku. Doktor spał jeszcze, ale obudził się, gdy otwierałem skrzypiące drzwi szafy. Postanowił wstać na kolację.





Na „Wieczór bez telewizji”, który zaplanowaliśmy ze starościną, zebrała się grupa chętnych, więc po kolacji wyszliśmy na nocny spacer parkowymi alejami. Pełnia księżycy wysrebrzała unoszące się nad stawem mgły i wyraziście ukazała czarną sylwetkę zamku wystrzoną wieżami. Widok był niesamowity, jak z filmów Disneya.

– Disneyland – westchnęła jedna z pań odgadując moje myśli.

Doszliśmy do bramy lwów, a wracając, podziwialiśmy oświetlone okna zamku. W holu poruszenie. Dwie starsze panie biegły w bamboszach na górę, nie zwracając uwagi na wypastowane, śliskie schody. Z korytarzy wybiegały inne osoby z okrzykami „Polak papieżem!”. Popędziłem do pokoju. Wbrew naszemu hasłu „Wieczór bez telewizji” zasiadłem przed telewizorem, by zobaczyć jak Karol Wojtyła, już jako

Jan Paweł II, z balkonu bazyliki św. Piotra błogosławił zgromadzony na placu tłum.

Wtorek, 17 października

Sanatoryjny program zdominowany został tematem papieża Polaka. Od świtu, na hydroterapii o niczym innym nie mówiono. Nowa data w historii. Przy śniadaniu, panie zamieszkujące białe apartament ubolewały, że kardynał Karol Wojtyła przestał istnieć i teraz jako papież Jan Paweł II nie może przyjechać do Krakowa po swoje osobiste rzeczy i pożegnać się z najbliższymi. Na socjoterapii podkreślano doniosłość tego faktu. – To poruszyło wszystkich, zarówno partyjnych jak i bezpartyjnych. Wszyscy jesteśmy z tego dumni! – powiedział siwy pan zatrudniony na kierowniczym stanowisku w Zielonej Górze, z pewnością partyjny. Doktor Jawiński, nad którego głową, przyczepiony do sztukaterii na suficie wisiał śpiący nietoperz, zastanawiał się jakie to wydarzenie przyniesie za sobą konsekwencje.

Od obiadu do wieczora przekazywano sobie różne wersje różnych proroctw. Przepowiadano upadek wschodniego imperium, najazd Chińczyków, koniec świata.

Panie z białego apartamentu zaprosiły mnie do siebie, gdzie mogłem podziwiać gabinet hrabiny Thiele Winkler oraz kolorową telewizję, która nadała celebry z Kaplicy Sykstyńskiej.

Środa, 18 października

Zrobiłem rysunek kapliczki na wyspie z przeznaczeniem jako nagroda dla pacjenta naszej grupy, który najciekawiej spędził swój wczorajszy dzień. W czasie „społeczności” okazało się, że najlepsze nastroje z minionego dnia wyniosły cztery panie, które zawiązały swoje tajne stowarzyszenie, więc nagrodę musiałem określić jako zespołową. Powstał dylemat: każda z tych pań chciała ten rysunek. Obiecałem spełnić prośby i dorobić jeszcze trzy inne.

Podczas rozmowy w „cztery oczy” dr Jawiński pokazał mi testy rysunkowe. Na kilku arkuszach wypełnionych równej wielkości kolorowymi kropkami musiałem szukać cyfr z tych kropek ułożonych. Trudne zadanie, ale mrużąc oczy, wypatrzyłem jedną cyfrę, drugą, z trzecią były problemy. Na innych

arkuszach, w kleksach i plamach, zobaczyłem człowieka w grocie. Doktor ocenił to odkrycie jako pozytywne, że w abstrakcyjnej maziarianie wskazałem formę ludzką. Podobno inni pacjenci widzieli płomienie, wybuchy, obrazy katastroficzne.

Nietoperz wisiał jeszcze na suficie, ale w innym miejscu. W nocy napaskudził na stół. Dziś wieczorem będzie wypędzony. Wleciała też sikorka przez otwarte okno, pokręciła się wokół lampy i wyfrunęła.

W lesie mgła, a zamek ponury. Dzień robi się krótki, o szesnastej szarówka. Zziębnięty skierowałem kroki do „Amazonki” z myślą o gorącej herbacie z cytryną. Zastałem w niej współlokatora zajętego schabowym kotлетem. Zauważył mnie, kiedy usiadłem przy jego stoliku. Opowiedział o księdzu z naszej grupy. Domyśliłem się o kogo chodzi. Wśród pacjentów zachowana jest anonimowość, ale księdza bez sutanny rozpoznałem, bo mówił kiedyś o stosunkach międzyludzkich, o miłości bliźniego. Cierpi na brak równowagi, zawroty głowy, kuracja sanatoryjna niewiele mu pomaga. Współlokator, jako doktor internista pragnie zająć się nim osobiście.

Czwartek, 19 października

Deszcz szumiał całą noc, rano jeszcze siąpił. Nie wyszedłem na ścieżkę zdrowia, bo musiała być cała mokra. Gimnastyki leczniczej nie było, nauczyciel yogi nie dojechał z Opoła. Zabrakło borowiny. Po prostu taki nieudany dzień. W zastępstwie borowiny zastosowano mi elektryczne iskry czyli jonoflux. Po obiedzie spacer po błocie i w oparach. Długo przyglądałem się sarnom. Całe stado wyszło z lasu na wilgotną łąkę.

Piątek, 20 października

Księżyc jaśniał jeszcze na bladym niebie gdy zaczynałem gimnastykę, w lesie, ale pół godziny później, kiedy ją kończyłem, słońce wschodziło za drzewami. Dr Jawiński zajęty od paru dni grupą trenerów sportowych nie miał dla mnie dużo czasu, a mimo to zaprosił do swego mieszkania. Pokazał swoje prace. Rzeźbi ciekawe figurki z drewna. Podobał mi się wycięty z gałęzi brodaty żyd o zielonych oczach. Rozłożył ręce na bok, jakby do lotu. Przypomni mi obrazy Chagalla.

Po kolacji, w zamkowej kawiarni posiedziałem ze współlokatorem, doktorem Stanisławem i księdzem. Doktor załatwił księdzu dalsze leczenie w pobliskiej klinice. Już jutro ma tam pojechać. Teraz był w dobrym nastroju, opowiedział dowcip:

– Procesja szła drogą, gdy mały ministrant idący przed księdzem zauważył nagle koguta, który wskoczył na kurę i tarmosił ją. Zdziwiony zapytał księdza dlaczego ten kogut siedzi na kurze? Ksiądz odpowiedział, że wszedł na kurę po to, aby lepiej zobaczyć procesję.

Po chwili opowiedział drugi, o tym jak wydekoltowana aktorka Kalina Jędrusik jechała w jednym przedziale kolejowym z piłkarzem Włodzimierzem Lubańskim. Siedzieli vis à vis i jedli śliwki. W pewnym momencie zauroczony Kaliną Lubański strzelił pestką między jej piersi. – Jeden zero – wykrzyknął. Kalina Jędrusik zaskoczona, zastanowiła się i po chwili z uśmiechem strzeliła mu pestką między nogi. – Jeden jeden, remis! – odparła. – W dalszym ciągu jeden zero! – poprawił ją Lubański – bowiem strzeliła pani w słupek!

Sobota, 21 października

Rano, w czasie licznych zajęć i zabiegów, gdy pędziliśmy od sali do sali w pośpiechu, ksiądz opuścił sanatorium. Wyjechał bez pożegnania. Właśnie rozmawiałem z dr Stanisławem na jego temat, gdy do drzwi ktoś zapukał i do naszego pokoju wszedł partyjny z Zielonej Góry z prośbą o lekarską poradę. Swędzą go

stopy. Od kilku lat. Czasem swędzą tak mocno, że musi zdejmować buty i drapać skórę. A nie jest to ani grzybica, ani świerzb.

Żał mi doktora. Przyjechał na odpoczynek, a pracuje tu z pełnym poświęceniem. Dopiero po południu wyrwał się z objęć obowiązków i mogliśmy wyjść na spacer. Pokazałem mu cmentarzyk, a potem dotarliśmy do „Amazonki” rozgrzać się kieliszkiem wiśniówki. Rozgadaliśmy się na temat dzieci. Doktor, przywołując przykład córki i syna mówił:

– Mają wszystko, czego zapragną, a mimo to są znudzone!

Wspomnieliśmy własną, inną młodość przeżytą w złych i pełnych niedostatku czasach.

Dr Jawiński pożyczył mi nowy przekład „Księgi rodzaju”, dokonany z hebrajskiego przez Artura Sandauera. Zacząłem czytać, czytał też dr Stanisław. Chyba pod wpływem tej lektury, leżąc już w łózkach, przy zgaszonym świetle, rozmawialiśmy długo o wszechświecie. Ten temat wreszcie nas uśpił.

Niedziela, 22 października

Jak to szybko się stało, jak nagle się zmieniło! Polska telewizja poświęciła trzy godziny sprawom kościoła. Doktor siedział w fotelu, ja na kanapie i nabożnie skupieni oglądaliśmy uroczystość inauguracji pontyfikatu Jana Pawła II w Rzymie. Ile wzruszeń może wywołać zniechęcony telewizor! Podczas podniesienia i błogosławieństwa z mieszanymi uczuciami klękałem w modlitwie przed telewizorem. Robił to też doktor. W tym akcie wiary było coś absurdalnego – padać na kolana przed technicznym pudłem – ale czułem potrzebę zjednania się z tym klękającym tłumem na Placu św. Piotra, z delegacją z Krakowa. Co przeżywali w tym czasie przyjaciele z Krakowa, Janina Garycka, która znała osobiście kardynała?

Poniedziałek, 23 października

O świcie stało się coś dziwnego z ogrodem, gdy biegłem środkiem alei wyścielonej żółtym dywanem liści. Za szeregami drzew, z nad kanałów po prawej i lewej stronie unosiły się opary, a w dalekiej perspektywie granitowy cokół ze zwalonego pomnika wyglądał jak mensa ofiarnego ołtarza. Tam była jasność, do której zbliżałem się w czasie biegu. Zza mgieł dochodziły stłumione chóry pielgrzymów z opery Wagnera. Bieg stawał się lżejszy im bardziej ulegałem tej sugestii, do momentu, gdy cokół pojawił się przede mną. Miał fryz rzeźbiony w liście dębu, w zgodzie z muzyką Wagnera.

Przyjechała Regina Smendzianka z koncertem fortepianowym. Poproszono bym zajął się kaplicą. Palmy i filodendrony dałem na lewą stronę, fortepian nieco na prawo. Ozdobiliśmy kaplicę bluszczem. Były kłopoty z krzesłem do fortepianu. Wszystkie przyniesione siedzenia były dla pianistki za niskie. Poszedłem do biblioteki i od Moniki wziąłem toczony krzesło, na którym ułożyliśmy „poduszki” z koców. Pani Regina usiadła, przymierzała się do instrumentu i stwierdziła, że wysokość była już dobra. Nie wyglądało to pięknie. Smendzianka w srebrzystej, długiej sukni a na stołku zwinięte kraciaste koce, ale przecież nie to było ważne na koncercie.

Doktor Stanisław wyjechał do Opola załatwić akumulator do samochodu.

Wtorek, 24 października

Doktor Stanisław przyjechał z Opola późnym wieczorem. Roztrzęsiony od zimna położył się do łóżka. Przyniosłem kolację, której nie tknął. Łykał proszki, mierzył temperaturę, ale gorączki nie miał. Mówił jak pokazały mu się gwiazdy w oczach! Źle, gdy chorują lekarze i nie wiedzą, co im jest. Stanisław upatrzył przyczynę w biczach wodnych. Potem winę zwałał na wypite cztery kawy.

Środa, 25 października

Doktor jeszcze słaby poleguje w łóżku, ale już lepiej. Ma duże wzięcie wśród pań. Od czasu jak ze mną zamieszkał, pokój jest pełen pacjentów do przebadania, ostatnio znerwicowanych pań. Panie znerwicowane, rozerotyzowane, a już nie pierwszej młodości. Przesiadują na kanapie, kopcą papierosy, ale ja wtedy wychodzę do lasu.

Czwartek, 26 października

Na temat papieża krąży już po sanatorium dowcip: Jan Paweł II będzie co miesiąc przyjeżdżał do Polski aby odebrać bony na cukier.

Kompletuje potrzebne do malowania rzeczy. Udało się kupić w Zielinie białą farbę emulsyjną. Posłuży do gruntowania płyt pilśniowych. Sprzedawczyni powiedziała, że mam wyjątkowe szczęście. Bieli brakuje, a sklep otrzymał właśnie dwadzieścia puszek! Mam już pędzle, farby artystyczne, terpentynę. Olej lniany spróbuję kupić w sanatoryjnej aptece.

Dr Adam Jawiński podarował mi wyrzeźbionego przez siebie człowieczka. Trudno orzec, czy to Chrystus czy jakiś inny zadumany mężczyzna...

Piątek, 27 października

Przepiękny dzień! Łaziłem po lasach, po nagranych polanach, a co chwilę przemykał jeździec na koniu. Skierowałem się ku stadninie, potem dalej poszedłem aleją gladiatorów, minąłem bramę z posągami i znalazłem się w lesie wyjątkowo urodziwym. Napotkany kamień z napisem niemieckim poinformował, że las ten przez grafa Thiele Wincklera był posadzony.

Żonie partyjnego z Zielonej Góry ofiarowałem rysunek przedstawiający cmentarz w Mosznej. Dziękowała i dziękowała.

Sobota, 28 października

Dziś miałem opuszczać sanatorium, ale przedłużono mi pobyt do szóstego listopada, z czego się cieszę. Mam dobre samopoczucie, nabrałem sił i podobno uśmiecham się, co znaczy powrót do zdrowia. Dużo się tu nauczyłem, np. świadomej kontroli zachowania, a więc ego.

Wyjechała znerwicowana geodetka. Nie poddała się zabiegom, więc nie bardzo pomógł jej pobyt w sanatorium. Zrozumiała swój błąd w ostatniej chwili. Odjeżdżała z żalem.

Po obiedzie usiadłem do malowania. Dawno tego nie robiłem, bo praca w teatrze pochłaniała zbyt dużo czasu, nie dawała luzu dla malowania. Tu zacząłem cztery obrazy: z tematem alei parkowej wysadzonej starymi, leczonymi lipami i trzy pozostałe będą z jesiennymi bukietami.

Niedziela, 29 października

W lesie na spacerze. Wycięto kilka drzew i wyciągnięto korzenie. Pod nimi, w świeżym czarnoziemiu, pokazało się dużo owalnych kamyczków, prawie przezroczystych, jakby półszlachetnych. Gdy zbierałem te kamyczki, nadszedł dr Jawiński z córeczką. Oni też na niedzielny spacerze. Pokazałem minerały, on się śmiał, bo córeczka też kamyczki zbiera, ale inne. Czyżbym ja, dorosły, objawił cechy infantylne?

Resztę dnia poświęciłem malowaniu. Mam klucz do oddzielnego pomieszczenia, tam farby i pędzle. Malując jesienny bukiet z myślą o prezencie dla dr Adama, postanowiłem obraz połączyć z testem psy-

chologicznym. Doktor będzie musiał odkryć na obrazie dwie twarze. Będzie patrzył na kolorowe liście, jesienne jagody, gałązki, ale czy odnajdzie twarze? Aby je dostrzec, będzie musiał w inny sposób spojrzeć na obraz, odrzucić jego przedmiotowość...

WOJEWÓDZKI OŚRODEK
PROFILAKTYCZNO-SANATORYJNY
w M O S Z N E J
47-370 P-TA i TEL. ZIELINA 18
POW. KRAPKOWICE

MOSZNA, dnia 9.11. 197 8 r.
L. Ks. Gł. 1381/78

KARTA INFORMACYJNA
leczenia szpitalnego

Nazwisko i imię Wiśniak Kazimierz lat 47
Przebywał w szpitalu od 3.10.78 do 9.11.78 na oddziale III
rozpoznanie
Neurosis neurasthenica.



1979 r. Odwiedziny w Mosznej. Od lewej: Kazimierz Wiśniak, muzykolog Marian Wallek Walewski i dr Adam Jawiński



W tym miejscu zapiski z dziennika się kończą. Reszta zaginęła. Z sanatorium wyjechałem 9 listopada 1978 r. Wróciłem do Krakowa pełen dobrej energii, myślami powracając do lekarzy i przyjaciół w Mosznej.

Nie minął tydzień, jak czytając gazetę natrafiłem nekrolog: dr med. Andrzej Hessek nie żyje... Ten wspaniały, który skierował mnie do Mosznej, bym wyzdrowiał, zmarł nagle w wieku 51 lat...



Pracowałem z wieloma wybitnymi reżyserami, ale najbliższy memu sercu był Henryk Tomaszewski, twórca niezwyklej sztuki widowisk bez słów. Był mistrzem ujawniania stanów wewnętrznych człowieka za pomocą ruchów ciałem, gestów, mimiki. Jego teatr, jedyny w swoim rodzaju, teatr elitarny, nie znał barier językowych, co sprzyjało wędrowce po scenach świata. Z każdego zagranicznego wojażu wracał Tomaszewski obładowany książkami. Były poświęcone sztuce, wszelkim jej dziedzinom. Przeglądał uważnie reprodukcje, analizował, gdy wypatrył coś interesującego – między strony zakładał karteczkę z informacją. Potem, w czasie rozmów o teatrze, otwierał przede mną albumy w zaznaczonych miejscach, wskazując na pozy i napięcia w rzeźbach Rodina, czy niezwykle światło oblewające grupę postaci w „Śnie Osjana” Ingresa. Obrazy inspirowały, a wyobraźnia ożywiała namalowane sceny, poruszała postaciami. Bóg Michała Anioła stworzył człowieka, tchnął w niego życie i masywny Adam, otwierając oczy na piękno raju, powoli uruchomi swoje ciało, a będzie to trwało długo, nim powstanie i uczyni pierwszy krok.

Kiedy Tomaszewski opowiadał mi treść nowego programu, dla wyrazistości uzupełniał słowa ruchem. Wcielał się w przeróżne ludzkie indywidua. Od ruchów ilustrujących męskość przechodził do miękkich i delikatnych, przynależnych kobiecie, albo do tych budzących się, unoszących i opadających powolnie, jak we śnie, przypisanych istotom nierealnym. Odgrywając przede mną swój teatr wyłącznie środkami mimicznymi, przedstawiał galerię osób – bohaterów niemego dramatu. Sugerował muzykę widowiska. On ją słyszał, intonował, demonstrując jednocześnie ruchy tą muzyką wywołane. Obserwował przy tym moją reakcję, o której wypowiedział się w miły dla mnie sposób: „Przygotowania do premiery bywają nieraz bardzo trudne. Z Wiśniakiem wszelkie trudy ponosi się przyjemniej. Najbardziej lubię jego przejście się nowym zadaniem. Kiedy po raz pierwszy opo-



Henryk Tomaszewski, twórca Wrocławskiego Teatru Pantomimy. Fot. Janusz Stankiewicz



Niemiecki plakat Euro Studio z fotosem Erwina Nowiaszaka

wiadam mu swój pomysł, bywa, że Kazio przyjmie go tak jakoś »patrząc przez ramię«. Potem – po krótszym, czasem dłuższym czasie – przychodzi błysk zapału. I wtedy myślę: „Aha, złapało! Teraz posypią się znakomite pomysły...” (Tomaszewski „Błysk zapału” Teatr, luty 1994).

Inscenizację „Gry w zabijanego” Tomaszewski powtórzył w niemieckim Euro-Studio Landgraf w sezonie 1986-87. Pozwoliłem wtedy na wykorzystanie moich kostiumów i pomysłu dekoracji, ale nie byłem przy realizacji. Zaproszony do gościnnych występów Erwin Nowiaszak powtórzył rolę, osiągając większy niż we Wrocławiu sukces, tam bowiem wskazano go jako jednego z najlepszych aktorów niemieckiego teatru. Był to powód do stałego pozostania Erwina w Niemczech. Do Polski już nie wrócił. Po oszałamiającym sukcesie „Die Geschichte der glücklichsten Stadt” (niemiecki tytuł „Gry w zabijanego”), po kilku sezonach grania przy wypełnionych widowniach publiczność nagle odwróciła się tyłem, sale opustoszały. W latach osiemdziesiątych zaczęto mówić o AIDS i Niemcy nie chcieli w teatrze zbyt dotkliwych analogii. Inaczej było w Polsce. Przedstawienie zawiesiła cenzura, Ionesco podpisał protest przeciwko nieposzanowaniu praw człowieka w krajach obozu komunistycznego.



*Samuraj, XIX w. Japonia, Kioto.
Fot. Wojciech Zawadzki*



Badekinder, porcelana, XIX w.

Marzenie Henryka o stworzeniu muzeum zabawek urzeczywistniła wiceburmistrz Karpacza Elżbieta Sedlak. Wraz z burmistrzem Józefem Piotrowskim wskazali mi parterowe pomieszczenia dawnej stołówki zlikwidowanego pensjonatu. Wykonałem plany przebudowy i projekt ekspozycji. Miejscowy Lady's Club zebrał sporą kwotę na remont, miejscowy stolarz precyzyjnie zbudował gablotki, miejscowy szklarz wprawił szyby. Potem były same przyjemności. Krzątaaliśmy się w trójkę przy urządzaniu sal. Stefan Kayser znosił pakunki, Henryk je otwierał, ja malowałem gabloty-domki, w których lalki miały zamieszkać. Gdy słyszałem okrzyki zachwytu, rzucałem pędzle i biegłem popatrzeć, co Stefan z Henrykiem wydobywali z opakowań. I też wpadałem w zachwyt, widząc na przykład zestaw lalek japońskich w eleganckich kimonach obok szmacianych przekupek krakowskich. Henryk opowiadał, skąd lalki pochodziły. Samuraja dostał w Kioto, a szmacianki z dwudziestolecia międzywojennego kupił w Krakowie, w sklepie „Sztuka ludowa” przy ul. Brackiej. Przypomniałem sobie ten już nieistniejący sklep w pałacu Potockich. Wewnątrz stały zakurzone manekiny z poobtrącanymi nosami, ubrane w stroje krakowskie. Gorsety wisiały rzędem u sufitu. Było dużo haftowanych wstążek, koraliki z dmuchanego szkła, pudełek z cekinami i różnymi innymi świecidełkami. Na wystawie zwracało uwagę przechodniów wesele z „Pana Tadeusza”. Jankiel grał na cymbałach, a pary tańczyły poloneza. Te lalki zabezpieczała przed kurzem szklana gablota. Henryk chciał kupić to wesele, ale sklepikarka Stanisława Targalska wyjaśniła, że gablotę zamówił premier Józef Cyrankiewicz. Zamówił, ale nigdy nie wykupił.



Logo projektu Kazimierza Wiśniaka



Przekupki na lanckorońskim rynku, XX w. Kraków. Fot. Wojciech Moniatowicz

I tak bawiliśmy się doskonale przez kilka tygodni, aż do otwarcia muzeum w dniu 5 listopada 1994 roku. Wtedy wobec licznie zgromadzonych gości i oficjeli Karpacza ofiarodawca zabawek wyznał, że przez wiele lat gromadził zbiory po to, by kiedyś udostępnić je dzieciom. Przekazanie zbiorów miastu Karpaczowi potwierdził odczytany akt notarialny. Wreszcie strzeliły szampany, przecięto wstęgę i tłumnie wkroczone do sal ekspozycyjnych, by po raz pierwszy obejrzeć zbiory w pełnej iluminacji... wtedy nagle zgasło światło i już nie zapaliło się tego wieczoru. Awaria. Na otwarcie przybył z dwójką synów ksiądz Edwin Pech, proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej przy kościele Wang. Drugi proboszcz, także parafii ewangelicko-augsburskiej w Cieplicach, ksiądz Alfred Neumann dzięki zapalanej świeczce wpisał do pamiątkowej książki: „A teraz zostaje wiara, nadzieja i miłość (Kor. 13,13). Ofiarowany zbiór zabawek jest dowodem wielkiej miłości do dzieci – naszej przyszłości”. Pryczyną ciemności były wiatry o prędkości ponad 120 km na godzinę. Podobno na Szrenicy zabrakło skali na wiatromierzu. Powalone drzewa zerwały kilkadziesiąt linii średniego napięcia i pozbawiły światła Karpacz i okolice. W ogrodzie Tomaszewskiego runęły cztery sędziwe świerki i płot wokół domu... Ale wracając do zabawek, to od pierwszych dni swojej działalności muzeum miało liczną grupę przyjaciół. Pamiętam, jak codziennie przychodził ten sam chłopak z sąsiedztwa i wystawał przed zamkniętymi jeszcze drzwiami, cierpliwie czekając na otwarcie. Kupował bilet i biegł do oświetlonych gablot. Zachwycał się ruchomą szopką krakowską. Nazywał ją zamkiem i dużo czasu spędzał na jej oglądaniu. Po kilku dniach Tomaszewski nakazał kasjerce, by wpuszczała chłopca bez biletu: – Za dwadzieścia lat może podejmie tu pracę. Na razie ma wolny wstęp... – mówił.



Może zastanawiać niechęć Tomaszewskiego do pracy w Warszawie, bowiem dopiero w 1999 roku na małej scenie Teatru Narodowego wyreżyserował „Traktat o marionetkach” na podstawie filozoficznego eseju Heinricha von Kleista. Opracowałem scenografię bardzo wierną epoce romantyzmu, Zbigniew Karnecki z Wrocławia był twórcą muzyki. Czterdziestopięciominutowy, edukacyjny spektakl demonstrował



Afisz na ulicznym słupie w Warszawie, 2000 r.
Fot. Kazimierz Kowalczyk

różne rodzaje teatru: dramat, pantomimę, balet, marionetkę, także szermierkę. Warszawska krytyka teatralna wskazała przedstawienie jako wydarzenie sezonu. Była to pierwsza i ostatnia reżyseria Tomaszewskiego w Stolicy.

W ciągu czterdziestu lat przyjaźni z Henrykiem opracowałem trzydzieści cztery scenografie do jego pantomim, reżyserii dramatów i jednego musicalu, realizowanych w kraju i za granicą. Nie wszystko z tych przedstawień utrwaliła pamięć. W porównaniu z malarstwem, rzeźbą czy filmem pantomima i wspomagająca ją scenografia to sztuki ulotne. Ich oddziaływanie kończy opadająca kurtyna. Śmierć Tomaszewskiego zakończyła żywot jego teatru. Wrocławski Teatr Pantomimy i jego Twórca przeszli do historii.



Henryk Tomaszewski urodził się... no właśnie! Encyklopedia PWN, Warszawa 1976 podaje rok 1924. Archiwum Państwowej Opery we Wrocławiu przechowuje pisane ręką Tomaszewskiego dwa jego życiorysy. W jednym z 1950 r. data urodzin to 20.11.1922 r. w Poznaniu, w drugim z 1954 r. wpisał 20.11.1919 r. W Archiwum Miasta Poznania są kartoteki ewidencji ludności z lat 1871-1931 i zawierają zapis: Henryk

Karol Robert König ur. 20.11.1919 r. w Poznaniu. A więc rok 1919!

Pochodził z osiadłej w Wielkopolsce rodziny niemieckiej. Matka Hedwig Jakisch słabo władała polskim, ojciec Kazimierz König miał rodowód polsko-niemiecki, bowiem matka jego była z domu Tomaszewska. Pierworodny syn Königów, Johannes był siedem lat starszy od Henryka. W domu rozmawiano w dwóch językach, ale dominował niemiecki. Mieszkali w Poznaniu przy ul. Marszałka Ferdinanda Focha. Podobnie jak starszy brat zatrudniony w firmie G. Heine, Henryk był kształcony na handlowca. Po ukończeniu gimnazjum im. Adama Mickiewicza jeszcze dwa lata uczył się w liceum z wydziałem ekonomicznym. Uzyskał maturę w 1938 r. „W nagrodę za postępy w nauce ojciec kupował mi bilet do teatru. W ten sposób świat sceny pochłaniał mnie coraz bardziej” – wspominał Tomaszewski po latach. W życiorysach złożonych w Operze Wrocławskiej napisał, jak po śmierci ojca w 1942 r. wyjechał (prawdopodobnie z matką i bratem) do Niemiec i tam pracował w fabryce papieru w Nauen, na zachód od Berlina. Matka z synem Johannesem określili się jako Niemcy i zamieszkali pod Monachium. W 1945 r. Henryk wrócił do Polski. Od babki ze strony ojca przejął nazwisko Tomaszewski. Skierował się do Krakowa. Na pierwszy kurs Studium Dramatycznego Iwo Galla w 1945 r. zgłosiło się 88 słuchaczy. Wśród nich był Henryk Tomaszewski, Gustaw Holoubek, Kazimierz Dejmek, Barbara Krafftówna. Studio działało zaledwie rok. Poza studiem udzielał się w Polskim Teatrze Akademickim. Zaprezentował w nim solową etiudę: „Stracha na wróble” nękanego przez ptaki siadające na jego głowie i rękach. W Krakowie istniały prywatne szkoły tańca. Henryk uczęszczał do wielu. „Ostatnią była szkoła prowadzona przez Lili Halamę, żonę Feliksa Parnella. W ten sposób dostałem się do jego baletu” – wspominał. W międzyczasie zarabiał na życie np. w teatrze dla dzieci Wesoła Gromadka. Wśród odtwórców zwierząt grał Jeża. Tańczył też w nocnym lokalu Cyganeria.

Tak było w Krakowie. Praca w Baletach Polskich Feliksa Parnella męczyła objazdami miast, ale już wiosną 1948 r., namówiony przez tancerkę Henrykę Stankiewiczówną zaangażował się do Państwowego Teatru Dolnośląskiego który poszukiwał tancerzy. Zachwyił debiutem: rolą Pawia w nowonapisanym balecie Tadeusza Szeligowskiego „Paw i Dziewczyna” w choreografii Zygmunta Patkowskiego. „Byłem tancerzem kwalifikowanym do nurtu tańca wyzwolonego, coraz więcej zalet odkrywałem w rolach charakterystycznych” – powiedział o swoich początkach dla telewizji w 1998 r. Następne wrocławskie sukcesy to Diabeł w „Panu Twardowskim” Ludomira Różyckiego i Chińczyk w „Czerwonym maku” Reinholda Gliera.

Na scenie Opery Wrocławskiej wystąpił w jedenastu rolach, ostatnią był Roderyk w „Rajmondzie” Aleksandra Głazunowa. Była to wiosna 1955 r. W maju miał się odbyć V światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie. Związek Młodzieży Polskiej nie zgłosił kandydata do konkursu pantomimicznego i dopiero w ostatniej chwili przypomniano Tomaszewskiego, który szybko przygotował etiudę „Wirtuoz” („Pianista”). Międzynarodowe jury przyznało mu srebrny medal. Odniesiony sukces zachęcił Tomaszewskiego do tworzenia własnego zespołu pantomimy. Pomoc udzielił mu dyrektor artystyczny Państwowych Teatrów Dramatycznych we Wrocławiu Jakub Rotbaum i oddał jedną salę Teatru Polskiego dla potrzeb powstającego Studia Pantomimy. Zespół tworzyła grupka aktorów i tancerzy. Zaproszona 4 listopada 1956 r. publiczność obejrzała pierwszy program. Nie miał tytułu. Wypełniały go cztery pantomimy: „Skazany na życie”, „Dzwonnik z Notre Dame”, „Płaszcz”, „Bajka o murzynku i złotej królownie”. Henryk Tomaszewski wystąpił w pierwszej, w roli Pająka i w trzeciej jako Arkadiusz. Scenografię i kostiumy opracowali: Jadwiga Przeradzka i Aleksander Jędrzejewski.

W 1957 r. Tomaszewski wystąpił na VI światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów w Moskwie, zdobywając dwa złote medale i dwa pierwsze miejsca. Te nagrody, na tym akurat festiwalu miały ogromne znaczenie, bowiem 1 stycznia 1958 r. Prezydium Rady Narodowej miasta Wrocławia upaństwowiło Studio Pantomimy, nadając mu nazwę Miejski Teatr Pantomimy, uściślona po roku na Wrocławski Teatr Pantomimy.



„Tragiczne gry” według „Der Tod einer Puppe” Ferdinanda Brücknera były ostatnim tematem mojej pracy scenograficznej we Wrocławskim Teatrze Pantomimy. Premiera odbyła się w dniu moich urodzin 11 grudnia 1999 r. a Henrykowi od niedawna liczył się osiemdziesiąty rok życia. Miał sprawny umysł, wewnętrzną żywotność, ale zbolące nogi ograniczały poruszanie. Myślał o nowym widowisku inspirowanym powieścią Austriaczki Vicki Baum „Ludzie z hotelu”. Miał już notatki, pracował nad scenariuszem.

W nocy z soboty na niedzielę 23 września 2001 r. zmarł w szpitalu w Kowarach. Prochy spoczęły na historycznym cmentarzu przy kościele Wang w Kar-



Epitafium na grobie Henryka Tomaszewskiego, wyrzeźbione w drewnie przez Ryszarda Zajęca. Rys. Kazimierz Wiśniak

paczu. Epitaforium wyrzeźbione w drewnie przez Ryszarda Zajęca z Jeleniej Góry nawiązuje do mitologii Wikingów. Walczące z sobą wielogłowe hybrydy rozdziela krzyż.

Henryk Tomaszewski wstąpił do kościoła ewangelicko-augsburskiego w 1992 r. Znał bardzo dobrze Pismo Święte, dzieła Marcina Lutera czytał w oryginale.



Przedstawienie teatralne to efekt zbiorowej pracy na zadany temat, najczęściej wieczorami pokazywany publiczności w niezmiennym układzie. W procesie tworzenia przedstawienia reżyser, scenograf, aktorzy uzależnieni od tekstu dramatu oddają się dobrowolnie w niewolę wyobraźni autora sztuki dramatycznej. Wypełnialiśmy przestrzeń sceniczną realizacją idei dramatu. Kierował tym reżyser, a my jemu posłuszni wykonywaliśmy jego polecenia.

Skazany na niewolniczą pracę w teatrze, byłem uzależniony od jego magii. Trwała ciężka praca w ciemnościach i sztucznych światłach. Męczyła, gdy na zewnątrz rozkwitały w słońcu drzewa – bo cóż może być piękniejszego od natury?

Realizowałem swoje projekty dla scen krajowych i zagranicznych przez ponad 40 lat. W samym Krakowie wiązały mnie etaty: w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, skąd przeszedłem do Starego Teatru, ze



*Ewa Cisowska z Kazimierzem Wiśniakiem
w okolicach Rzepedzi, 1996 rok*

Starego do Bagateli, gdzie 5 lat byłem dyrektorem, potem wróciłem do Słowackiego i znów do Starego, w którym dotrwałem do emerytury. Wykonałem około 250 scenografii. Podczas pracy w teatrze nawiedzała mnie często tęsknota za wolnością malowania, tylko dla własnej przyjemności. To marzenie pomogła mi zrealizować mieszkanka Krosna, Ewa Cisowska. Skończyła Wydział Architektury wewnątrz Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Ten sam, który zacząłem, ale nie skończyłem, bo przeniósłem się na scenografię. Ewa zachęciła mnie do przyjazdu na październikowy plener malarski w Bieszczadach, organizowany przez Ministerstwo Kultury, Urząd Wojewódzki w Krośnie i tamtejsze Biuro Wystaw Artystycznych.

Nie licząc się z konsekwencjami, porzuciłem na dwa tygodnie dyrektorowanie teatrem Bagatela i stawilem się w Krośnie na ściśniętym murami miejskimi zabytkowym wzgórzu. Spodobał mi się brukowany rynek, czternasto-

wieczny kościół farny Świętej Trójcy, zawsze odbudowywany po licznych pożarach. Na dzwonnicy Urban, podobno drugi co do wielkości dzwon po krakowskim Zygmuncie. Mury pękają, ale pocziwe, trzymają ciężar tego dzwonu. Wewnątrz kościoła, w jednej z kaplic schyliłem głowę przed starym obrazem przedstawiającym mojego Patrona, św. Kazimierza. Najczęściej trzyma lilię ten Święty, symbol czystości, a tu palmę, atrybut męczenników. Dwudziestosześcioletni królewicz chory na gruźlicę zmarł w drodze z Wilna na sejm do Lublina. Na innym obrazie – Memento Mori – wszelkie rzeczy ziemskie są marnościami – podziwiałem talent malarza w przedstawieniu precyzyjnym niezliczonej ilości robaków i owadów wędrujących po ciele nieboszczyka złożonego na białym całunie. Takie owady też chciałbym malować... Tropy funeralne podjęła

Ewa Cisowska i nakazała odwiedzić kościół oo. Franciszkanów, gdzie godna uwagi jest kaplica nadgrobną przyrodniczego rodzeństwa Anny i Stanisława Oświęcimów. Łączyła ich głęboka miłość, i aby uzyskać od papieża dyspensę na ślub, Stanisław wybrał się do Rzymu. W tym czasie Anna, oczekując powrotu ukochanego, zmarła z tęsknoty. Po powrocie zrozpaczony Stanisław ufundował kaplicę. W krypcie złożył zwłoki siostry, a że była piękna długo po śmierci, nakazał w wieku trumny wyciąć prostokątny otwór i oszklić. Mógł podziwiać jej urodę przez 10 lat, aż do kresu swego żywota w 1657 roku.

Z Krosna odwieziono grupę malarzy do Baligrodu, i dalej na południe do miejscowości Bystre, gdzie zaczynały się Bieszczady. Dzika rzeka, dzikie lasy, góry i otaczająca cisza poderwały mnie do malowania. Tak się zaczął Międzynarodowy Plener Malarski – Bieszczady 1986. Poznałem tam Janusza Cywickiego, a on na inne plenery mnie zaprosił, nad San, w których uczestniczyłem od 1987 roku i nadal tam bywam. Plenery nad Sanem opisałem w dziennikach wydanych w 2010 roku przez Galerię Sztuki Współczesnej w Przemyślu; zaopatrzone fotografiami Grażyny Niezgody, reprodukcjami moich obrazów tam namalowanych, z atrakcyjnym układem graficznym Zbigniewa Karaszewskiego stanowią książkę „Jak powstaje obraz”. Miała dobre recenzje, Obrazy z Bystrego sprzedałem. Jeden z nich wyjechał z właścicielem Wiesławem Sobczakiem do Montrealu.

Malowałem od zarania, już jako dziecko w szkole podstawowej. Bardzo to lubiłem. Prawdziwy smak malarstwa odczułem na plenerach. Zmieniające się pejzaże o różnych porach dnia, światło poranka, światło przedwieczne czyniło cuda. Pomyślałem – tyle lat w Piwnicy pod Baranami, w teatrze, w ciemnych pomieszczeniach, a tu wszystko takie piękne! – Malarstwo wyprowadziło mnie z tego piwniczno-teatralnego życia, pozwoliło wyrazić ogromną radość wobec natury. W Lanckoronie miałem mały domek. Spędzałem w nim wolne dni a przede wszystkim wakacje. Codziennie rano, zanim zjadłem śniadanie, wychodziłem do ogródka sprawdzić, co się w nim przez noc zmieniło. Zawsze odkrywałem zmianę. Jeden kwiatek rozkwitł, inny dopiero co wychylił łebek z ziemi, a jeszcze inny żegnał się już z życiem. Łaziłem godzinę, może dwie. Posiedziałem chwilę na mchu pod drzewem, słuchałem, jak ptaki śpiewały. Czasem przybiegła wiewiórka, kot sąsiadów wpadł z wizytą, jakiś robaczek pokazał się w trawie. Wsłuchiwałem się we wspaniałość świata i czułem się nadzwyczajnie. Te chwile to była moja modlitwa bez słów. Byłem wdzięczny Bogu za to, że żyję.



Lanckorona była mi znana od dzieciństwa, ale tylko z książki Ambrożego Grabowskiego „Opis miasta Krakowa i jego okolic” wydanej w 1822 r. Autor napisał jak to „na wysokiej górze pod samymi Karpatami widzieć się dają ruiny groźnego jeszcze i w swych zwaliskach, i godnego zwiedzenia, choćby tylko dla samego pięknego stamtąd widoku, zamku Lanckorony, wystawionego przez Kazimierza Wielkiego...”. Potem w krakowskiej Akademii Sztuk Plastycznych mój profesor Stefan Świszczowski prowadził wy-



Lanckorona. Bielona „Arka” przy ul. Świętokrzyskiej, lata pięćdziesiąte XX w. Fot. S. Gala



Lanckorona, ul. Świętokrzyska, 1965 r. Fot. Olszewski



Lanckorona, ul. Palecka. Lata siedemdziesiąte XX w.



Lanckorona. Dom przy ul. Świętokrzyskiej, 2001. Fot. Jerzy Ochremowicz

kłady o architekturze drewnianej i podejmując temat Lanckorony, nie o ruinach zamku mówił, ale o drewnianych domach położonego poniżej tych ruin małego miasteczka, które od zamku przejęło nazwę Lanckorona. Zatrzymane w rozwoju, zachowało średniowieczny układ rynku i odchodzących z niego uliczek. W 1969 roku postanowiłem to zobaczyć.

Z Krakowa, po niepełnej godzinie jazdy autobus stanął w Lanckoronie. Gdy wysiadłem z małą grupką podróżnych, odjechał pusty, rozszedli się też szybko przyjezdni. Zostałem sam na dużym, prostokątnym placu, położonym na południowym stoku wzgórza i otoczonym drewnianymi domkami. Przypomnił mi domową łąkę, bowiem zarosnięty był murawą, którą skubały kury, ale nie te zwykłe na rosół, tylko małe, ozdobne, jakby specjalnie hodowane z myślą o zachowaniu proporcji do przycupniętych domków nakrytych kapeluszami gontowych dachów. Na drewnianych progach wylegiwały się zgodnie w słońcu kundły z kotami. Dla tych zwierząt wycięto w bramach niewielkie otwory, by mogły one o każdej porze wchodzić do domu i wychodzić. W powietrzu szybowały ja-

skółki. Na bielonych ścianach, tuż pod wysuniętymi dachami miały ulepione gniazda, po kilka przy każdym domu. Okna pozamykane, za szybami pelargonie, firanki. Bramy zawarte... A gdzie mieszkańcy? Dopiero wieczorem nagle światła w oknach zdradzały obecność ludzi. Po całodziennym pracy na polach siadali do wieczerzy. Wiele izb oświetlano jeszcze naftą, mimo że do Lanckorony energię elektryczną doprowadzono w 1955 roku.

Mieszkańcy wylegali na rynek w niedzielę po sumie. Gospodarze odświętni, w czarnych ubraniach i kapeluszach. Był gwar, bo załatwiano między sobą interesy, przekazywano nowinki. Cisza zalegała, gdy dobosz zaczynał walić pałkami w bęben. Wtedy wszyscy zbliżali się pod budynek dawnego magistratu, gdzie nad wejściem, wymalowany na owalnej blasze wisiał herb miasteczka: zielony wieniec laurowy ze złotą nad nim koroną królewską na niebieskim tle i napisem w otoku: „Sigillum reggiae civitatis Lanckoronensis”. Pod tym herbem, na schodach ustawił się sołtys i wygłaszał zebranym komunikaty, tak jak bywało w danych wiekach.

Zauroczyło mnie to bajkowe miasteczko z powolnie toczącym się czasem. Płatanina uliczek zachęcała do spacerów wśród starych sadów i ogródków. Przyjeżdżałem tu każdego roku. Nie wyobrażałem sobie wakacji bez Lanckorony i jej serdecznych mieszkańców. Zawsze zatrzymywałem się u państwa Bodnarów w pensjonacie „Zamek”, tkwiącym w zarośniętym wspaniałymi drzewami ogrodzie. W 1972 roku kupiłem parcelę i wkrótce zamieszkałem już we własnym, świeżo zbudowanym domu. Lanckoronie poświęciłem rozdział swojej książki „Z życia scenografa” wydanej w 1998 roku. Druga moja książka z 2008 roku „Powietrznicy w Lanckoronie” opowiada o historii Lanckorony jako letniska.

Lanckorona rzuciła urok także na innych wrażliwców. Zofia Oszacka, gdy pierwszy raz ujrzała to miasteczko, pomyślała – tylko tu! – Rzuciła Nowy Jork i z synkiem Aleksandrem zamieszkała w zakupionym domu przy rynku. Otworzyła kawiarnię ze sklepikiem i wypożyczalnią rowerów górskich, wstąpiła do Towarzystwa Przyjaciół Lanckorony, stworzyła kwartalnik „Kurier Lanckoroński”, została energiczną panią wójciną. Z czasem stanęła w gronie najbardziej wpływowych kobiet Małopolski. Jest prawdziwym skarbem Lanckorony!

Krakowscy artyści Stanisława i Piotr Piaskowscy, też zauroczeni, zamieszkali w starym domu na narożniku Świętokrzyskiej i Zamkowej. W ogrodzie zbudowali ceramiczną pracownię. Wypalają naczynia zdobione motywami lanckorońskimi, także drobne pamiątki przedstawiające drewniane domki, figury charakterystycznych kotów-grubasów. Ich wyroby są rozpoznawalne, do kupienia także w Krakowie. Urządzają warsztaty ceramiczne dla dzieci.

Trafiony urokiem filozof i leśnik Daniel Bukowski namówił swą żonę Renatę by zwiedziła miasteczko i okolice dotychczas jej nieznaną. Przyjechała w 2000 roku i też została zaczarowana. Wkrótce, wraz z córkami Olą i Zuzią sprowadzili się do kupionego gospodarstwa nadając mu nazwę „Na Tęczowym Wzgórzu”, bo tam wielokrotnie latem ukazują się tęcze na niebie. Renata jest działaczką pełną pomysłów, organizatorką kobiecych akcji. Daniel wyrabia ceniony w lecznictwie olejek dziurawcowy.

Urodzony w Łodzi malarz Artur Trojanowski w poszukiwaniu miejsca do życia wędrował po Lubelszczyźnie, gdzie nauczył się stawiać i remontować domy a także robić bębny! Pewnego razu przypadek sprawił, że z żoną znaleźli się w nieznanym im Lanckoronie. Zadziałało miejscowe czarodziejstwo i Trojanowscy postanowili pozostać tu na stałe. Kupili willę



Zofia Oszacka z dyplomem Europejczyk Roku 2005



Renata Bukowska z Kazimierzem Wiśniakiem w lanckorońskim kościele podczas uroczystości „Anioł w miasteczku”, 2007 r. Fot. A. Otrębski



Anna Leszczyńska

„Bajka”, którą powoli doprowadzają do świetności. Artur tworzy obrazy, zbiera stare przedmioty, sklepy w rynku zaopatrzył w malowane na ścianach szyldy w dawnym stylu.

Annę Leszczyńską Lanckorona czarowała z dużej odległości. Dziadek zabierał ją na wzgórze okalające rodzinne Sułkowice i pokazywał hen, na horyzoncie górę Zamkową a obok wieżę kościoła. Opowiadał o rycerzach, domach rzeźbionych w drewnie. – To była kraina daleka, niemal baśniowa. Kiedy nadarzyła się okazja prowadzenia apteki w Lanckoronie, nie namyślałam się ani chwili. Lanckorona spełnia moje marzenia. Noszę ją w sercu! – Anna Leszczyńska, magister farmacji, wolny czas poświęca pracom społecznym. Jest współorganizatorką corocznego Rajdu Szlakiem Konfederacji Barskiej. Zmobilizowała miejscowe koronczarki, by wystawiły swoje rękodzieła. Urządziła piękną ekspozycję. Wystawa cieszyła się nadspodziewaną oglądalnością. W swojej aptece zorganizowała punkt bezpłatnego rozdawania budek dla ptaków.

Dominika Zaręba pracuje w Krakowie w Fundacji Partnerstwo dla Środowiska jako krajowy koordynator środkowoeuropejskiego Programu Greenways. Często odwiedza Lanckoronę, bo jest w niej zakochana od pierwszego wejrzenia. Podróżuje, fotografuje, pisze. Jej przewodnik „Lanckorona – miasteczko na wzgórzu” zdobył uznanie turystów i szybko się rozszedł; czwarte wydanie ukazało się w 2007 roku, też już nie do kupienia. Rewelacyjnym pomysłem Dominiki Zaręby



Loga projektu
Kazimierza Wiśniaka

było zaproszenie mieszkańców gminy, także uczniów, do współpracy w tworzeniu tego przewodnika, dzięki czemu uzyskał on nagrodę z pośród innych, turystycznych wydawnictw.

Michał Nagy urodził się w Warszawie, tam studiował w Akademii Muzycznej, potem w Konserwatorium Wiedeńskim. Jest znanym gitarzystą, laureatem międzynarodowych konkursów gitarowych, także pedagogiem Akademii Muzycznej w Krakowie. Lanckoronę upatrzył jako spokojną miejscowość spełniającą warunki do organizowania letnich warsztatów gitarowych pod nazwą „Pracownia Muz”. Od 2008 roku jest ich kierownikiem artystycznym. Zyskały one uznanie, a Lanckoronie dodały splendoru. Dzięki mistrzowi Michałowi przyjeżdżają do miasteczka zagraniczni pedagodzy i wybitni polscy muzycy. Mieszkańcy mogą wreszcie wysłuchać koncertów żywej muzyki wysokiej klasy. Nagy rzucił hasło: TERRA ARTIS LANCKORONA. Budzi ono



Michał Nagy udzielający lekcji gry na gitarze w izbie lanckorońskiej chaty

wielkie nadzieje... Jego żona Suzanne, Austriaczka po Konserwatorium Wiedeńskim, jest muzykiem i wspaniałym pedagogiem. Z pomocą Ewy Klimali z Urzędu Gminy Lanckorona opracowany wspólnie projekt nauczania muzycznego młodzieży zebranej ze wszystkich szkół z terenu gminy uzyskał dotację Funduszu Europejskiego. Suzanne rozpoczęła działalność w tworzeniu uczniowskiej orkiestry. Pierwszy publiczny koncert dano 2010 roku w czasie grudniowych uroczystości „Anioł w miasteczku”. Zaskoczeni słuchacze wynagrodzili młodych grajków owacyjnymi brawami.

Dom w narożniku Świętokrzyskiej i Zamkowej zwany przez mieszkańców Lanckorony Arką, szczęśliwie trafił do nowych właścicieli Ewy i Jacka Budzowskich. Z wielką starannością przeprowadzili oni restaurację oraz dyskretną modernizację tego zabytku dla potrzeb uruchomionej kawiarni. Stworzyli najelegantsze miejsce publiczne w Lanckoronie, którą musieli pokochać, skoro zdobyli się na tak kosztowną inwestycję. Wnętrze wypełniają piękne, duże rzeźby ceramiczne kryte glazurą, dzieła Ewy Budzowskiej. Przedstawiają one człowieka ze zwierzęciem lub ptakiem. Dużo zwierząt, jak w Arce Noego. Jest też ściana poświęcona filatelistyce.



Kazimierz Wiśniak,
logo kawiarni „Arka”

Rodowita krakowianka Anna Ciecieręga prowadzi na Kazimierzu ośrodek „Zdrowie i Uroda”, jej

mąż Andrzej też pracuje w Krakowie, ale mieszkają na wsi. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży swych krakowskich mieszkań kupili gospodarstwo w Lanckoronie-Łaśnicy. Pokusą przeprowadzki było czyste powietrze, cisza, przyroda. – Kocham koty, konie, słonie i wszystkie inne zwierzęta, pracę w swoim ogrodzie i sadzie – zwierzała się pani Anna. Hodowała dwie olbrzymie gęsi podobne do łabędzi. Potrafiły te ptaki śpiewać w duecie. W stodole urządzone były wystawy malarstwa, rzeźby, haftu, także dziecięce przedstawienia, a w ogrodzie pikniki, kostiumowe zabawy dla okolicznej ludności i zaproszonych gości z miasta.



Anna Ciecieręga z malarzem Kazimierzem Wiśniakiem na jego wystawie w Ośrodku Edukacyjnym „Zdrowie i uroda” na krakowskim Kazimierzu, 2009 r.
Fot. Maciej Rudy

Na grudniową uroczystość „Anioł w miasteczku” pani Anna zakładała biały strój ze skrzydłami. Z gromadą zebranych z sąsiedztwa dzieci przebranych za aniołki przybywała na lanckoroński rynek witać wjeżdżającego na koniu św. Mikołaja. Tak było uroczno! Ale oto wiosną 2010 roku, po długich opadach, w Łaśnicy i Podchybiu wystąpiły na stokach ruchy osuwiskowe. Domy się przesuwały, pękały, waliły. Zniszczeniu uległy 32 budynki, w tym ponad 100 letni, ukochany dom Ciecieręgów... Opuszczali go w rozpacz. Potem zrezygnowali z należnego im nowego domu w osiedlu dla poszkodowanych. Wybrali stary budynek w Jastrzębi, do którego, po koniecznym remoncie, będą mogli się wprowadzić i w spokoju udzielać się w akcjach społecznych.

Danka Jaworska, po studiach w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Sztokholmie, od 1976 roku mieszkanka Szwecji, wybitna malarka, znana w Europie

z licznych wystaw, przybyła do Lanckorony z mężem Markiem. Kupili dom blisko rynku, wynajęli dwa gminne pomieszczenia na pracownię malarską i pracownię stolarską, bowiem pasją pana Marka są zniszczone meble, antyki, które z czułością odmładza. Po rewitalizacji stare graty nabierają radosnego blasku. Danka i Marek kochają spokój i w Lanckoronie go znaleźli. Spełnia się rzucone przez Michała Nagyego hasło TERRA ARTIS LANCKORONA!

Dom Doroty i Roberta Stępników (także przybyszów) ocalał z tragedii osuwisk w Łaśnicy, bo posadowiony był ongiś na skale. Stępień użyczył stodoły na występy znanego w Krakowie artysty marionetkarza z Teatru Groteska. Była to wielka radość dla dzieci, także dorosłych, którzy mogli oglądać zanikającą już dziś sztukę marionetek. Ów marionetkarz Krzysztof Falkowski namówiony przez Roberta, kupił sobie dom w Lanckoronie przy ulicy Targowej, także stodołę, którą adaptuje na teatrzyk. Może już wkrótce rozpocznie działalność pierwsza scena w historii miasta Lanckorony.

Bogdan Frymorgen, dziennikarz i fotografik, pracujący w Londynie zastanawia się: – Romantyczność tego miejsca...? Moja romantyczność to nasza pierwsza noc w zakupionym i jeszcze remontowanym domu przy rynku. W jednym pokoju na drewnianej podłodze i dmuchanych materacach noc spędziły trzy pary moich przyjaciół: Anglicy, Niemcy, Australijczycy. W ogrodzie, w namiotach, siedmiu chłopców, podobny miks kulturowy i językowy. Po przebudzeniu moje oczy dostrzegły na sufitowej belce wyrytą datę 1870 rok. Magiczność Lanckorony czuję najbardziej wtedy, gdy przyjeżdżając do niej wiem, iż cały świat, z jego problemami został gdzieś za mną, tam w dole, a my z głowami w chmurach oddychamy zupełnie innym powietrzem. Ludzie mówią „historia lubi zataczać kręgi”. W Lanckoronie urodziła się moja prababka Wiktoria Tondyra...

Jacek Wojs mieszka w Krakowie. Jest inżynierem, na Politechnice uczy budowy samochodów i robotyki. Uczuciowo związany z Lanckoroną, gdzie mieszkał jego ojciec, dziadek, pradziadek. Często w niej przebywa. Pisze wiersze, w większości poświęcone rodzinnej miejscowości. Jeden z nich „Anioł w miasteczku”, ubrany muzyką Jacka Zielińskiego z zespołu „Skaldowie”, utrwalono na krążku. Piosenka „Lanckoroński Anioł” rozbrzmiewa każdego roku w czasie grudniowych uroczystości „Anioł w miasteczku”. To już dru-



Zapraszamy ptaki do Lanckorony

gi utwór muzyczny ku chwale Lanckorony. Pierwszą piosenką „Lanckorona” rozśpiewał miejscowość Marek Grechuta.

Andrzej Puka, pracownik krakowskiej Komory Celnej, także poeta, zamieszkał z żoną i dziećmi w Podolanach, tuż przy granicy z gminą Lanckorona. Odległy widok zamkowej góry wabił, był celem dla pierwszych wycieczek. – Z dziećmi wybraliśmy się Aleją Cichych Szeptów do Kamieniołomu. Na takiej małej przestrzeni kawałek tatrzańskiego lasu. Na końcu sarny przebiegły nam drogę na odległość ręki. Wracaliśmy Aleją Zakochanych. Żona powiedziała – jak tu pięknie –. Andrzej podrywa się do działań społecznych. Z okazji wszelkich festynów ubiera przechowywany w Izbie Regionalnej strój konfederata i reprezentuje Lanckoronę. Jest organizatorem corocznych rajdów Szlakiem Konfederacji Barskiej, pomysłodawcą pięknej

akcji „Zapraszamy ptaki do Lanckorony” – bardzo udanej dzięki wielu fachowcom od konstruowania budek lęgowych, które w finale rozdawała zainteresowanym Anna Leszczyńska w swojej aptece.

Mieczkowsky przybyli z Pomorza i na stałe zamieszkali w Lanckoronie od czerwca 2004 roku. Ona z wykształcenia inżynier budowlany i etnograf, on – inżynier budowlany z uprawnieniami konserwatorskimi, autor najlepszej do tej pory koncepcji rekonstrukcji zamku opisanej w „Kurierze Lanckorońskim” nr 57 z 2007 roku. Joanna stworzyła chór dziewczęcy „Malwy Lanckorony”, który zawsze towarzyszył wszelkim uroczystościom miasteczka. Oboje byli młodzi, pełni zapału. Żal serce ściska, bo już odeszli od nas na zawsze. On pierwszy, kilka lat później ona.

W 2003 roku sensację wywołało znalezisko w pensjonacie „Tadeusz”. Odkrycia dokonał Jacek Łomnicki. – W trakcie remontu dachu w naszym domu, za belką zauważyłem stare pudełko, a potem jeszcze jedno i jeszcze jedno i tak znalazłem ich 15. Stare, przedwojenne pudełka zawierały płyty szklane z negatywami zdjęć wykonanych w Lanckoronie i okolicy, a głównie w pensjonacie „Tadeusz” przez jego założyciela Tadeusza Lorenza seniora w latach trzydziestych XX w. – Klisze przemył zawodowy fotograf. Wykonał pozytywy i Jacek Łomnicki urządził z nich wystawę „W poszukiwaniu historii znajdź swojego przodka”. Wystawa towarzyszyła Jarmarkowi Świętojańskiemu. Mieściła się w Domku Golonki przy rynku, ściągając mnóstwo ciekawskich. Odniosła sukces. Wielu mieszkańców rozpoznało portrety swoich przodków i znajomych. Zasługą Jacka Łomnickiego było powołanie Stowarzyszenia Klub Lanckoroński, którego został prezesem. Roztoczył też opiekę nad starymi studniami w miasteczku.

Marek Krzemień z Willi „Ostoja”, założyciel oficyny wydawniczej „Ostoja”, w 1991 roku wydał poświęcony swojej mamie albumik „Lanckorona”. Oprawiony w twarde okładki zawiera historyczny wstęp i kolorowe fotografie z miasteczka. Cieszył się wielkim zainteresowaniem, nawet wśród turystów zagranicznych. Krzemień był w składzie pierwszego zespołu redakcyjnego „Kuriera Lanckorońskiego”. W 1997 roku wydał broszurkę „Lanckorońskie spaceru” opatrzoną moimi ilustracjami. To propozycja siedmiu tras spacerowych po miasteczku.

Małgorzata Chyczyńska jako uczennica podstawówki angażowała się w pracę gromad zuchowych. Później, pracując w szkołach, czerpała z metodyki zuchowej i wprowadzała uczniom niepowtarzalne formy



Joanna Mieczkowska w stroju lanckorońskiej mieszczki



Fotografia ze starej kliszy, znalezionej na strychu pensjonatu „Tadeusz”



XIX WIECZNY DWÓR W JASTRZĘBI - SIEDZIBA SZKOŁY PODSTAWOWEJ

gdys w Jastrzębi na Niedzielę Wielkanocną. Szkoła kontynuuje akcję „Zdrowie ze szkolnego ogródka”, program „Ekoprzyjaciel” czyli zbiórkę surowców wtórnych, wydaje pismo uczniowskie „Jastrzębie”, sadi drzewa jarzębiny na Bursztynowym Szlaku. Zrealizowany przez uczniów projekt „Nowoczesne, radosne oświetlenie” uzyskało w 2004 roku nagrodę od firmy Philips: wymianę starej instalacji elektrycznej szkoły na nowoczesne, energooszczędne. Wcześniej, w 2003 roku otrzymany certyfikat „Szkoła z klasą” był dumą

edukacyjne. Pracę w Krakowie rzuciła dla szkoły w Jastrzębi, gdzie nauczała od 1987 roku, a w 1992 została jej dyrektorką. Pracę szkoły związała ze środowiskiem, sołtysem, lokalnymi organizacjami. Pełna pomysłów. Z oddanym gronem nauczycieli szkoła realizowała „Wieczory bajania”, podczas których uczniowie mogli wysłuchać opowieści dziadków i babć o dawnych czasach. Wiosenne „Święto szkoły na ludowo” wypromowało zapomnianą już zupę chrzanówkę, gotowaną nie-



Ogród i dom Kazimierza Wiśniaka w Lanckoronie, 1999 r.
Fot. Zbigniew Łagocki i Maria Pyrlik

dla całej Jastrzębi.
Gdy z nowym wiekiem Lanckorona przygarniała nowicjuszy, interesujące indywidualności, ja rozmyślałem o opuszczeniu swego domu. Dokuczało serce. Miejscowość rozłożona na stoku, z drogami pod górę lub w dół, stawała się uciążliwa. Żal było porzucić spokojne do malowania obrazów miejsce. Ileż to razy odtwarzałem widziany z okien pejzaż! Rozfałdowane wzgórza malowałem jako tło do wymyślanych scen pierwszego planu. Lanckorońskie obrazy cieszyły oczy bywalców galerii Szalom na krakowskim Kazimierzu, dobrze się sprzedawały i właściciel galerii Karol Kuberski nalegał o dostawę nowych. Wiele obrazów prezentuje Lanckoronę zagranicą. Zakupiony przez Kazimierza Paciorkowskiego „Zaczarowany flet” wyjechał z właścicielem do Australii, długo tam przebywał, i wreszcie wrócił do Krakowa ze swoim panem.

Od wybudowania domu w 1972 roku minęło równe 30 lat do 4 grudnia 2002 roku, kiedy z Markiem Zachariasem podpisaliśmy w Wadowicach u notariusza Marii Zając akt sprzedaży i kupna. Cieszyło mnie, że z pomocą szczęśliwego polecenia Anny Leszczyńskiej dom przeszedł w dobre ręce. Marek Zacharias jest farmaceutą. Podobnie jak jego brat Jacek, dendrolog, interesuje się również ogrodnictwem. Pochwalił mnie za posadzenie w dobrych miejscach drzew i krzewów. Wspominał o przyjazdach do Lanckorony z synem: – Za każdym pobycem, idąc na Zamkową Górę zatrzymywaliśmy się przy pańskim domu, bo z drogi jest dobry widok na południową panoramę, i marzyliśmy o takim domu, z takim widokiem... Marzenie się spełniło! –



Wnętrze sprzedanego domu, w górze pracownia, w dole kuchnia.
Fot. Witold Górka, 1998 r.

Jestem członkiem Towarzystwa Przyjaciół Lanckorony, wydawcy „Kuriera Lanckorońskiego”. W redakcji tego pisma trwam od 1994 roku, opracowałem dla niego zmienną winiętę uzależnioną od pór roku. „Kurier Lanckoroński” to kwartalnik ukazujący się wiosną, latem, jesienią i zimą. Pierwsze zespoły redakcyjne liczyły po 10 osób. Z czasem nazwiska się wymieniały, opadał entuzjazm, numery ukazywały się z przypadku a długie przerwy groziły samolikwidacją. Aby uratować to pismo, przejąłem dowodzenie i z Fryderykiem Koźbiałem stworzyliśmy redakcyjny duet, który trwa do dziś. Zagwarantowaliśmy regularność i dobrą współpracę z drukarnią Artura Freyera ARTpress. W Krakowie mam dostęp do archiwów i dużych bibliotek. Czerpię z tych źródeł wiedzę historyczną, by z kolei przekazać ją mieszkańcom Lanckorony. W większości są to wiadomości im nieznanne, a dotyczące ich starego miasteczka. Poza numerami: wiosna, lato, jesień i zima ukazują się też numery monotematyczne o konfederatach barskich, Mikołaju Zebrzydowskim,



Fryderyk Koźbial
**NISKI POZIOM NAUCZANIA
W NASZYCH SZKOŁACH**

Wprowadzony na szczeblu centralnym nowy system oceniania egzaminów w klasach 6-tych szkół podstawowych i w ostatnich klasach gimnazjalnych pozwolił na dokonanie oceny poziomu nauczania w poszczególnych szkołach na terenie województwa i powiatu. Dzięki podziałowi egzaminów na część humanistyczną i część matematyczno-przyrodniczą, w nowym systemie w każdej szkole można ocenić wyniki nauczania nawet poszczególnych nauczycieli. System taki funkcjonuje z powodzeniem od wielu lat w Stanach Zjednoczonych oraz w państwach Europy Zachodniej i gwarantuje bezstronną, niezależną od



Fryderyk Koźbiał i Kazimierz Wiśniak, redaktorzy Kuriera Lanckorońskiego

korony! O nadanie tytułu Honorowego Obywatela Lanckorony (pierwszego w historii miasteczka) wystąpili do Rady Gminy: Wójcina Zofia Oszacka, Towarzystwo Przyjaciół Lanckorony, Stowarzyszenie Klub Lanckoroński i Stowarzyszenie Ekologiczno Kulturalne „Na Bursztynowym Szlaku”. Akt nadania wręczyła mi Przewodnicząca Rady Gminy Cecylia Lang w obecności Wójta i Radnych. Zagrała orkiestra dęta Straży Pożarnej z Izdebnika, a liczni mieszkańcy, członkowie Towarzystwa i Stowarzyszeń, zaproszeni goście smakowali pierników i ciast Władysławy Rzepy oraz wina produkcji Fryderyka Koźbiała. W mowie dziękczynnej powiedziałem: – Dzisiejsza uroczystość to najwspanialszy prezent, jaki otrzymałem w swoim życiu na urodziny; dawno temu, właśnie 11 grudnia, przyszedłem na świat w Łodzi. Potem lata mijały, ja w swojej wędrówce poszukiwania miejsca dla siebie przemierzyłem wiele dróg, aż wreszcie dotarłem do Lanckorony. Oczarowała mnie cisza drewnianego miasteczka i otaczający je pejzaż. Wzgórza i doliny w pełni lata! Pomyślałem: to tu jest dobre dla mnie miejsce.



– Poznałem miłych mieszkańców, kupiłem ogródek, zbudowałem domek i w Lanckoronie spędziłem trzydzieści szczęśliwych lat, nie uchylając się od pracy w tworzeniu życia kulturalnego.

– Teraz przebywam w Krakowie, ale serce moje tkwi w Lanckoronie. Za przyznanie mi zaszczytnego tytułu Honorowego Obywatela Lanckorony gorąco dziękuję Kochanym Mieszkańcom, Członkom Towarzystwa Przyjaciół Lanckorony, Stowarzyszeniu Klub Lanckoroński, Stowarzyszeniu „Na Bursztynowym Szlaku”, Radnym i Wójtowi Gminy Lanckorona.

Po przemówieniu, gdy znów zagrali strażacy, ubrano mnie w białą szatę ze skrzydłami i obdarzono tytułem Anioła Lanckorońskiego. Renata Bukowska uzasadniła: – Anioł to ten, który inspiruje duszę do wydobyciu z siebie piękna, prawości, dobra. A piękno można wyrazić poprzez myśli, uczucia, spojrzenie, słowa i czyny. Wtedy inni będą cię naśladować. Z szacunkiem dla tego, który poprzez sztukę przenosi atmosferę i kulturę naszego miasteczka w inne regiony.



W Krakowie zajmowałem kawalerkę i nad nią niefunkcjonalną pracownię na ostatnim piętrze wieżowca przy ulicy Wójtowskiej. Atrakcją tych pomieszczeń był widok z balkonów, obejmujący panoramę od kominów Nowej Huty, przez stary Kraków aż po Lasek Wolski z kopcami. Gdy napływało czyste powietrze od południa, pojawiały się odległe Tatry. W sąsiednim wieżowcu podobną pracownię zamieszkiwał były redaktor naczelny „Przekroju” Marian Eile.

Obok, w niższym domu, mieszkał na parterze wynajmował amerykański student medycyny, Richard Warren. Wytrzymał ciężkie czasy stanu wojennego, puste półki spożywczych sklepów. Nauczył mnie, jak się żywić w kryzysie: dokładnie wyszorowane szczotką kartofle gotował ze skórkami, po odcedzeniu rozdrabniał, dodawał posiekanej cebuli, solił, pieprzył, zalewał słonecznikowym olejem, ugniatał i miał już gorące danie. Do tego pasowało czerwone wino bułgarskie. Te produkty były w sklepach. Rano zakładał dres, brał torbę i uprawiał jogging. Na trasie biegu zbierał leżące w krzakach butelki. Potem niósł je do punktu skupu i wymieniał na złotówki. – W Polsce pieniądze leżą na ulicy – mówił – trzeba się tylko schylić, by je podnieść! – Monetami wypełnił szufladę biurka. Gdy była ciężka, z trudem się wysuwała, przesypywał bilon do torby, i dostarczał do banku by wymienić na banknoty.



Richard Warren w Lanckoronie, 1984 r.

Historyk sztuki, profesor Józef Lepiarczyk mieszkał na pierwszym piętrze we własnej kamienicy na ulicy Mazowieckiej 28 A. Przy tej samej ulicy, po tej samej stronie, ale nieco dalej mieszkali Bińczyccy: powszechnie znany jako Bogumił z filmu „Noce i dnie” Jerzy, z żoną Ewą – magistrem teatrologii, oraz córką.

Na Mazowieckiej, po dawnej Krowodrzy pozostała stodoła kryta strzechą i kilka chat drewnianych podmiejskich ogrodników. W jednej z nich, z figurą św. Floriana na ścianie, przyszedł na świat mój przyjaciel Antoni Kawalec. Był właścicielem najbardziej obleganej kwiaciarni w mieście, na rogu Sienkiewicza i Lenartowicza. Nazywała się „Frezja”. W dniach popularnych imienin tworzyła się u wejścia długa kolejka klientów. Obsługa układała bukiety z różnorodnych kwiatów, dbając o artyzm, kolorystyczną tonację i elegancję. W innych kwiaciarniach wiązano na sztuki oddzielnie róże, tulipany, goździki. U Kawalca wielobarwne kompozycje były nowością na krakowskim rynku kwiatowym. Z okazji teatralnych premier, na scenach wręczano kwiaty, a publiczność bezbłędnie wskazywała, które bukiety czy kosze pochodziły z „Frezji”. Nazwa kwiaciarni wzięła się z promocji tych wdzięcznych, pastelowych kwiatów, nieznanych powszechnie w Krakowie, a sprzedawanych wyłącznie u Kawalca w małych bukietkach.



*Drewniany dom nad Młynówką przy ul. Rzecznej, rozebrany w 1999 r.
Rys. Kazimierz Wiśniak*

Nieopodal Wójtowskiej, na Wrocławskiej, Monika Lisicka przyjmowała na śniadaniach i kolacjach swoich przyjaciół. Pomogła mi wy-



Ronikierowie z bywalcami ich domu. Od lewej: Waclaw Morawski, Joanna Ronikier, Michał Ronikier, Nela Lempicka, Piotr Skrzynecki, Michał Rożek, Elżbieta Morawska, Waclaw Kolak, Kazimierz Wiśniak. Fot. Adam Karaś, maj 1978.

dostać się z psychicznego dołka, kierując do sanatorium w Mosznej. Byłem jej ogromnie wdzięczny za to wszystko, co dla mnie uczyniła.

Do tych okolicznych znajomych od sąsiedzkich kontaktów muszę dołączyć Ronikierów z innej dzielnicy. Wychodząc z domu przekraczałem Mazowiecką, potem alejkę utworzoną na zasypanej rzece Młynówce i już byłem na ulicy Wyspiańskiego, gdzie oni mieszkali. Niecałe 5 minut drogi. Joanna Olczakówna - twórczyni kabaretu Piwnicy pod Baranami

Salwator

i Świat



NR 13 PÓZNA JESIEŃ 1994 PERIODYK NIEREGULARNY CENA 10.000ZŁ

Rys. Kazimierz Wiśniak

miała męża Niemca, dziennikarza, szalonego zbieracza polskiej sztuki ludowej – Ludwiga Zimmerera i z nim córkę Katarzynę. Michał Ronikier, tłumacz literatury anglojęzycznej był jej drugim mężem. Otwarty dla przyjaciół dom zawsze kogoś gościł. Katarzyna przyjmowała swoich znajomych w pokoju na górze, ja przesiadywałem w kuchni na dole. Przychodzili piwniczanie z Piotrem Skrzyneckim. Przy kolacji i wódce rodziły się fantastyczne pomysły działalności Piwnicy pod Baranami. Wielkie imprezy miejskie, jak Powitanie księcia Józefa Poniatowskiego i bal wy-

dany na jego cześć w Sukiennicach (1980 r.), Noc Paryska czyli Święto Ulicy Floriańskiej (1990 r.), inscenizacja hołdu pruskiego według obrazu Jana Matejki, Przysięga Kościuszki i Święto Kopców (1992 r.) i inne, na pewno by się nie odbyły, gdyby nie energia i odwaga Michała Ronikiera. Imprezy plenerowe musiały mieć zgodę prezydenta miasta, komitetu partii, milicji. Załatwiał to Michał. Ubierał elegancki garnitur, brał ze sobą stremowanego Piotra Skrzyneckiego i we dwójkę stawali w gabinetach ważnych osobistości. Michał potrafił krótko i rzeczowo przedstawić projekt planowanej uroczystości ku chwale Miasta Krakowa i zawsze otrzymywał zgodę.

Nie pamiętam, kiedy Ronikierowie przeprowadzili się do willi przy ul. Gontyna, ale na pewno w 1992 roku już tam mieszkali, bowiem w tym czasie Katarzyna postanowiła wydawać lokalne czasopismo „Salwator i Świat”. Tytułem trafiła w sedno. Był wieloznaczny i zwiastował powiew świeżości. Zostałem zaproszony do zespołu redakcyjnego. Przyjeżdżałem codziennie w to miejsce pracy, by brać udział w twórczym entuzjazmie. Dużo ludzi mi znanych i nieznanymi kręciło się po pokoju, jak w prawdziwym wielkim wydawnictwie. Wnet na drzwiach pojawiła się mosiężna tabliczka z napisem REDAKCJA. Znająca moje niewygody mieszkaniowe Joanna zachęciła, bym kupił większe lokum, najlepiej w pobliżu Salwatora, niedaleko redakcji. Pomogła w poszukiwaniach, nawet wsparła mnie finansowo.

Przeprowadzka na Królowej Jadwigi otworzyła mi nowy etap życia. Byliśmy znowu blisko siebie, Ronikierowie przy ulicy Gontyna, na górce, a ja u jej podnóża. Do moich obowiązków redakcyjnych należały rysunki do tekstów i winiety. Wędrowałem po Salwatorze szukając tematów wśród zmurszałych willi. Zastanawiała mnie cisza, brak sklepu, kiosku, kawiarenki. Obchodząc trzy uliczki na wzgórzu i dwie u podnóża, nie spotkałem żywej duszy, ale kotów w zapuszczonych ogrodach był dostatek. Pierwsze numery „Salwatora i Świata” ożywiły sąsiedzkie stosunki, wywiodły z domów inteligentne elity, poznawano się na nowo. Pismo zyskało dobrą opinię w mieście i żartobliwą nazwę „gazety hrabiowskiej”. Katarzyna zamieszczała dużo artykułów wspomnieniowych, i te podobały się najbardziej. Dla członków redakcji wielkim świętem był dzień otwierania paczek ze świeżo wydrukowanymi numerami. Popijając wino, czytaliśmy stronę za stroną uważnie, wyrażając krytyczne uwagi, zachwyty i rady na przyszłość. Numer zerowy ukazał się w czerwcu 1992 roku, kosztował 3500 zł. Cena następnego numeru wzrosła do 5000 zł. Numer 4



Kazimierz Wiśniak, rysunek do „Legandy o Skałach Panienskich”. „Salwator i świat” nr. 3



Kazimierz Wiśniak, rysunek do „Legandy o zatopionym dzwone klasztoru zwierzynieckiego”. „Salwator i świat” nr. 24



Katarzyna Zimmerer. Fot. Jerzy Duda, 2011 r.

(6) miał cenę 7000 zł, a numer 13 – 10 000 zł. Ku rozpaczy czytelników i współpracowników ostatni numer, 31/32 ukazał się na Nowy Rok 1999. Katarzynę opuścił entuzjazm. Przyznała, że aby żyć, musi zarabiać, a „Salwator i Świat” rujnował jej niewielką domową kasę. Jednak w inne ręce pisma oddać nie chciała.

W tym samym czasie redagowałem kwartalnik „Kurier Lanckoroński” i redaguję go do dziś. Wiosną 2011 roku ukazał się numer 88.



Idąc ulicą Grodzką w kierunku Wawelu ujrzałem młodego artystę. Siedział w cieniu drzewa na Placu św. Marii Magdaleny, w skupieniu coś malował. Obok wystawił niewielkie akwarele. – Do sprzedaży



Vladimir Nikolin, Kościół św. Piotra i Pawła i kościół św. Andrzeja, akwarela, 1996r.

– pomyślałem, i poszedłem dalej, ale zaraz zawróciłem, aby przyjrzeć się z bliska gotowym obrazkom. Zachwycała mnie ich niezwykła precyzja. Na niewielkich formatach, 20x25 cm, artysta prezentował się jako wytrawny mistrz miniatury. Uwagę skupiłem na pracy przedstawiającej fragment Grodzkiej z dwoma kościołami i licznymi posągami na cokółkach ogrodzenia. Architektoniczne bogactwo szczegółów wydobyte grą słońca z cieniem. Obrazek ożywiony pojedynczymi przechodniami i jadącą dorożką, bez zwyczajowego tłoku na tej ulicy, sugerował niedzielne południe, kiedy ludzie zebrani

są w kościołach. Bardzo mi się spodobał i zdecydowałem go zakupić.

Przedstawiliśmy się sobie, porozmawialiśmy trochę po polsku, trochę po rosyjsku. On, Vladimir Nikolin, urodzony na Krymie, po studiach u wymagających pedagogów we Lwowie postanowił zobaczyć Kraków. Przyjechał, uległ czarowi miasta i pobyt swój przedłużał dzięki zarobkom ze sprzedaży obrazów. Zdziwiło go, że kupujący jego akwarelę to też malarz, bowiem pochwaliłem się ukończeniem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zakupiony obrazek nosi datę 1996 r. i ona umiejscawia w latach nasze poznanie.

Byłbym kupił jeszcze drugą akwarelę, ale zabrakło mi pieniędzy. Artysta z uśmiechem zapewniał o swojej codziennej obecności w tym miejscu pod drzewem, gdzie dobrze mu się pracuje.

Może tydzień minął, kiedy zaopatrzone w gotówkę wybrałem się na Grodzką po drugi obraz. Zasmuciła mnie nieobecność pana Nikolina. Jego miejsce zajmował jakiś karykaturzysta-portrecista, chyba też rodem z Ukrainy.



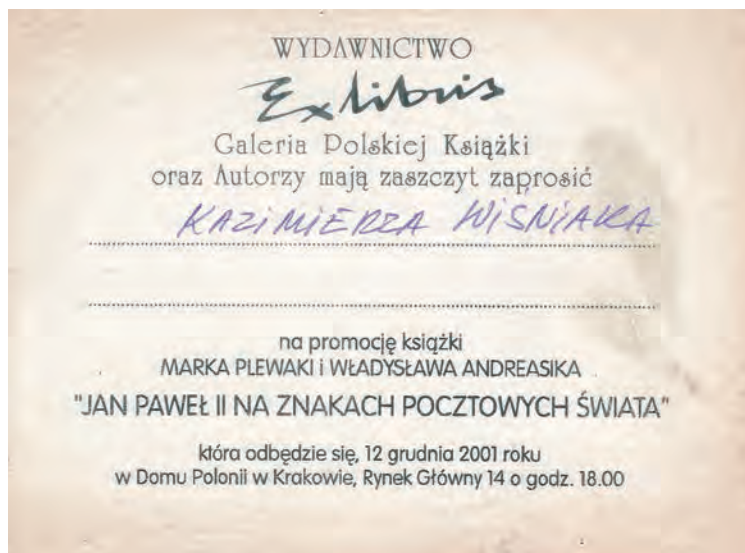
W czasie niemieckiej okupacji chłopcy zbierali znaczki pocztowe, często znajdowane w śmietnikach. Pozbawieni nauki szkolnej mieliśmy dużo czasu na wzajemne odwiedziny i przeglądanie klaserów. Matka moja wydobyla stare listy, bym mógł z kopert odkleić nad parą przedwojenne znaczki z portretem marszałka Józefa Piłsudskiego. Miałem już ponad 100 znaczków, wśród nich najwięcej obiegowych niemieckich z profilem Hitlera w różnych kolorach i wartościach. Najpiękniejsze to znaczki z dalekich kolonii. Pobu-

dzały wyobraźnię. Przy ich oglądaniu potrzebna było rozłożona obok mapa świata, aby wiedzieć, gdzie taki czy inny kraj się znajduje. Dzięki temu zdobywaliśmy wiedzę geograficzną. Zainteresowanie znaczkami pocztowymi wygasło zaraz po wyzwoleniu, kiedy ruszyły polskie szkoły.

Prawdziwych zbieraczy znam od niedawna. Mój przyjaciel Władysław Andreasik, od 1956 roku aktywny członek Polskiego Związku Filatelistów jest współautorem (wraz z Markiem Plewako) wielotomowego albumu „Jan Paweł II na znakach pocztowych świata”. Dzięki licznym kontaktom w świecie prowadzi wymiany, kupno, sprzedaż znaczków, wydaje okazjonalne karty pocztowe ze specjalnymi datownikami, organizuje filatelistyczne wystawy. – Lubię ruch w interesie! – często powtarza. Zachęcił do zbieractwa Macieja Rudego, a ten, posługując się internetem zawarł znajomość z polskimi i zagranicznymi kolekcjonerami. Prowadzi korespondencję w listach opatrzonych lakowym odciskiem swojej pieczęci z monogramem. Niestety, te eleganckie listy do adresata docierają bardzo często uszkodzone, z połamanym lakiem. Poradziłem mu, aby takie listy doręczał osobiście lub przez posłańca. Wtedy pieczęć ocaleje. Tak się stało. Najbliższy list od Rudego, w stanie nienaruszonym, wręczył mi Władysław Andreasik. Był posłańcem, dostał 5 zł za usługę.

Niepielegnowane przyjaźnie wygasają. Bywa, że ktoś nowy się pojawi, coś zrobi, pokaże, opowie i nagle w życiu następują zmiany. 6 grudnia 2007 roku Władzio Andreasik zabrał mnie na wystawę „Teoria koperty”. Cóż to? To dr Jerzy Duda pokazał w Bibliotece Jagiellońskiej swoje zbiory. Jego wystawy zawsze czymś zaskakują! Nie wiedziałem, że wśród filatelistów są też zbieracze kopert. Poukładane w tematyczne działy, na wystawie zobaczyłem koperty reklamowe firm, koperty o różnych wielkościach, koperty żałobne, koperty na drogocenną zawartość, koperty z egzotycznych krajów, koperty z kompozycjami znaczków. Jeden z listów w poszukiwaniu adresata wędrował kilka lat między Ameryką a Europą, co potwierdziły liczne pieczęcie i adnotacje listonoszy. Dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej, prof. Zdzisław Pietrzyk podziękował Jerzemu Dudzie, Wielkiemu Mistrzowi Rycerskiego Zakonu Bibliofilskiego za udostępnienie zbiorów. – Cóż to za tajemniczy Zakon? – pomyślałem. Ale już wkrótce, z początkiem roku 2008 spotkałem się osobiście z Jerzym Dudą w kawiarni Grand Hotelu. Wskazał mi miejsce pod oknem, gdzie enklawę zapewniała mosiężna tabliczka z napisem Stolik Bibliofilski. A więc znalazłem się na szlaku wiodącym do odkrycia tajemnicy. Wielki Mistrz zapytał, czy wykonałbym projekt zaproszenia na Imieniny Książki, świętowane przez Rycerski Zakon Bibliofilski 4 marca. – W moje imieniny – zauważyłem. – Czymy w ten sposób pamięć założyciela Zakonu, ś. p. Kazimierza Witkiewicza – powiedział Duda.

Narysowałem więc tuszem myszy harcujące wśród starych ksiąg i podmalowałem akwarelą. Wyszedł dobry druk, pierwsze kolorowe zaproszenie wydane przez Zakon. Te wspólne Imieniny Książki, ś. p. Witkiewicza





i moje spędziłem wesoło w kawiarni Grand Hotelu, zarezerwowanej wyłącznie dla Braci i Sióstr Zakonu. Zgromadzenie członków zwane jest tu „zmyszeniem”, a więc dobrze trafiłem z myszami na zaproszeniu. Uroczystość, jakby z baśni wyjęta miała swój rytuał. Ubrany w czarną togę Kanclerz Zakonu zapowiedział: – Proszę wstać! Idzie Wielki Mistrz Udzielny i Suwerenny Zakonu Bibliofilskiego! Niech zasiądzie na krześle pamiętającym Wielkiego Mistrza Kazimierza, aby z tego miejsca rządził nam sprawiedliwie i miłościwie nam panował. – Po tych słowach wszedł Wielki Mistrz Jerzy Duda i pozostali Bracia Kapituły, wszyscy w czarnych togach. Na trójdzielnych lichtarzach zapalono świece, a my, stojąc, wysłuchaliśmy Hymnu Bibliofilskiego „Błogosławiony Duch, źródło wszelkiej światłości...”. Słowa Justyna Sokulskiego z muzyką Kazimierza Garbusińskiego odśpiewał z dysku Chór Cecyliński, wzniosłe, ale tak, jak to bywa w operze – chór śpiewa, a widownia nie rozumie słów. Byłem gościem zaproszonym, by opowiedzieć coś o sobie. Wyraziłem więc radość z połączonych imienin i pochwaliłem się prezentem

jaki sobie z tej okazji sprawiłem: Carlosa Ruiza Zafóna „Cień wiatru” – rzecz o książce, o Cmentarzu Zapomnianych Książek. Wspomniałem też książkę Ambrożego Grabowskiego, która mnie przywiodła z Łodzi do Krakowa, o zbieraniu cracovianów i wreszcie o biedronce, którą maluję w miejsce ex librisu na pierwszej stronie książki i składam pod nią autograf. Te ulubione chrząszcze umieszczam też często na swoich obrazach. W niniejszej książce projektanci graficzni Andrzej Błaszczuk i Łukasz Buchała pozwolili, by biedronki rozeszły się po stronach i rozdzielały fragmenty tekstu.

Na tym imieninowym spotkaniu poznałem redaktor naczelny miesięcznika „Alma Mater”, Damę Książki Ritę Pagacz-Moczarską. Czyżby zwróciła uwagę na moją wypowiedź? Zapropnowała wywiad. W tym celu umówiliśmy się przy znanym mi już stoliku bibliofilskim. Wywiad, przepleciony materiałem ilustracyjnym ukazał się w numerze majowym „Alma Mater” i zajął aż 11 stron!

W następne Imieniny Książki, 4 marca 2009, Wielki Mistrz Zakonu wręczył mi Patent



Rita Pagacz-Moczarska i Kazimierz Wiśniak przy Stoliku Bibliofilskim w kawiarni Grand Hotelu. Fot. Jerzy Duda 11.04.2008.



Dostojnej Makulatury: „My, Kapituła Orderu Białego Kruka oznajmia Wszystkim i Każdemu z osobna postanowienie nasze o wprowadzeniu do Grona Rycerskiego Zakonu Bibliofilskiego w Krakowie Kazimierza Wiśniaka, artystę malarza i grafika, scenografa, autora poczytnych książek, współtwórcę Piwnicy pod Baranami, laureata prestiżowych nagród i odznaczeń... Kancierz Zakonu Andrzej Gaczoł, Wielki Mistrz Zakonu Jerzy Duda, Orator Zakonu prof. Tadeusz Ulewicz”.

22 października 2010 roku Wielki Mistrz Zakonu wręczył mi postanowienie: „My, Kapituła Orderu Białego Kruka oznajmia Wszystkim i Każdemu z osobna postanowienie nasze o podniesieniu Dostojnej Makulatury Kazimierza Wiśniaka do godności Brata Miniaturzysty w Zakonie Bibliofilskim z tytułem Dostojny Ilustrator... Kancierz Zakonu Andrzej Gaczoł, Wielki Mistrz Zakonu Jerzy Duda, Brat Bibliograf prof. dr hab. Wacław Walecki”.



Jednego razu u Władzia zobaczyłem sporo nowych obrazów olejnych ustawionych pod ścianą. – Kto je malował? – zapytałem, – Nikolin z Ukrainy, byłem na jego wystawie w galerii „Kocioł Artystyczny”, kupiłem kilka obrazów – odpowiedział. Ucieszyło mnie, że Nikolin się odnalazł, pozostał w Krakowie. Wynajmował od siostr zakonnych pomieszczenie przy Placu Biskupim, gdzie urządził sobie pracownię i malował



*Zmyszenie Rycerskiego Zakonu Bibliofilskiego z Kapitułą Orderu Białego Kraka w krakowskim Grand Hotelu 22.10.2011 r.
Siedzą od lewej: Kazimierz Wiśniak, Jerzy Duda - Wielki Mistrz Zakonu Bibliofilskiego, Marzena Florowska, Józef Kwolek.
Stoją od lewej: Maria Nowacka, Klaudyna Szewczyk, Katarzyna Domańska, Robert Fronckowiak, Maria Kocójowa, Danuta Bromowicz, Teresa Komornicka-Rościszewska, Waclaw Walecki, Andrzej Znamirowski, Ewa Owsiany, Andrzej Gaczoł, Rita Pagacz-Moczarska, Tadeusz Grajpel, Tomasz Gryglewicz, Ewa Gryglewiczowa, Arkadiusz Adamczuk, Władysław Andreasik. Fot. Władysław Malec*

w spokoju, odwiedzany jedynie przez kota. Bywał u Władzia, który zapewnił mu kupców, pomógł w załatwieniu karty stałego pobytu w Polsce, zachęcił do malowania Lanckorony. Nikolin posłuchał i stworzył



Vladimir Nikolin „Domy przy Rynku w Lanckoronie”, olej, 2005 r. Pocztówka wydana przez Towarzystwo Przyjaciół Lanckorony.

obrazy poświęcone temu drewnianemu miasteczku. Stałem się posiadaczem trzech. Na jednym, z uliczką wiodącą ku kościołowi, wśród wielu postaci, na pierwszym planie stoję zapytany w malarza, a obok z rulonem pod pachą kroczy Władzio.

Drugim malarzem wspieranym przez Andreasika był student o potężnej posturze, Michał Kiełbasiński. Chciał studiować konserwację, ale dwukrotnie odrzucono ten talent, dwukrotnie nie przyjęto go na ten wydział. Za trzecim razem zgłosił się na malarstwo i egzamin wstępny zdał bez problemów.

Jest doskonałym rysownikiem, w malarstwie skłania się ku realizmowi. Pracę dyplomową, ze względu na duży rozmiar, malował przez kilka miesięcy w sali sióstr norbertanek na Zwierzyńcu. Niczym Jan Matejko, zgromadził przedmioty potrzebne do odmalowania. Miał modeła i według starych receptur ucierał farby z pigmentów. Przychodziłem z ciekawości oglądać jak powstawał tryptyk „Chrzest, Ukrzyżowanie i Zmartwychwstanie”. Kiełbasiński zre-



Michał Kiełbasiński „Filatelista” (od lewej: Jerzy Duda, Maciej Rudy i Władysław Andreasik), olej, 2010 r. Fot. Jerzy Duda

zygnował ze zwyczajowego tła pejzażowego. Trzy wydarzenia przestawił w realiach mrocznej pracowni, na drewnianej podłodze obstawionej rekwizytami w zgodzie z Pismem.

Szperając w czasopiśmie, Jerzy Duda trafił na reprodukcję obrazu Gregorio Scitiano (1900-1985) „Filatelista”. Obraz wystawiono w Paryżu 1949 roku, w 1968 poczta Kuby wydała z nim znaczek, a w 1973 posłużył poczcie włoskiej do ozdobienia koperty. Namalowany na obrazie filatelista ubrany w niechlujny szlafrok siedzi w dziurawym fotelu i ogląda chwycony pęsetą znaczek pocztowy. Przewrócony globus, rozrzucone klasery, rozsypane znaczki świadczą o abnegacji zbieracza skupionego jedynie na wybranym znaczku trzymanym w pęsetce. Dotychczas nie spotkałem na obrazach XX wieku tego tematu. W malarstwie polskim zaistnieli: szewc, modystki, pasterze, pijacy, handlarze, księgarze, wariaci, muzycy... ale filatelista brak. Aby lukę wypełnić, Andreasik zamówił u Michała Kiełbasińskiego potrójny portret: przy stole siedzą i oglądają znaczki – Jerzy Duda, Maciej Rudy i Władysław Andreasik. Ja też chwyciłem za pędzel i namalowałem filatelistę przeglądającego pod lupą pierwsze polskie znaczki. Obok kot drapie pazurem znaczków z ptakiem. Trzeci obraz za-



Vladimir Nikolin „Kolekcjonerki”. Olej, 2011 r. Fot. Jerzy Duda

mówił Jerzy Duda u malarza Vladimira Nikolina. Przedstawia bawiące się na podłodze wnuczki Jerzego. Młodsza tkwi jeszcze w świecie lalek, gdy starsza z zainteresowaniem przegląda znaczki pocztowe (ojcem dziewczynek jest rzeźbiarz Christoph Krane, którego instalacja fruwających listów wzbogacała wystawę filatelistyczną „Teoria koperty”).



Maciek Kopleński ukończył rusycystykę. Jednak nie rosyjski, a znajomość języka włoskiego związała go ze sztuką. Aby przewodzić grupom polskich turystów, zdobył wiedzę o historii, kulturze, miejscowych obyczajach Włochów. Opracował trasy do spontanicznego oglądania zabytków. Często bywa w Rzymie, zna to miasto doskonale, ale wiem, że nigdy nie odwiedził cmentarza Campo Verrano. Gdy wraca, rozmawiamy o ukochanym moim Rzymie, a ja po pewnym czasie pytam: – Na Campo Verrano byłeś?, – a on na to – To miejsce odległe, nie było czasu... Za innym razem znów pytam: – Na Campo Verrano byłeś?, – a on znów to samo, że zabrakło czasu... Chciałbym, aby wreszcie zobaczył unikatowy zestaw rzeźby nagrobkowej końca XIX wieku. Naturalnej wielkości posągi bogatych dam w fałdowanych na tiurniurach sukniach strojnych marszczonymi koronkami, kokardami, żabotami – wszystkie drobiazgi misternie wykute w białym marmurze. Mundurowi panowie w pełnej gali, z orderami na piersiach, w kapeluszach z piórami. Galeria modeli do nauki kostiumologii.



Lidia Zamkow z misiem.

W czasie studiów Maciek dorabiał na życie statystowaniem. Lidia Zamkow-Słomczyńska, reżyserując w Starym Teatrze „Cichy Don” wg. Michała Szołochowa, wyróżniła go rolą z tekstem. W 1965 roku ta sama reżyserka wybrała go do statystowania w „Tragedii optymistycznej” Wiszniewskiego na scenie Teatru Słowackiego. Oba dramaty z literatury rosyjskiej szły w zgodzie z jego studiami na rusycystyce. W „Tragedii optymistycznej” była moja scenografia. W czasie prób kręciłem się po scenie, ale z Maćkiem nie zetknąłem się wtedy. Nawet później, kiedy z żoną mieszkał nad Antoniego Kawalca kwiaciarnią „Frezja”, a ja w pobliżu – też jeszcze się nie znaliśmy. Dopiero Salwator nas zbliżył. On zamieszkał na ulicy

Księcia Józefa Poniatowskiego, ja przy ulicy Królowej Jadwigi.

Jego pasją jest sztuka gotowania, zastawiony stół wyrazem miłości. Robert Makłowicz, słynny z przyrządzania potraw przed telewizyjną kamerą, przegrałby z Maćkiem-kucharzem, który ma świeże warzywa i przyprawy z własnej hodowli. Gdyby ogłoszono zawody w potrawach kuchni śląskiej, Maćka mógłby pokonać Józef Pyzik, rodowity Ślązak. O produktach żywnościowych i czynnościach przyrządzania posiłku opowiadałby gwarą, choć na co dzień posługuje się nieskazitelną polszczyzną. Na Uniwersytecie Jagiellońskim studiował filologię polską i wiedzę zwieńczył doktoratem. U Józia jadłem niedzielne obiady: obowiązkowy rosół, a na drugie danie roladę, kluski śląskie polane sosem i modrą kapustę. Wszystko podane na meisenowskiej porcelanie zdobionej niebieskim „zwiebelmustrem”. To doskonałe wycucie koloru zastawy stołowej świadczy o wrażliwości gospodarza. Natura nie dała człowiekowi produktów jadalnych o barwie niebieskiej, dlatego naszymi potrawami wypełnione niebieskie talerze polepszają apetyt, widać lepiej, co na nich podano.

Praca w niewielkim przydomowym ogródku to druga pasja Maćka Kopleńskiego. Uprawia wczesne ziemniaki, wysokopienne pomidory, ogórki, sałatę, buraczki, cebulę... także truskawki i maliny, owoce na drzewach. Od tych kuchennych roślin uwagę odwracają kwiaty i ozdobne krzewy. Kury musiały zlikwidować. Rozdał sąsiadom. Kilka powędrowało do domu zakonnego Towarzystwa Jezusowego, gdzie



Kury karłowate wg. Meyers Konversations Lexikon, wyd. 6.

miły brat Jan, wzorem św. Franciszka troszczy się o ptactwo. Pamiętam wyróżniające się strojnym upierzeniem „liliputki”. Miały imiona wzięte ze słynnych oper: Tosca, Carmen, Łucja, Aida, także ze świata operetki – Wiktoria, przez Maćka nazywana po prostu Wikta. Jedna z tych kurek zносиła jajka w bladoniebieskich skorupkach. Prawdziwa arystokratka! Kiedy kury niosły, jajek było bardzo dużo i Maciek je rozdawał. Otrzymywałem jajka duże, ale zdarzało się, że wśród nich było też jajko małe, bladoniebieskie.



Galeria Szalom przy ulicy Józefa 16 powstała w ostatnim dziesięcioleciu XX wieku. Była jedną z pierwszych na Kazimierzu, który powoli stawał się dzielnicą artystyczną. Dziś trudno byłoby zliczyć ile skupiło się tam sklepów ze sztuką, kawiarni, barów i restauracji. Właściciele galerii Szalom, Aneta i Karol Kuberscy, zadbali o utrzymanie wysokiego poziomu prezentowanej sztuki wyobraźni, wywiedzionej z rzeczywistości codziennej, ale skierowanej ku światu poezji i baśni. Odkryli dla Krakowa Dariusza Milińskiego z Pławnej k. Jeleniej Góry – twórcę artystycznej wioski dla zagubionych talentów. Pokaz jego obrazów był dla mnie wydarzeniem. Tomasz Bachanek odsłonił swój świat intensywnie kolorowych i nieustannie trwających bachanalii. Wystawa malarstwa Mariusza Kaczmarka wzruszyła pochwałą życia na prowincji. Zbigniew Roszkowski przedstawił wyrzeźbione w drewnie i polichromowane figury uskrzydłych prostaczków. Wszystkie sprzedano, bo wszystkie zachwycały. Kilka rzeźb zakupił Adam Natkaniec dla ozdoby wewnątrz Hotelu Alef, jedną Antoni Kawalec, jedną ja. Obrazy Tomasza Sentowskiego z Częstochowy przyciągały do długiego i uważnego oglądania. Kusily i straszyły hazardem, ostrzegaly przed grzesznym życiem. Grzegorz Szymczyk z Wrocławia przedstawił



W Galerii Szalom. Od lewej: Władimir Nikolin, Kazimierz Wiśniak i Karol Kuberski. 2004 r.

świat cyrku. W Galerii Szalom miałem dwie wystawy. Pierwszą w listopadzie 2001 roku, drugą na 10-lecie galerii w 2004 roku. Wszystkie obrazy przeznaczone na sprzedaż znalazły kupców. Atrakcją galerii były skaczące po szafach koty. Wspominał je Paweł Głowacki w „Dzienniku Polskim”: „Pan Karol, gospodarz Galerii Szalom ma cztery koty, żonę, chwilowo Wiśniaka na ścianach...”

Drugim miejscem moich odwiedzin na Kazimierzu jest Hotel Alef. Jego właściciel Adam Natkaniec obwiesił ściany restauracji zbieranymi przez lata obrazami. Zdobiły pierwszego Alefa przy ulicy Szerokiej, a po przeprowadzce hotelu na ulicę św. Agnieszki znalazły się w większym komforcie na ścianach Alefa drugiego. Były tam stiukowe ramy dużych rozmiarów. Dla nich powstały dwa freski: panorama Jerozolimy wg rosyjskiej litografii z 1904 roku i widok dawnego Kazimierza wg mojej rekonstrukcji, otoczonego murami, z odnogą Wisły płynącej w miejscu dzisiejszych Plant Dietla.



Za moim oknem, między zniszczonymi domami, do niedawna rozpychała się jeszcze zieleń, ale zarosnięte wzgórze tu i tam przypomina już o jesieni. Tu pożółkło, tam brązowieje, liście opadają, i ukryty wśród drzew na wzgórzu odsłania się powoli kościół Najświętszego Salwatora. Spotkany na schodach sąsiad, pan Stanisław Malik stwierdza stanowczo: – Październik! – i po chwili dodaje – Czas budować szopkę... W jego rodzinie wszystko się zmieniło, gdy z frontu pierwszej wojny światowej wrócił okaleczony dziadek Walenty. Był murarzem, a to zawód nie dla inwalidy, więc musiał zmienić go na lepszy: został kierowcą tramwajowym. Wtedy też zaczął budować szopki i rzeźbić do nich figurki na patykach. Budowle były duże i tak konstruowane, aby chodząc po kołędzie można było w nich odgrywać przedstawienia jasełkowe, poruszając od spodu drewnianymi kukielkami.



Włodzimierz Malik ze swoją szopką.

Śladem Walentego poszedł jego syn Włodzimierz. On także podjął pracę w tramwajach i budował szopki. Założył jasełkowy Zespół Rodziny Malików. Miał pięcioro dzieci. Spośród nich tylko synowie, Jan i Stanisław, mój sąsiad, odziedziczyli talent szopkarski. Piękno szopki widzą, tak jak ich ojciec, w harmonii kolorów, świateł i oczywiście formy. Wszystko ma wyrażać ten niezwykły nastrój baśniowego piękna jaki czuje się w święta Bożego Narodzenia w Krakowie.

A czwarte pokolenie? Szopkę buduje syn Stanisława Malika, Andrzej, student architektury na Politechnice Krakowskiej oraz wszystkie córki Jana Malika: Weronika, Cecylia, Justyna, Rozalia i Tereska.

Pierwszy grudniowy czwartek w Krakowie jest dniem szopkarzy. Twórcy wynoszą z domów swoje dzieła, ustawiają na stopniach pod pomnikiem Adama Mickiewicza dla oceny przez oglądający tłum. Bywa, że szopkowy czwartek wy-



Od lewej: Józef Pyzik, Władysław Andreasik, Kazimierz Wiśniak, Antoni Kawalec, Kazimierz Paciorkowski, Roman Jędrus, Ivan Bencze.
Fot. Maciej Rudy.

padnie 6 grudnia, w dzień św. Mikołaja. Wtedy gromady siwych brodaczy ubranych w czerwone płaszcze i czapy wylegną na ulice i przyjdą pod pomnik popatrzeć na szopki. Któregoś roku u Władzia Andreasika siedzieliśmy przy stole, gdy nagle pojawił się nieoczekiwany gość. Ze Słowacji przyjechał Ivan Bencze i obdarzył nas prezentami. Każdemu wręczył czerwoną czapkę mikołajową wypełnioną słodyczami. Skąd wiedział ilu nas zastanie? Wystarczyło dla wszystkich ośmiu osób.

W tym dniu moje myśli ulatują do Warszawy, są blisko solenizanta, Mikołaja Sobczaka, studenta Europejskiej Akademii Sztuki. Spotykamy się sporadycznie, częściej wymieniamy listy. Mikołaj jest jedyną osobą, z którą prowadzę korespondencję. Prawie 60 lat różnicy wieku nie stworzyło zniechęcenia, nie zmęczyło. Zaplotło silne więzi przyjaźni, które trwają od chwili poznania.



Kazimierz Wiśniak „Taniec krasnali”, 2002 r.



Długo szukał miejsca dla siebie absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej Kazio Paciorkowski. Po dyplomie pracował w Jastrzębiu, potem trafił do Gdańska, skąd wyjechał do Niemiec Zachodnich. W Dortmundzie narzekał na oziębłe stosunki międzyludzkie, drożyznę i wysokie podatki. W październiku 1977 roku odwiedził go w Wesel. Wkrótce ruszył do Afryki na Wybrzeże Kości Słoniowej, by stwierdzić, że praca z tubylcami jest niemożliwa. W 1981 roku zatrudnił się w amerykańskim biurze projektów w Melbourne. Po roku pisał: „...tego kraju nie zaaprobowałem i znowu myślę o podróży...”. Skarżył się na upały: „40 - 44°C! Lepsza jest zima niż te upały!”. Kiedy wstrzymano inwestycję, stracił zatrudnienie. Wyjechał na Tasmanię do kopalni odkrywkowej rudy żelaza. W sierpniu 1983 roku narzekał: „Zimnie wiatry od Antarktydy, trudno się przyzwyczaić”. W liście z 1986 roku napisał o smutnej rzeczywistości: „Tasmanię objechałem wokół już kilka razy. Ludzi mało, izolacja od świata”. Po wcześniejszych odmowach dostał wreszcie wizę do kraju. Wytoczył trasę lotu. Tasmania, Melbourne, Bangkok, Bruksela i Polska!

W Krakowie stwierdził, że atmosfera miasta jaka była 10 lat temu, taka pozostała, więc czuł się młodszym o te lata nieobecności. Po krótkim pobycie odleciał przez Sztokholm do Nowego Jorku.



Kazimierz Wiśniak z Kazimierzem Paciorkowskim na zamku w Nidzicy.

„New York to strasznie brudny kolos, dużo ludzi biednych i bezdomnych. Chicago podobne do New Yorku. Te same obrazki. W Canadzie jest spokój i czysto, ludzie żyją nieźle. San Francisco z europejską urodą, ładne, czyste. Los Angeles to kolos z szalonym ruchem”.

Z Ameryki wrócił na smutną Tasmanię. W 1988 roku wstrzymano tam inwestycje i Kazio znów stracił pracę. Przeprowadził się do Queenslandu. Po czterech miesiącach myślał już o zamieszkaniu w Sydney. „Jestem takim cyganem, co ciągle miejsce zmienia”. W Sydney kupił mieszkanie, Boże Narodzenie 1989 roku spędził w wysokich temperaturach, które znosił źle. „Dobrze by było klimat zmienić, osiedlić się znów w Europie...”. W 1991 roku

wyskoczył mu dysk z kręgosłupa. Bóle łagodziła decyzja o zakupie części kamienicy w Krakowie. W 1992 roku sprzedał mieszkanie w Sydney i zainteresował się drewnianym domem w Zakopanem. Z Melbourne, w liście z 19 lutego 1993 roku pisał: „Trzeba gdzieś znaleźć miejsce na starość...”. W 1996 roku uwagę zwrócił na zbyt dużą liczbę osób nienormalnych. W Tasmanii szaleniec zastrzelił 35 osób. W centrum Melbourne zniszczono katolicki kościół. Australię czas pożegnać!

Kazik przyleciał do Krakowa w 1996 roku. Jego domowy dobytek płynął statkiem, wracał do kraju mój obraz „Zaczarowany flet” i drugi z krowami nad Sanem. Jak cyrklem wykreślona Kazimierza Paciorkowskiego droga życia trafiła do punktu wyjścia. Bywam u niego od czasu do czasu, oglądam obrazy, kolekcję minerałów i artystycznych wyrobów z półszlachetnych kamieni.

Niezwykłym talentem obdarzony jest Tadeusz Rybski. Obserwowałem jak tworzył ramę dla ikony. Srebrną blachę kładł na miękkiej podkładce, rysował na blasze wzór, podkreślał go rylcem, następnie stalową pałeczką wygniatał, aby z drugiej strony blachy fragmenty wzoru były wypukłe. Wygniatał z jednej, to znów drugiej strony blachę i sprawdzał od czasu do czasu powstawanie płaskorzeźby po tej stronie właściwej. Maria Callas śpiewała, dłonie pracowały, a my jeszcze gadu – gadu, i w tym czasie płatki tulipana nabierały jędrności, liście wyginały się, pokrywając ramę bogatym ornamentem roślinnym. Patrzyłem zachwycony jak pracował, ściślej: repusował. Repuserka (od francuskiego repoussé – rysunek wytłoczony) przeżywała rozkwit w baroku. Dziś, to ginące rzemiosło ma niewielu przedstawicieli. Repuser musi mieć boski dar, talent, także siłę w rękach, cierpliwość, dobry wzrok i wtajemniczenie.

Józef Hakowski (1834-1897), cyzeler, rzeźbiarz i repuser, z zamiłowaniem odtwarzał obrazy Matejki. „Jan III Sobieski po wiedeńskiej wiktorii” wykonany jako płaskorzeźba w srebrze, umieszczony został w wawelskiej Katedrze. W „Kalendarzu krakowskim Józefa Czecha na Rok Pański 1905” jest reklama: „Edmund Korosadowicz, artysta rzeźbiarz, cyzeler, uczeń artysty rzeźbiarza Józefa Hakowskiego wykonuje prace w zakres artystycznego cyzelatorstwa i rzeźbiarstwa wchodzące w srebrze, złocie, bronzie jako to: płaskorzeźby sposobem „en repoussé...” U schyłku XIX w. Wieża Zygmuntowska otrzymała nowy hełm ozdobiony przez Korosadowicza olbrzymim srebrnym orłem na złotej tarczy. Właśnie ten Korosadowicz, już starszymi lat będąc, wtajemniczył Tadeusza Rybskiego w to ciekawe rzemiosło. Pojętny uczeń, kilkanaście lat mając, wykonał pierwsze samodzielne i udane prace: cały poczet królów polskich w miedzianej blasze, w oparciu o rysunki Jana Matejki. Na niewielkim formacie wygniótł kopię „Hołdu pruskiego”. Oglądana przez lupę ujawnia szczegóły niewidoczne gołym okiem. Trudno zliczyć ile prac, jako dojrzały artysta, wykonał dla kościołów w Polsce, także księżom w innych krajach. Najchętniej robił sukienki Madonnom malowanym przez Janinę Garycką. Ona była uznaną w mieście miniaturzystką. Wielu krakowian cierpliwie czekało w kolejności na swoje i swoich dzieci portrety. Także na Madonny. Bywało, że zmęczona dużym zapotrzebowaniem, malowała szybko i niedbale, co Tadeusza irytowało. Jego sukienki nakładane na jej miniatury były zawsze wypracowane precyzyjnie. Janina już miała słaby wzrok, a okularów używać nie chciała.

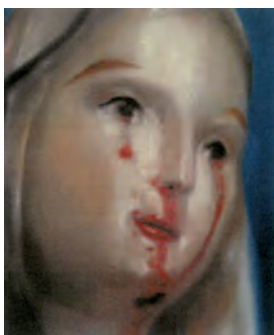


Tadeusz Rybski. Fot. Jerzy Duda



Marcin Cieński z autorem

Lanckoroński spokój ożywiał mi chłopiec, Teresy i Stanisława Cieńskich jednak Marcin. Oni przyjeżdżali na wakacje do pensjonatu Zamek. Później zbudowali w dolnej pierzei rynku dom. Ja mieszkałem wysoko, z dobrym widokiem na góry. Mały Marcin często mnie odwiedzał, aby z tarasu popatrzeć na dalekie wioski. Oglądał też, co namalowałem. Opowiadał co maluje mama, sam coś narysował, bo papier i ołówki zawsze leżały na stole. Przewidując artystyczną przyszłość Marcina, przechowałem te fantazyjne rysunki. Wiejskie życie Cieńskich trwało krótko, do pewnej wiosny słonecznej kiedy siedząc na



Marcin Cieński „Dowód”,
2006. Olej

stołeczku w ogrodzie, Stanisław sadił cebulki tulipanów. Nagle przewrócił go na trawę udar mózgu. Nastąpił paraliż, wkrótce śmierć. Lanckoroński dom osnuły kiry.

Gdy lata minęły, sprawdziły się moje przepowiednie. Marcin został malarzem i wyruszył w świat. Urządził pracownię w Berlinie, potem w Barcelonie, w 2011 roku sprowadził się do Warszawy. Dużo maluje. Odtwarza rzeczywistość w aurze mistycyzmu, tajemnicze wydarzenia, scenerie kościelnych wnętrz, cmentarne przedmioty.



Okazjonalne listy od Przyjaciela czasów szkoły powszechnej, Kazia Kowalczyka, przywołują odległą przeszłość, wywołują wzruszenie: „...pisząc do Ciebie mam uczucie, że piszę zarazem do siebie samego z lat łódzkich. Poczciwy Leopold Staff, pod którego urokiem pozostawałem w tamtym właśnie czasie miał rację, pisząc:

*Z nad ciemnej rzeki wiatr przylata
I mglistych wspomnień woń przynosi
Pamięć maluje przeszłe lata
Jak raj anielski dawni Włosi...*

Filmowa „Pustelnia parmeńska” wzruszała do łez, ale bliższe, bo na co dzień, było obcowanie z poezją. Byliśmy szczęśliwymi posiadaczami tych samych książek – „Antologii współczesnej poezji francuskiej” Ważyka (1947) i „Zaczarowanej dorozki” Gałczyńskiego (1948). „...została mi, a i Tobie też chyba, rzecz cudowna, na całe życie: ukąszenie czułe muzy liryki Euterpe, miłość do poezji najpiękniejsza, bo bezinteresowna. Potwierdzało by to hipotezę, że wszystko, co najcenniejsze bogowie dają nam za darmo...”

W pobliżu szkoły mieliśmy ulubioną trasę wzdłuż parku 3 Maja, ponad torami kolejowymi.

Kazio przypomina o tym w liście. Wędrujemy naszą ścieżką „a za nami gęsiego, jako że wąsko tu i ślisko, idą zgodnie Hermenegilda K. i prof. Bączyński, Fabrycy i Sanseverina, i wykwinna księżna de Noailles, która była Rumunką, i Gerard de Nerval, który mieszkał w Pałacu Mgieł, był szalony i oprowadzał po Palais Royal żywego homara na zielonej wstążce, i Anna Spragg, hrabina – poetessa, znawczyni czarnej magii, i tylu, tylu innych. Wielokroć chadzali też z nami tamtędy zastępowy (z harcerstwa) Mirek Szwarz, wesoły Goryl, sympatyczny kędzierzawy Pudiel, którego imię przepadło w otchłani czasu...”

Od dawna nie piszę wierszy, ale malując obrazy, ustawiam je blisko poezji.



Kazimierz Wiśniak, Mirosław Szwarz i Kazimierz Kowalczyk. Łódź 1949 r.

Kazimierz Wiśniak

Ilustracje

Tygodnik PRZEKRÓJ

Kraków

...W lipcu '56 jeszcze studiował, a już Marian Eile, legendarny redaktor naczelny szalenie wówczas popularnego „Przekroju” zaczął systematycznie publikować jego prace. Najbardziej podobały się pieski, które Kazio rysował z zapalem na zajęciach studium wojskowego. . .

Katarzyna Zimmerer „Świat według Kazimierza Wiśniaka”.
Tygodnik Powszechny nr 17, 25 kwietnia 1999.

... To „Przekrój” pisał o Szaszkieviczowej. A przede wszystkim spopularyzował ją jako bohaterkę komiksu Skrzyneckiego i Wiśniaka „Szaszkiewiczowa, czyli Ksylolit w jej życiu”. W tym awangardowym komiksie bardzo młody, wyłowiony przez Mariana Eilego rysownik, później znany scenograf Kazimierz Wiśniak, pokazał - oczywiście przetworzone surrealistycznie - sceny z życia bohaterki i grupujących się wokół niej i jej mieszkania autentycznych osób...

Andrzej Klominek „Życie w Przekroju”.
Warszawa, 1995. str. 289

Kazimierz Wiśniak należy do pokolenia, a zarazem formacji artystów, które współtworzyło Piwnicę pod Baranami, wniosło wkład w styl „Przekroju”, maczało palce w wielu zabawnych, hybrydycznych gazetkach („Latarnia”, „Trzeci dzwonek”, „Echo Piwnicy pod Baranami”). To świat utkany z pięknych detali, stylowych szczegółów, w których solenna tradycja miesza się z subtelnym poczuciem humoru; świat – odtrutka na wszelkie polskie zadęcia, pozy i miny.

Maryla Zielińska „Z życia scenografa”
Gazeta Wyborcza, Kraków, 4 listopada 1998

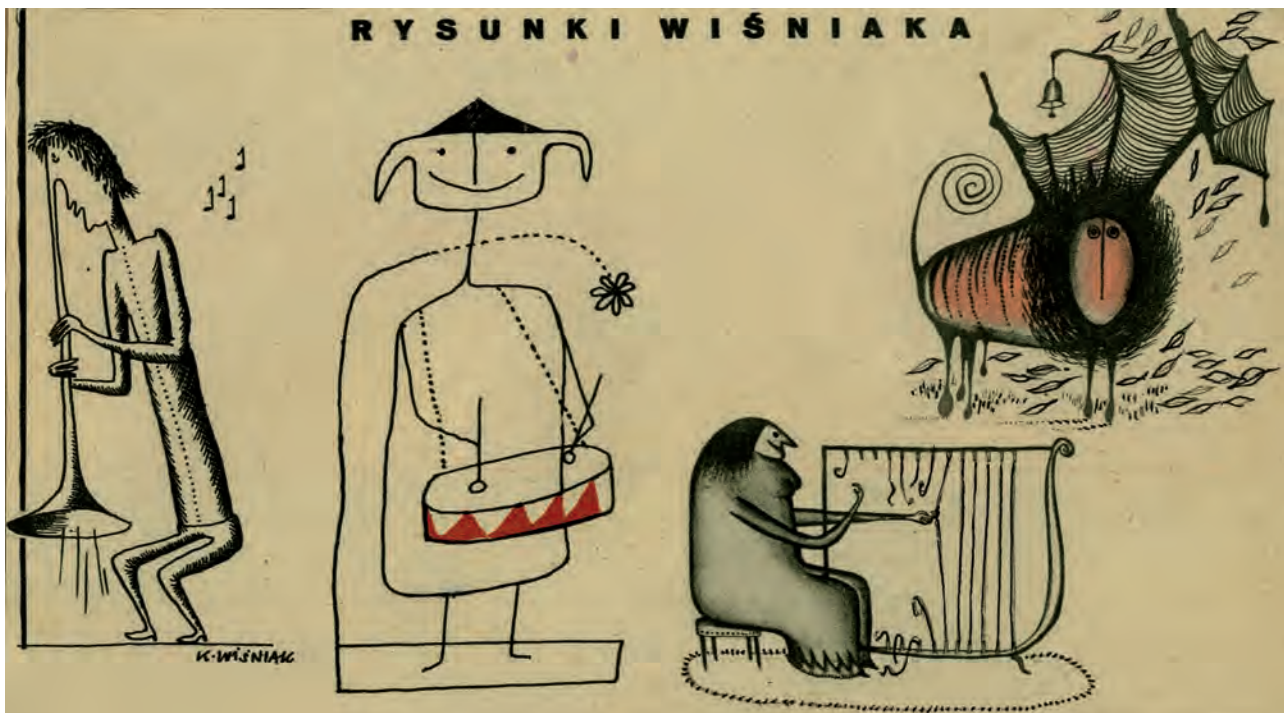
...Kazimierz Wiśniak (rysownik, scenograf, malarz) jest postacią związaną z pierwszą, założycielską grupą Piwnicy pod Baranami i z piękną epoką „Przekroju”. Rysował jednakże (i rysuje) również dla innych czasopism, a dorobek ten we fragmentach pokazuje wystawa otwarta wczoraj w artystycznej kawiarni „Młynek” przy pl. Wolnica.

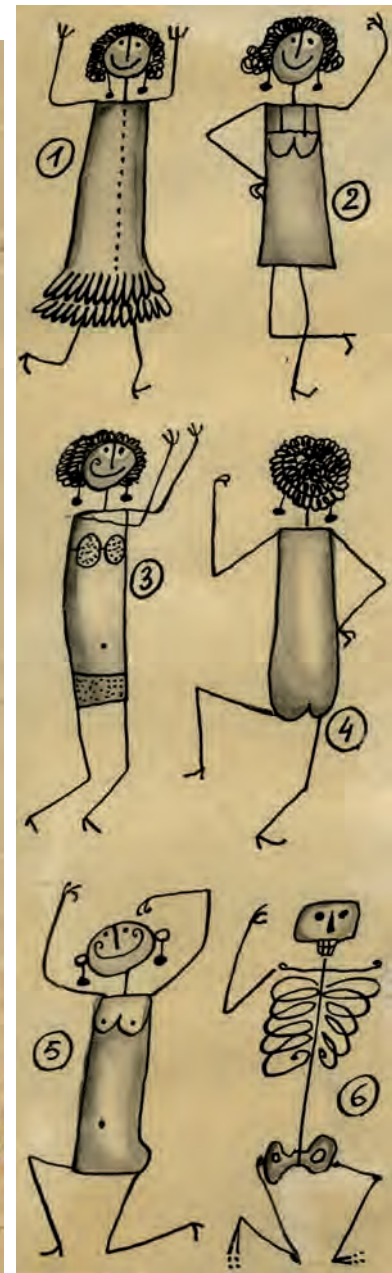
Najcudniejsze rysunki to oczywiście „Przekrój”. Nie pytajcie - kiedy, bo i tak patrząc na Wiśniaka, nie uwierzycie. Dla „Przekroju” rysował Szaszkieviczową (pierwszy polski komiks, bardzo „Piwniczny”), przyrodę („Mieszkańcy naszych pól i borów”, a wśród nich wielce udatny dzwonek leśny, straszka polna, żałobnik albo śmiertelnik...), modę (praktyczna sukienka na co dzień t.zw. kieszonkowiec) i inne smakowitości. Dalej pokazano rysunki dla innych gazet i czasopism, m.in. „Okolice Poetów”, „Rzeczpospolita” - aż po „Miesiąc w Krakowie” w którym Wiśniak słowem i rysunkiem świetnie opowiada o Krakowie.

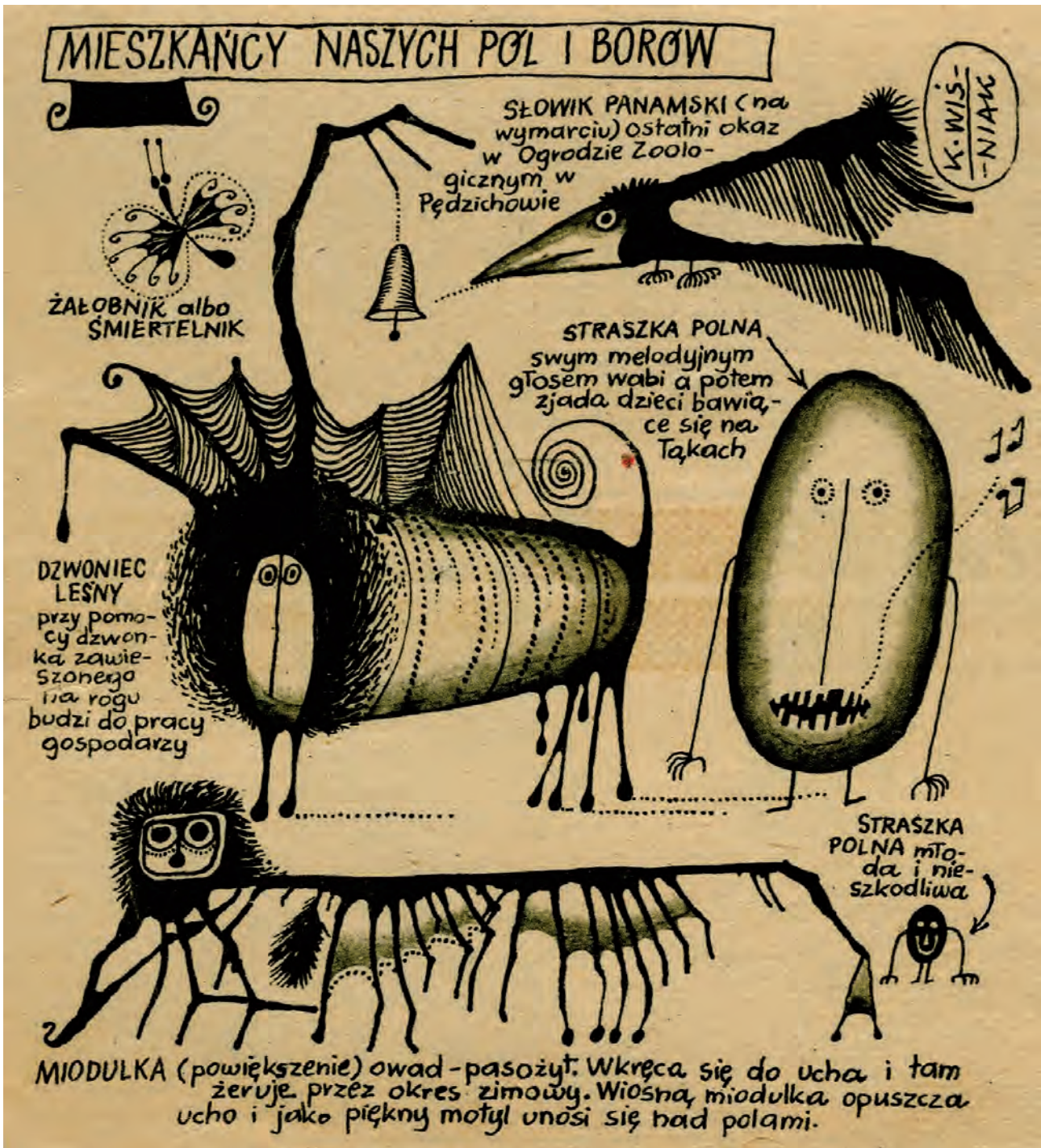
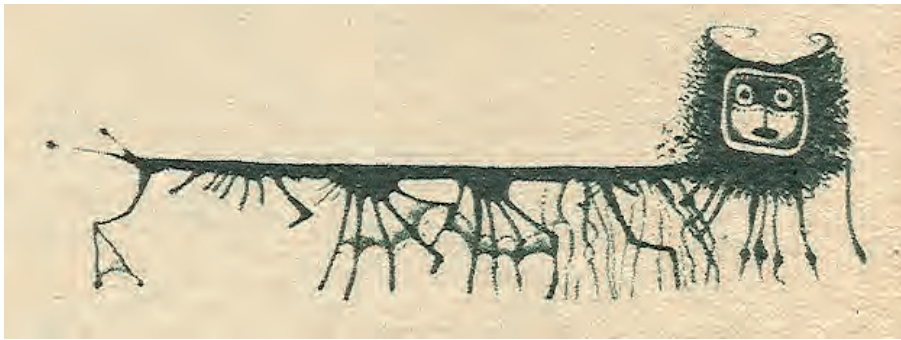
Wystawa nieduża, ale do obowiązkowego oglądania. I powspominać miło, i popatrzeć jest na co. W końcu nie co dzień w rysunku gazetowym spotykamy się z pomysłem, charakterem i wspaniałym, absurdalnym poczuciem humoru równocześnie...

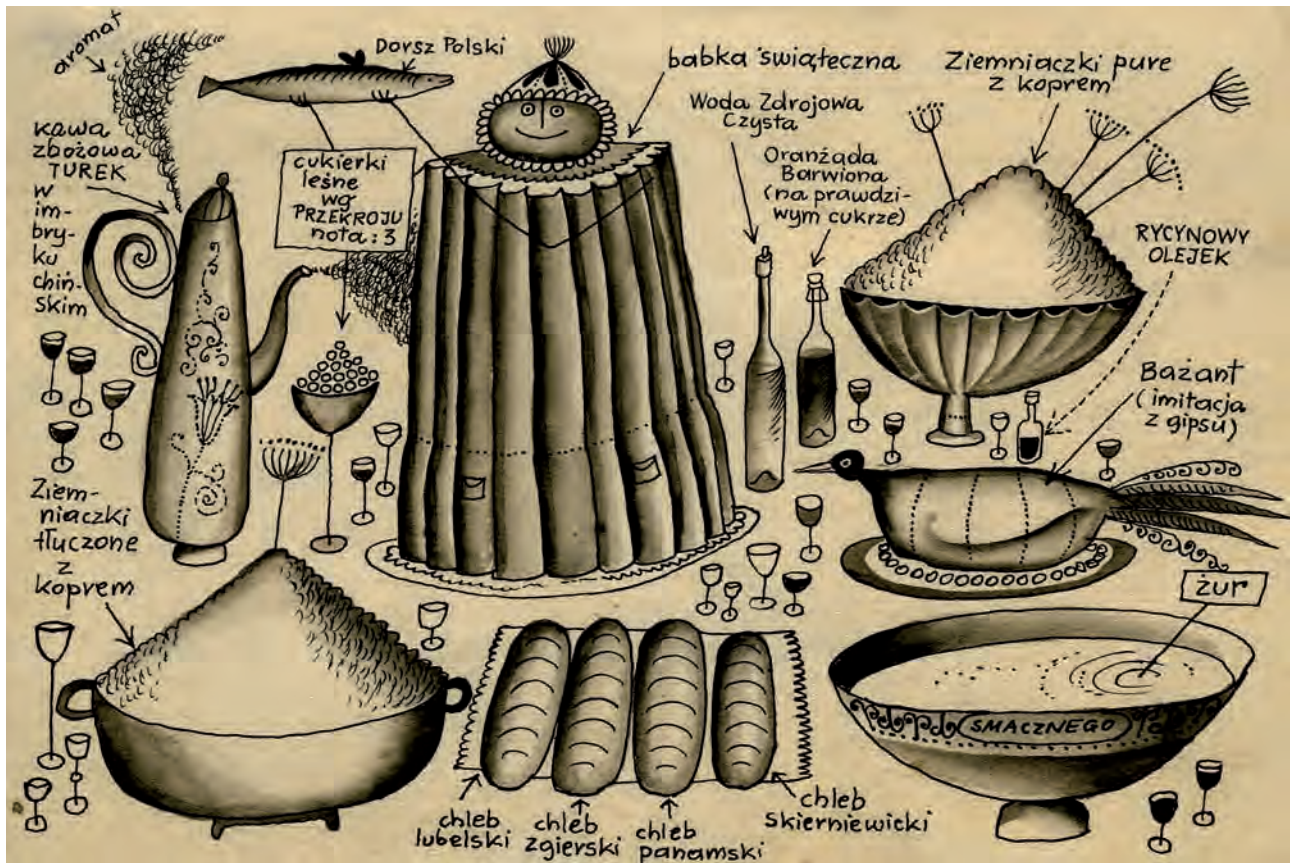
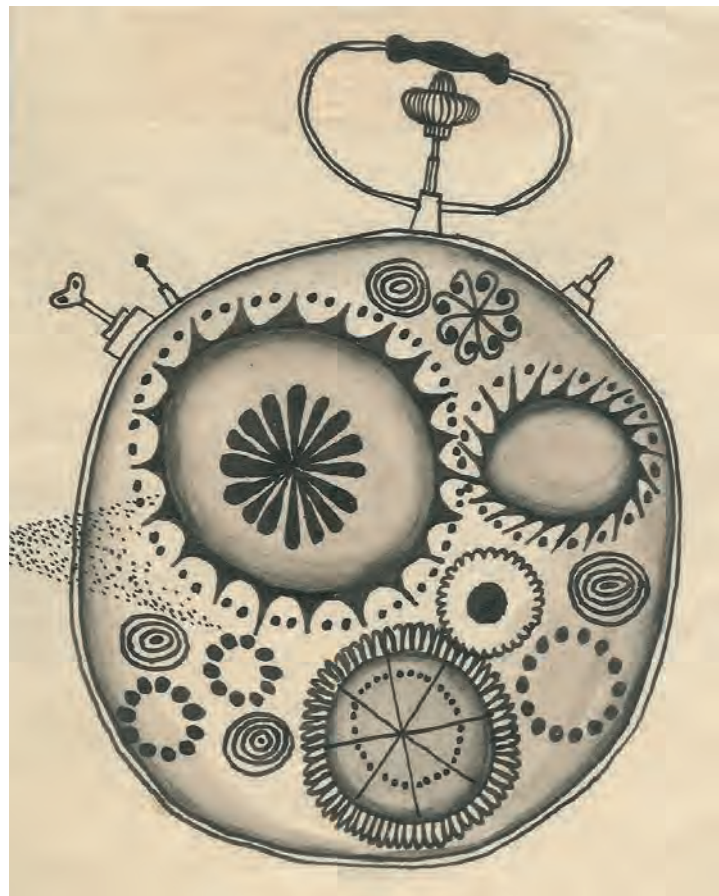
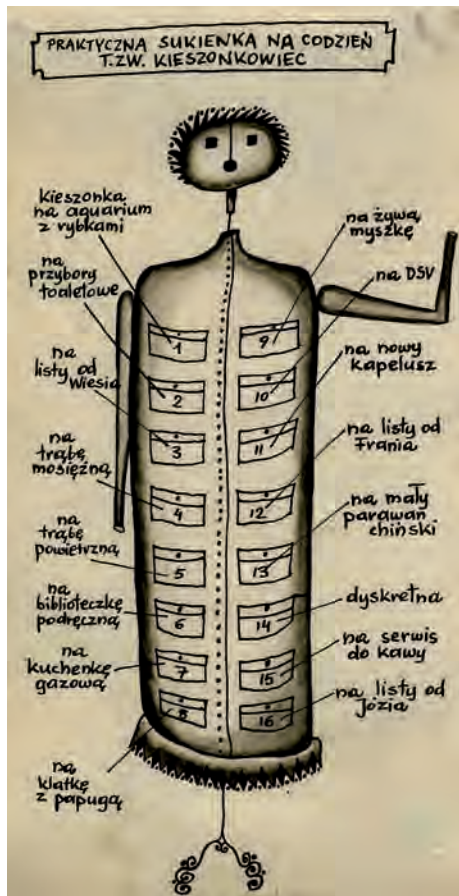
(AN) „Prasa w jego życiu”. Dziennik Polski
26 marca 2003.

RYSUNKI WIŚNIAKA



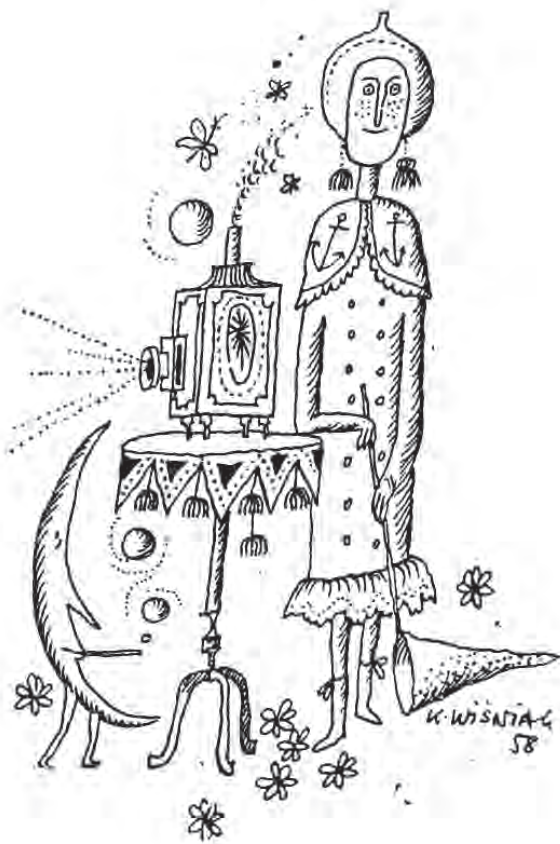






Jerzy Afanasjew
KSIĘŻYCOWY PIERŚCIEN
Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1959 r.





Joanna Ronikier
NA RYNKU W KRAKOWIE
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978 r.

... bestsellerem będzie zabawne i pouczające album przygotowane przez Joannę Ronikier oraz Kazimierza Wiśniaka pod tytułem „Na Rynku w Krakowie”... Rysunki Wiśniaka wyśmienite.

Jerzy Pomorski. *Życie Literackie*, 10 września 1978

Sympatycznie prezentował się dowcipny wyborek anegdot i faktów związanych z Rynkiem Krakowskim, sporządzonych przez Joannę Olczak-Ronikierową pt. „Na Rynku w Krakowie”... No i te pyszne ilustracje Kazimierza Wiśniaka, za które osobiście postanowiłem mu przyznać prywatną nagrodę w postaci uścisku dłoni przy najbliższym spotkaniu.

Tadeusz Nyczek „Książki Roku 1978 o Krakowie”.
Echo Krakowa, 5-6 maja 1979.



Rok 1461. Zamordowanie Andrzeja Tęczyńskiego



Rok 1257. Tworzenie rynku w Krakowie



Rok 1801. Dzwon na sprzedaż

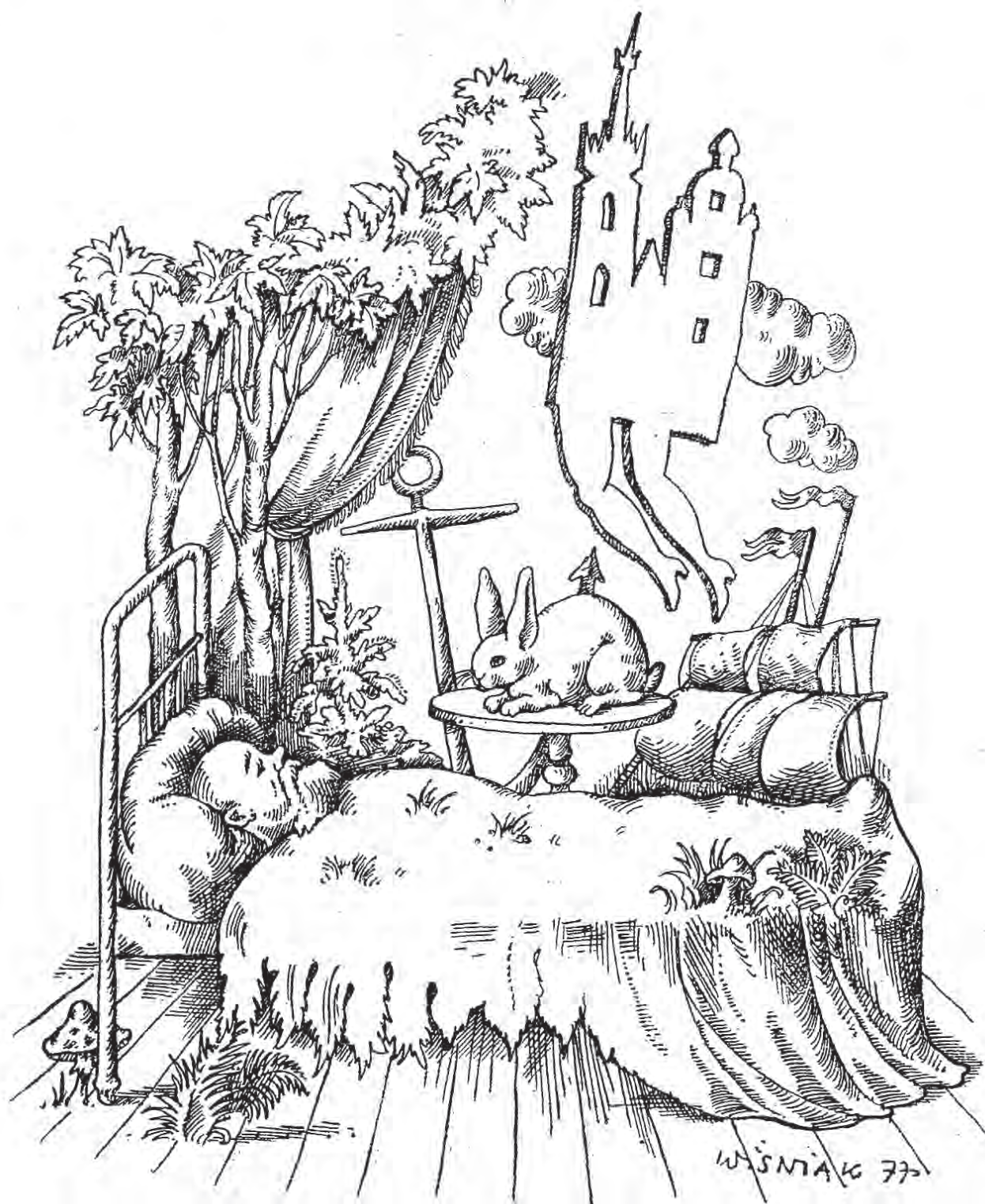


Rok 1651. Jak wiatr ludzi zabijał

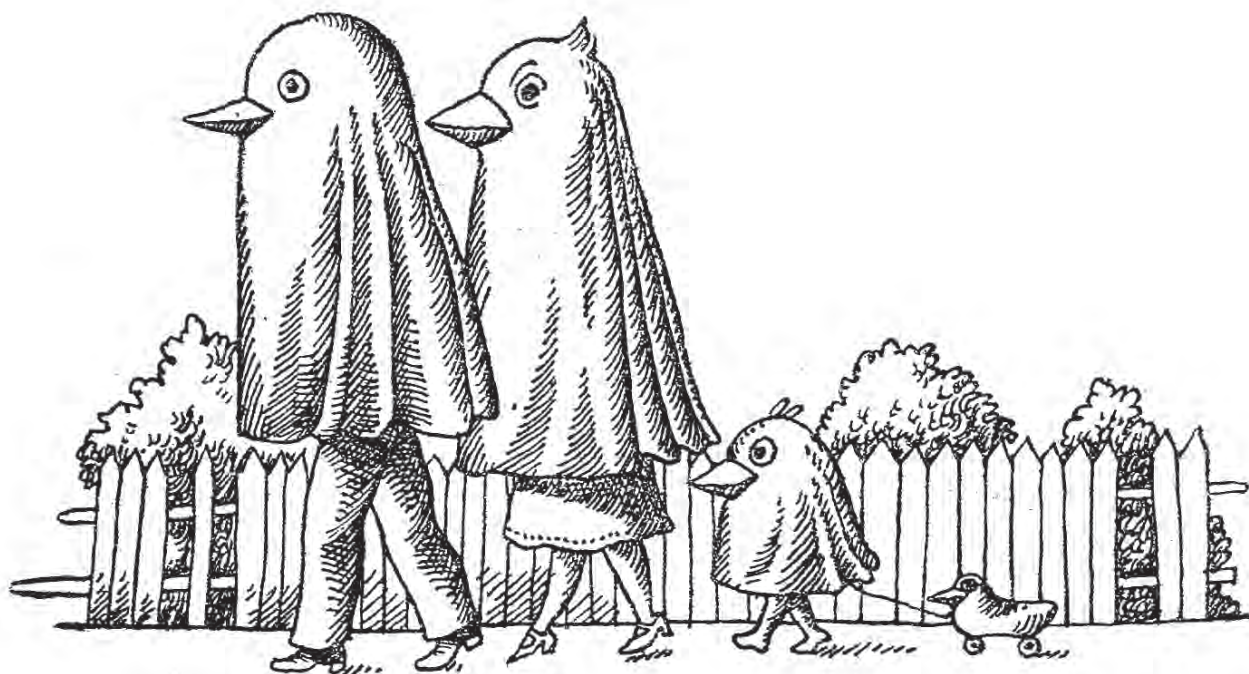


Rok 1577. O pannie wziętej w deszcz

Afanasjew z Sopotu
POCZTA AFANASJEWA
Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1979 r.







Katarzyna Zachwatowicz Jasińska
**PIOSENKI KTÓRE ŚPIEWALI DZIADKOWIE
GDY BYLI MALI**

Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1991 r.



Ojciec Wirgiliusz uczył dzieci swoje



Krakowiaczek jeden miał koników siedem



Stary niedźwiedź mocno śpi



Hej, żegluj że, żeglarzu



W murowanej piwnicy tańcowali zbójnicy



Zła zima

Nieregularny periodyk SALWATOR I ŚWIAT

Firma Wydawnicza Salwator i Świat, Kraków

... Artykuły z „Salwatora i Świata” można cytować całymi stronami, jest w nich bowiem coś szczególnego, jak i coś szczególnego jest w całym tym piśmie ilustrowanym świetnymi rysunkami Kazimierza Wiśniaka, utrzymanymi w staroświeckiej, żartobliwie potraktowanej konwencji. Jest zresztą Wiśniak autorem w niemal każdym numerze pojawiających się „Spacerów Kazimierza Wiśniaka po Salwatorze z ołówkiem i szkicownikiem”, gdzie oprócz rysunków pojawiają się krótkie opisy a całość jest narastającą dokumentacją - miejsc, domów, osobliwości i zwyczajności, które pod jego uważnym spojrzeniem osobliwościami się stają. Jest też kroniką tej części miasta i zachodzących w nim zmian. Zapisem starych domów, które znikają gruntownie przebudowane, albo jeszcze trwają, jak relikty innych czasów, domów nowych, wpisujących się udanie bądź brutalnie w znany pejzaż...

Magdalena Gutowska „Salwator i Świat”.
Pokaz nr 19, 1997.

... Trudno dziś zliczyć, ile rysunków wykonał całkowicie bezinteresownie dla „Kuriera Lanckorońskiego” oraz „Salwatora i Świata”, dwóch lokalnych gazetek, z którymi współpracuje. Trudno zliczyć, ile godzin poświęcił na ich redagowanie, korektę i pisanie własnych tekstów, przeznaczonych do druku w tychże gazetkach. Bo jeśli zafascynuje go jakiś pomysł, angażuje się w jego realizację i do głowy mu nie przyjdzie, że mógłby przeliczać swój talent, wysiłek i czas na pieniądze...

Katarzyna Zimmerer „Świat według Kazimierza Wiśniaka”.
Tygodnik Powszechny nr 17,25 kwietnia 2009.

... Nie byłoby „Salwatora i Świata”, gdyby nie Kazimierz Wiśniak, scenograf, który ilustracjami, przypominającymi XIX wieczne sztychy, ozdabia każdy numer pisma. Jego rysunki są delikatne, wysmakowane, o kreskach splecionych misternie jak nici koronki. Na widok strony pozbawionej choćby cienkiego szlaczka, Kazimierz Wiśniak wzdycha: „Oj, nudne, nudne”.

W przerwach pomiędzy wydawaniem kolejnych numerów nieregularnika Kazimierz Wiśniak spaceruje po Wzgórzu Św. Bronisławy. Gdzieś odkryje stary szyld, gdzieś zabytkowe wejście, które właściciel chce zamurować. Natychmiast chwytą za ołówek i „ratuje” zanikający kawałek świata. - Rysunki Kazia są zjawiskowe - uważa prof. Mikułowski Pomorski. - Piękne, rzetelne i mile staroświeckie - mówi Tomasz Fiałkowski.

Dwa razy musiał artysta powściągnąć swoją wyobraźnię. Gdy na wiosennej winietce elfy zbyt śmiało prezentowały wdzięki, przykrył ich „męskość” płatkami tulipanów. Innym razem biust nagiej syreny zasłonił morską falą. - Taka surowa jest Alina Pomorska. Dba o poprawność języka, i o to, żebyśmy nie przekroczyli granicy dobrego smaku - tłumaczy Kazimierz Wiśniak...

Małgorzata Wosion „Świat także bywa własny”
Gazeta Wyborcza - Gazeta w Krakowie, 24-26 grudnia 1997.

Salwator

ISSN: 1234-74 18

i Świat

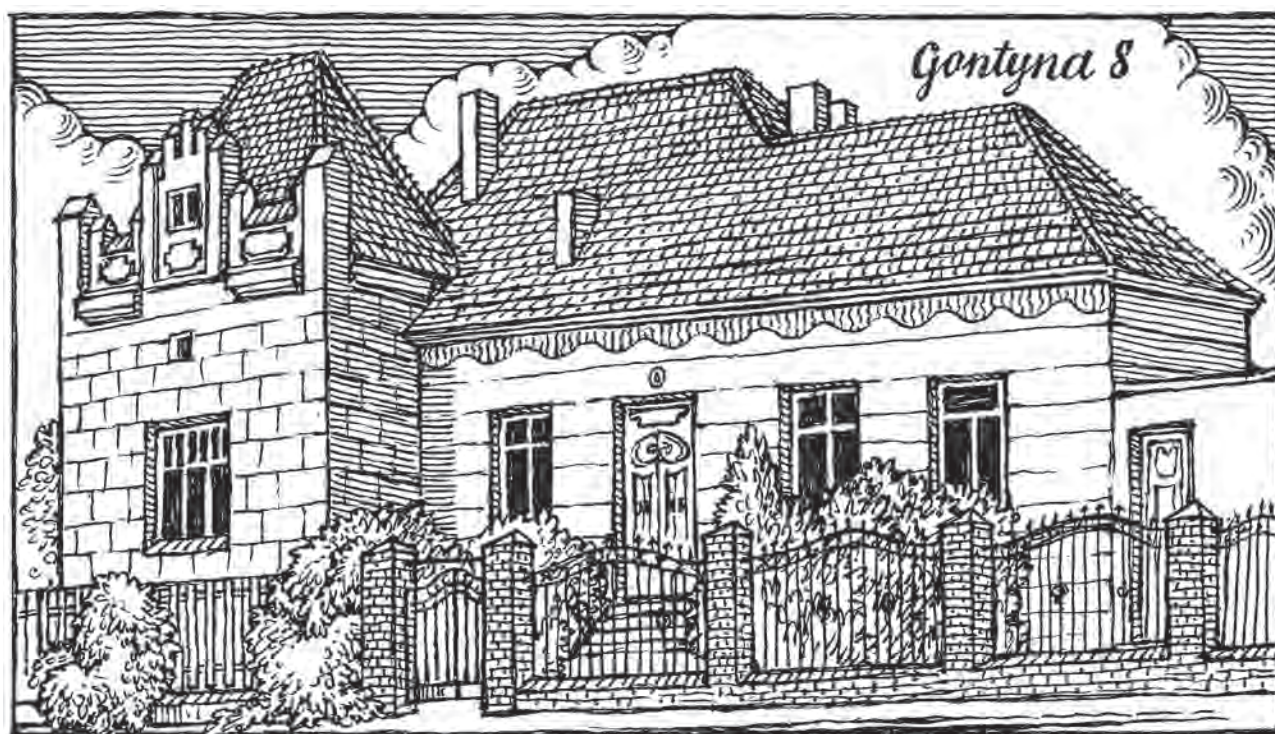
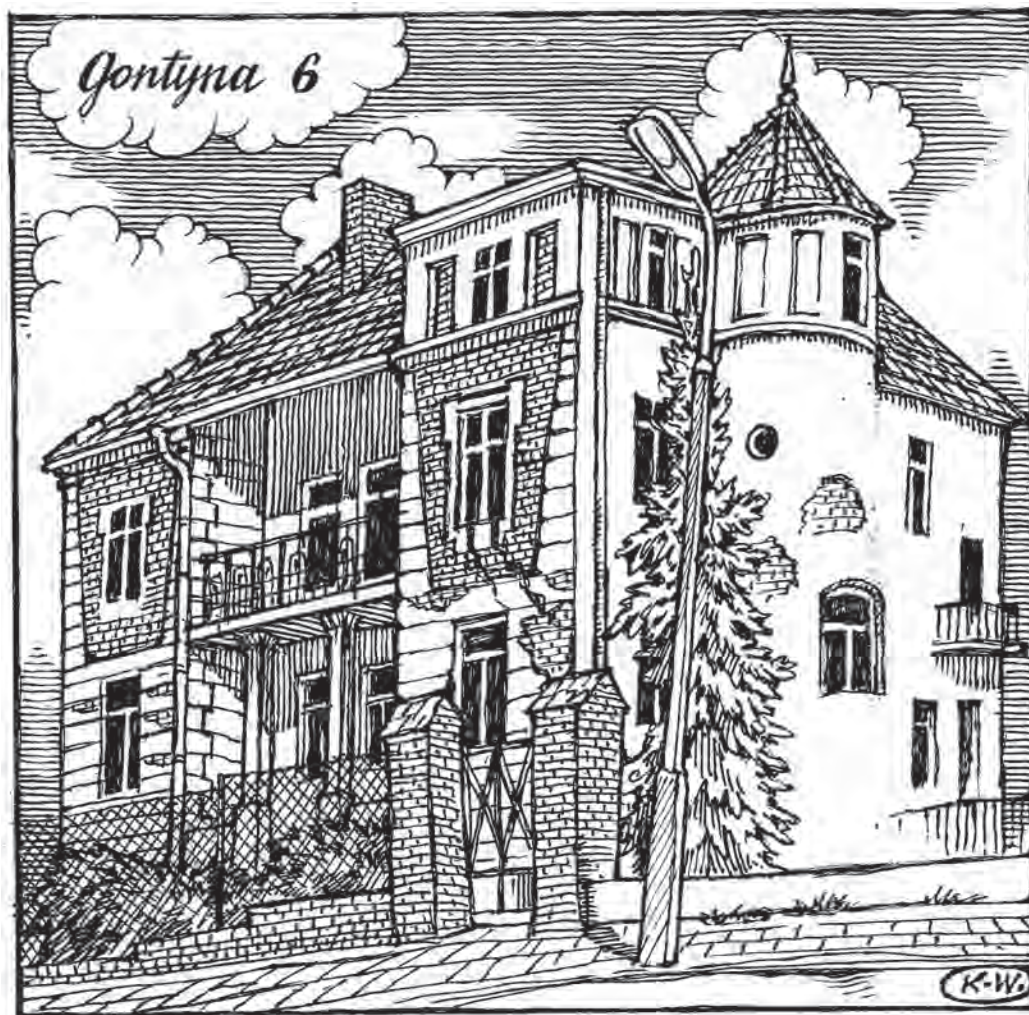


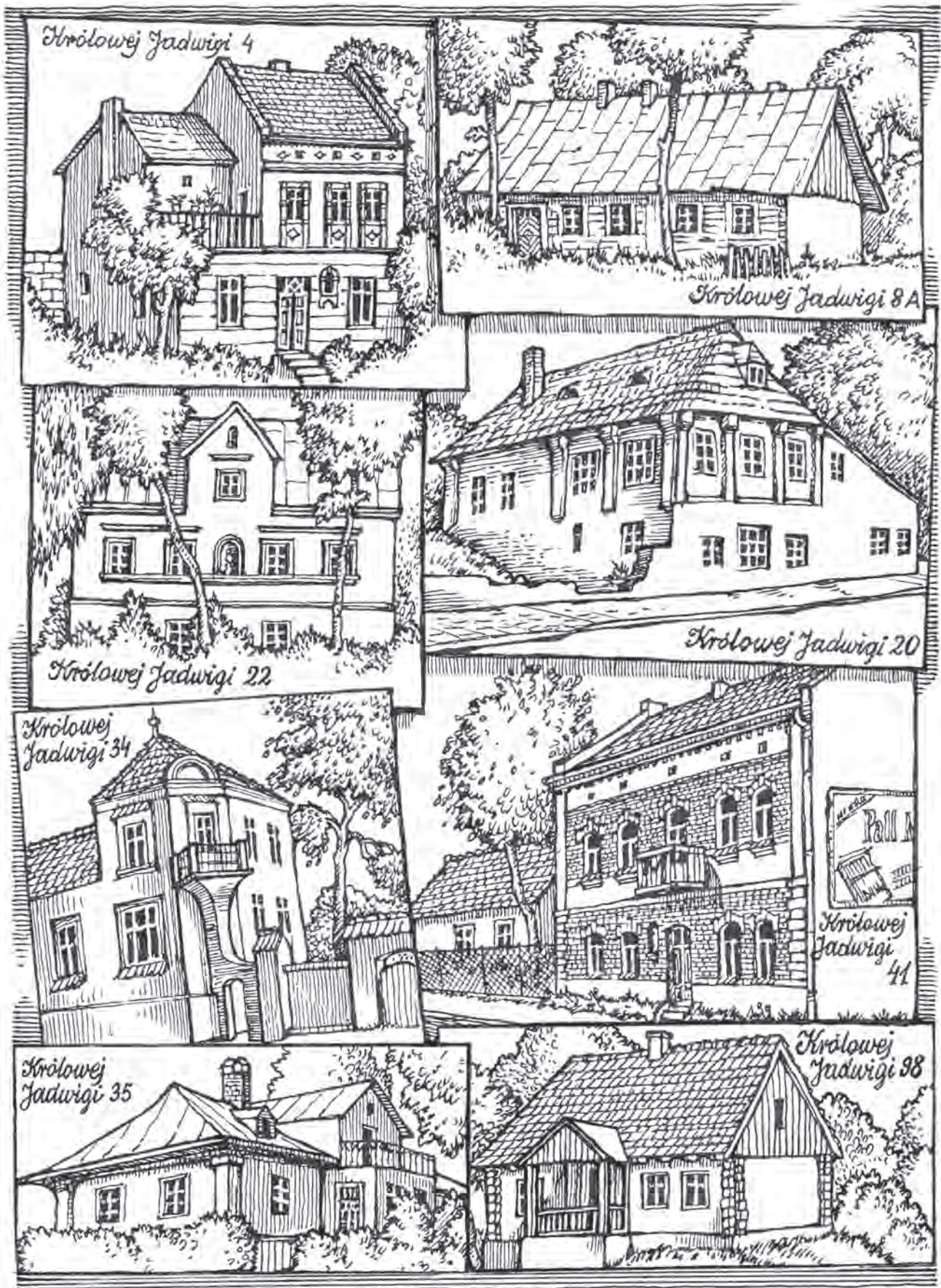
NR 26 środek zimy 1997 periodyk nieregularny cena 1,5 zł



– Drze-wo! Drze-wo!







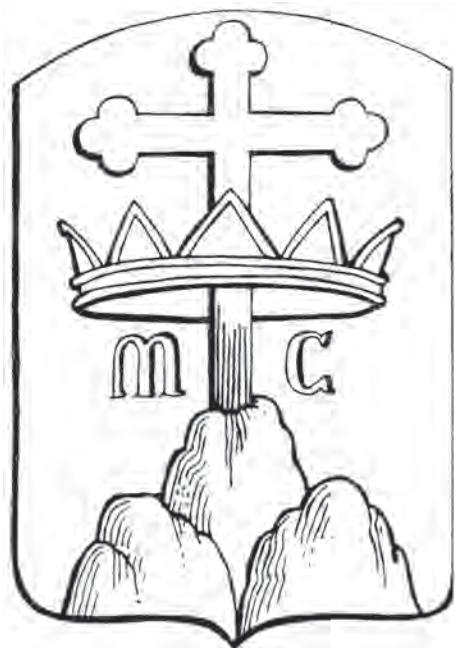


Legenda o grajku



Wacław Kolak i Józef Marecki
LEKSYKON GODEŁ KLASZTORNYPH

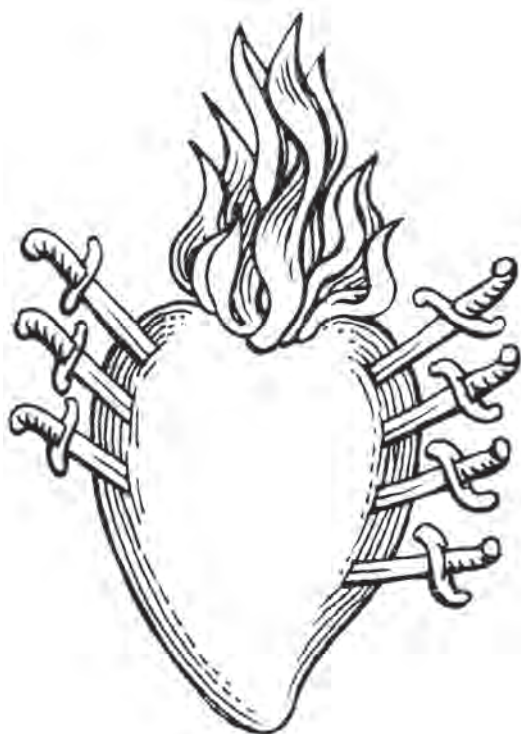
Wydawnictwo ADI, Łódź 1994



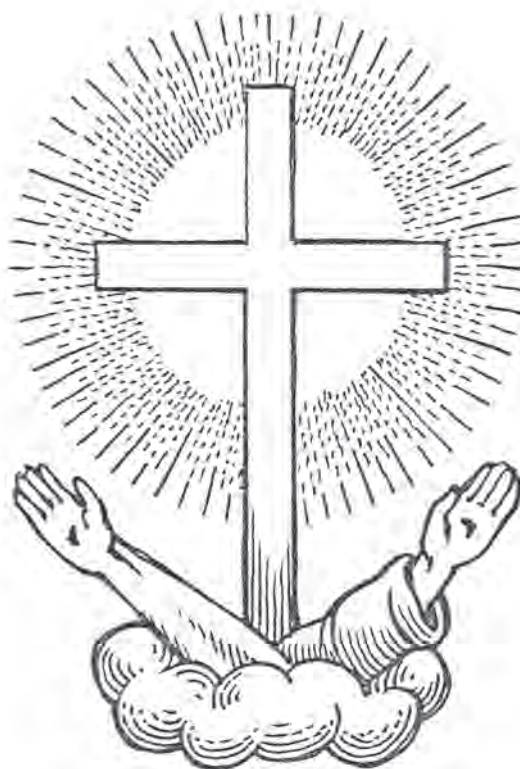
*Kongregacja Pustelników Kamedułów
Góry Koronnej*



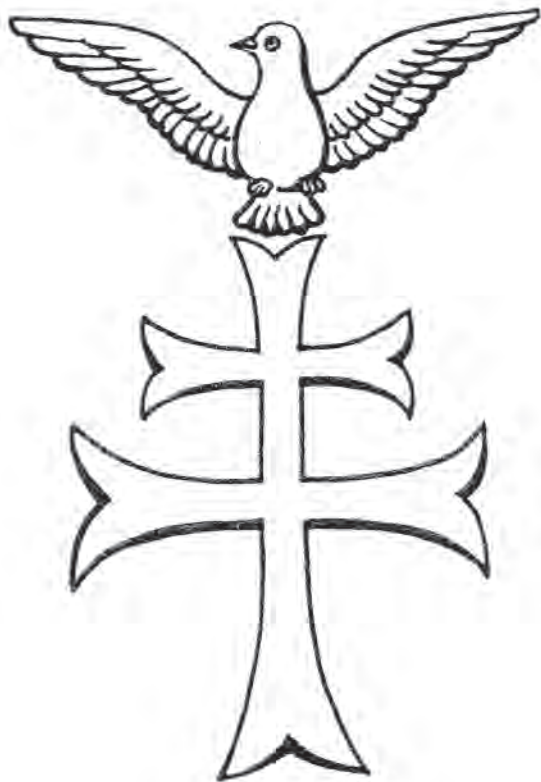
Zgromadzenie Sióstr od Aniołów



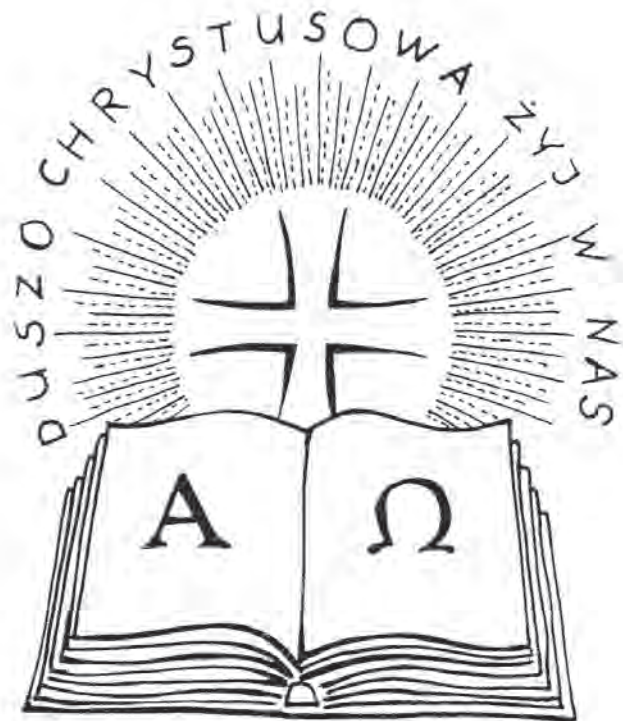
Zgromadzenie Córek Matki Bożej Bolesnej



Zakon Braci Mniejszych



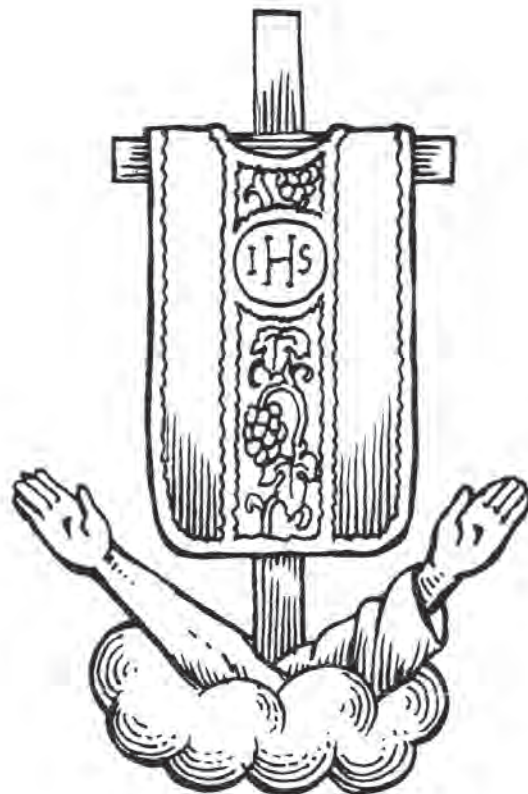
Zakon Świętego Ducha



*Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Duszy
Chrystusa Pana*



*Zgromadzenie Panien Ofiarowania Najświętszej
Maryi Panny*



Zgromadzenie Sióstr Westiarek Jezusa

Kwartalnik

KURIER LANCKOROŃSKI

Wydawnictwo Towarzystwa Przyjaciół Lanckorony od 1994 r.

... Osobowość Kazimierza Wiśniaka inspiruje od pierwszego spotkania z nim i jego twórczością, ujmuje wrażliwość artysty na piękno ukryte w detalach; w szczegółach, które tworzą atmosferę miejsc i spotkań. Wciąga jego magiczny świat pełen blasku, humoru, wspomnień z krainy marzeń i snów. Piękno tworzone przez niego ukryte jest w historiach ludzi, słowach i uśmiechach, starych księgach, zapomnianych kątach, zakątkach dalekich i bliskich, a nawet bruku uliczek, oknach, drzewach i ogrodach, mroku nocy i uśmiechu księżyca. W jakiś magiczny sposób artysta łączy przeszłość z teraźniejszością, potrafi ożywić historie zamierzchłe i urzeczywistnić senne marzenia. Jego praca artystyczna odcisnęła także swój ślad na Bursztynowym Szlaku. Ukochana przez niego Lanckorona była miejscem w którym wykiełkował pomysł na odtworzenie historycznej trasy dziedzictwa przyrodniczo kulturowego. Ilustracje Kazimierza Wiśniaka ożywiają zapomniane imprezy i jarmarki, dokumentują działanie ludzi z Bursztynowego Szlaku, dodają blasku dziecięcym akcjom sadzenia drzew jarzębiny wzdłuż szlaku...

Dominika Zaręba „Kazimierz Wiśniak i Szlak Bursztynowy”.
Miesiąc w Małopolsce - dodatek do Miesiąca w Krakowie, lipiec 2005.

Kazimierz Wiśniak, od lat związany jest z Lanckoroną, redaguje lokalną gazetę „Kurier Lanckoroński”. Otrzymał pierwszy tytuł Honorowego Obywatela Lanckorony, a także został uhonorowany pierwszym w historii miasteczka tytułem Anioła Lanckorońskiego. W Galerii Lanckorońskiej Kazimierza Wiśniaka prezentowane są jego rysunki z życia codziennego miasteczka, ważnych lokalnych imprez i wydarzeń. Zobaczymy lanckorońskie zabytki oczami artysty i najbardziej charakterystyczne miejsca oraz zakątki Lanckorony i jej uroczych okolic. Nie zabraknie kolorowych ilustracji legend lanckorońskich, wiśniakowych aniołków i krasnoludków.

Joanna Targoń „Lanckorona, Wiśniak”. Gazeta Wyborcza
Kraków, 13-19 maja 2011.

Dzień i noc zwracają się ku Lanckoronie Kazimierza Wiśniaka twarzami słońca i księżyca. Są takie dwa rysunki - ukazują dwa oblicza miasteczka, chciałoby się rzec, apollińską i dionizyjską stronę jego duszy. Dzienny - ilustrujący plakat Dni Gminy, ma kilka wersji. Najbardziej lubię tę z wkraczającym w kadr z lewej strony mężczyzną z laską i zawieszonym na uniesionej prawej ręce koszykiem. Gruba, „drzeworytnicza” kreska syntetyzuje formy (jeden kontur domyka skrzydło i ogon lecącego ptaka i naczółkowy dach przyrynkowego domu). Postacie i przedmioty zdają się solidnie osadzone we właściwych sobie miejscach, unieruchomione w sieci zwierających się szczelnie obrysów, podobnie jak wciskające się między nie białe pola pustej przestrzeni. Patrząc na tę scenę świątecznej imprezy słyszymy niemal jej gwar, a jednocześnie mamy wrażenie, że zbudowany jest tu nieco inny porządek, w którym obok tak silnej rodzajowości po-brzmiewa coś bajkowego i coś teatralnego. I nie powinno to dziwić - te trzy materie stanowią wszak główny pokarm twórczości Wiśniaka. W różnych proporcjach, niekiedy razem, niekiedy osobno (ale częściej razem, bo spotykają się nawet w realizacjach czystych gatunkowo, takich jak piękne ilustracje do dziecięcego śpiewnika).

Zobaczymy teraz, co pozostało z rodzajowości w drugim z przywołanych rysunków - zatytułowanym „Nocne życie w Lanckoronie”. Ten sam rynek, tym razem opustoszały, oglądany teraz z lotu ptaka, z ukosa, jakby w wizji sennej. Brak kierunków horyzontalnych i pochylenie większości pionów odbiera właściwe rysunkowi dziennemu poczucie stabilności. Każda z postaci ludzkich i zwierzęcych pojawiających się wokół rynkowej pustki mgliście przywodzi na myśl jakiś wątek baśniowy lub mityczny. Lecz jednocześnie wszystkie one wydają się tak silnie związane z tym właśnie miejscem. Z pewnością tu też mamy rodzajowość - tyle że ulokowaną głębiej. To rodzajowość oniryczna - ujawnia się w niej sama esencja lanckorońskiej lokalności. W rysunku dziennym miasteczko jawi się „jak żywe”. Tu mamy „głębinowy” portret Lanckorony - najwierniejszy jaki zdarzyło mi się oglądać.

Zestawmy jeszcze raz oba rysunki - po to by porównać manieri w jakich zostały wykonane. Manierę pierwszego nazwałem już „drzeworytniczą”. Warto tylko jeszcze zwrócić uwagę na trafność syntetycznego światłocienia i modelunku wydobywanego rytmicznym kreskowaniem idącym jakby po słojach ciętej deski. W rysunku nocnym kreskowanie jest drobniejsze i bardziej rozwichrzone (gdyby nadal trzymać się porównań do technik graficznych, można by przywołać drzeworyt sztorcowy lub akwafortę). Nie dajmy się jednak zwieść wrażeniu pewnego „luzu formalnego”. Tak naprawdę, jak zwykle u Wiśniaka, rządzi tu zasada ekonomii środków. Wystarczy zwrócić uwagę, jak skuteczne są one tutaj, gdy chodzi o oddanie światła rynkowych latarni czy srebrzącej się na wzgórzach i ruinach zamku księżycowej poświaty.

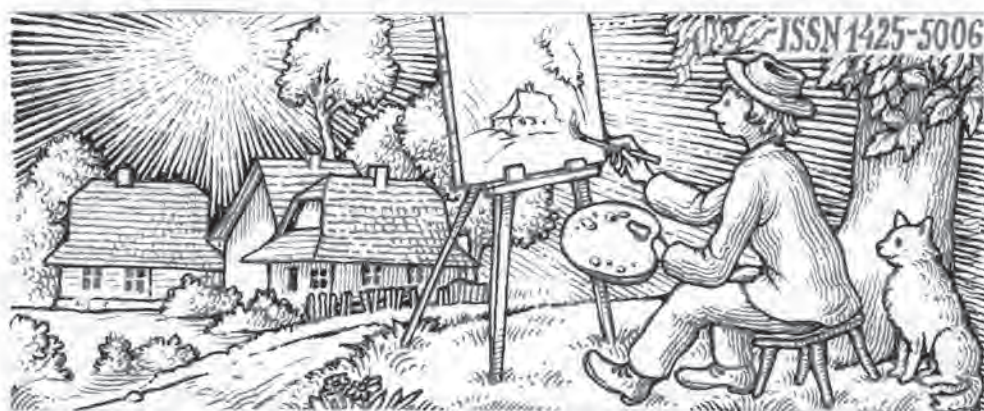
Manier rysowniczych (i malarskich) Kazimierz Wiśniak stosuje w swojej twórczości więcej. Dlaczego? - bo potrafi. I potrzebuje ich do powoływania swych światów. Czy raczej kolejnych odsłon jednego - Wiśniakowego - świata, w którym pierwiastki teatru, rodzajowości, baśni, czy historycznych podań łączą się w coraz to nowe związki. To na tym poziomie zaczynają działać prawa imaginacyjnej alchemii przemieniające bezpośrednią naoczność w poetycki obraz. Twarze słońca i księżycy zakrzywiają czasoprzestrzeń wyobraźni, i wtedy może już wypełnić ją mityczna ikonografia Lanckorony.

Leszek Danilczyk „Lanckorona Kazimierza Wiśniaka”
Katalog wystawy „Świat zaczarowany w rysunkach Kazimierza Wiśniaka”,
Lanckorona 2008.





Wiosna



Lato



Jesień



Zima

MARIA ANNA
ZE STADNICKIEJ
ZEBRZYDOW-
SKA



GRYZELDA

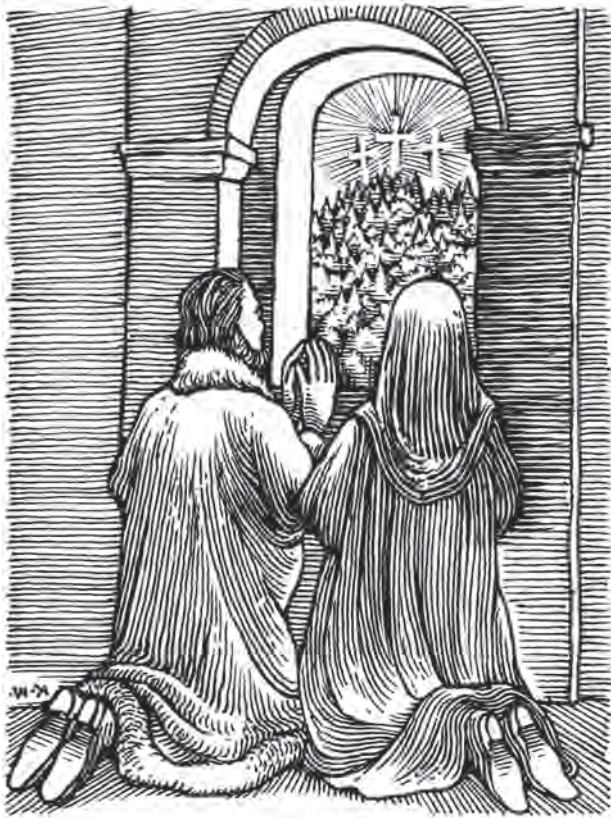
ZOFIA

ANNA

Siostry Zebrzydowskie



Mikotaj Zebrzydowski wyjeżdża do Lublina



Stodoły na ulicy Jargowej w Łanekoronie

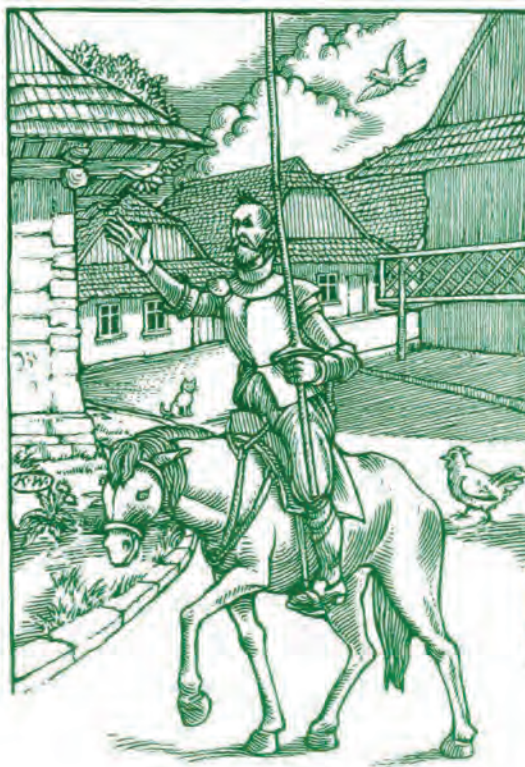
2009 rok.





Mikołaj Zebrzydowski w czasie modlitwy
rys. Kazimierz Wiśniak





Wielkanoc w pensjonacie „Tadeusz”





IZDEBNIK • JASTRZĘBIA • KOPAN • LANGKORONA • ŁAŚNICA • SKAWINKI

DNI GMINY LANCKORONA

16-17 CZERWCA 2001

JARMARK ŚWIĘTOJAŃSKI

W LANCKORONIE

rzeźby w drewnie,
malarstwo na szkle,
wyroby plecione ze
sznurka

potrawy regionalne,
zdrowa żywność,
miody

RAJD ROWEROWY • ODŚLONIĘCIE PAMIĄTKOWEJ TABLICY • ACEAT Poland ZE STRYSZOWA
WALKI RYCERSKIE • ZESPÓŁ STRONIANIE • WYSTAWY • ORKIESTRA STRA-
ŻACKA Z IZDEBNIKA • KLISZCZACY Z TOKARNI • ZESPÓŁ MELANŻ
I ZESPÓŁ GOK Z LANCKORONY • CANTITO Z ZAKRZOWA • FESTYN
NOCY ŚWIĘTOJAŃSKIEJ • WYSTĘPY MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

PARTNERSHIP
FOR CENTRAL EUROPE



ENVIRONMENTAL
PARTNERSTWO
DLA ŚRODOWISKA

RADIO
KRAKÓW
Małopolska

ORKIESTRA STRAŻACKA ZE SKAWINEK •
hafty, koronki, wyroby z wikliny, produkty pszczoły,
ceramika, wyci-
-nanki, zabawki
drewniane,
grafika

DZIENNIK POLSKI

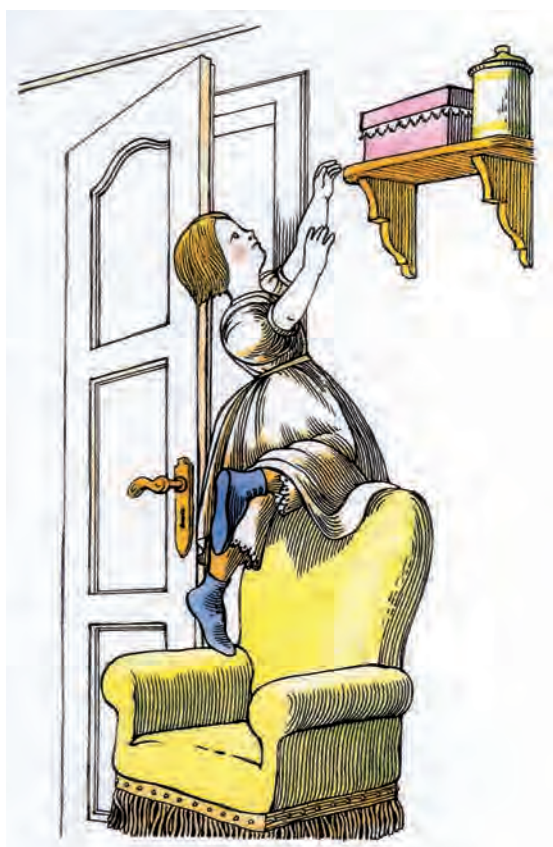
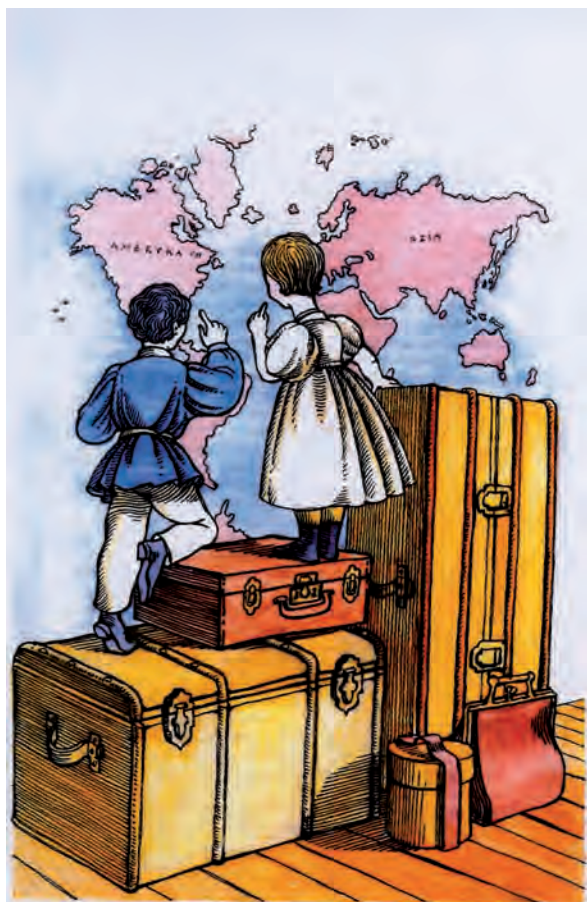


Sophie Rostopchine Comtesse de Segur

STRAPIENIA ZOSI

Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995 r.







Szymon Zychowicz
LISTY DO JOANNY

Wydali PROMAR-B s.c. i Studio Q, Kraków 1998.



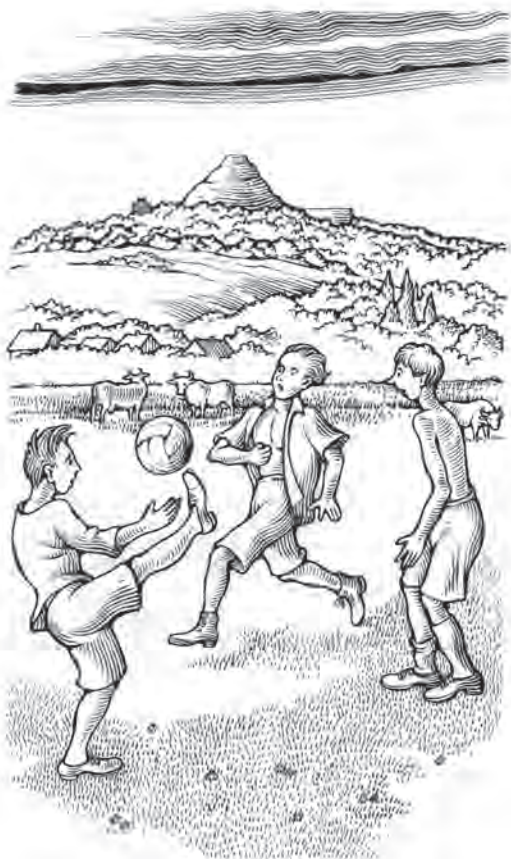


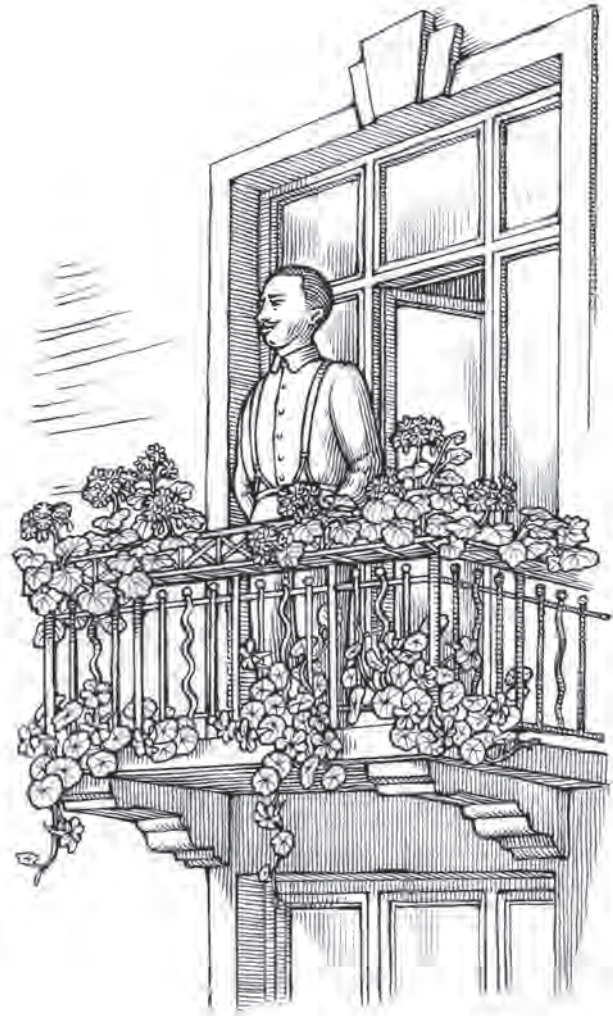
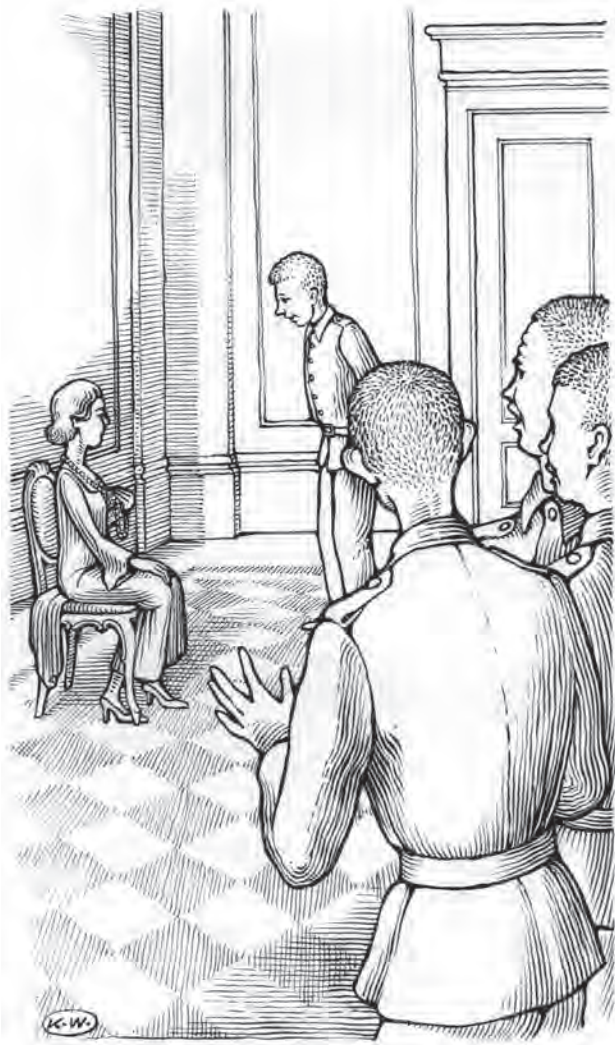
Gustaw Holoubek
WSPOMNIENIA Z NIEPAMIĘCI
Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, 1999 r.

... Gustawa Holoubka „Wspomnienia z niepamięci” zostały bardzo starannie wydane przez stołeczną oficynę Muza. Zilustrowano je charakterystycznymi rysunkami znanego krakowskiego malarza i scenografa Kazimierza Wiśniaka. Przyznać muszę, iż trochę staroświecka, niezwykle staranna kreska świetnie komponuje się z prostym, urokliwym językiem Gustawa Holoubka. Jestem przekonana, że żadne inne grafiki - może bardziej awangardowo zorientowane - nie przyłgnęłyby tak idealnie do treści i formy omawianego dzieła. Zatem duet Holoubek - Wiśniak należy uznać z szczęśliwie dobraną parę, uzupełniającą się na płaszczyźnie słowa i obrazu...

Renata Ślepowron-Byrska „Duet: Holoubek-Wiśniak”.
Akantnr 12, 2001. Str. 46.







Maciej Wojtyszko
SAGA RODU KLAPTUNÓW
Agencja Wydawnicza „Ezop”, Warszawa 2000 r.







Leszek Długosz
PIWNICA IDZIE DO GÓRY

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000 r.









MIESIĄC W KRAKOWIE.

Informator Kulturalny.

Wydawca „Informator”, Kraków



Wiewiórki na krakowskich Plantach były zaprzyjaźnione ze spacerowiczami, od których otrzymywały orzeszki, ale miały też wrogów oskarżających je o wyjadanie jajek z gniazd śpiewających ptaków.

Wraz z budową Nowej Huty przybyło mieszkańców; Planty stały się zbyt ruchliwe i wiewiórki oglądane jeszcze w połowie pięćdziesiątych lat ubiegłego wieku wkrótce znikły.

Krakowski „Czas” z 21 sierpnia

1934 roku doniósł o tragicznej śmierci wiewiórki: „gospodyni wiejska, Katarzyna Marchewka z Podgrabia, przechodząc Plantami od ulicy Lubicz w stronę ulicy Szpitalnej, nadeptała nieswiadomie na przebiegającą swobodnie wiewiórkę, zabijając ją na miejscu.”

Kazimierz Wiśniak

czerwiec 2003



We wspomnieniach mieszczanina krakowskiego jest wiadomość z 23 sierpnia 1789 roku: „zaraz po południu był wielki grzmot na Kazimierzu, idąc od Wolnicy wedle kamienicy narożnej a parkamami ogrodów p. Zakulskiego, radcy kazimierskiego, ku żydowskiemu mias-

tu, piorun uderzył, jednego Żyda zabił, a drugiego ogłuszył; u zabitego znalaziono znak na wierzchu głowy jak od małej kuli przebity, kapelusz miał przedartą, a krymkę przestrzeloną”.

*Kazimierz Wiśniak
 „Wspomnienia mieszczanina krakowskiego z lat 1768-1807”*



Jakież to widowiska oglądano
w Krakowie w 1838 roku?

Otoż pojawił się Herkules - Ignacy
Abend. „Chwytał żelazną szynę roz-
żarzoną do czerwoności, ocierał nią
obnażone ramiona, rozłamał że-
łazo, kując je zębami po kowadło,
ostudzał szynę zębami... Dopomagali
mu żona i Józef, Anna, Ignacy, Te-
resa - ich dzieci.

Abendowa dźwigana na piersiach

Kamień trzycetnarowy i takowy
młotem gruchotano na niej w ka-
wałki. Ignacy Abend udźwignął
piramidę osób dziesięciu i żywego
konia. Cóż chodzili po linie ze sceny
na galerię... ”.

„Maria Luftmanowa wykonała
taniec chiński, tańcząc pomiędzy
jajami mając oczy związane.”

Kazimierz Wiśniak



W środę popielcową na Krakowskim Zwierzyniecu można było spotkać w XIX wieku babę ciągnącą kłoc.

„Wyrostek spory, przebrany za babę, niósł na plecach kosz, a w nim siedział ze słomy zrobiony chłop w podobnej masce, baba zaś ta miała do pasa przywiązany spory kłoczek drzewa, który wlokła za sobą na powrozie, a otaczała ją czereda chłopców próżniaków i z krzykami ją prowadziła”. Zapisał ten

obyczaj Ambroży Grabowski, ale też skomentował: „Nie wiem, do czego zmierzał ten zwyczaj, i raz tylko jeden to widziałem”.

Kazimierz Wiśniak

OKOLICA POETÓW

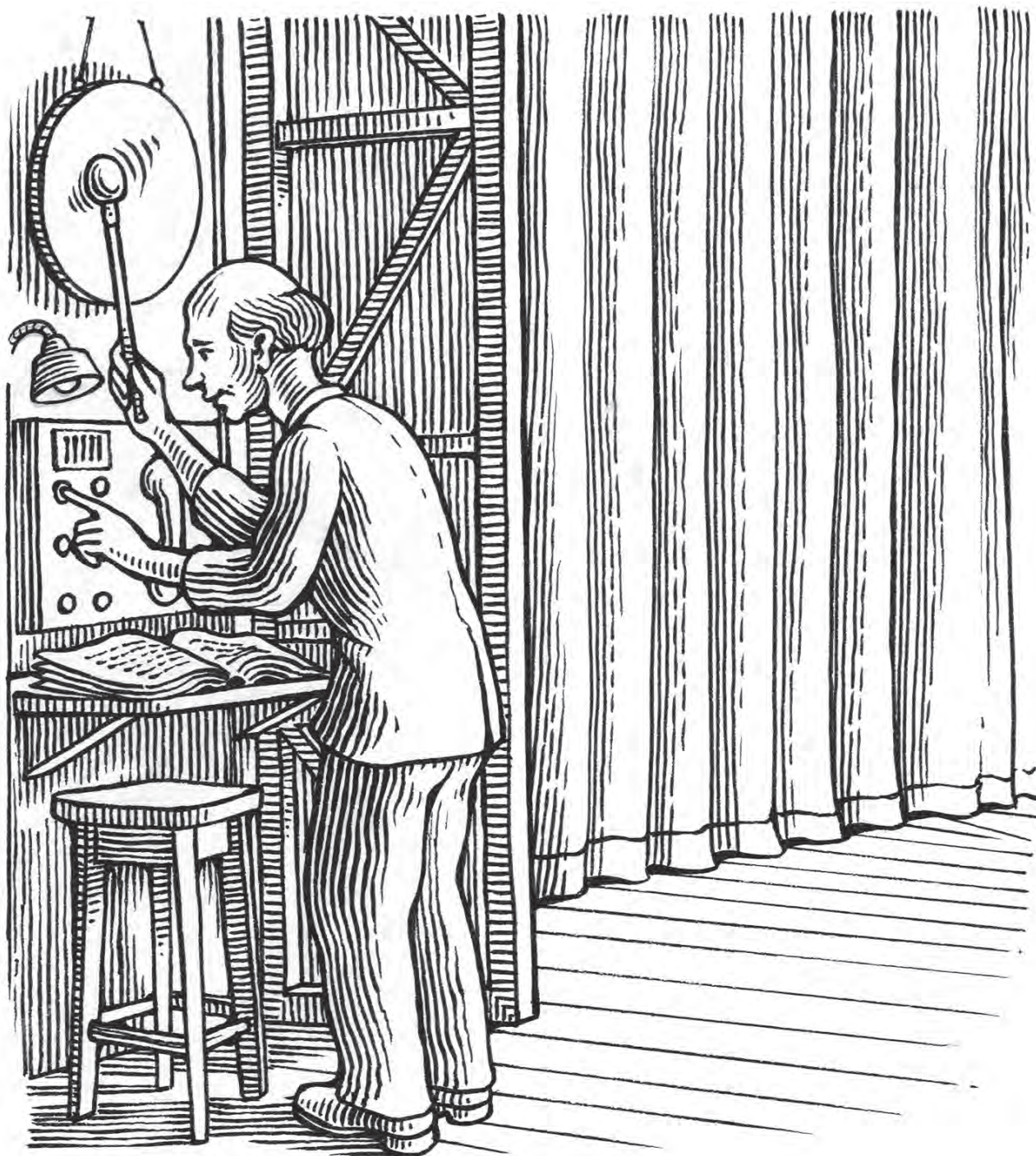
Kwartalnik

Poznań



Tadeusz Nyczek
ALFABET TEATRU DLA ANALFABETÓW
I ZAAWANSOWANYCH

EZOP agencja edytorska, Warszawa 2005 r.



Inspicjent



Mina



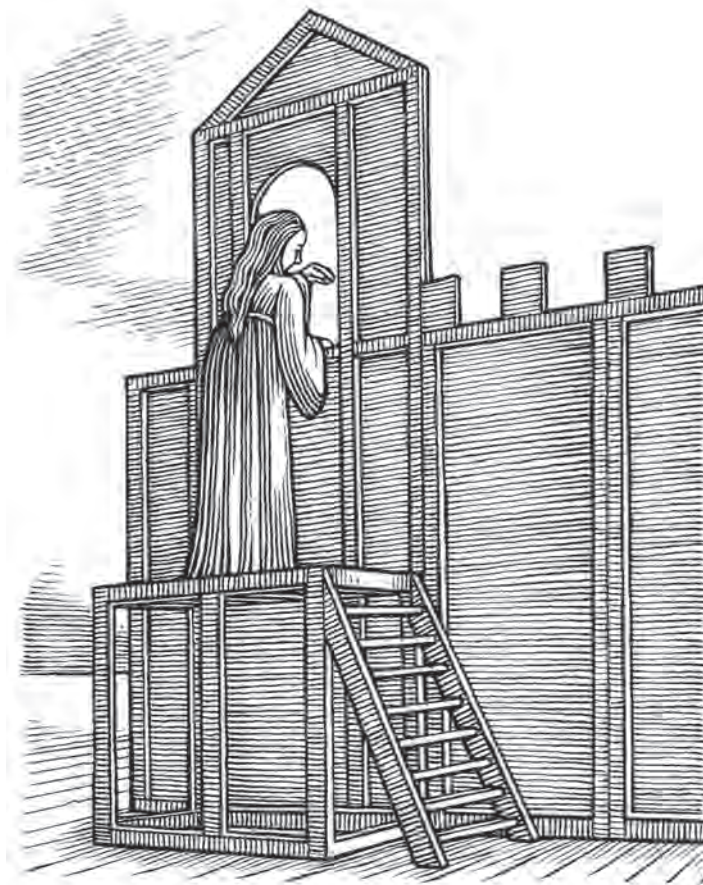
Tablica ogłoszeń



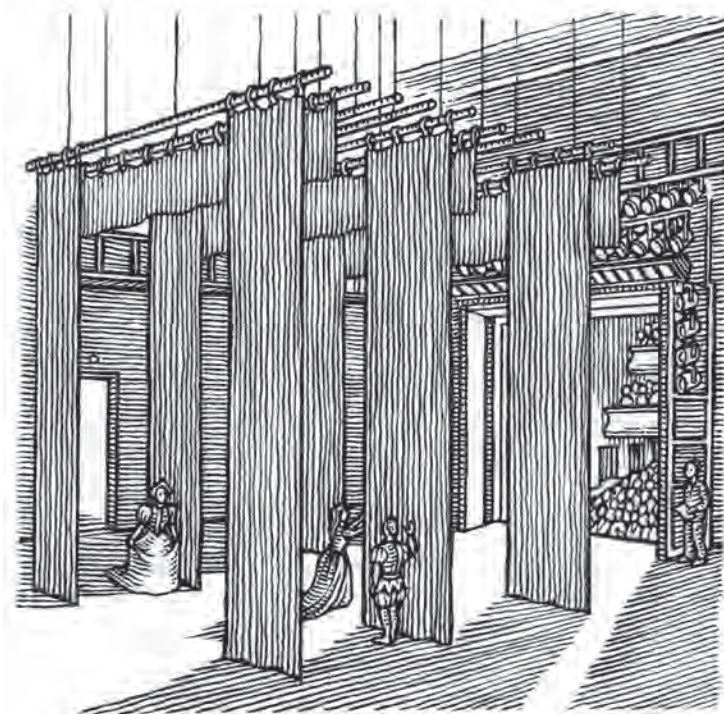
Charakteryzator



Oświetlenie



Praktykabel



Kulisa

Gazeta RZECZPOSPOLITA + PLUS – MINUS
Warszawa







Anna i Stanisław Oświęcimowie

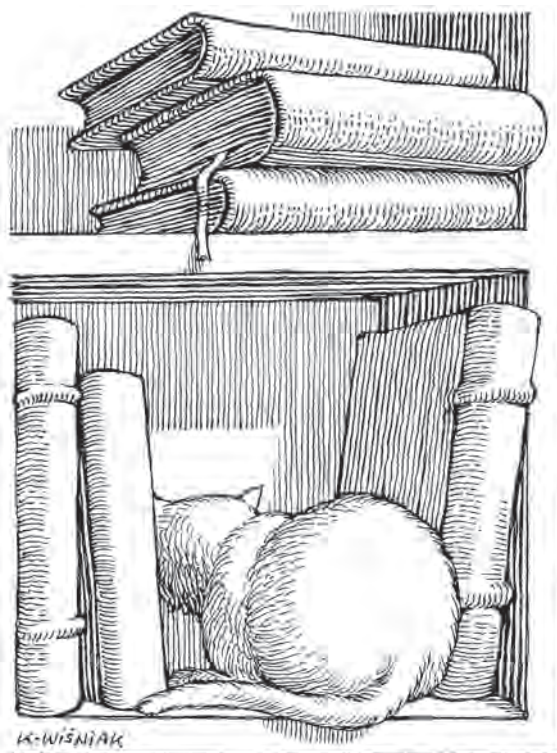




Tadeusz Ryłko

WIEM

Wydawnictwo SALWATOR, Kraków 2007



Rysunki z Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego
COLLEGIUM MAIUS



Żacy na ulicy



W piwnicy u Medyka

Janina Katz
PISANE PO POLSKU

Wydawnictwo Austeria, Kraków, Budapeszt 2008 r.



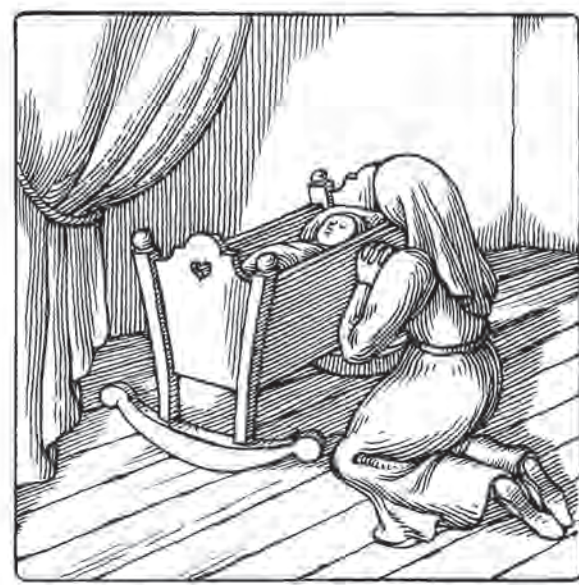
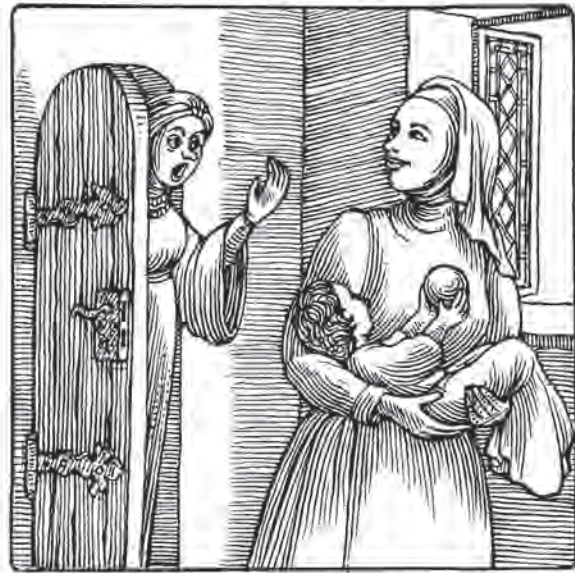
NIHIL NOVI. Magazyn literacko artystyczny.
Kalwaria Zebrzydowska



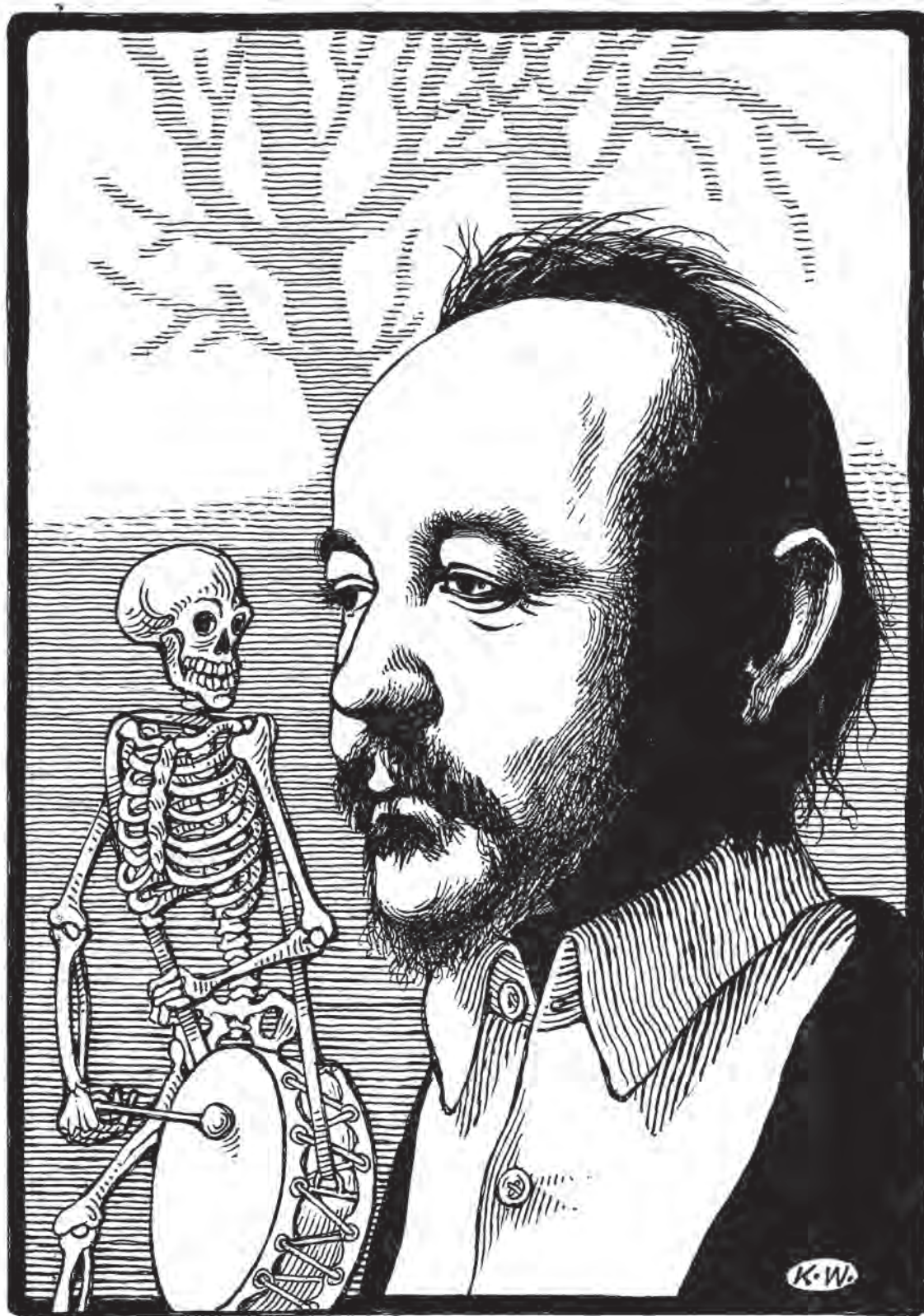
Teofil Korzeniowski
RĘKOPIS ZNALEZIONY W SZAFIE.
OPOWIEŚĆ O LANCKORONIE

Wydawnictwo Astraia, Kraków 2010 r.

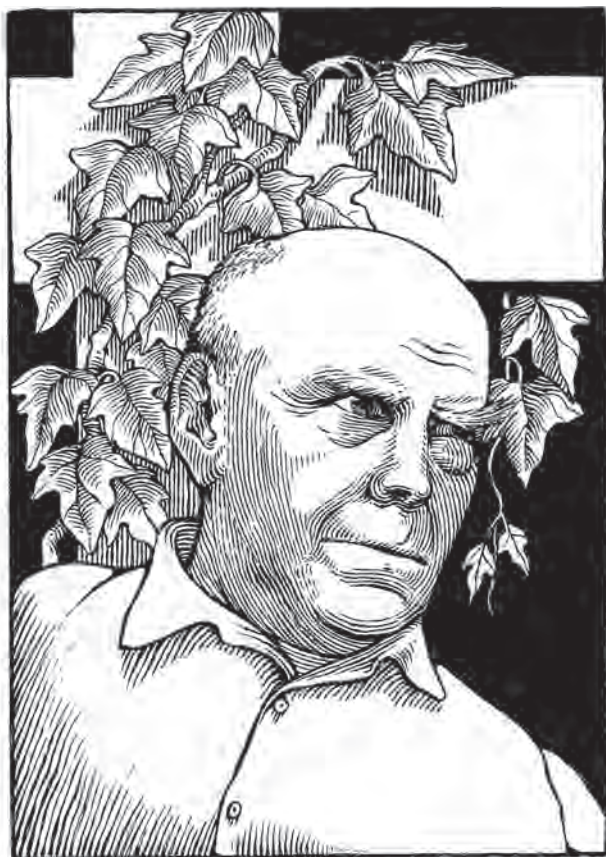




Stanisław Chyczyński
ŻYCIE POZA NAWIASEM. SZKICE O LITERATURZE
Wydawnictwo TEMAT, Bydgoszcz 2010 r.



Stanisław Grochowiak



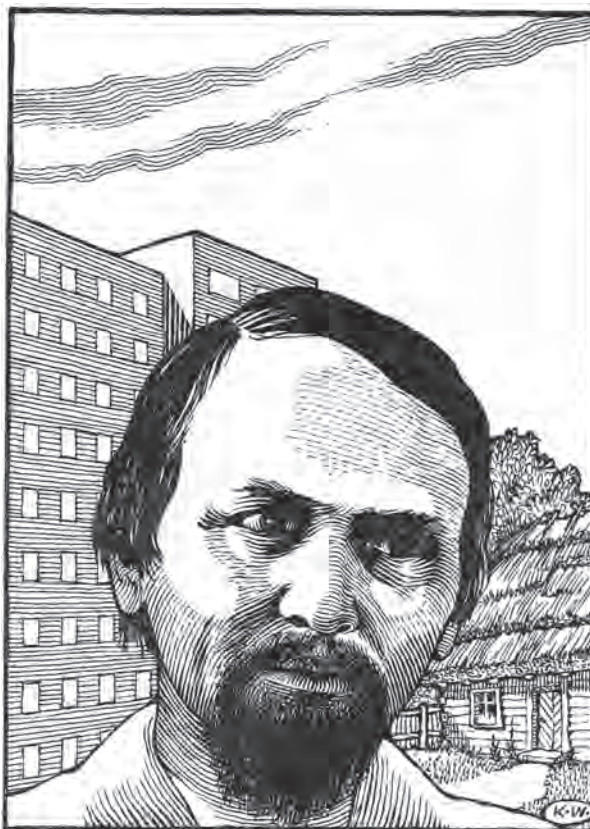
Jarosław Marek Rymkiewicz



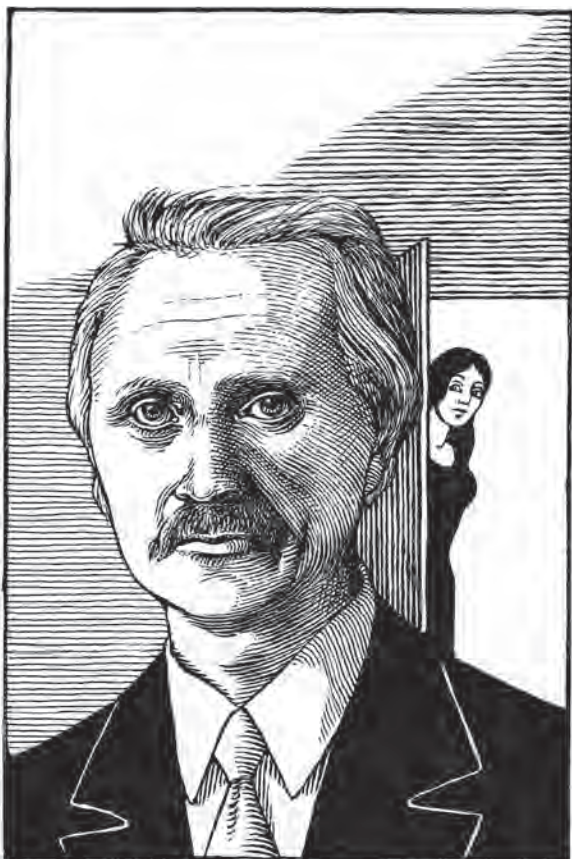
Wojciech Wenzel



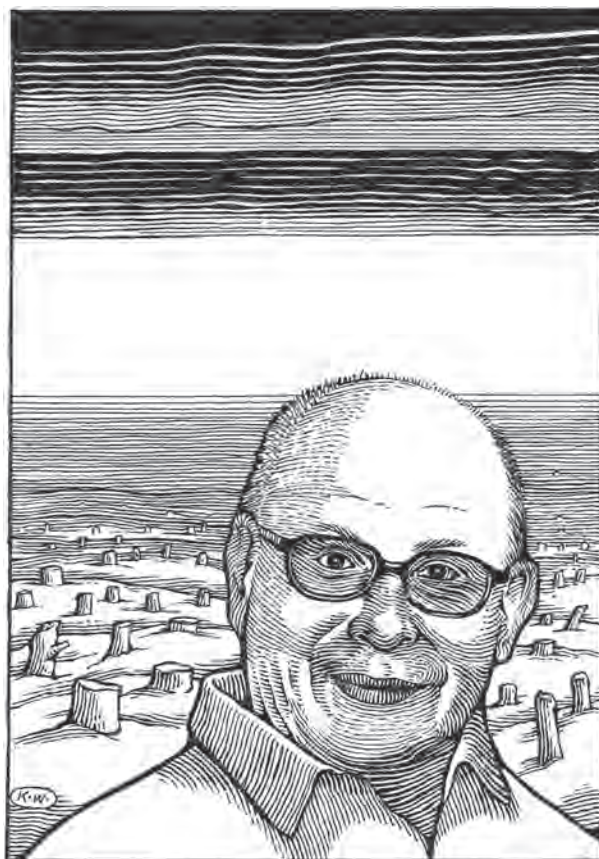
Stanisław Lem



Tadeusz Nowak



Stefan Pastuszewski



Wojciech Kawiński



Ernest Bryll

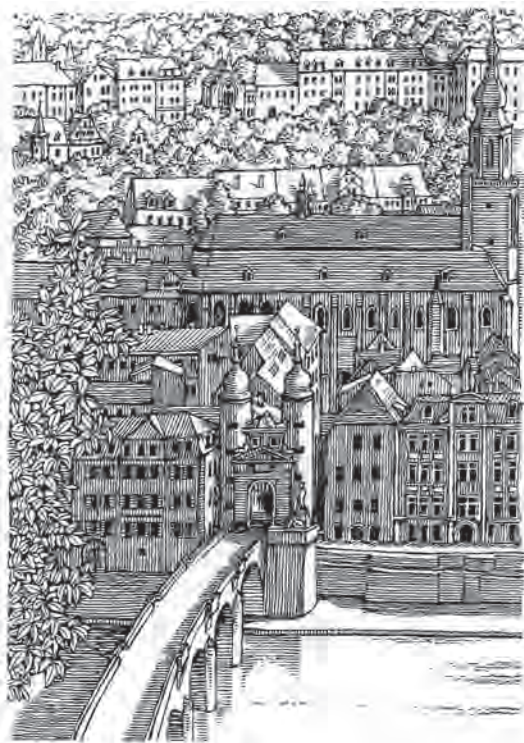
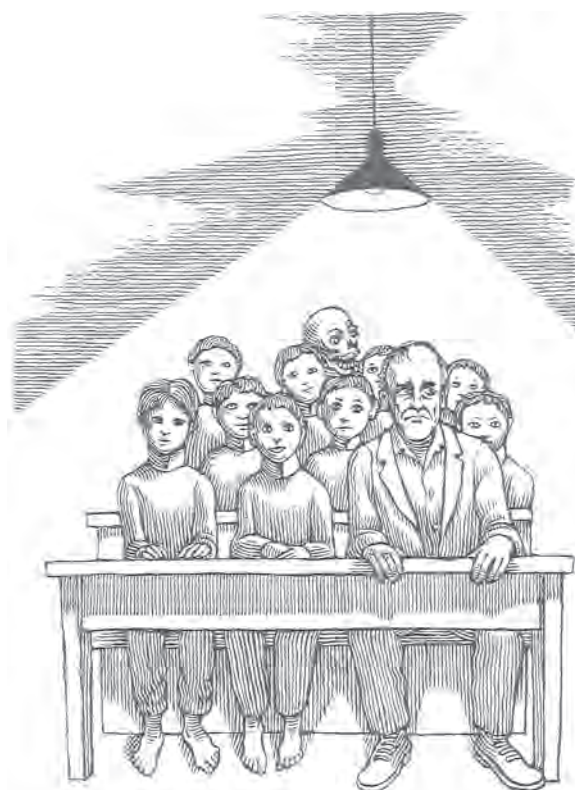


Edmund Pietryk



Marian Grześczak

Marek Bruno-Kamiński
PUNKT WIDZENIA. Wybór poezji
Warszawska Firma Wydawnicza, 2011





... Wszystko, o czym chciał świadomie stanowić, wyglądało na kaprysy. A życzenia spełniały się łatwo - i porywające związki przyjaźni, i sukces artystyczny już u zarania kariery. A los mu sprzyjał. Bo oto właśnie on, najwcześniej z nas wszystkich, zadebiutował z rozgłosem jako grafik - rysownik w poczytnych periodykach. A nim ukończył Akademię z odznaczeniem, był już szeroko znanym, cenionym i naśladowanym artystą. Te wczesne rysunki, o tak wykwintnym i oryginalnym kształcie, nasycone były osobliwym, pełnym paradoksalnych gier humorem i nostalgicznym smętkiem. Dźwięczał w nich chichot Kazika - fauna. Kazik bowiem nigdy szeroko się nie śmiał, lecz chichotał, każdą chichotów kadencję westchnieniem tłumiąc...

Andrzej K. Majewski „Kazik Kazek Kazio”.
Teatr nr 2, Luty 1994.

Andrzej Wanat: Technika rysunku nawiązująca do starego sztychu i drzeworytu jest w Pana twórczości obecna od początku.

Kazimierz Wiśniak: Bardzo to pielęgnuję, czasem pozwalam sobie dla zabawy na swobodniejszą kreskę.

Andrzej Wanat: W dzieciństwie często oglądaliśmy niemieckie książki. Pamiętam taką Weltgeschichte XIX wieczną, całą w rycinach. Wcześniej niż z dobrymi reprodukcjami Matejki spotykałem się z dobrymi reprodukcjami Durerera. To było pod ręką.

Kazimierz Wiśniak: Lubię te niemieckie książki do tej pory. Grafika i liternictwo było wspaniałe...
„Dalej się zmieniam”. Z Kazimierzem Wiśniakiem rozmawiają
Barbara Osterloff i Andrzej Wanat. Teatr nr 2, luty 1994.

... Wiśniak odsłania status plastyki ciekawej nie tylko przyrody, ile świata człowieka przeżywającego, ciekawej uczuć, mitu, tajemnicy chwytej przez symbol.

Główną orientacją sztuki rysowniczej Wiśniaka jest ukazywanie świata, w którym ludzie i rzeczy znajdują się w braterstwie wspólnej egzystencji. Życie i śmierć przysługują tu człowiekowi i drzewu i sprzętom, i domowi. Samoobserwująca świadomość właściwa jest wszystkiemu, wszystkiemu nadaje ona wyraz spokojnej powagi...

Janusz Jaremcowicz „Partia diabła”. Polityka, 19 lutego 1983.

... Kazimierz Wiśniak to talent, który - chciałoby się powiedzieć, gra na różnych instrumentach i gra mistrzowsko! I dotychczas on tylko posiwił! Bo wyobraźnia i iskra w oku ta sama! Z równym powodzeniem wypowiada się słowem, malarstwem, zabawą typograficzną, plakatem, scenografią, no i samą „solą” jego talentu - rysunkiem. Właśnie w rysunku, w tym bezpośrednim zapisie kształtu swego spostrzeżenia, odsłania swoje światy. Światy których graficzny zapis przyprawiony dobrotliwą ironią, lekko zdeformowany dla dosadniejszej percepcji, ukazuje jego pełną afirmację i zgodę na to co zastał na tym świecie i co pokochał...

Jerzy Moskał, z przemówienia na otwarciu wystawy
„Teatr z szafy zrodzony” w Muzeum Śląskim - Centrum
Scenografii w Katowicach, 20 stycznia 1997.

... Indywidualne rysy grafiki Wiśniaka dają się wysledzić. Uderza obfitość i niezwykła precyzja kreski, co kojarzy się ze sztychem. Zachowana jest tu jednak swoistość rysunku. Jest to świat gęsty, bogaty w wypracowane detale. Powtarzają się świadomie konwencjonalne wnętrza i sceny figuralne, klasyczne tematy

literackie i kompozycje mityczne. I warsztat, i temat traktowane są przez artystę w sposób, który zarazem jątrzy i łączy przeciwieństwa. Zdaje się on z upodobaniem wchodzić w środek tej gry, która toczy się odwiecznie w sztuce, gdy pomiędzy spontanicznością a wiedzą i kulturą, jak też pomiędzy świeżością a regułami obranymi dla własnej twórczości. Sztuka współczesna obcuje z ogromnym spadkiem kulturowym, z bagażem konwencji i wyobrażeń. Reakcje na to bywają różne, przeważają wszakże próby likwidatorskie idące w rozmaitych kierunkach. Wiśniak - scenograf i rysownik – przygarnia z umiłowaniem dobrodziejstwo i brzemień kultury, uczenie wykorzystuje jej rekwizyty, jej alegorie i techniki. Akceptując te szaty kultury tworzy sobie wewnątrz świat własny, zdobyty przez autentyczność rysunkowego dotknięcia. Ten świat własny potwierdza się także w ironicznym dystansie, osiąganym przez przerysowanie przy pomocy nieco surrealistycznego naddatku w traktowaniu przedmiotu. W tej sztuce czysty i młody głos rozlega się w scenerii starych kotar i splątanych pnączy, wśród opowieści dawno już opowiedzianych, przebija się przez konwencję...

Janusz Jaremcowicz „Wiśniak troisty”.
Literatura nr 3,1988.

... rysunek, począwszy od najprostszego znaczenia tego słowa, towarzyszył Wiśniakowi „od zawsze”. Od dziecięcych zabaw poprzez rysunki i winiety do różnych pism. Tych wydawanych domowymi metodami i środkami jak „Latarnia” czy „Nowiny Lanckorońskie” i tych już poważnie profesjonalnych, jak „Przekrój”, „Zebra”, aż po zabawę towarzysko środowiskową jaką była teatralna gazetka „Trzeci Dzwonek” czy wydawany „Salwator i Świat” oraz „Kurier Lanckoroński”. Nie można tutaj pominąć też wydawnictw książkowych które swój urok zawdzięczają ilustracjom Kazimierza Wiśniaka, tym robionym cienką, ironiczną kreską i tym kolorowym.

Wiśniak potrafi bowiem rysować na różne sposoby, w najróżniejszych konwencjach. Raz są to konturowe przejrzyste rysunki, innym razem lawowane, to znów gęste kompozycje o wypracowanych najdrobniejszych szczegółach, w których można doszukać się inspiracji czy zapożyczeń z różnych tradycji. W jego tece można znaleźć rysunki dowcipne, ironiczne, naiwne, fantastyczne, „grzeczne”, ilustracyjne, a także takie, które są najdosłowniej pojętym zapisem wydarzeń - portret spotkanej osoby, żart rysunkowy a propos konkretnej sytuacji czy rzeczy, detal stroju, architektury, przedmiotu. Prawie wszystkie są figuratywne, ale bywa, że kształty są mocno odrealnione, wymyślne, surrealistyczne.

Przez te prace jednak nie przebija eklektyzm. Eklektycznym można nazwać jedynie warsztat czy upodobania Wiśniaka - jego rysunki są zawsze „wiśniakowe”.

Istnieje sposób rysowania niejako reprezentatywny dla niego – wybrany z pośród wielu możliwych. Wiśniak lubi grubą czarną, giętką linię, która wydobywa z tła ludzi i przedmioty. Ich kształty są najczęściej krągłe, jowialne, chciałoby się powiedzieć „pykniczne”. Mocno, gęstą kreską znaczy na swoich rysunkach cienie i w sposób wręcz malarski, walorowo wydobywa smugi światła. Natomiast pojęcie „światła” jako pustej przestrzeni pojmowane jest w tych rysunkach niemal jako grzech niedopuszczalny. Wiśniak jest bowiem bardzo rygorystycznym ekonomistą miejsca. Najmniejszy skrawek wolnej przestrzeni powinien być wykorzystany.

Tematyka tych rysunków też sugeruje ulubione motywy. Wnętrza, sceny figuralne, rodzajowe pojawiają się najczęściej w ilustracjach. Pokazane przy tym sprzęty są zawsze odrobinę staroświeckie, ze śladami rzemieślniczej roboty. W innych rysunkach pojawia się martwa natura, portrety a wszystko trochę

odrealnione, bajkowo, czy surrealistycznie, ociera się o ironię i karykaturę, ale jak słusznie zauważył kiedyś wierny recenzent prac Wiśniaka, Janusz Jaremowicz, nie karykaturę postaci ale konwencji.

Wiśniak nieustannie oscyluje w swoich rysunkach między spontanicznością wyobraźni artysty a sumiennością rzemieślnika. Rzetelność w spełnianiu szalonego pomysłu przydała niejednej pracy Wiśniaka nowy walor. Tak sumienne aż do bólu korzystanie z jakiejś konwencji odkrywa jej śmieszności, pozwala na dystans, na swobodę. Ów dystans, świadomą grę, zabawę z konwencjami najlepiej widać chyba w rysunkowych domowych albumach Wiśniaka. Są to zbiory arkuszy, na których starannie naklejone zostały tuż obok siebie różne drobne rysunki i małe barwne grafiki. Powstawały kiedyś jako szkice do innych ważniejszych prac albo gdzieś przygodnie w kawiarnianym rozgwarze na serwetce czy starym rachunku. Zestawione teraz raczej chronologicznie niż artystycznie, tworzą swojego rodzaju zapisy rysunkowe przypominające kajety mistrzów przeszłości. Skojarzenie tym bliższe, że wśród rysunków Wiśniaka można znaleźć i takie, które wyglądają jak stare sztychy...

Maria Klotzer i Alicja Zdybalska, z przedmowy
do książki Kazimierza Wiśniaka „Z życia scenografa”
Kraków, 1998. str. 11-12.

Ku miłemu zaskoczeniu mojemu, okazuje się, mamy z Kazikiem Wiśniakiem trochę wspólnego „urobku”. Pierwsza książeczka zdarzyła się nam w 1986 roku. Mały, ale jak wdzięcznie zilustrowany tomik, wydany w Kalamburze wrocławskim „Śpiewnik ilustrowany”. Otworzył tam zresztą, kontynuowaną potem serię „Śpiewający poeci”. Zebrałoby się nam też trochę ulotnych, okazjonalnych prac. Trafił się i „wspólny obraz”, nasza „panorama lanckorońska”. „Apostrofa lanckorońska” – mój wiersz i Kazika oprawa rysunkowa tego tytułu.

Druga pozycja książkowa to w Wydawnictwie Literackim (w 2000 roku) tom „Piwnica idzie do góry”. Można rzec, to nasze wspólne reminiscencje ze wspólnego Gniazda, czyli Piwnicy pod Baranami.

Mamy na koncie też program telewizyjny, za który wdzięczny jestem Kazikowi szczególnie. Bodaj to w 1987 roku udało się zrealizować program poetycko – muzyczno - plastyczny. Reżyserowała Krystyna Bogusławska. Prócz innych walorów tej realizacji, wybijała się szczególnie, zaprojektowana i zrealizowana osobiście przez Wiśniaka, scenografia. Jakże oryginalna, jedna z bardziej pomysłowych i wysmakowanych scenografii, jakie w tego typu programach artystycznych w ogóle w telewizji widziałem – „Malowani ludzie”. Przez trzy dni kręcenia w studio, Kazik namalował, narysował tłum postaci zapełniających puste przestrzenie. Te jego osoby, jakby zespalały się z postaciami rzeczywistymi, z muzykami grającymi w studio. Wychodząc od określonej tonacji kolorystycznej, w miarę rozwoju akcji poszerzał kolorystykę, dynamizował swoich aktorów, jakby uczestników programu. Zmieniał im twarze. Grymasy, uśmiechy, kapelusze. Otwierał oczy, zmieniał kierunek spojrzeń, dodawał im lat. Wspaniale to żyło i wspaniale zagrało. Wyjątkowe, piękne dzieło. Niestety zrealizowane w złym czasie, przepadło prawie bez uwagi. Niewykorzystane, zbyt wyrafinowane artystycznie, aby je potem tzw. oglądaczowi powtarzać? Szkoda... A owe realne, namalowane przestrzenie, zapewne też poniszczono, albo i rozkradziono.

Dla rysowania Kazika mam podziw i słabość. Podziw dla kunsztu formalnego, specyficznego „naiwnego ciągu” (czyli kreski) i charakterystycznych „uproszczeń”. Lecz ile w tym uproszczeniu finezji? Ile, przy okazji, szczegółów, konkretności, topografii, psychologii?

Słabość moja, czyli uśmiech, rodzi się na widok kreowanego przez Wiśniaka świata. Tej mieszaniny spojrzeń – dziecka, liryka, humorysty. Kogoś z pogranicza, sielanki, albo z teatrzyku marionetkowego?

Przystrojonego urokami natury – kwiatem, gałązką, owocami. Wchodzącego w pejzaż przeniesiony z dawnych książek, z onegdajszych ilustracji? Uważniejszy obserwator wychwyci jednak: autor tych rysunków, ów ktoś, kto się uśmiecha, kpi nawet (niby odwrócony w stronę dawnej rzewności) sygnalizuje przecież? Świadomy jest grozy, zła, dramatu ludzkiego. Swoim niedzisiejszym uśmiechem zakrywa tę ciemną stronę? Nie wyprowadzając się ze świata dziecinnej wiary i zachwyty (chroniąc się w nim dalej?) sygnalizuje: - spróbujmy ciężar istnienia, to wszystko, co nas niesie, odmienia... boli i rani, postarza i unicestwia, to wszystko postarajmy się jednak potraktować z delikatnością, lekkością?... Z uśmiechem, pomimo wszystko? I w tej postawie rysuje się przecież łącznie i najlepiej i styl i klasa – człowieka i artysty.

Leszek Długosz „Nasze wspólne obrazy...”.

Katalog wystawy Świat Zaczarowany w rysunkach Kazimierza Wiśniaka.

Lanckorona, Gminny Ośrodek Kultury, 2008.

Portrety



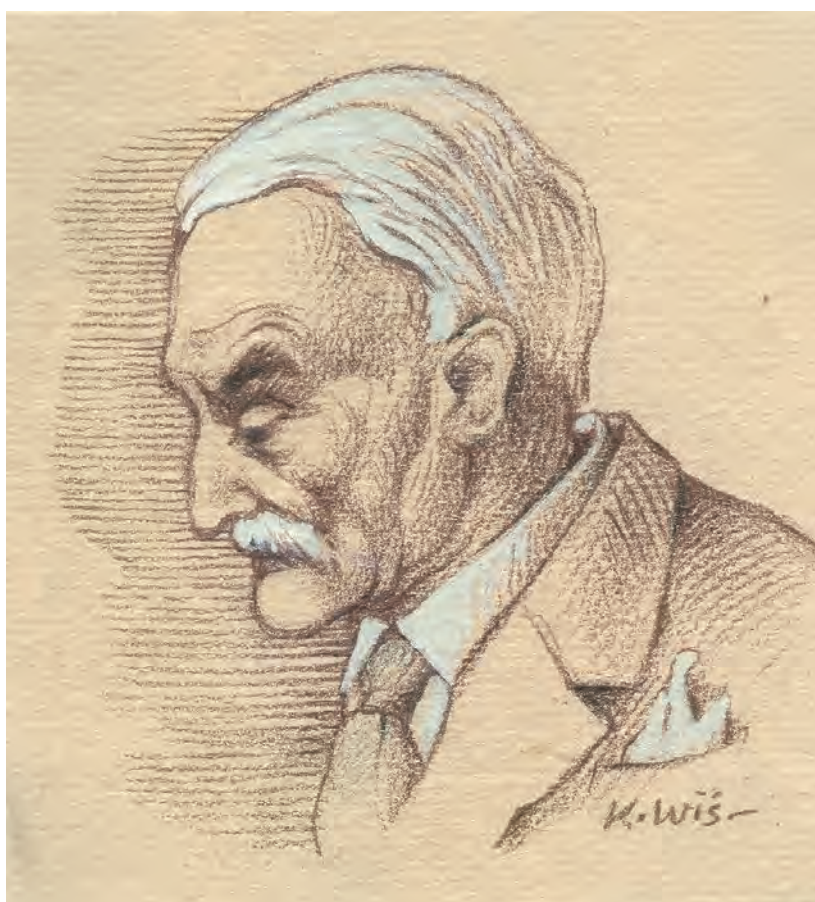
Autoportret. Ołówek, 1953



Wiesław Dymny, student krakowskiej ASP. Węgiel, 1953



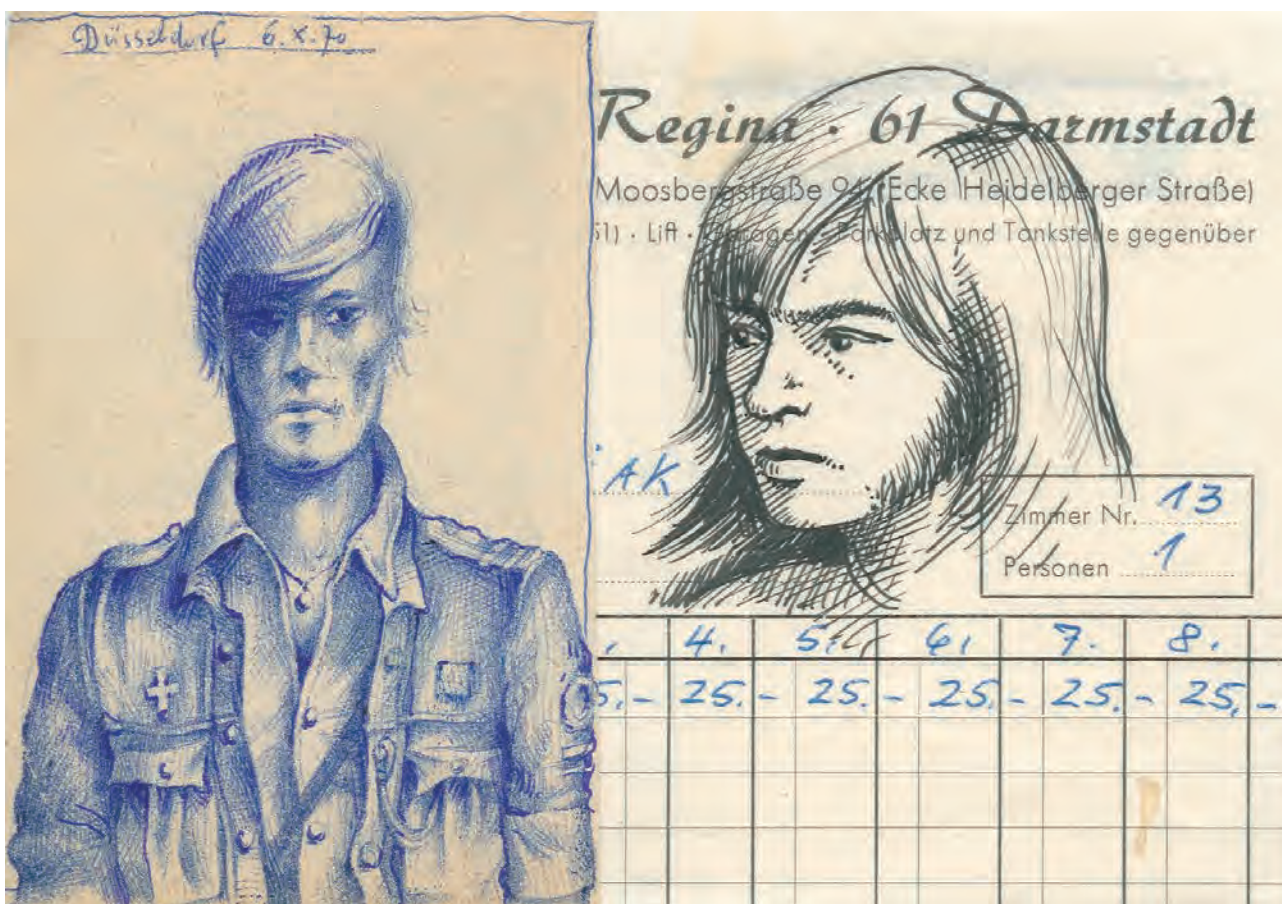
Bokser Zdzisław Jachimczyk.
Ołówek, akwarela, 1958



Profesor Karol Frycz. Kredka, 1958



Bywalcy Leder Club w Berlinie. Ołówek, tusz, akwarela, 1970



Aktor z Düsseldorfer Schauspielhaus. Długopis, 1970

Muzyk Edward Anioł. Tusz na hotelowym rachunku, 1971



Prof. Nela Łempicka. Tusz i gwasz na bibułce japońskiej, 1978



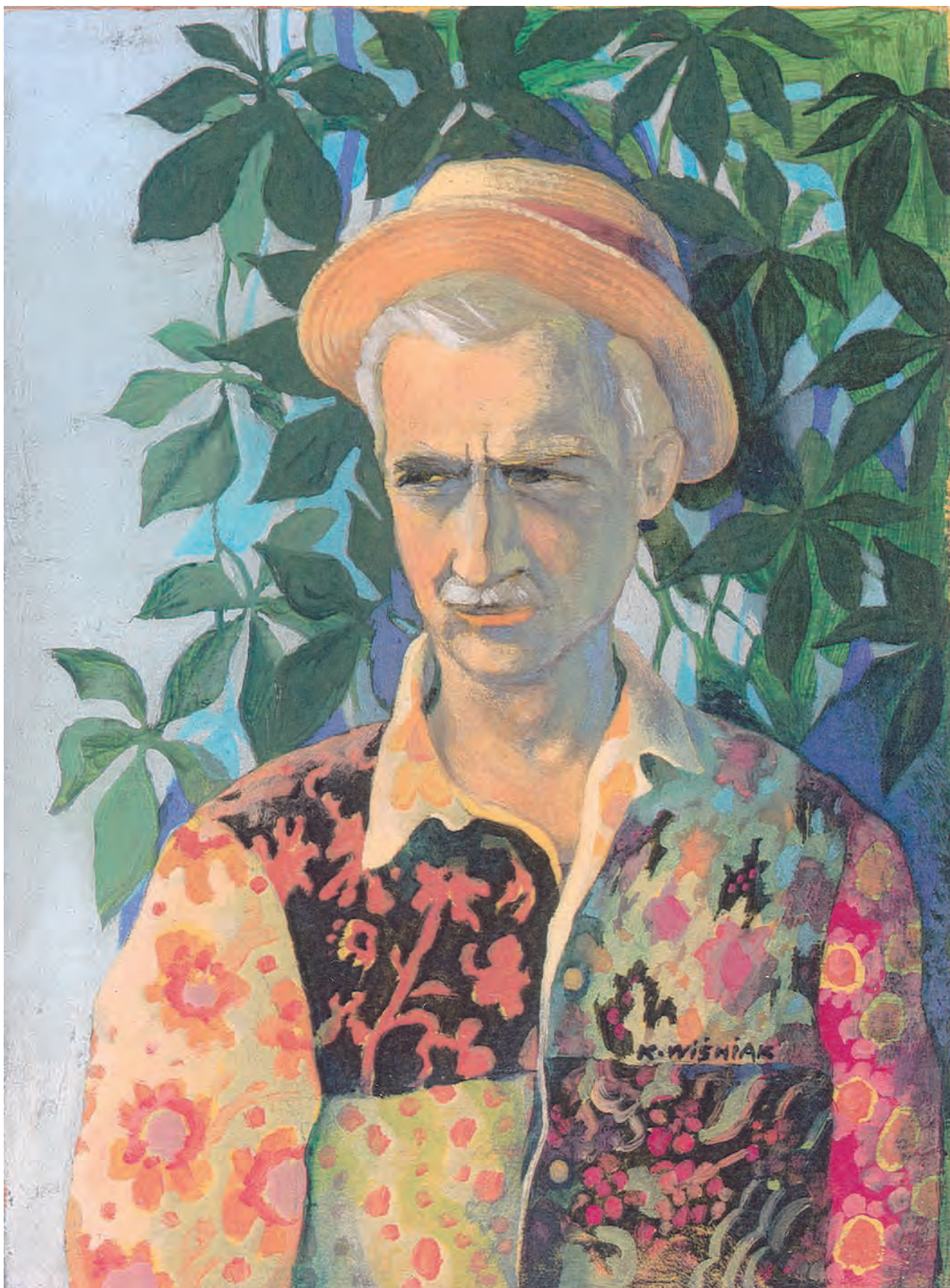
Kompozytor Stanisław Radwan jako Stasinek w przedstawieniu „Z biegiem lat, z biegiem dni”. Akwarela, 1978



Joanna Olczak-Ronikier i Daniel Olbrychski jako ks. Józef Poniatowski na balu w Sukiennicach. Akwarela, 1980



Krytyk Józef Opalski i pianista Jerzy Sterczyński w Dusznikach, 1980



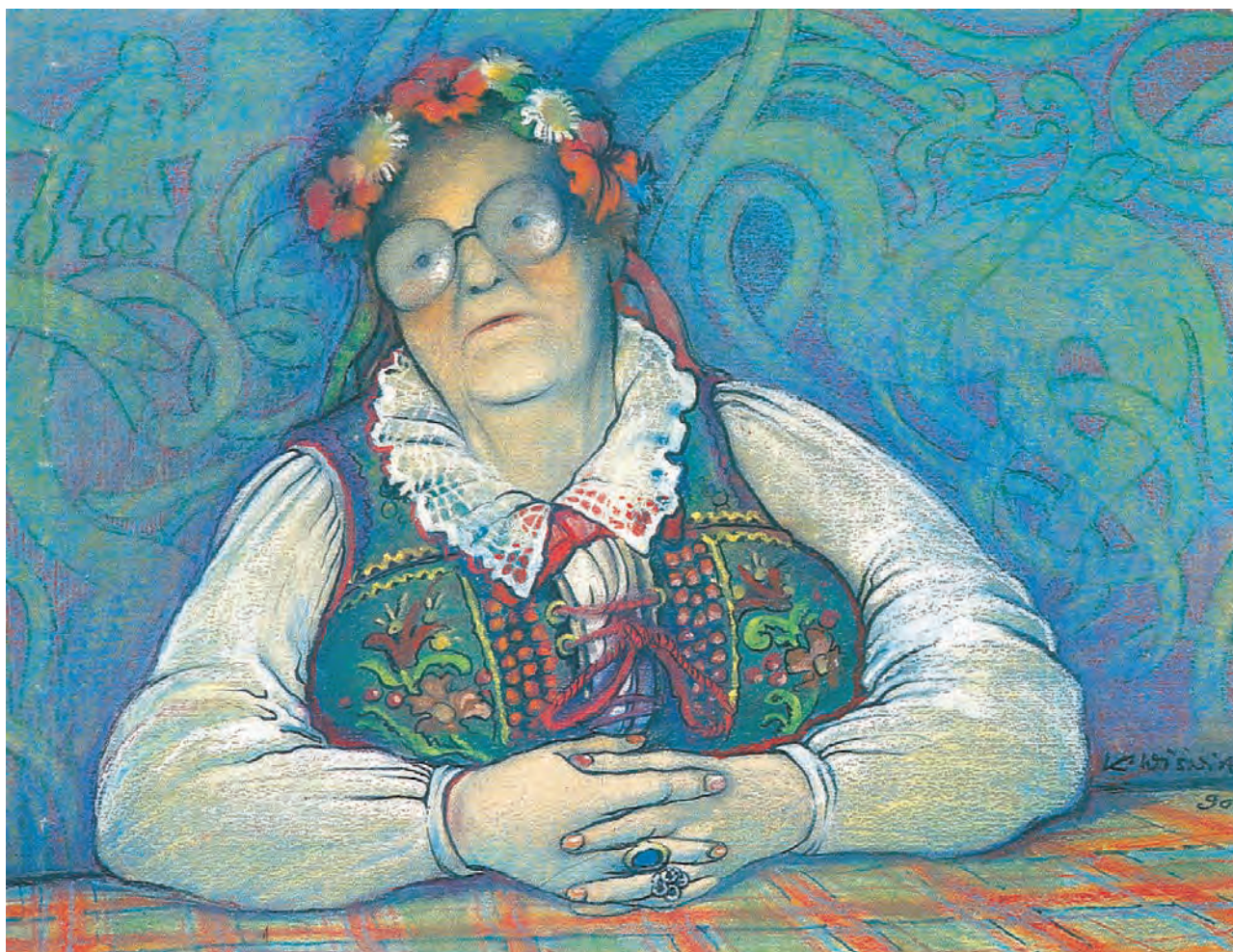
Autoportret. Olej na płycie 18,3 x 13,5, 1995. Własność Adama Natkańca



Dorożkarz Jan Kaczara. Kolaż 8,5 x 6



Autoportret. Olej na płycie 20,5 x 13,5, 1989



Irena Szaszkievicz „Kika” w Stavanger. Pastel, 1990



Czarodziej Piotr Skrzynecki. Pastel, 1991. Własność Karola Kuberskiego

Kazimierz Wiśniak pamięta Piotra Skrzyneckiego jeszcze z lat 50. Przystojny brunet, szczupłutki, zwinny. Bardzo lubił tańczyć. Podobał się dziewczynom. Ale szybko się starzał. Przytył.

Ten młodzieńczy Piotr nieco się już Kazimierzowi Wiśniakowi zaciera. – Nie potrafiłbym go namalować z pamięci z tamtych lat - przyznaje.

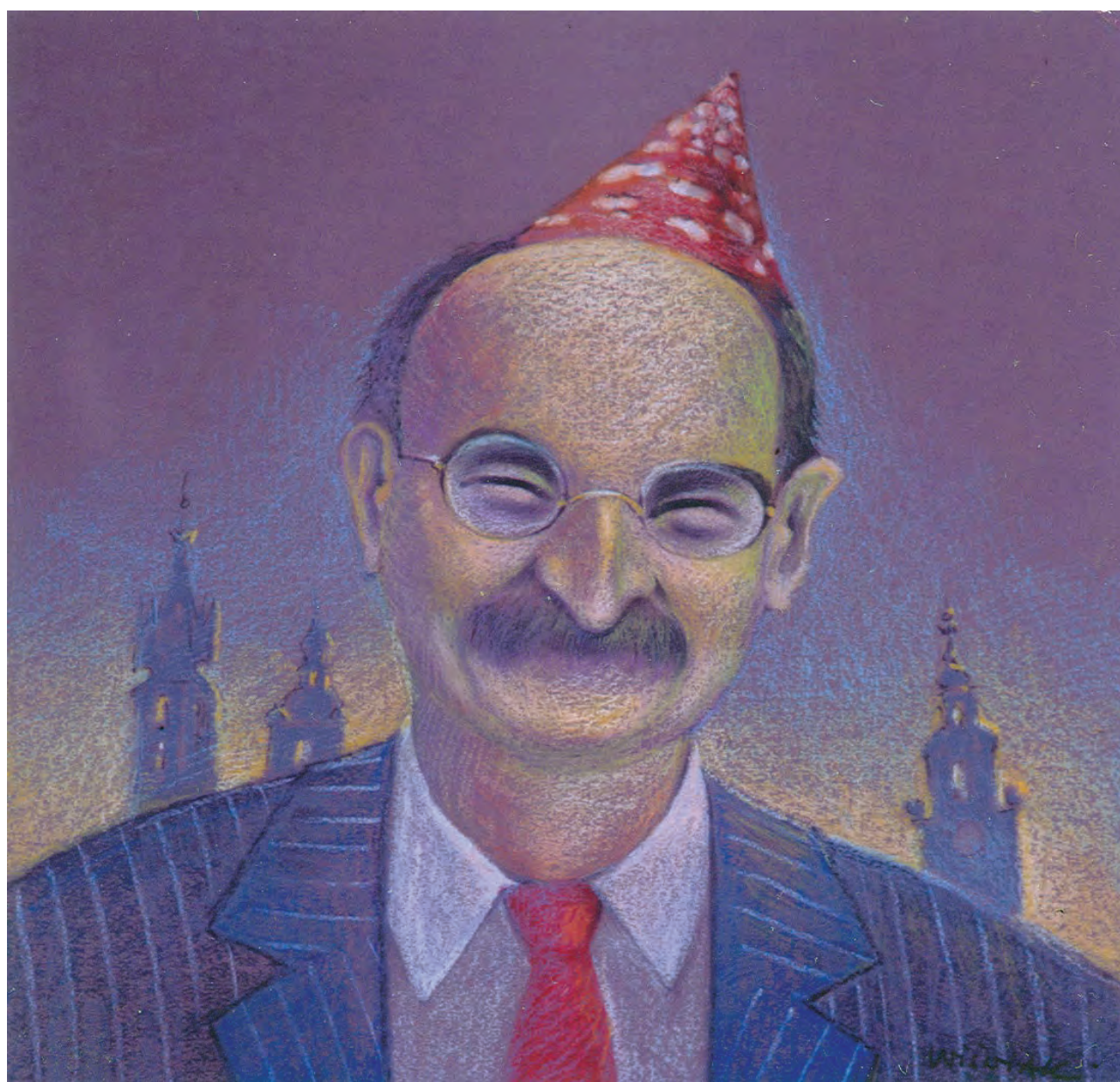
Portrety Piotra Kazimierza Wiśniaka to rysunki i pastele powstałe w różnych latach.

– Piotr miał charakterystyczne rysy, łatwe do odtworzenia z wyobraźni. W jego twarzy najważniejsze były oczy. Jeśli pojawiły się w nich iskierki, był to widomy znak niecierpliwości. Tego, że już go gdzieś niosło. U mnie oczy Piotra są zawsze półprzymknięte. Żeby je namalować, pokazać poprzez nie jego wnętrze, Piotr musiałby pozować. Kto go znał, wie że to wykluczone. Piotr nie usiedziałyby nawet pięciu minut.

Zaraz po oczach Kazimierz Wiśniak widział w twarzy Piotra nos jak kartofelek, wąskie usta oraz ładny uśmiech. I brody. – Różne. Ja najlepiej pamiętam siwą. Zmierzwione włosy i kapelusz. Bo wstydził się łysiny. Czasami jedynie, gdy był pijany, ten kapelusz zsuwał się z głowy – wspomina Wiśniak. I dodaje nostalgicznie, że gdyby Piotr poddał się pozowaniu, byłby wspaniały portret mądrego starca.

Kazimierz Wiśniak jest autorem najpiękniejszego na wystawie pastelowego, pełnego poezji wizerunku Piotra w kapeluszu czarnoksiężnika. Jego Skrzynecki to trochę mag, trochę czarodziej. W tle Lasek Wolski nocą, który bardzo lubił. Migoczą dziwne światła. W ręku gwiazda sześcioramienna. Twarz rozświetlona wewnętrznym blaskiem.

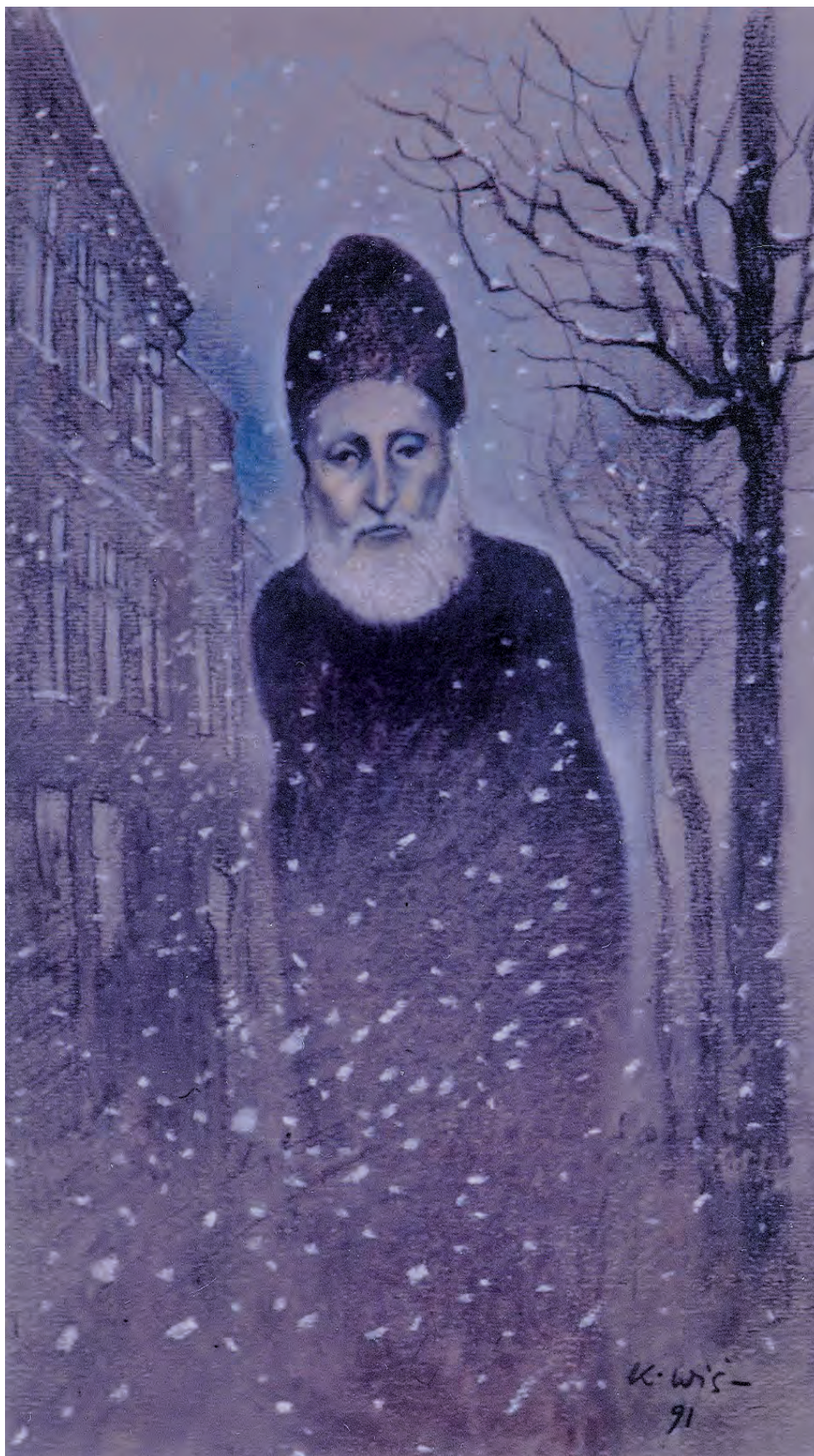
Maria Ziemianin „Twarze Piotra S.” *Gazeta Krakowska*, 18 maja 2001



Literat Sławomir Mrożek. Pastel, 1991



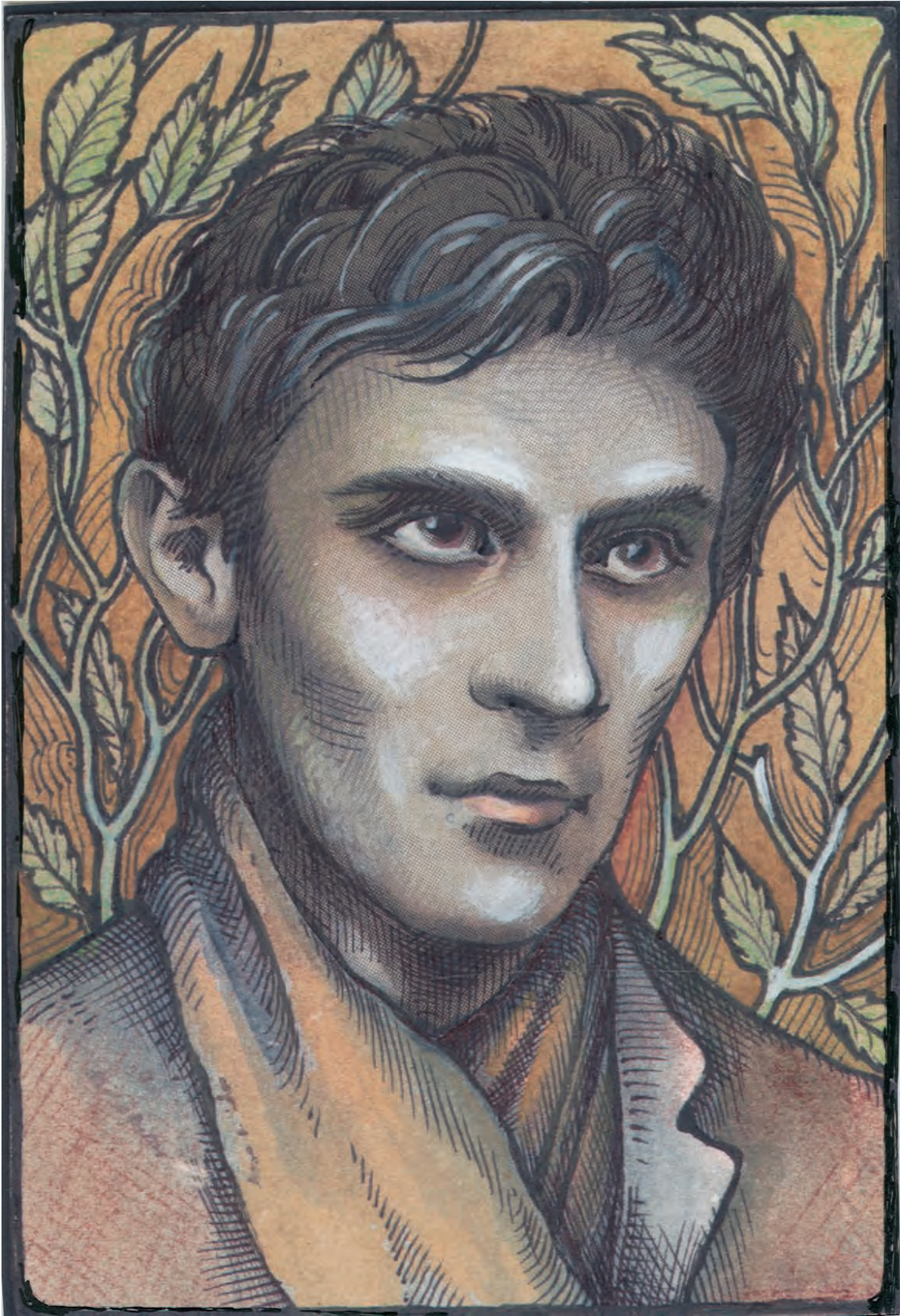
Bieszczadzki grzybiarz. Pastel, 1991



Rysownik Daniel Mróz. Pastel, 1991



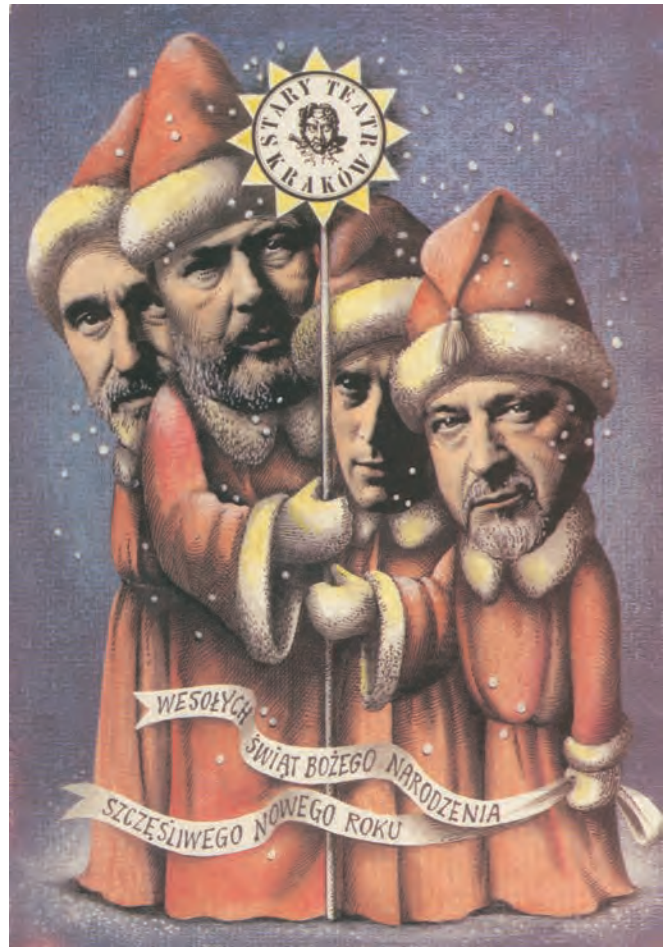
Autoportret. Pastel, 1991



Poeta Andrzej Bursa. Kolaż, 1996



Janina Garycka i jej chimery. Tusz, akwarela, 1999



Gwiazdorzy Starego Teatru. Od lewej: Jan Nowicki, Jerzy Bińczycki, Tadeusz Bradecki i Jerzy Jarocki. Pocztówka świąteczna, 2000



Gwiazdy Starego Teatru. Od lewej: Anna Dymna, Magdalena Jarosz, Elżbieta Karkoszka, Anna Polony, Maria Zającówna-Radwan, Ewa Kolasieńska, Danuta Maksymowicz. Pocztówka świąteczna, 2000



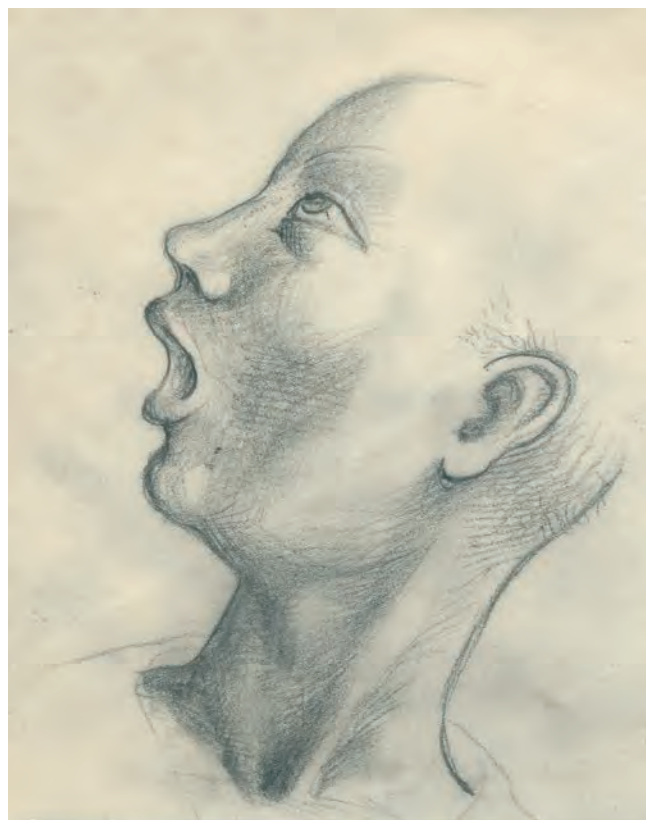
Zasypiający Piotr Skrzynecki. Tusz, 2000



Janina Garycka ze szczurem. Tusz, 2000



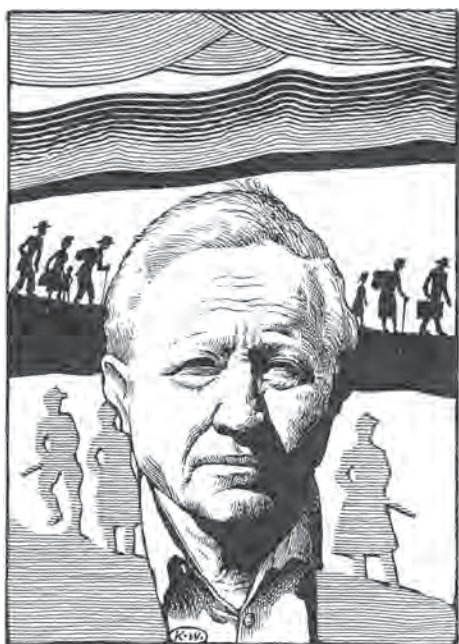
Autoportret. Olej na płycie 24 x 17, 2002



Chłopak ze Słonnego. Ołówek, 2004



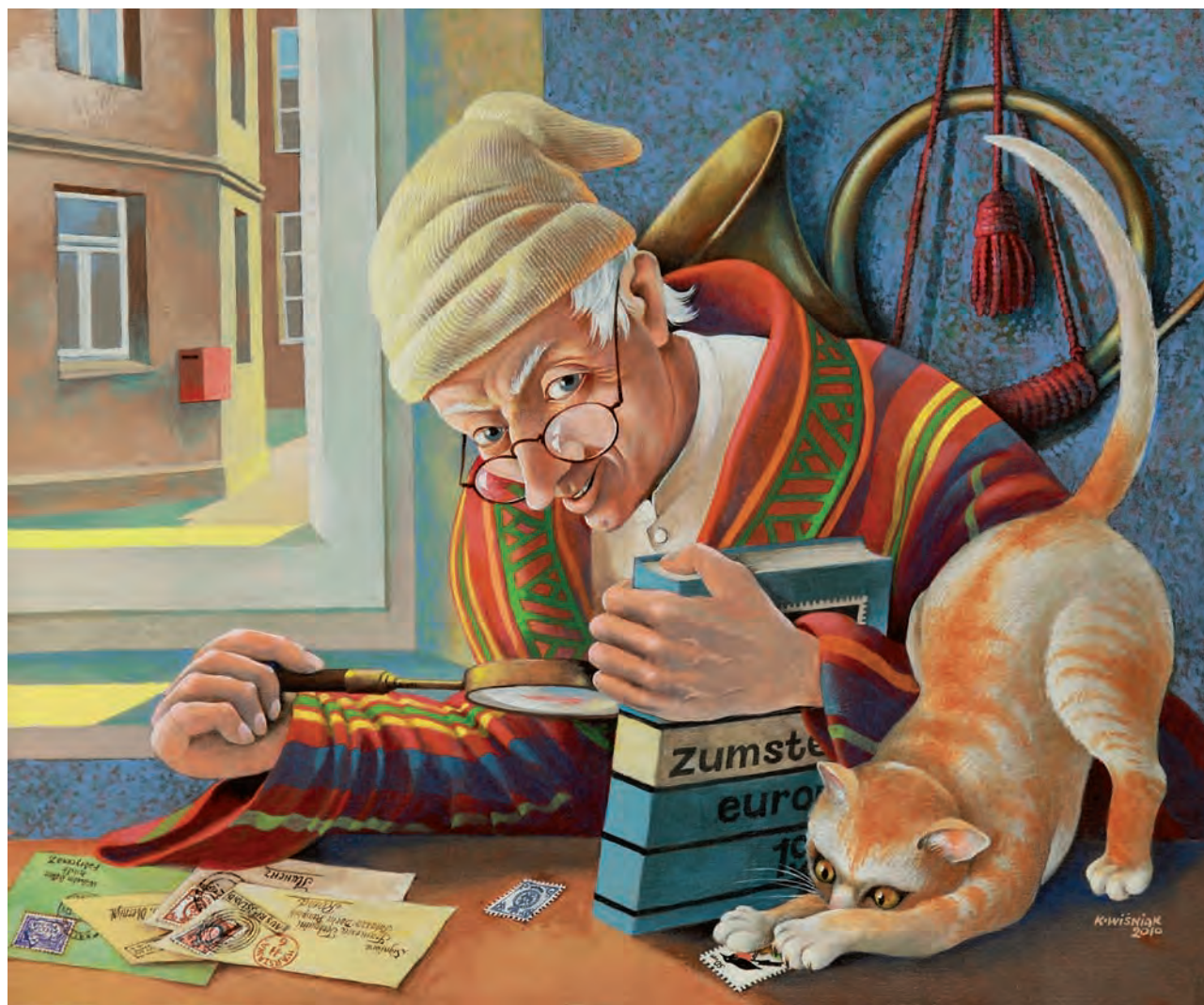
Autoportret. Fragment obrazu „Podglądacze”. Akryl na płótnie, 2007.



Tadeusz Rózewicz. Tusz, 2009



Poeta Janusz Drzewucki. Tusz, akwabela, 2009



Filatelista (autoportret). Akryl na płótnie 38 x 46, 2010

Scenografia

Igor Strawiński
PIETRUSZKA

Studium Scenografii krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, 1958.



Mikołaj Gogol OŻENEK

Studium Scenografii krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, 1958.



Artur Maria Swinarski
SZEŚCIU Z CALAIS

Studium Scenografii krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, 1959.



JASEŁKA

Wrocławski Teatr Pantomimy, 1961. Reż. Henryk Tomaszewski



Fot. Stefan Arczyński

...Do cudów widowiska zaliczyć trzeba kostiumy a także światła, pełniące funkcje narracyjne. Światła eliminują w widowisku fragmenty sceny lub ciała ludzkiego to znów podkreślają je dla zaakcentowania pointy w narracji. Niektóre kostiumy wywołują zaskakujące efekty np. Drzewo Świadomości prezentuje prawie nagi aktor o atletycznej budowie z czterema jednakowymi twarzami patrzącymi w czterech kierunkach i ulistnionymi gałęziami we wspaniale muskularnych ramionach. To robi wrażenie istoty ludzkiej zamienionej w drzewo...

Mendel Kohansky „Geniusz polski w pantomimie”
The Jerusalem Post, 11 stycznia 1963.
„Jasełka” – Wrocławski Teatr Pantomimy

Bertold Brecht

OPERA ZA TRZY GROSZE

Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach, 1962. Reż. Jan Biczyski



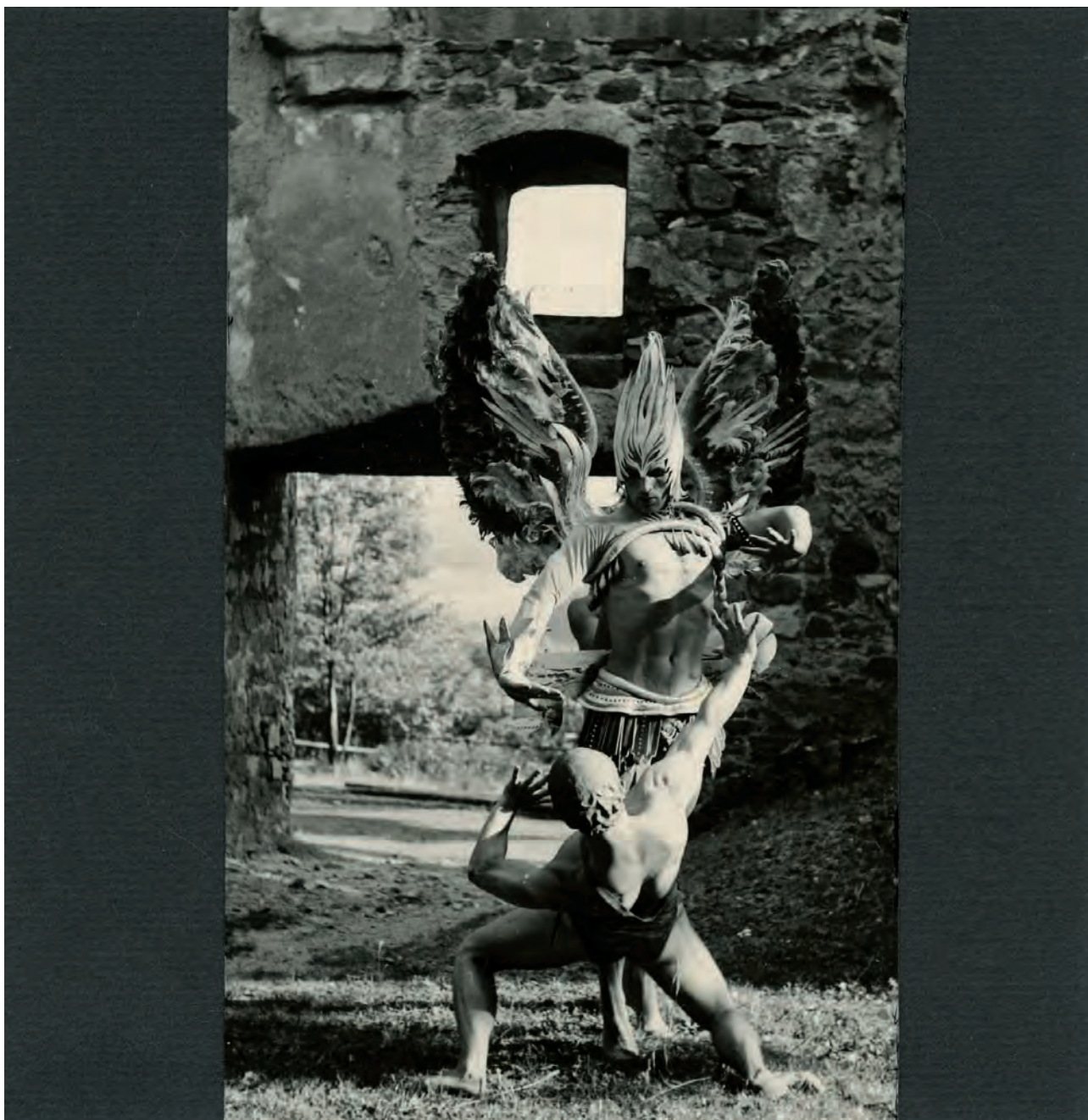
Rekonstrukcja dekoracji do „Opery za trzy grosze” w Centrum Scenografii Polskiej Muzeum Śląskiego w Katowicach, 1997. Fot. Eliza Oleksy

...Kazimierz Wiśniak przez wiele lat współpracował z różnymi reżyserami, wierny raczej teatrom (katowickiemu, a od roku 1963 krakowskiemu) niż określonym twórcom. Był to okres – jak u rówieśników – scenografii bogatych w wiele bliskich surrealizmowi skojarzeń, zawsze interesujących, czasem jednak idących obok intencji – zarówno autora jak reżysera. Do najciekawszych prac tamtego okresu należy, znacząca syntetycznie miejsca akcji, scenografia do zielonogórskiego „Jana Gabriela Borkmana” (1959) oraz oprawa plastyczna katowickiej „Opery za trzy grosze” (1962) operetkowo przerysowanej, ze stylizacją na fin de siècle. Już w połowie lat sześćdziesiątych opanowuje zresztą Wiśniak wybujałość swej wyobraźni w sposób świadomy, czego dają wyraz nie tylko jego prace „Róża” i „Przedwiośnie”(1968) we Wrocławiu ale i wypowiedzi teoretyczne: „Przeżyłem taki okres w teatrze kiedy scenografia zdominowała wszystko, gdzie nie było miejsca dla aktora... Egoistycznie mogłem ten nurt kontynuować, ale w teatrze trzeba się wyzbyć egoizmu – to jednak praca zbiorowa... Chodzi mi o wytworzenie takiej rzeczywistości na scenie, w którą by widzowie musieli uwierzyć”. Realizm scenografii Wiśniaka jest oczywiście umowny: chętnie używa autentycznych lub robionych na autentyk rekwizytów, dba o dosłowność szczegółów, ale poddaje je surowej selekcji, bez zbyt natrętnego zabudowywania sceny, zaś kontekst literacki i teatralny w jakim je umieszcza, jednocześnie wskazują, że nie idzie tu o żadne proste naśladowanie rzeczywistości...

Marta Fik „Trzydzieści pięć sezonów”.
Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1981. Str. 275-276

WALKA JAKUBA Z ANIOŁEM

Wrocławski Teatr Pantomimy, 1963. Reż. Henryk Tomaszewski



Fot. Stefan Arczyński

...Jakub staje się postacią przypominającą posąg etruski a Anioł wzbudzającym grozę ptakiem zrodzonym pod azteckim niebem. „Jakub i Anioł” jest numerem, którego tajemniczość doskonale utrzymuje się w ryzach muzyki elektronicznej i który tworzy harmonijny obraz...

Natan Cohen „Polski zespół pantomimy roztacza specyficzny urok”.
Toronto Daily Star, 20 stycznia 1965.

„Walka Jakuba z Aniołem” – Wrocławski Teatr Pantomimy

Luigi Pirandello
ŻYWA MASKA

Teatr Polski we Wrocławiu, 1964. Reż. Zdzisław Karczewski



Fot. Zdzisław Mozer

OGRÓD MIŁOŚCI

Wrocławski Teatr Pantomimy, 1966. Chor. Henryk Tomaszewski



Peter Weiss
MĘCZEŃSTWO I ŚMIERĆ MARATA
Teatr Polski w Poznaniu, 1967. Reż. Henryk Tomaszewski



Fot. Grażyna Wyszomirska

...Przedstawienie poznańskie Henryka Tomaszewskiego świadczy bardzo dobrze przede wszystkim o wzajemnym porozumieniu reżysera i scenografa. Jeżeli, jak zobaczymy, charakteryzował je demonstracyjny antyestetyzm, to zasadniczym jego elementem była od pierwszej chwili scenografia Kazimierza Wiśniaka.

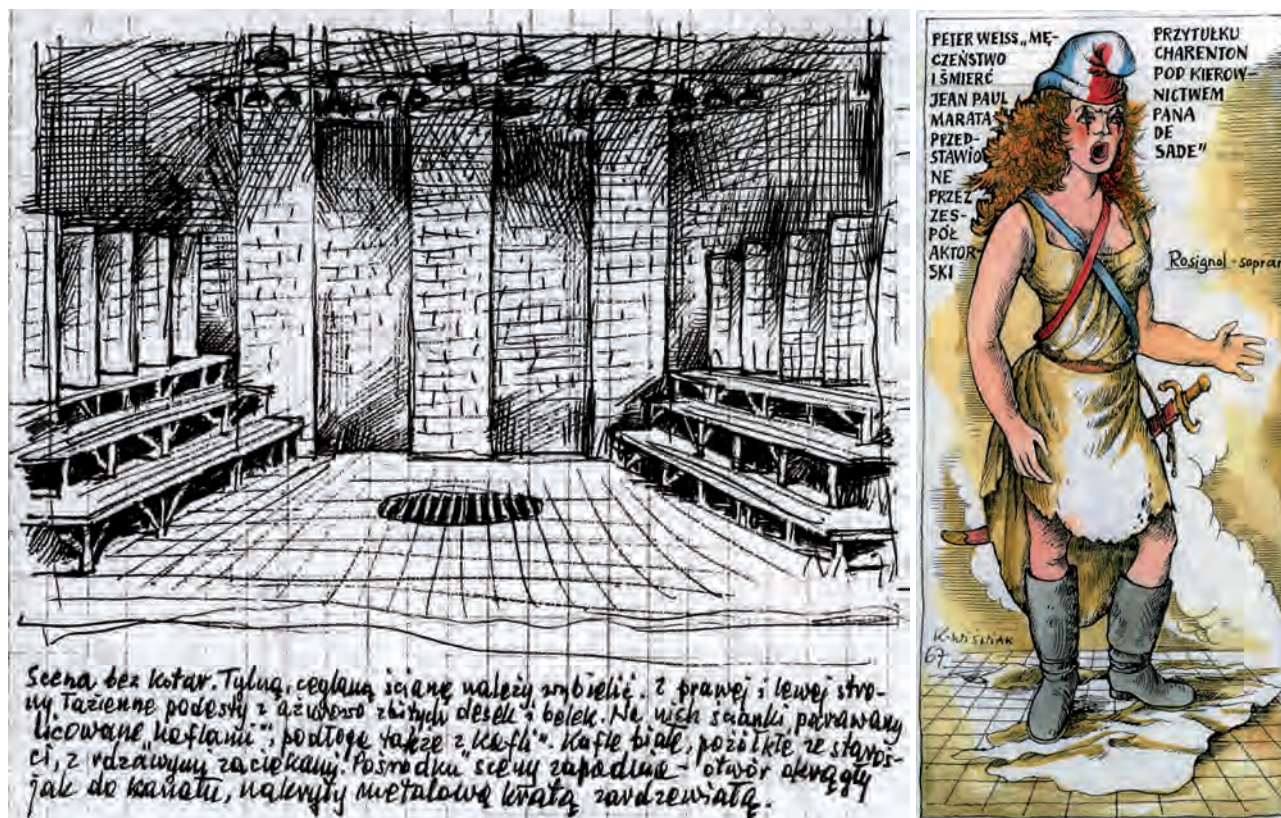
Światła rozjaśniające scenę ukazywały dwa szeregi bocznych kulis, imitujących wykładane kafłami ściany kąpielowych separarek. Ściany te w kolorze brudnej bieli znaczyły ciemnobrunatne, maziste zacieki. Czuło się nieomal ich gęstość, lepkość, fizjologiczną obrzydliwość. Nieczystość tych ścian i wykładanej również kafłami podłogi stwarzała natychmiast specyficzną atmosferę miejsca, które z racji swego przeznaczenia powinno być higieniczne. Obraz wnętrza uzupełniała obdrapana ściana tylna z rysującymi się, pod byle jak nałożonym tynkiem, cegłami. Prześwity w tej ścianie odsłaniały fragmenty muru oddzielającego

scenę od zaplecza. To odkrycie wnętrza sceny miało znaczenie plastyczne i architektoniczne: reżyser zyskał około 3 metrów głębokości. Przy zamierzonych rozwiązaniach widowiskowych był to zysk ogromny.

Wyznaczając stanowiska na scenie czołowym postaciom dramatu scenograf nie trzymał się ściśle daskaliów. Wzdłuż kulis bocznych ustawił na różnej wysokości trzy rzędy ław, co dało jak gdyby trzy stopnie schodów. Łoże Coulmiera umieścił częściowo na proscenium z prawej strony, nieco głębiej fotel de Sade'a, jeszcze głębiej i bardziej ku środkowi sceny – podest – leżankę Charlotty Corday. Drewniana ni to skrzynia, ni to kadz Marata została ustawiona z lewej strony. Z tyłu, w punkcie centralnym znalazła się krata przykrywająca zapadnię. Za nią stanęła jeszcze ławka dla Jacques'a Roux. Całość była zamknięta jak gdyby i od góry – wiszącymi drewnianymi kratami. To co zapowiadała dekoracja uzupełniały kostiumy. Pacjenci Charenton zostali ubrani w za długie i za szerokie białe koszule – ściślej: takie, które ongiś musiały być białe. Efekt nieświeżości, brudu, zmiętoszenia dominował w tej kompozycji. Odpowiednikiem zacieków na ścianach były plamy na szpitalnych koszulach.

Charenton zostało scharakteryzowane przez scenografa jako coś pośredniego między szpitalnym przytułkiem a więzieniem...

Elżbieta Wyśńska „Premiery i wydarzenia”
Warszawa 1977, str. 78-79



Konstantin Treniew
NAD BRZEGAMI NEWY

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, 1967. Reż. Bronisław Dąbrowski



Harold Pinter
POWRÓT DO DOMU

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, 1967. Reż. Jerzy Goliński



Projekty ze zbioru Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie

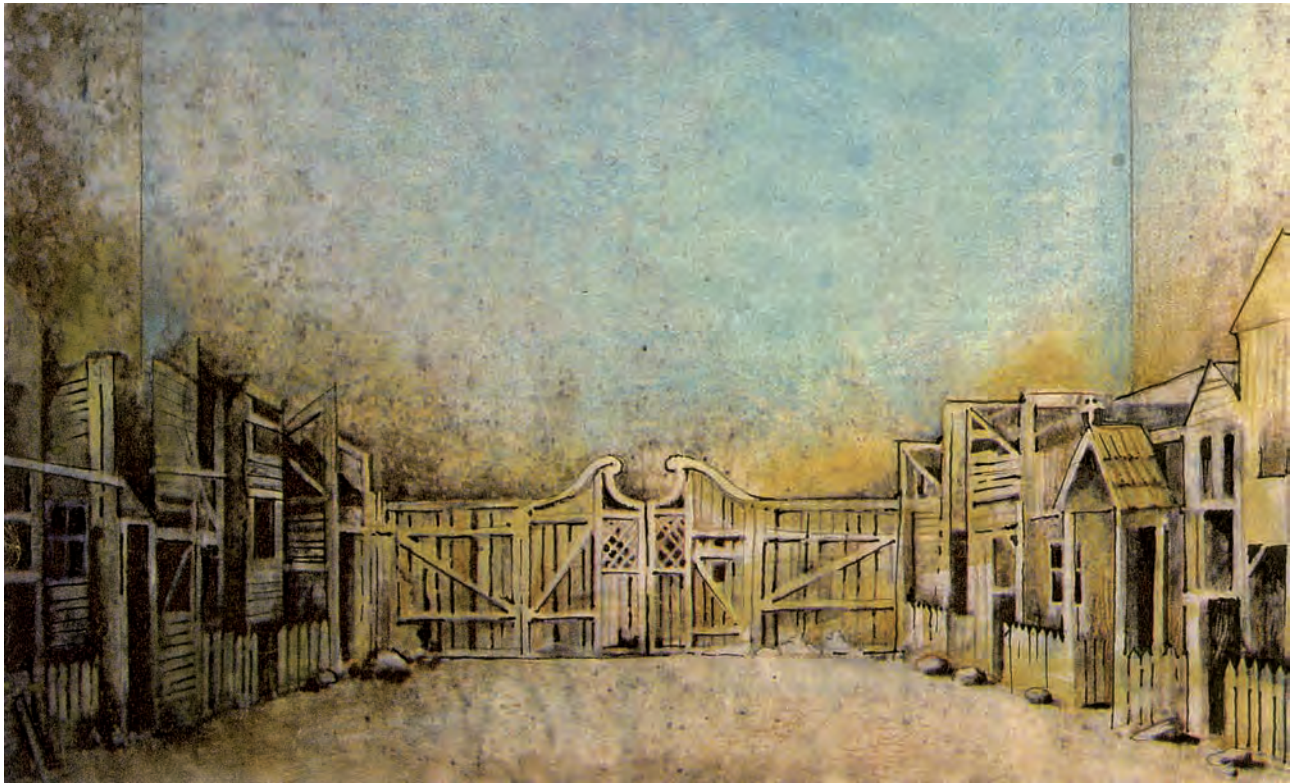
Stanisław Ignacy Witkiewicz
BEZIMIENNE DZIEŁO

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, 1967. Reż. Bronisław Dąbrowski



Stanisław Wyspiański
FORBANNINGA (KLĄTWA)

Det Norske Teatret w Oslo, 1969. Reż. Henryk Tomaszewski, fot. Sturlason



Józef Wybicki
KULIG

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, 1970. Reż. Jeży Goliński



Projekt z Archiwum Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie

Wiliam Shakespeare
ENDE GUT, ALLES GUT

Düsseldorfer Schauspielhaus, 1969. Reż Konrad Swinarski

WSZYSTKO DOBRE CO SIĘ DOBRZE KOŃCZY

Stary Teatr w Krakowie, 1971. Reż. Konrad Swinarski



Projekty z Archiwum Starego Teatru w Krakowie

...Artyzm Swinarskiego ukazuje się w tym, że naturalizm powiązany jest całkowicie z nieomal choreograficznym uszeregowaniem scen. Wspiera go w tym polski scenograf Kazimierz Wiśniak, który skomponował jednolitą przestrzeń sceniczną ze szlachetnie zdobionej brązowej skóry. W scenach na łonie natury otwiera się tylna ściana, ukazując nam jaskrawo oświetlone pejzaże miast. Również kostiumy Wiśniaka są pełne powabu...

Alphons Neukirchen „Również młody bohater to tylko kłamca”.
Düsseldorfer Nachrichten, 17 marca 1969.
Tłum. Jan Guntner. Shakespeare „Ende gut, alles gut”.
Düsseldorfer Schauspielhaus, Düsseldorf 1969

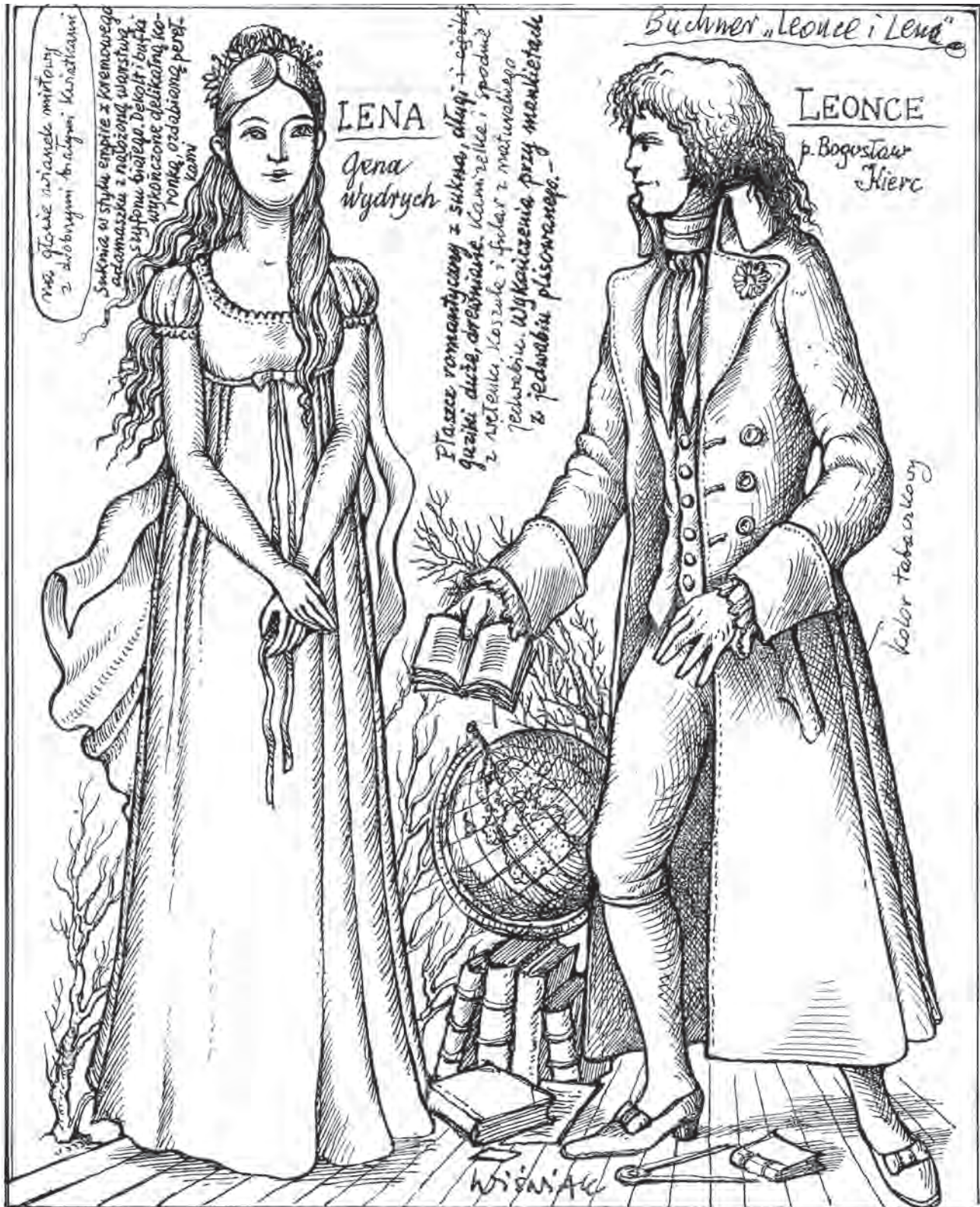
...Oto rozsuwa się jasna kurtyna, odsłaniając pustą, nie zabudowaną scenę, zamkniętą po bokach brązowymi, fakturowymi (jakby pokrytymi kurdybanem) ścianami. Z tyłu scenę zamyka jasny horyzont, na którym majaczy delikatnie pastelowy widoczek. Mały statek płynie w kierunku wzniesionego na wzgórzu zamku. Tłumaczy się dopiero na końcu przedstawienia – jako jego plastyczna metafora. W sztuce nie wspomina się ani o morzu, ani o fregatach. Pejzaż morski to Rousillon. Kiedy z kolei pojawią się na horyzoncie wojskowe namioty, będą to pola pod Florencją. Kiedy akcja przenosi się na dwór królewski, scenę zamyka brązowa ściana z centralnie umieszczonym, rozsuwanym wejściem. Przedmioty są tylko najprostsze – ławka, lektyka. Bezpośrednich odwołań do sceny nie ma tu żadnych, ale z takiej sceny król może na końcu przedstawienia powiedzieć swój epilog do publiczności.

Na scenę wchodzi żałobny orszak (akt 1, sc.1). Stają. Czarne postaci odcinają się wyraźnie na tle jasno oświetlonego horyzontu. Ostry kontrast wyostrza kontury postaci, figury ulegają optycznemu spłaszczeniu – stoją jak misternie wycinane sylwetki w teatrze cieni. To bardzo piękny obraz – kruchy, jakby odrealniony. Kontrast barw zaciera się w środkowej części przedstawienia – przeważają kolory stonowane: kremowa biel, brąz, złamana zieleń – aby powrócić na końcu z tym większą wyrazistością i zamknąć klamrą przedstawienie...

Joanna Walaszek „Bezpieczni w ohydzie” Dialog nr 10, 1979.
Shakespeare „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” Kraków, Stary Teatr, 1971

Georg Büchner LEONCE I LENA

Teatr Współczesny we Wrocławiu, 1971. Reż. Henryk Tomaszewski



Eugène Ionesco

GRA W ZABIJANEGO

Teatr Polski we Wrocławiu, 1973. Reż. Henryk Tomaszewski



... Cały ten spektakl to ciąg artystycznych aluzji obejmujących wielkie obszary sztuki europejskiej wszystkich epok – od średniowiecza do współczesności, zorganizowany we wzorowej współpracy ze scenografem ...

Jarosław Szymkiewicz „Powszechna Apokalipsa”.
Teatr nr 16, 30.09.1973.

Stanisław Wyspiański

WYZWOLENIE

Stary Teatr w Krakowie, 1974. Reż. Konrad Swinarski. Projekty ze zbiorów Centrum Scenografii Muzeum Śląskiego w Katowicach. Reprodukcje: M. Pajestka



...Natchnieniem dla tworzenia obrazu scenicznego dla reżysera i scenografa stały się płótna Jana Matejki, ilustrujące różne etapy historii Polski. Kazimierz Wiśniak, autor oprawy plastycznej do „Wyzwolenia” z wielką umiejętnością przywołał ten cały bogaty teatr matejkowski, nie skąpiąc mu akcentów ironicznych, które rozładowują mu jego patos.

Obraz Polski, który budują realizatorzy przedstawienia w Starym Teatrze mieni się jaskrawością kolorów, kłuje oczy widza purpurą i złotem. To jakby wielki narodowy festyn kostiumów i przedmiotów pościąganych z różnych epok, nałożonych na figury zastygłe w posągowym geście. Obok szlacheckich żupanów, delij, kontuszy, litych pasów, karabeli, husarskich zbroi – chłopskie sukmany, kosy, wstążki, pawie pióra... Pośród tych kolorowych szmat, wytartych godeł i emblematów, nie ma miejsca na żywego człowieka. Są tylko role do odegrania...

Bronisław Mamoń „Wyzwolenie”.
Tygodnik Powszechny 16 czerwca 1974

...Ucharakteryzowane na współczesne Wyspiańskiemu postaci (Prezes – prof. Tarnowski z portretu Matejki, Mówca – Tadeusz Miciński, Przodownik – wykapany Rydel w krakowskiej sukmanie i cwikierze, Prymas – kardynał Puzyna) zasiadają polskie karmazyny przy okazałym stole – ołtarzu podtrzymywanym przez orły z wawelskiego sarkofagu biskupa Stanisława, który srebrzącą się trumną zwisa u góry sceny na tle katedralnego Ukrzyżowanego i Ostrobramskiej z mickiewiczowskich „Dziadów”; przecież ich ideową kontynuacją – dyskusją jest dramat Wyspiańskiego. Symbole Polski: tanecznym krokiem podrygujący husarze, zbrojny rycerz, grupka chłopów z odpustowym feretronem, chorągiew z Częstochowską... a w głębi cokolwiek krakowskiego pomnika wieszczka, z zasiadającymi u jego stóp żywymi aniołami – wcieleniami romantycznej literatury: Lillą i Zosią, upozowanymi na pomnikowe figury z krakowskiego Rynku...

Żalodne obrazy, smutne obrazy a przy tym jakże dowcipne, jak pomysłowe i jak znakomite plastycznie...

Krystyna Zbijewska „...by naród mógł się bawić”.
Dziennik Polski, 7 czerwca 1974

...Ostatnia praca wspólnie ze Swinarskim – „Wyzwolenie” Wyspiańskiego – należy do Wiśniaka najciekawszych realizacji. Jest to w ogóle jedna z najlepszych scenografii ostatnio powstałych. Założeniem Swinarskiego było osadzenie dramatu w realiach bliskich Wyspiańskiemu z potocznego doświadczenia, z czysto osobistych kontaktów. Ukazał kreowanie podczas próby narodowego misterium oraz dramat myśli Konrada, walczącego z Maskami – ludźmi mu współczesnymi. Rozegrał Wiśniak kontrast między tymi dwoma światami w sposób bezbłędny. Świat teatru jest bajecznie kolorowy, nasycony jaskrawymi barwami migocący złoceniami, imponujący bogactwem. Autentyczne dzbany miedziane, feretrony, kontusze, chorągwie, wjeżdżające na scenę krakowskie posągi to świat ruchu i barokowego nadmiaru. Drugi świat był rozegrany tylko w szarościach i czerniach. Scena nagle pustoszała i w oka mgnieniu zamiast papuziej barwności, zamiast wrażenia niesłychanego zatłoczenia sceny pozostawała pusta, szara przestrzeń otoczona czarnymi kotarami, które przenikały nawet na ściany widowni. I jeszcze kopia kurtyny Siemiradzkiego, nieoczekiwanie opadająca w antrakcie. Jest więc Wiśniak mistrzem cytatu, bezbłędnie panującym nad techniką teatralnego collag'u...

Jerzy Jurczyk „Scenografia sama w sobie – Bąkowski, Skarżyńscy, Wiśniak”.
Twórczość nr 12, 1974. str.130

Carlo Gozzi
KSIĘŻNICZKA TURANDOT
Teatr Polski we Wrocławiu, 1974. Reż. Henryk Tomaszewski



Projekt z Archiwum Teatru Polskiego we Wrocławiu

...Niezwykle lakoniczna bajeczka Gozziego o okrutnej księżniczce chińskiej zostaje w oczach widzów wypełniona cyklem ruchomych, barwnych efektów, ekspresyjnych przerywników, nowych znaków i znaczeń, wywodzących się zarówno z fragmentów rzeczywistości, jak czystej fantazji, czemu sprzyja znakomita oprawa scenograficzna Kazimierza Wiśniaka, idealnie zgrana z inscenizacją. Szczególnie kostium rzuca się w oczy, dzięki zróżnicowaniu, kolorystyce, inwencji niejako charakterologicznej, to znaczy wkraczającej w kompetencje charakteryzatora. Dlatego z przekory zatrzymam się przy powściągliwej dekoracji. Wiśniak usunął z niej wszystko, co mogło przeszkodzić lub zakłócić poczucie teatralnej umowności. Przed wszystkim kurtynę. Na planie zamarkował pałac królewski, oddzielając go wraz z intrygą baśni pomocniczą kurtyną od nie związanych z nią interwencji. Niezbędną funkcję dekoracyjną pełniły wnoszone przez wykonawców w miarę potrzeby przystawki...

Bogdan Butryńczuk „Bajki lubiane ogromnie”.
Odra nr 4, 1975



Projekt z Archiwum Teatru Polskiego we Wrocławiu

...Scenografia walnie wspomaga pomieszanie stylów i czasów – cztery maski występują w tradycyjnej charakterystyce komedii dell'arte, Pantalón dodatkowo upozowany jest na Chaplina, księżniczka chodzi w japońskim kimonie, piękny konkurent do jej ręki (Andrzej Wojaczek) w rosyjskiej rubaszce, w muzyce brzmią wschodnie tony i dźwięki sentymentalnego tanga...

Bożena Żakowska „Andrzeja Waligórskiego Księżniczka Turandot”.
Czas, 10 sierpnia 1975

Wiliam Shakespeare SEN NOCY LETNIEJ

Teatr im. Cypriana Norwida w Jeleniej Górze, 1975. Reż. Henryk Tomaszewski



- Obok Swinarskiego i Jarockiego najlepiej pracuje mi się z Henrykiem Tomaszewskim.

- W tym wypadku jednak twoje prace są zupełnie inne. Nie mówię już nawet o spektaklach Wrocławskiej Pantomimy, ale o przedstawieniach Tomaszewskiego w teatrze dramatycznym, takich jak „Gra w zabijanego”, „Księżniczka Turandot” czy „Sen nocy letniej”. Tu nie ma już owego naturalizmu z „odskoczniami” do metafizyki, jest zgrzebność scenograficzna, konstruktywizm...

- Henryk Tomaszewski swoją formą pracy z aktorami tak wypełnia przestrzeń, że moja rola jest niewielka. Nie mogę i nie chcę całego bogactwa wyobraźni plastycznie ruchowej zatłamsić. Dlatego główną uwagę w tych spektaklach kieruję na kostium a nie na dekorację.

„O sobie, scenografii i kolegach”. Rozmowa Józefa Opalskiego z Kazimierzem Wiśniakiem.
Teatr nr 20, 3 października 1976

Dzięki udanej scenografii Kazimierza Wiśniaka, który uwypuklił sceny z elfami przez zastosowanie pięknego, żywego odcienia zieleni, Henryk Tomaszewski uzyskał doskonałą oprawę do rozbudowanych scen pantomimicznych. Kostiumy dworskie utrzymane są w tonacji czerwono czarnej, suknie dziewczyn w tonacji różowej. Scenografia nie jest zbyt bogata, ale funkcjonalna. Jej osią jest baldachim, który raz pełni rolę łoża, innym razem, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zmienia się w las, który pulsuje życiem, czuwa, nasłuchuje, przeobraża się wraz z rozwojem akcji.

Wiesław Szczepanowski
Radar nr 4, 1976

Świat dnia i nocy inne mają kolory. Dwór pojawia się w purpurowym świetle. Kazimierz Wiśniak do każdego z dworskich strojów włączył chociaż rąbek czerwieni, różu lub oranżu. Las jest w zieleniach i zgniłych zieleniach aż do brązu. Młodzi obudzeni w lesie przez Tezeusza, wygrzebujący się spod liści, poplamieni są zielenią, jakby zostali naznaczeni zmysłowością świata króla Oberona. Rzemieślnicy w jasnych, pastelowych kolorach, prawie w bieli, wyglądają jak ciosane światełki, jak śmieszne, drewniane figurki z ruchomej szopki.

Małgorzata Dzieduszycka „W Jeleniej Górze koniecznie zobaczcie „Sen nocy letniej”
Henryka Tomaszewskiego” Kultura, 23 listopada 1976

Alinie Obidniak udało się zebrać w swym teatrze zespół młodych ludzi o tyle sprawnych technicznie i ruchowo, że mogą zrealizować szaloną zabawę wymyśloną przez Tomaszewskiego. Kapitalne kostiumy Kazimierza Wiśniaka najczęściej tę młodzież rozbierają a nie ubierają; niewiele jest zespołów aktorskich w Polsce (a może nawet wcale ich nie ma?), które można byłoby tak zuchwale porozbierać.

Józef Opalski „Psychodeliczny „Sen nocy letniej”
Życie Literackie

Teresa Lubkiewicz Urbanowicz

WIJUNY

Teatr Nowy w Poznaniu, 1976. Reż. Izabella Cywińska



...Misterium przynosi wymiar absolutu, tą atmosferą tchnie cała scena. Mamy więc wewnątrz chałupy zawieszanej jak gdyby w przestrzeni bez dachu, otwartą od pułapu na tę właśnie przestrzeń. Kazimierz Wiśniak zbudował też ogromną płaszczyznę: jest raz jasną, złocistą wstęgą rozgwieżdżonego firmamentu, raz – niebem zimnym jakby zeszytniałym i zamartym od mrozu. I zwisa nieruchomo nad tym co się dzieje nisko i płasko przy ziemi. Ta skala jest zbyt wyrazista by nie ważyła na wyrazie obrazu i jego znaczeniach. Rzadko kiedy w teatrze grającym na tradycyjnej scenie w budynku, przestrzeń sceniczna w tak istotny sposób dopełnia sensu. Ma ta tutaj wymiar ciszy i bezruchu – nieodłącznych cech prawdziwej przestrzeni nieba i ziemi. Jest też na kurtynie – złocistej wstędze Drogi Mlecznej, jak można by powiedzieć – przez krótką chwilę mała plamka krwi, znak ludzkiej obecności, co niknie w oczach, jeżeli chce się tylko objąć wzrokiem całość ogromnej płaszczyzny...

Andrzej Górny „Dramaturgia „Na dzisiaj”
i „Na zawsze””. Nurt nr 9, wrzesień 1976

Stanisław Wyspiański WARSZAWIANKA

Stary Teatr w Krakowie, 1976. Reż. Henryk Tomaszewski



Projekty z Archiwum Starego Teatru w Krakowie

Wiliam Shakespeare

KRÓL LEAR

Teatr Dramatyczny w Warszawie, 1977. Reż. Jerzy Jarocki

...Określając najkrócej miejsce scenografii Wiśniaka w całości kształcie widowiska, wypowiedziałbym to tak: Wiśniak sięga właściwymi sobie środkami do sedna utworu. Wymaga to, oczywiście, rozwinięcia. Scenografia nie przemawia językiem ostrych pojęć lecz obrazem. Równocześnie nie zmierza do „objaśnienia” sztuki scenicznej. W swoisty sposób współkonstruuje widowisko. Określa na przykład miarę zdarzeń, ich ukierunkowanie, ton moralny, niekiedy nawet rytm. Oczywiście, Wiśniak działa w powiązaniu z tworzywem pozaplastycznym, jednakże aż po samą granicę wykorzystuje on własne możliwości scenografii. Wiąże się z tym ryzyko, którego naturę zilustruje przypadek, jakim było przedstawienie szekspirowskiego „Króla Lira” w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Smutny traf, jaki zdarza się w dziejach teatru, sprawił, że tej dramatycznej refleksji nad śmiercią nie sprostali ani wybitny zespół, ani równie wybitny inscenizator. Tak to osądzili krytycy, takie jest i moje zdanie. Tymczasem jakby obok, czy ponad tym co działo się na scenie, trwała wspaniała, w pełni szekspirowska, a zarazem oryginalna wizja plastyczna Wiśniaka. Widowisko zawdzięczało jej wiele, pozostało jednak wrażenie, że słowo i gest nie wypełniły tej miary wzniosłości i tragizmu, jaką nakreślił plastyk. Można powiedzieć o tym przedstawieniu, że scenografia okazała się nadfunkcjonalna...

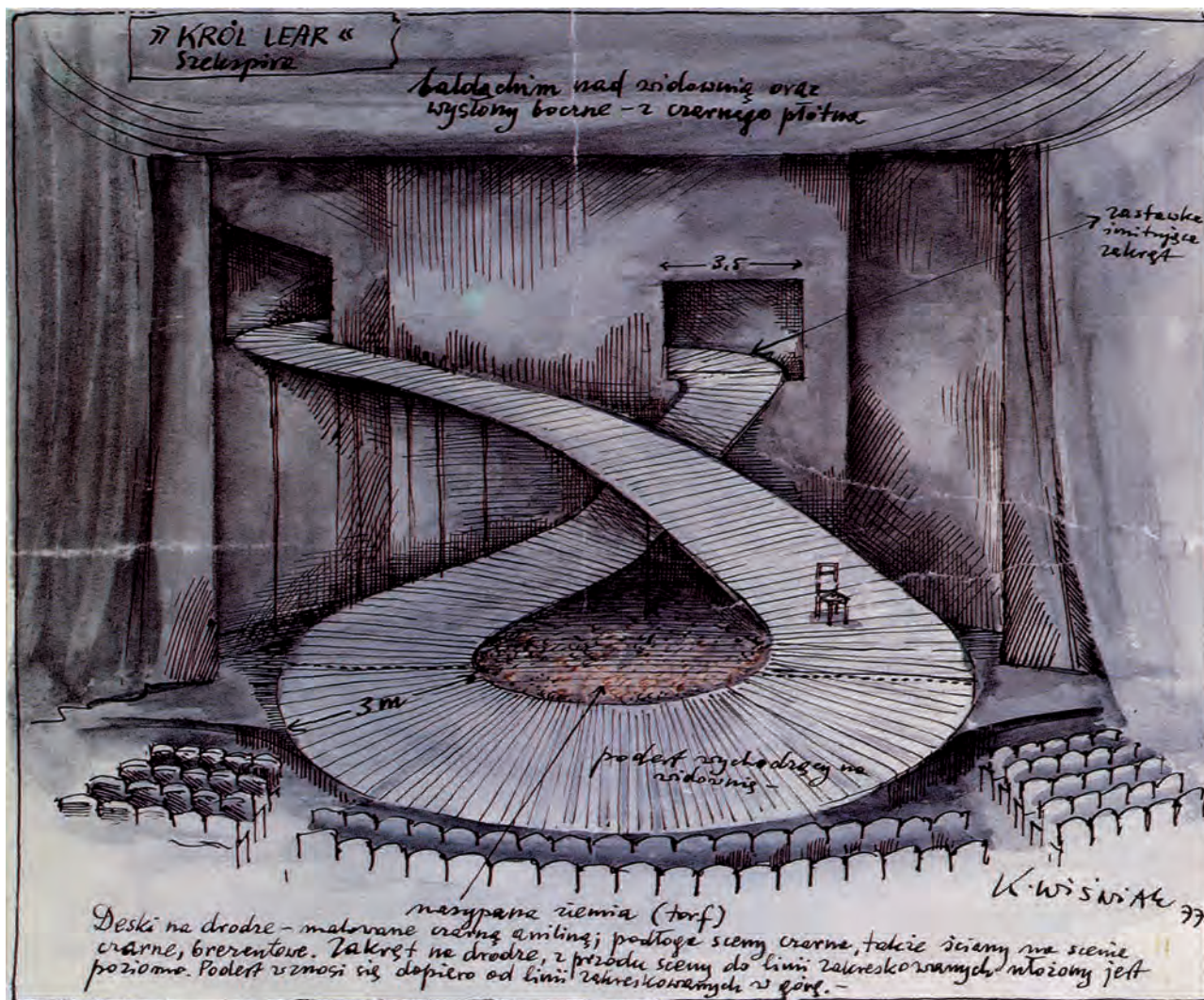
Janusz Jaremowicz „Struktura zdwojona”.
Projekt nr 149, 1982

...Z czarnej czeluści wielkiej sceny, poszerzonej wyczerpieniem całego proscenium, łącznie z lożami teatru, wyłania się węzeł szerokiej drogi: spada w dół do przekątnej sceny, zakręca kołem, przesuwa się pod spodem podestu i znów się pnie wysoko w górę – to teren błędzenia Leara ... Kostiumy w pierwszej scenie niezmiernie bogate – dekoracyjne płaszcze mieniące się nadmiernie kolorem i złotem, jakby ukrywające pod pozorami świetności prawdziwą naturę ludzką – gdy zostana zrzucone, ukążą dosyć współczesnych nam ludzi w codziennych „ubraniach”; problemy historyczne stają się problemami dnia dzisiejszego. Żadnych rekwizytów, tylko tron – krzesło, mapa, dyby. Cały dramat zawiera się w słowie.

Zenobiusz Strzelecki „Współczesna scenografia polska”
Arkady, 1984. str. 39

...Scenografia to ustawiona w czarnej przestrzeni estakada o kształcie ósemki – symbolu nieskończoności. Stanowi ona idealnie wykorzystaną przez reżysera „maszynę do grania”...

Grzegorz Sinko „Lear – tragedia świadomości”.
Teatr nr 13, 1977



...Król Lear Jerzego Jarockiego i Kazimierza Wiśniaka – to rzecz o dziejach, ludziach i sprawach, tocząca się pod ciemnym, gwiazdzistym niebem. Jest ono rzeczywistością teatralną – jako propozycja wybitnego scenografa, i jest ono opisaniem sytuacji działających osób, które w sobie i dla siebie muszą tworzyć prawa moralne wynikające z lekcji życia ...

Michał Misiorny „Król Lear”.
Trybuna Ludu, 27 maja 1977

Kazimierza Wiśniak w warszawskim Teatrze Dramatycznym projektował scenografie do inscenizacji Jerzego Jarockiego: „Na czworakach” Różewicza, „Rzeźni” Mrożka i „Króla Leara” Szekspira, gdzie przestrzeń sceny wypełniał ogromny podest w formie znaku nieskończoności (jedna z najwybitniejszych scenografii Szekspirowskich w historii teatru polskiego) ...

„Encyklopedia kultury polskiej XX w. – Teatr - Widowisko”
pod red. Marty Fik. Warszawa 2000, str. 479

wg. Pierre'a de Marivaux SPÓR

Teatr Pantomimy we Wrocławiu, 1978. Reż. i chor. Henryk Tomaszewski



Projekt z Archiwum Wrocławskiego Teatru Pantomimy

...Henryk Tomaszewski i Kazimierz Wiśniak znakomicie stworzyli klimat sztuczności epoki przesyty i dekadencji. Postacie w „Sporze” to figurki z saskiej porcelany, to ceramiczne, mechaniczne zabawki – tak rysują się aktorzy, tak tworzą precyzyjne, skomponowane grupki, tak zastygają w bezruchu. Każdy szczegół tu dopracowany, najdrobniejsze gesty, mimika, fałdy sukni, nawet karty menu ozdabiane rokokową ramką a mim – harfiarz szarpie właściwe struny do muzyki z play – back’u.

Widzimy rokokowe damy w ogrodzie. W głębi żywy pejzaż – brzozowy lasek, z boku dyskretni muzykanci. Słyszymy: Haendel, Purcell, muzyka pełna harmonii i egzaltacji. Barwy, światło, atmosfera jak w obrazach Watteau odbijają melancholię epoki, która czuła swój schyłek, z wdziękiem poddawała się destrukcji...

Małgorzata Dzieduszycka „Nowa premiera Pantomimy Henryka Tomaszewskiego”.
Kultura, 10 września 1978

...Wiśniakowi udało się połączyć funkcjonalność scenografii, potrzebną teatrowi prowadzącemu tak szeroką działalność wyjazdową, z bogactwem, a nawet przepychem epoki rokoko.

Rozpoczyna się część II – to właśnie na jej początek publiczność oklaskuje przepiękną scenografię! Mansjonowi teatr dworski zmienił się w sześć finezyjnych, białych domków, pośrodku sceny znalazł się stawek z prawdziwą wodą, zarosły szuwarami a horyzont z zarysem architektury przeobraził się w lasek, w którym pośród prawdziwych brzoź śpiewają ptaki. Całość doprawdy jest godna pędzla impresjonistów.

Ta scenografia ma też głębokie znaczenie symboliczne: dzieli wydarzenia rozgrywające się w tej części spektaklu na dwa plany: plan dworu – sztuczności, fałszu, lubieżności i intrygi i plan lasu – natury, czystości, miłości. Aby dotrzeć naprawdę do lasu, trzeba przejść przez wodę, która wyraźnie pełni funkcję oczyszczającą...

Józef Opalski „Spór w Teatrze Pantomimy”.
Teatr nr 21, 1978

...Wydaje się, że coś z atmosfery rokokowych obrazów, rokokowej literatury przenoszą na scenę dwa elementy tego znakomitego spektaklu: sensualizm i estetyzm. Ten pierwszy wynika ze sposobu gry aktorskiej. Drugi wiąże się z przepiękną scenografią i takimiż kostiumami Kazimierza Wiśniaka, który osiągnął efekty od dawna w naszym teatrze niespotykane: nawiązał bowiem do sformułowanej na gruncie dawnej estetyki teorii decorum, zasady stosowności – właściwego zharmonizowania stylu i treści stworzonego dzieła...

Krzysztof Pleśniarowicz „Warszawskie spotkania teatralne”.
Dziennik Polski, 28 grudnia 1978

...Scenografia „Sporu” jest klasycznie statyczna. Wpływ na to miała niewątpliwie „anegdota” – wykładnia filozoficzna i charakterystyczna dla kultury XVIII w. forma wypowiedzi: dysputa filozoficzna, traktat. Istotą strukturalną takiego „sporu” jest symetria: „za” i „przeciw”... Myśl „unieruchomienia” i symetrii w dekoracji odpowiada logice i porządkowi dysputy. Zachowana więc została jednorodność stylistyczna idei i formy spektaklu...

Karol Smużniak „Teatr milczenia i dramat przemilczeń”
Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej
im. T. Kotarbińskiego, Zielona Góra, 1996

...Współtwórcą sukcesu scenicznego jest Kazimierz Wiśniak, którego scenografia – pyszna w barwach i kształtach, finezyjna do ostatniego szczegółu w kostiumach będących małymi dziełami sztuki, oddającymi zróżnicowane charaktery występujących osób komedii – staje się dodatkowym smaczkiem premiery. Plastyczną puentą współczesnego spojrzenia z dystansem na epokę (pierwsza połowa XVIII wieku) a równocześnie wierną tej epoce przepojonej lekkością rokoka i zawartą w zmrużeniach oczu atmosferą komedii dell'arte...

Jerzy Bober „Bez – sporny spór”.
Gazeta Południowa, 22 kwietnia 1979

wg. Wiliama Shakespeara
HAMLET – IRONIA I ŻAŁOBA

Wrocławski Teatr Pantomimy, 1979. Reż. i chor. Henryk Tomaszewski.



Projekty ze zbiorów Centrum Scenografii Muzeum Śląskiego w Katowicach. Reprodukcyjne: Marisz Pajestka



Projekty ze zbiorów Centrum Scenografii Muzeum Śląskiego w Katowicach. Reprodukcyjne: Marisz Pajestka

...Cały dwór porusza się mechanicznie, są momenty, gdy tworzy sceny jak wyjęte z renesansowych płócien. Parawany – jedyna dekoracja – spełniają rolę ram owych obrazów. Jak widzimy np. ucztę, gdzie postaci przesuwać się to znikają, to się ukazują między parawanami jak w amfiladzie zamkowych komnat. Światła i barwa kostiumów nadały tym scenom klimat podobny obrazom Caravaggia. Kazimierz Wiśniak w wymiennie połączył dekoracyjność z funkcjonalnością każdego szczegółu scenografii. To przedstawienie cechuje ponadto estetyczny umiar...

Małgorzata Dzieduszycka „Zupełnie niemy Hamlet”
Polityka, 25 sierpnia 1979

...Trochę o środkach zewnętrznych, jakimi posługuje się Tomaszewski. Tomaszewski z Wiśniakiem pospołu, gdyż tu już nie sposób rozróżnić czy przecenić zasług jednego z nich. Z resztą Wiśniak należy do scenografów, którzy pozornie pozwalają prowadzić się reżyserowi i tylko służą przedstawieniu – przypomnijmy choćby tylko wspaniałą wstęgę Moebiusa, w którą wplątał na deskach Teatru Dramatycznego Jarockiego wraz z całym zespołem w sławnym Królu Lirze.

Przestrzeń u Tomaszewskiego – Wiśniaka tańczy. Jest mobilna jak w „Labiryncie” Tomaszewskiego. Skąd bierze swój początek, dodając przez to znaczeń temu spektaklowi ironii i żałoby. Ten szczególny balet szarych, zróżnicowanych fakturą prostokątów – zastawek ukazuje nam wszystko, co twórcy chcą nam pokazać, i zakrywa to, czego nie powinniśmy widzieć – ot, choćby w scenie pogrzebu Ofelli. W scenie kontrowersyjnej, gdzie trup dziewczeczki wydzierany jest sobie przez Hamleta i Laertesę, ale gdzie sam pochówek ukryty jest za parawanami – za murem cmentarnym...

Marian Wallek – Walewski „Hamlet – ironia i żałoba”
Poglądy, nr 21, 1979

...Ogromnie pomaga temu spektaklowi scenografia Kazimierza Wiśniaka, jego elżbietańskie kostiumy są prześliczne, tylko w angielskim teatrze można trafić na podobnie wypracowaną dbałość o detale i harmonię kolorów. Nie są to jednak sztywne umundurowania, aktorom wolno je obnosić z nonszalancją i w tym się wyraża nowoczesność ekspozycji. Architekturę znakomicie wyręczyły zdobne na różny sposób ekrany przesuwane i coraz to pod innym kątem rozstawiane, które w naturalny sposób imitowały zamkowe pomieszczenia, krużganki, podwórce i pejzaże uliczne – organizując sprawnie całą akcję. Wiśniak należy do ścisłej czołówki naszych scenografów, przypomnijmy więc, że to w Katowicach długie lata terminował i zbierając pochwały dobijał do niej...

Irena T. Sławińska „Hamlet Tomaszewskiego i Wiśniaka”
„Trybuna Robotnicza” 04 luty 1988

...Rewelacyjny pomysł z ruchomymi zastawkami precyzyjnie noszonymi przez mimów pozwolił na nieograniczone możliwości modelowania przestrzeni. Scenografia Wiśniaka przy całej swojej prostocie niesie ze sobą pewną metafizykę, w jej rozwiązaniach zdaje się kryć jakaś tajemnica. Nie inaczej jest i tym razem – wydaje się, że dla spektaklu tego tylko taka scenografia jest właściwa, że nie tylko nie można lepiej ale i inaczej...

Józef Opalski „Hamlet – rzecz o władzy i sztuce”
Życie Warszawy, 17 października 1979

...W układach „dekoracja – aktor” wpisuje się tu znacząco kolor. W spektaklu dominuje czerń, całe bogactwo czerni, która określa nastrój dramatu, jego symbolikę i znaczenia. Już sam kostium Hamleta jest obmyślony jako dynamiczna gra czerni. Czerń skóry zestawiona jest z czernią innych materiałów. Asocjacyjna wartość czerni określa tu miękkość, twardość, chłód lub ciepło. Inny walor ma czerń obicia mebli, a jeszcze inny – „czern” ciemności. Za japońskim malarzem Hokusai można by powiedzieć, że „jest (tu) czerń antyczna i czerń świeża, czerń lśniąca i czerń matowa, czerń w świetle i czerń w cieniu”. Scenograf łączy tu czerń z bielą (suknia Ofelii, lilie, listy) i brązem (kostium Horacego i innych dworzan), posługuje się więc barwami półchromatycznymi jako tłem, by na nim jak pędzlem kłaść plamy barw chromatycznych (czerwień królewskiego płaszcza, zieleń sukni Gertrudy, fiolet kostiumu Biskupa). Niski stopień „jasności” fioletu zbliża się tu trochę do czerni niż jakakolwiek barwa chromatyczna...

Karol Smużniak „Scenografia i kolor jako tworzywa
w Teatrze Pantomimy Henryka Tomaszewskiego”.
Format, nr 14/17

...Księżę wstępuje w Elsynor. Dotąd robota plastyczna Kazimierza Wiśniaka zalecała się wielką urodą – pięknem kostiumów utrzymanych w głębokich, nasyconych tonacjach barw; teraz zaczyna fascynować znaczeniami: cały zamek to po prostu system luźnych ruchomych ekranów – ścian i drzwi, które bezszelestnie i dowolnie układają się w sale, korytarze, osaczają „człowieka w trumnie Elsynoru”...

Andrzej Żurowski „Hamlet u Tomaszewskiego”.
Teatr, nr 2, 1980

Elias Canetti

WESELE

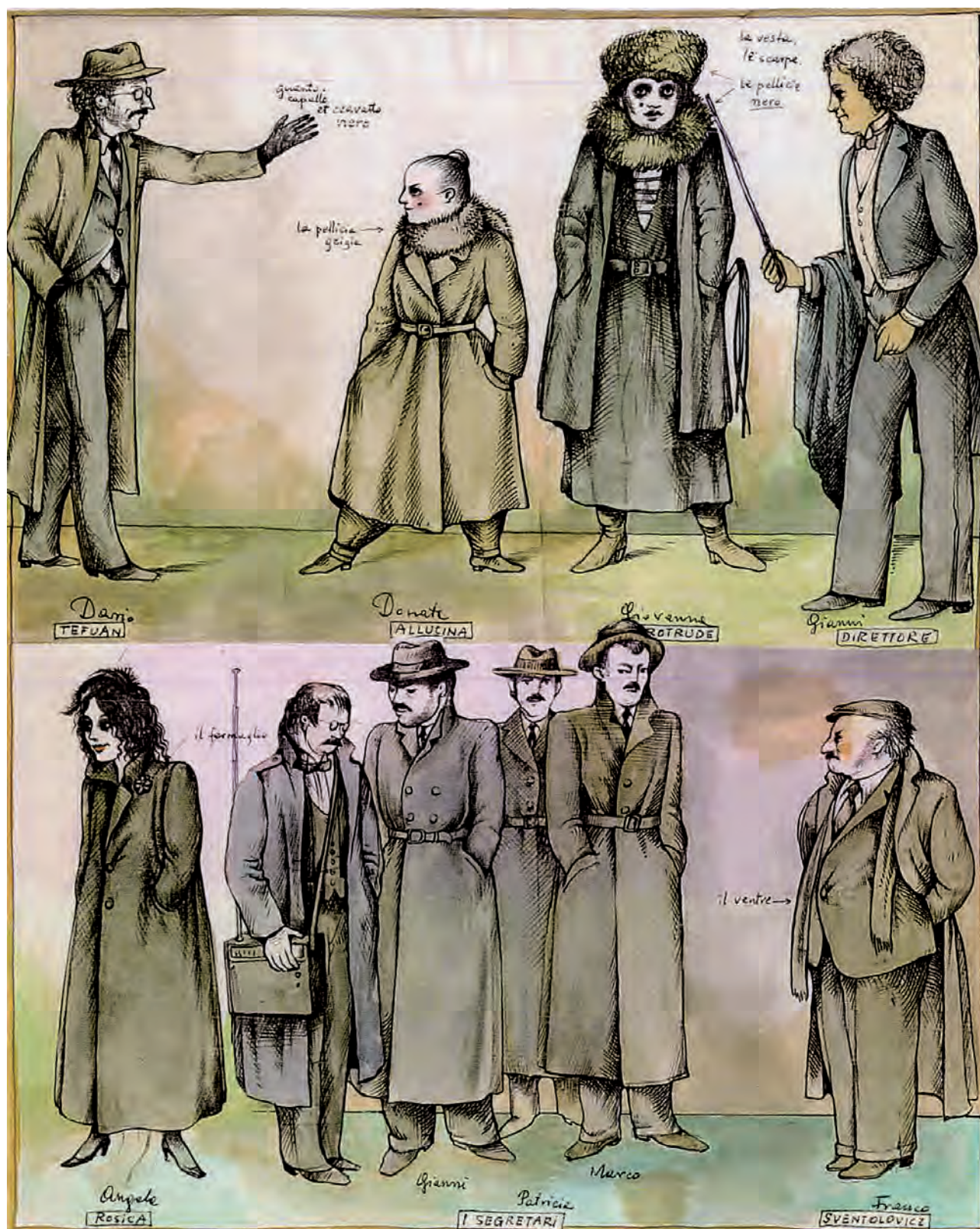
Teatr im. S. Jaracza w Łodzi, 1979. Reż. Bogdan Hussakowski



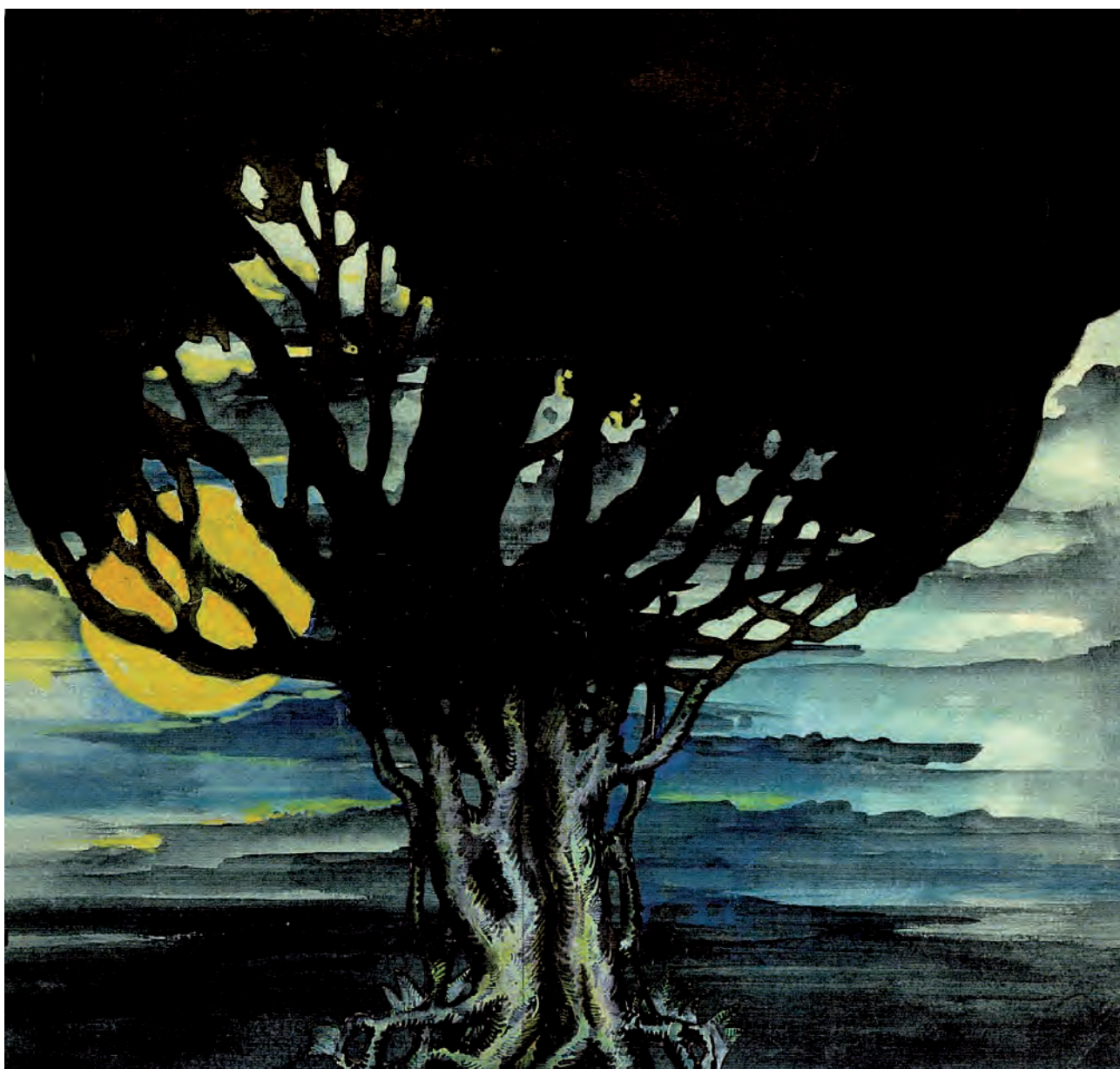
Fragment kurtyny

Stanisław Ignacy Witkiewicz LORO (ONI)

Teatro dei Pasquali w Livorno, 1980. Reż. Giovanni Pampiglione



Adam Mickiewicz
KURCHANEK MARYLI
Teatr Bagatela w Krakowie, 1981. Reż. Ewa Lassek



Projekt z Archiwum Teatru Bagatela w Krakowie

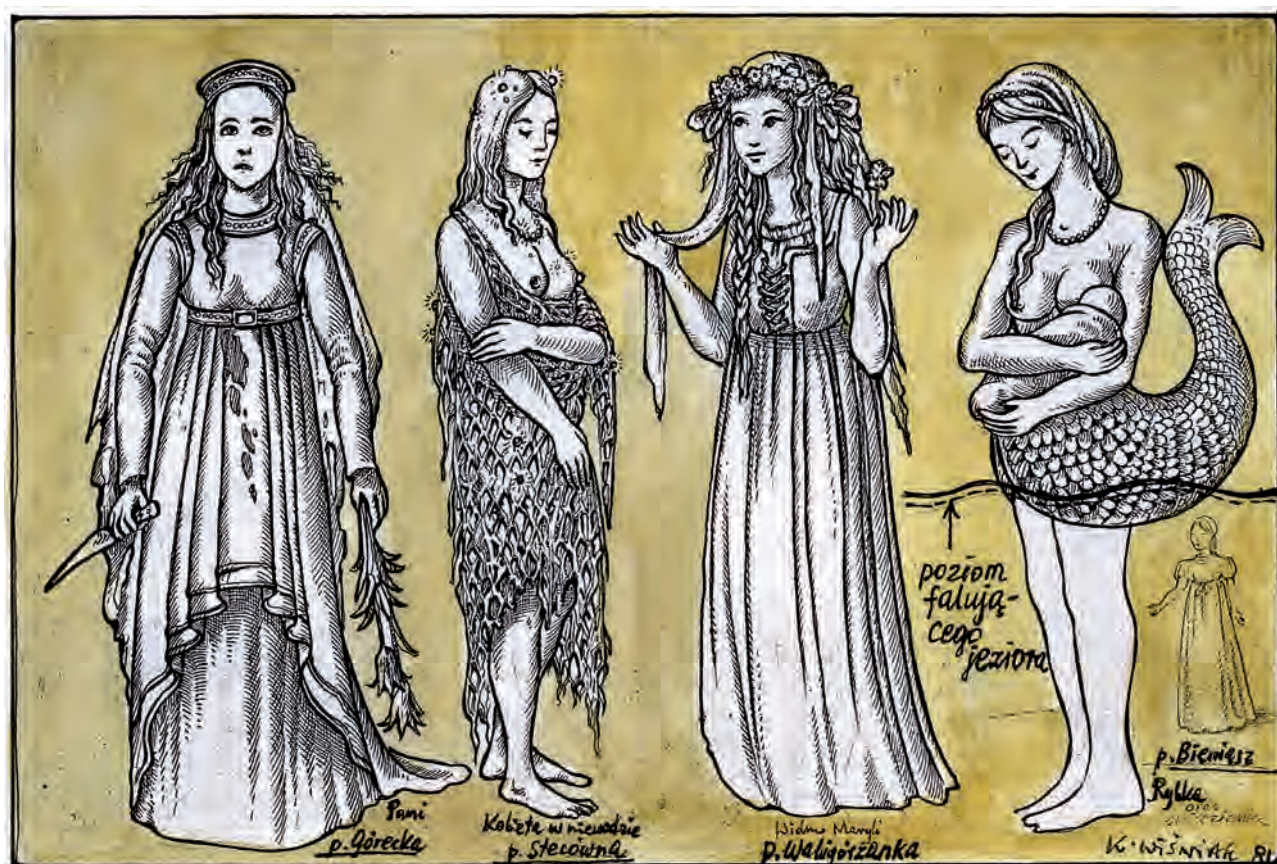
...Zabawa artystyczna, polegająca na tym, że scena poprzez obraz swój i aktorzy poprzez swoją grę sugerują nam wizję pośrednią; czyli dzieje się tak, jak byśmy nie my patrzyli na uscenicznione „Ballady”, lecz jakbyśmy my, dzisiejsi, patrzyli na naszego pradziadka, który patrzy się na scenę. Na scenie panuje późnoromantyczny komiczny dla nas teatr naiwny i prowincjonalny. Tak zostało to pomyślane; chwytły i maszyny teatralne są właściwie rodem z trup objazdowych końca XIX wieku...

Maciej Szybist „Kurhanek Maryli i jeszcze paru osób”
Gazeta Krakowska, 20,21,22 listopada 1981

...Pokazano w wersji udratyzowanej „Ballady i romanse”. Zwolennicy takiego zabiegu mogą przypomnieć tradycję uprzywilejowanego w romantyzmie gatunku, mogą powołać się na uczone „buchu” w rodzaju „Die Ballade ala klein – drama” Darenberga (Lipsk 1911). Usprawiedliwiać się wiec nie ma z czego; większy będzie problem z rozgrzeszeniem. Unaoczniający typ narracji (połączony z tajemniczością) narzucił podział na „postacie rzeczywiste” i „zjawy”, ośmielił scenografa do zabudowania sceny mogiłami pod ogromnym drzewem na tle niebiesko-fioletowego horyzontu i sztucznych, obracających się „fali” Świtezi.

...Twórcy uruchomili całą już niemal zapomnianą maszynię dla wyrażenia t. zw. niesamowitości. Ściemnia się lub błyska, huczą gromy, błądy księżyc połyskuje wśród krzyży na fioletowym niebie. Ale kiedy wybiega na scenę Maria Górecka jako Pani (co „zabiła Pana”) z ogromnym nożem i suknią spryskaną czerwoną farbą, stwarza okazję do chwilowej choćby zabawy...

Krzysztof Pleśniarowicz „Jubileuszowe portrety wieszca”. Dziennik Polski, 6,7,8 listopada 1981



Projekt z Archiwum Teatru Bagatela w Krakowie

Wiliam Shakespeare
BURZA

Teatr Bagatela w Krakowie, 1982. Reż. Włodzimierz Nurkowski

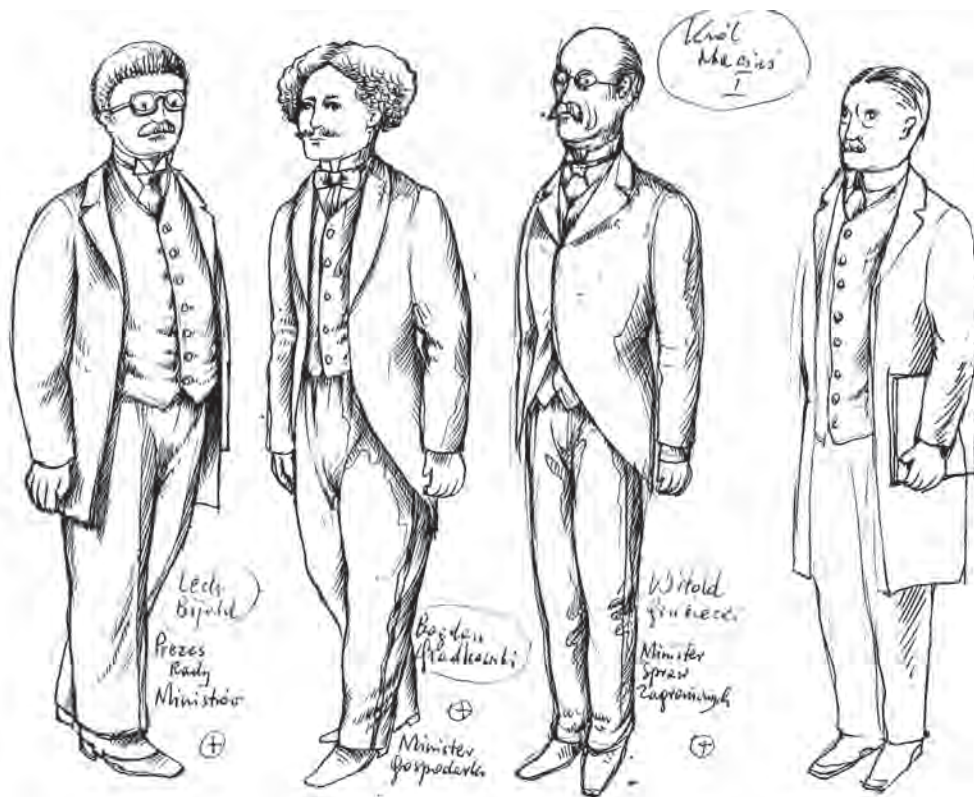


Projekt z Archiwum Teatru Bagatela w Krakowie



Fot. Zbigniew Łagocki

Janusz Korczak
KRÓL MACIUSZ PIERWSZY
Teatr Bagatela w Krakowie, 1982. Reż. Ryszard Olesiński



Projekt z Archiwum Teatru Bagatela w Krakowie

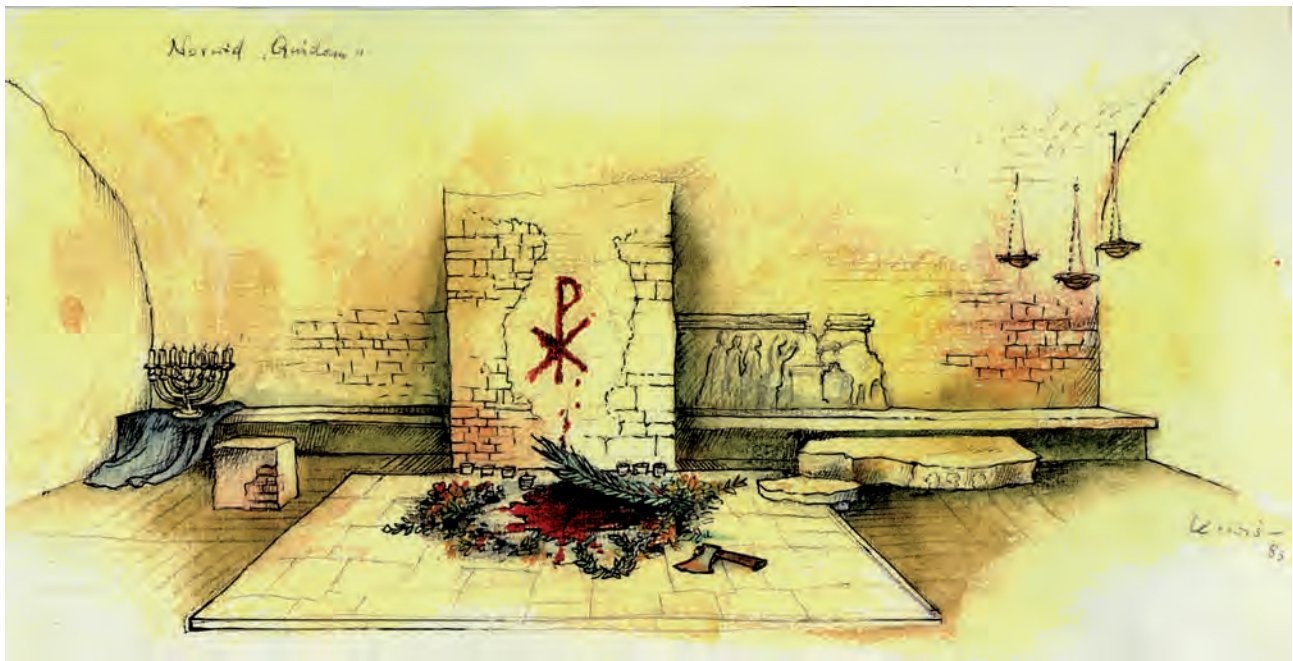


Projekt z Archiwum Teatru Bagatela w Krakowie

Cyprian Kamil Norwid

QUIDAM

Stary Teatr w Krakowie, 1983. Reż. Tadeusz Jurasz

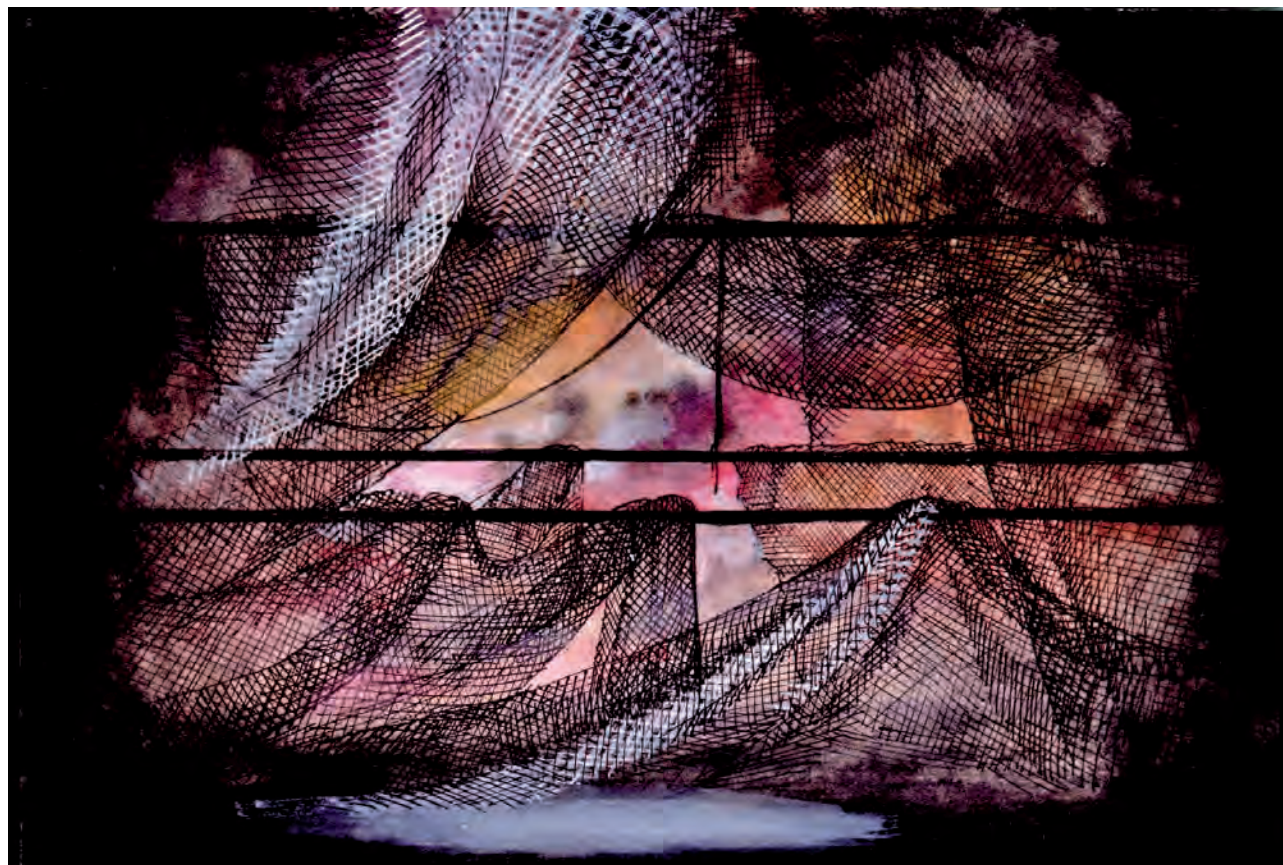


Projekt z Archiwum Starego Teatru w Krakowie

Marin Sorescu

JONASZ

Teatr Bagatela w Krakowie, 1983. Reż. Aleksander Bednarz



Projekt z Archiwum Teatru Bagatela w Krakowie

Lucjan Rydel
ZACZAROWANE KOŁO

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, 1987. Reż. Jerzy Nowak



Projekt z Archiwum Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie



Projekt z Archiwum Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie

Dale Wasserman

DER MANN VON LA MANCHA

Tourneeproduktion Euro-Studio Landgraf, Selb 1993. Rež. Henryk Tomaszewski

SchmidtBank

Weil Ihr Geld Ihre private Sache ist

Selb. Mieszkam w Hotelu Schmidt przy Hauptbahnhofstrasse jego założycielka, Anna Schmidt patrzy ze starej fotografii zwieszanej w re cepcji. Mam ciepły pokój z tapetą w kwiatki a za oknem śnieżne domy. Obsługa dyskretna, ale w odpowiedzialności poinformowała, że jeden z mieszkańców przyjechał z tropiku i leży chory na malarię. Miasteczko rozłożone na wzgórkach i w dolinach bogatych w kaolin jest znane w całym świecie. Jak Wieliczka z soli, tak Selb z porcelany szklanej. Na jednym z domów w murawianym ce-ramicznym płytki z wymiata-wnęg dawno, przedtą miejscowości i historycznymi datami. W 1856 roku wielki pożar strawił domy i 4000 mieszkańców straciło dach nad głową. Rok później dzwario tu pierwszą fabrykę porcelany Lorenza Flutscheneutera. z biegiem lat powstawały nowe fabryki: Villeroy i Boch oraz zakłady Filipa, Rosen-thala. Ostatnie nazwisko jest znane w Polsce, a często wspomniane z okazji eleganckich przyjęć, kiedy to z kredensów wystawiane są najpiękniejsze serwisy. Selb, zwane też porcelanowym miastem pozwoliło mi zobaczyć te trzy wielkie fabryki oraz ich sklepy firmowe w których można nabyć naj-taniej stare i najnowsze pro-dukty, a jeszcze taniej produkty z niewidocznym defektem.

Selb. Mieszkam w Hotelu Schmidt przy Hauptbahnhofstrasse jego założycielka, Anna Schmidt patrzy ze starej fotografii zwieszanej w re cepcji. Mam ciepły pokój z tapetą w kwiatki a za oknem śnieżne domy. Obsługa dyskretna, ale w odpowiedzialności poinformowała, że jeden z mieszkańców przyjechał z tropiku i leży chory na malarię. Miasteczko rozłożone na wzgórkach i w dolinach bogatych w kaolin jest znane w całym świecie. Jak Wieliczka z soli, tak Selb z porcelany szklanej. Na jednym z domów w murawianym ce-ramicznym płytki z wymiata-wnęg dawno, przedtą miejscowości i historycznymi datami. W 1856 roku wielki pożar strawił domy i 4000 mieszkańców straciło dach nad głową. Rok później dzwario tu pierwszą fabrykę porcelany Lorenza Flutscheneutera. z biegiem lat powstawały nowe fabryki: Villeroy i Boch oraz zakłady Filipa, Rosen-thala. Ostatnie nazwisko jest znane w Polsce, a często wspomniane z okazji eleganckich przyjęć, kiedy to z kredensów wystawiane są najpiękniejsze serwisy. Selb, zwane też porcelanowym miastem pozwoliło mi zobaczyć te trzy wielkie fabryki oraz ich sklepy firmowe w których można nabyć naj-taniej stare i najnowsze pro-dukty, a jeszcze taniej produkty z niewidocznym defektem.

Die lustige Schneiderin

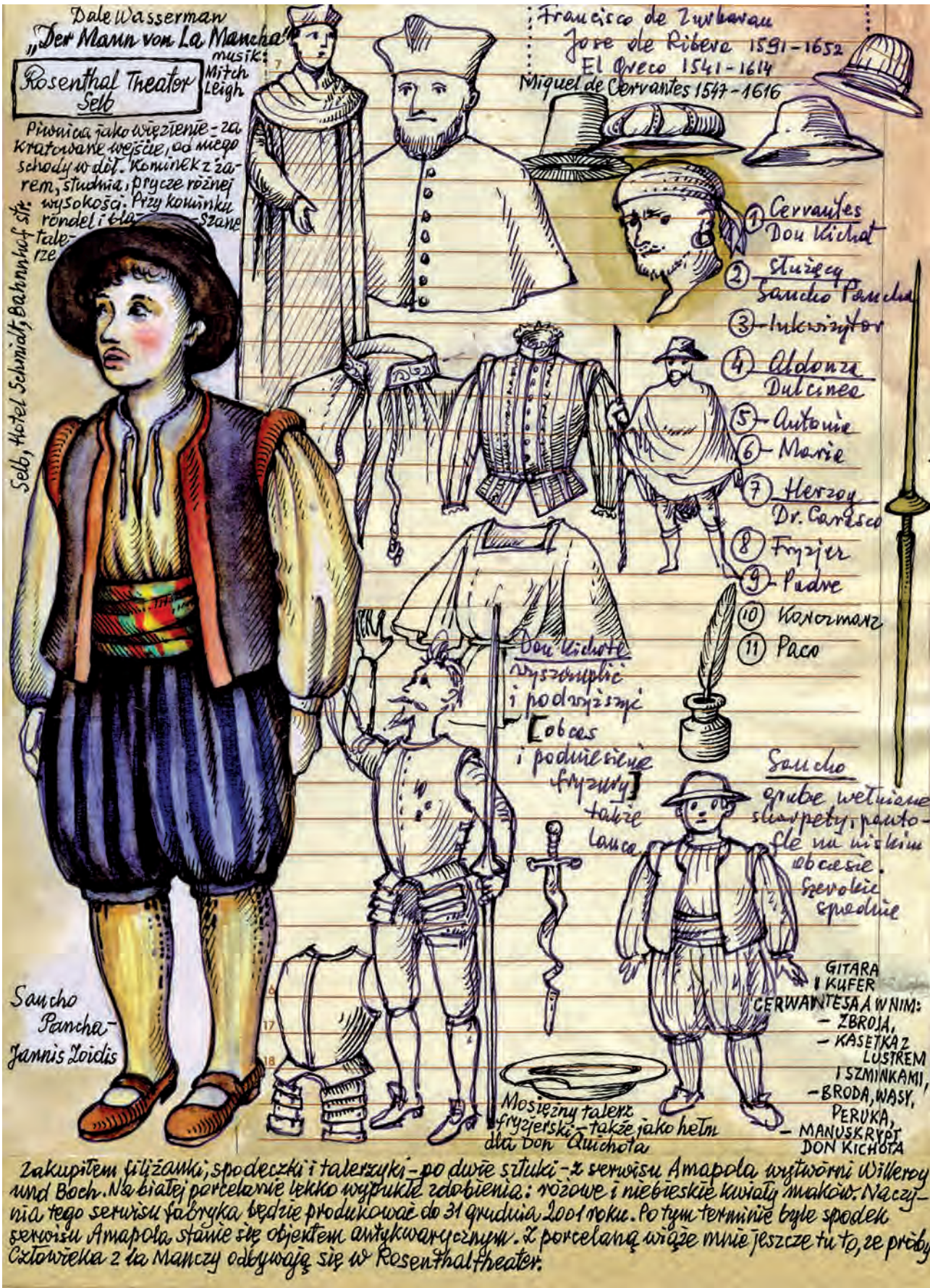
KARL HEINZ MARTELL
jako Don Quichote
fot. Bernd Böhner

9
10
11
12
13
14
15
16
17
18

- kmpze
(dv. Carrasco)
ewent. lesi folz

PREMIERA PLANOWANA
2 marca

Hbr 7. 25 - 8. 6 • Mk 3. 7-12



Dale Wasserman
 „Der Mann von La Mancha“
 Rosenthal Theater
 Selb
 musik: Mitch Leigh

Francisco de Zurbarán
 Jose de Ribera 1591-1652
 El Greco 1541-1614
 Miguel de Cervantes 1547-1616

Pionica jako więzienie - za kratorowane wejście, od niego schody w dół. Koninek z żarem, studnia, przy cz. różnej wysokości. Przy koninku rondel i bla-tale-rze.

Selb, Hotel Schmidt, Bahnhofstr.

Sancho Panza - Jannis Loicis

- 1 - Cervantes
- 2 - Don Kichot
- 3 - Sancho Panza
- 4 - Interimtor
- 5 - Aldonza Dulcinea
- 6 - Antonie
- 7 - Marie
- 8 - Herzog Dr. Carrasco
- 9 - Fryzjer
- 10 - Padre
- 11 - Kanonmarz
- 12 - Paco

Don Kichote
 wyszczerpic
 i podryżnąć
 [obcas
 i podnieście
 fryzury]
 także
 Lanca

Sancho
 grube wetuziane
 słompety, panto-
 fle na niskim
 obcasie.
 Szewskie
 sprednie

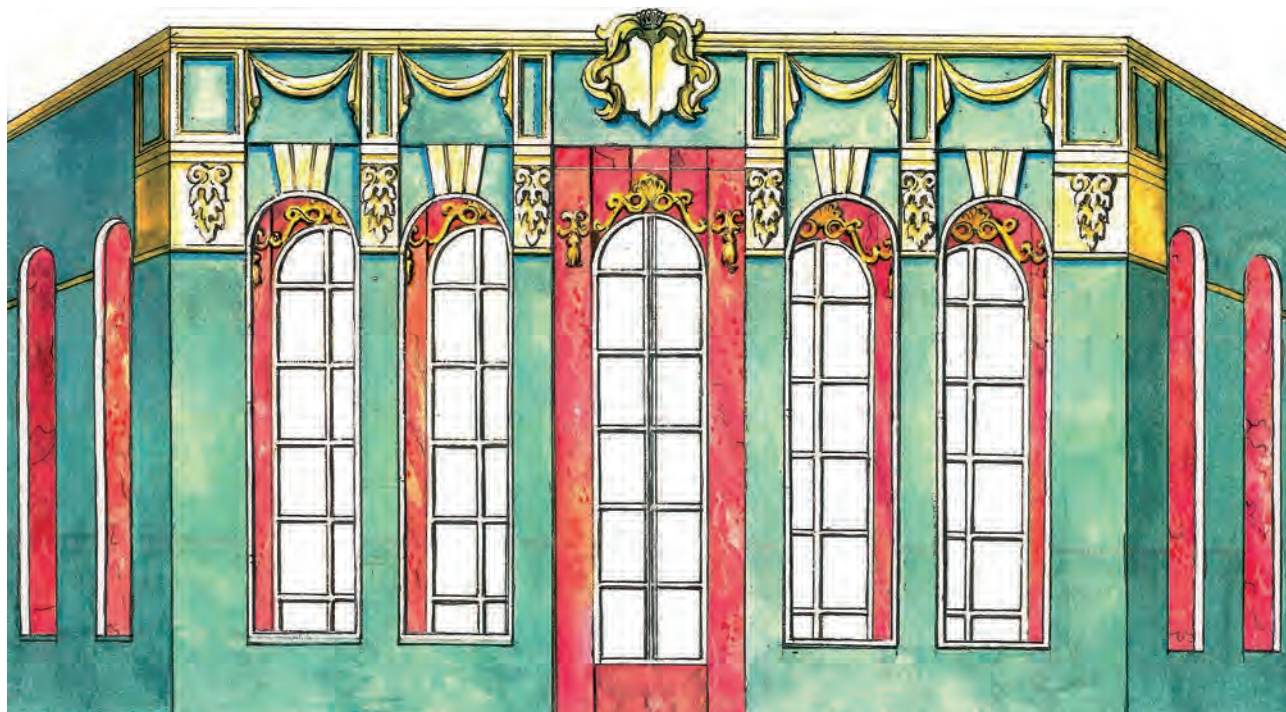
- GITARA
 I KUFER
 CERWANTESA W NIM:
 - ZBROJA,
 - KASETKA Z
 LUSTREM
 I SZMINKAMI,
 - BRODA, WASY,
 - PERUKA,
 - MANUSKRYPT
 DON KICHOTA

Mosięzny talerz
 fryzjerski - także jako hełm
 dla don Quichota

Zakupiłem filiżanki, spodeczki i talerzki - po dwie sztuki - z serwisu Amapola, wytwórni Willeroy und Boch. Na białej porcelanie lekko wypukłe zdobienia: różowe i niebieskie kwiaty maków. Na czynie tego serwisu fabryka będzie produkować do 31 grudnia 2001 roku. Po tym terminie byłby serwis Amapola stał się obiektem antykwarycznym. Z porcelaną wiąże mnie jeszcze tu to, że próby Cztowiek z La Manchy odbywają się w Rosenthaltheater.

wg. Gerharta Hauptmanna
KAPRYS

Wrocławski Teatr Pantomimy, 1995. Reż. i chor. Henryk Tomaszewski

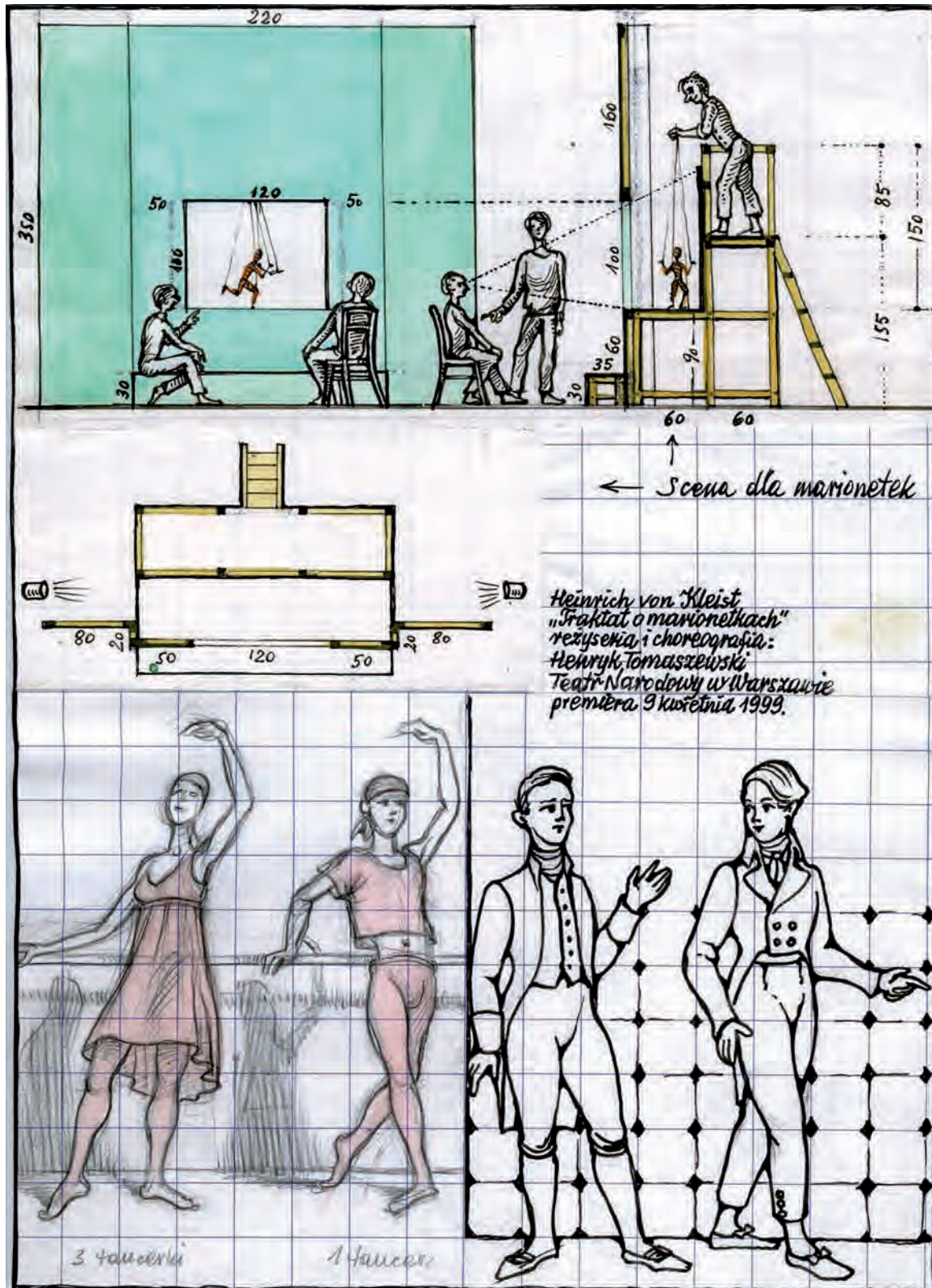


Projekty z Archiwum Wrocławskiego Teatru Pantomimy



Projekty z Archiwum Wrocławskiego Teatru Pantomimy

Heinrich von Kleist
TRAKTAT O MARIONETKACH
 Teatr Narodowy w Warszawie, 1999. Reż. Henryk Tomaszewski



Kazimierz Wiśniak: - ...Z lalkami, a zwłaszcza kukłami, miałem już do czynienia jako scenograf. I lubię je jako widz. Kukły, łudząco podobne do człowieka, grały już u Wagnera. Zachowały się w jego willi – muzeum w Bayreuth, najwyraźniej widać, że spełniały ważną rolę w operach. Niektóre były małe, inne w powiększeniu – w zależności od miejsca, gdzie taka kukła miała się pokazać. W XIX wieku w operach, np. w „Aidzie” stawiano wśród chóru manekiny, żeby zwiększyć potęgę dworu. W Warszawie robiłem już trochę przedstawień z kukłami. Z Witoldem Zatorskim – spektakl „Pan Lemercier gra Don Kichota w swojej księgarni przy Placu des Vosges w Paryżu”. Wtedy właśnie aktorzy posługiwali się lalkami. To było wspaniałe, kiedy wybitni aktorzy zarówno grali, jak i poruszali lalkami.

Henryk Tomaszewski: - Sztuka marionetek jest jedną z najstarszych. Barok, rokoko i XIX wiek to ich apogeum. Ta piękna sztuka, niestety ginie. Na ogół teatry lalek w Polsce już właściwie z marionetkami nie pracują. A szkoda, bo uważam, że marionetka to najwyższa klasa w historii teatrów lalek. Łączy się to z faktem, że konstrukcja takiej lalki to rzecz kunsztowna i kosztowna. W Japonii lalkarz sam musi sobie zrobić lalkę. Musi umieć ją wystrugać, pomalować, podwiesić, poprowadzić. Jest Stwórcą – Panem Bogiem...

Janusz R. Kowalczyk „Marionetka jest niewinna”.
Rzeczpospolita, 7 kwietnia 1999

...Wzór teatralnej, można by rzec idealnej harmonii... ukryty został za udrapowaną kurtynką, naprzeciw widowni, pośrodku sceny, pomiędzy ogrodową ławką i rzeźbą a poręczą do baletowych ćwiczeń. Ustawiono tutaj najprawdziwszy teatrzyk marionetek, zrekonstruowany przez Kazimierza Wiśniaka i z wielką pieczołowitością, a nawet z miłością i szacunkiem dla rzeczy dawnych, tak dobrze nam znanych z jego wielu prac.

Zasłona idzie w górę trzykrotnie, byśmy mogli obejrzyć kolejne obrazki historii, powtórzonej za Księżką Rodzaju. Krucha, smukła, świetlista marionetka igra najpierw na niebiańskiej łące. Drży za najłżejszym poruszeniem palców dłoni animatora (Waldemar Dolecki), gdy płynie na tle błękitnego horyzontu, wraca w powietrzu „koziołki” i cieszy się swobodą. Potem pojawia się wielkie jabłko – pokusa zwycięża. Na koniec, w chwili powietrznej swawoli, nad figurką marionetki zawisnie dłoń z nożycami. Ciach, nitki zostają przecięte. Radosne i subtelne piękno zamienia się błyskawicznie w kupkę materii...

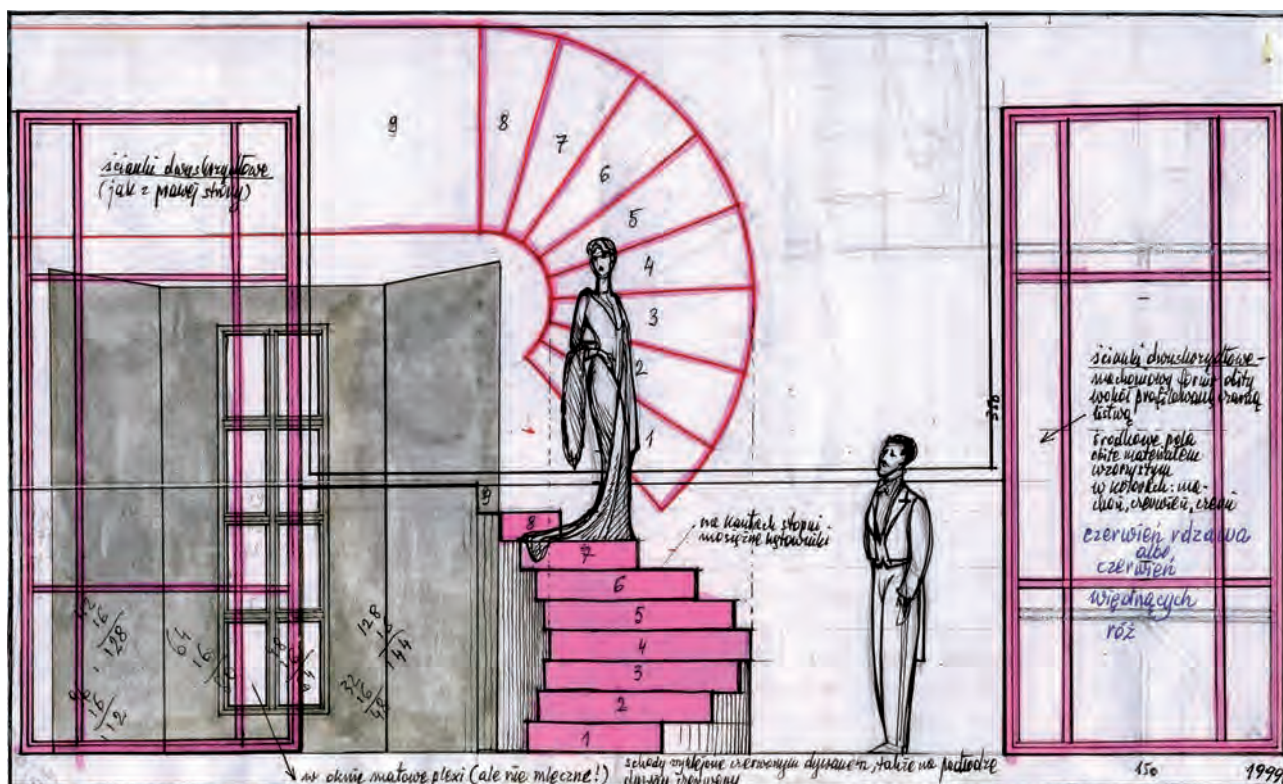
Barbara Osterloff „Ja, mistrz”, Teatr nr 6, 1999

Z „Traktatu o marionetkach” – doświadczenia niezwykłego, którego nie wolno mierzyć kryteriami regularnego spektaklu teatralnego – emanuje przekonanie, że lalka teatralna, jak każdy przedmiot sztuki ma duszę w sobie. A dusza, ta pozostaje tajemnicą nawet dla tego, kto przedmiot sztuki w dzieło sztuki przestacza. Żywot artysty jest więc tajemniczą służbą w obliczu tajemnicy. O tym właśnie Henryk Tomaszewski i Kazimierz Wiśniak przypominają w sposób urzekająco piękny – w oparach brązów, zieleni i błękitów. W takich przynajmniej barwach żyje ten spektakl w pamięci. Taki pejzaż aż z dwóch spiętrzonych scen wysnuty.

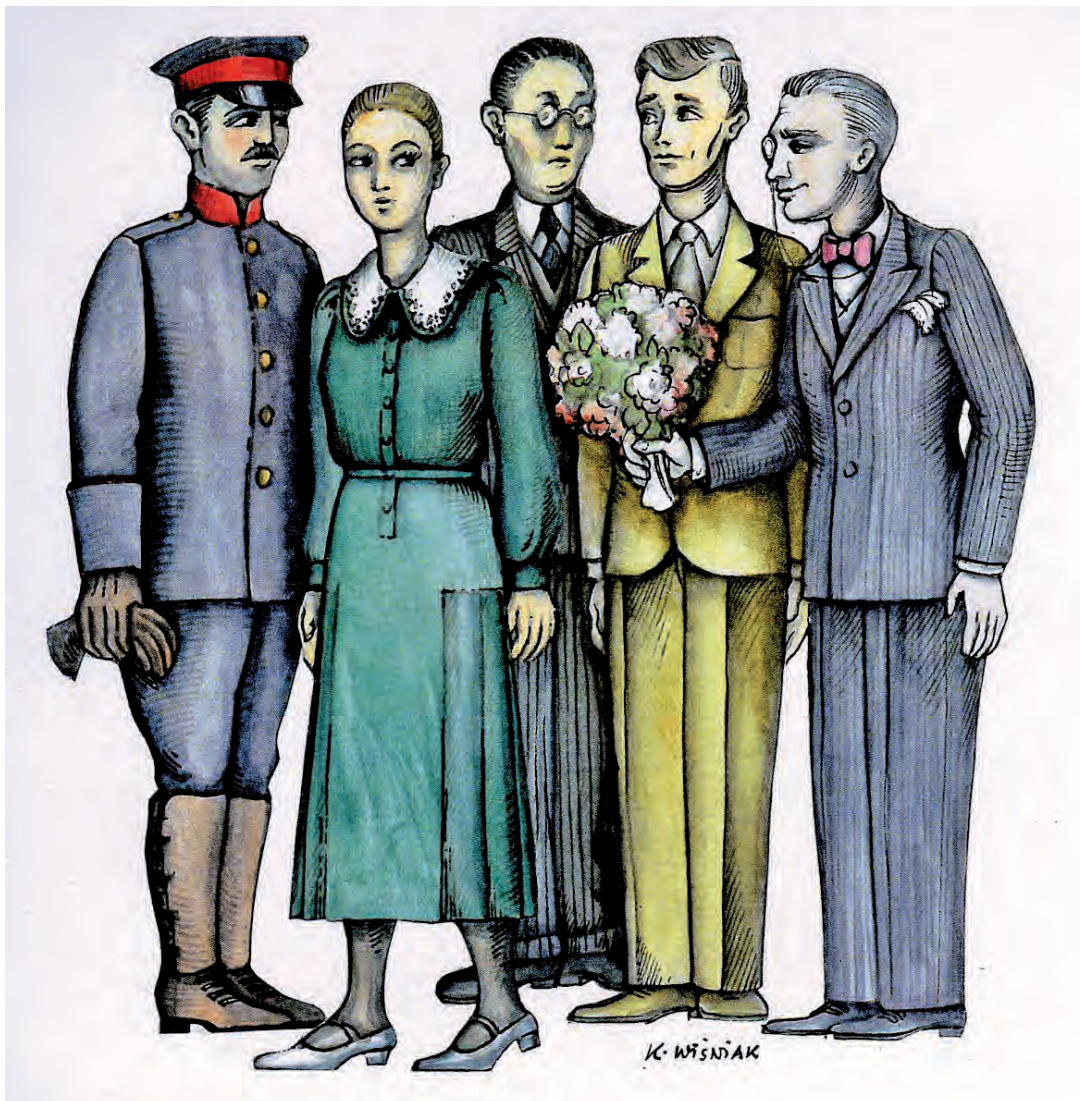
Henryk Izidor Rogacki „Sztuka, prawda i marionetki”.
Teatr Lalek nr 1, 1999

Gerhart Hauptmann TRAGICZNE GRY

Wrocławski Teatr Pantomimy, 1999. Reż. i chor. Henryk Tomaszewski

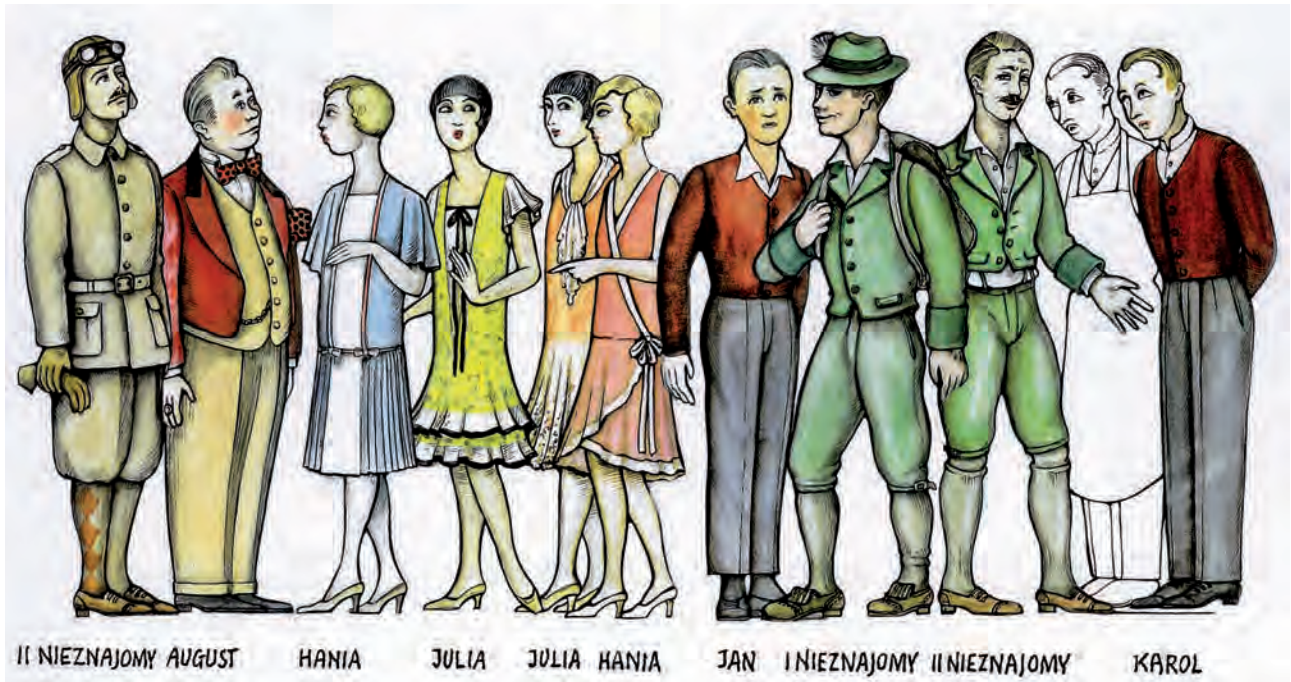


Projekty z Archiwum Wrocławskiego Teatru Pantomimy

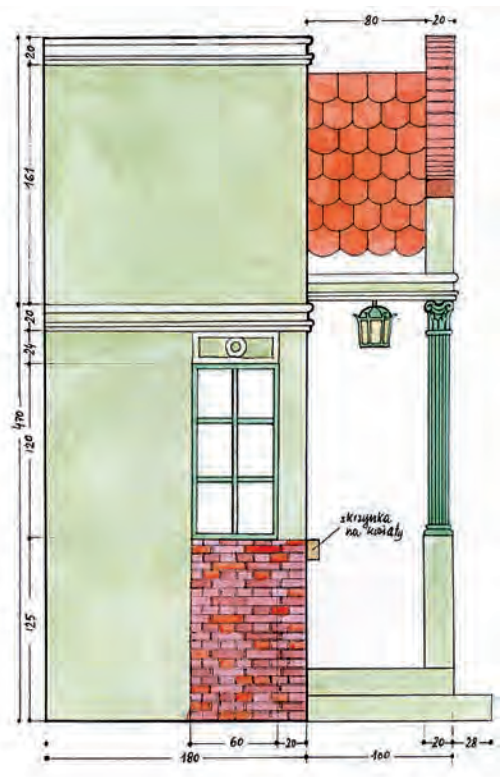
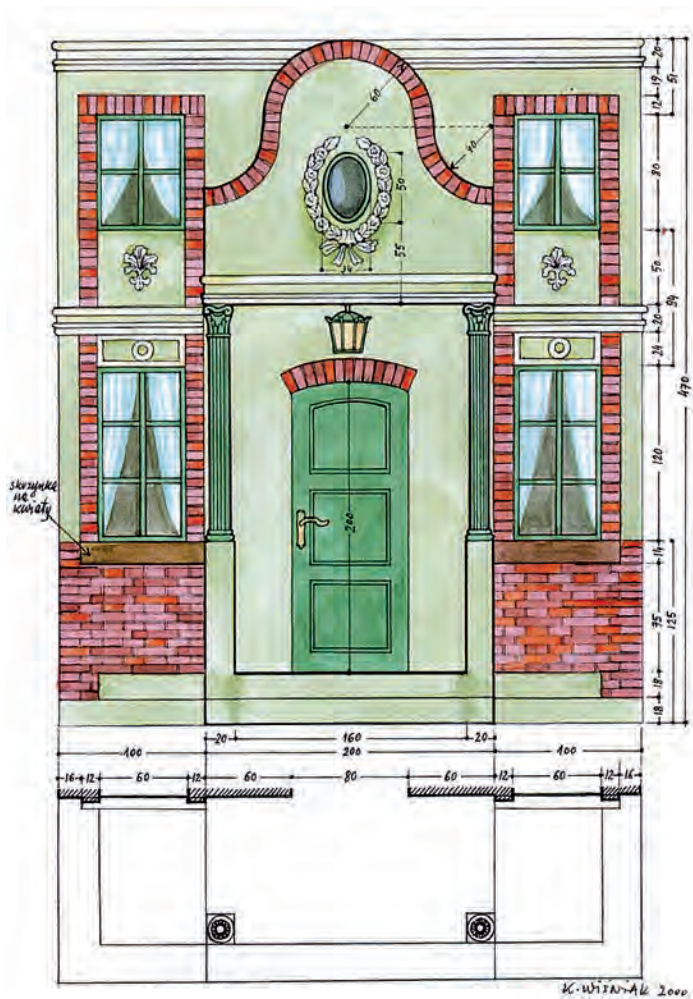


Projekty z Archiwum Wrocławskiego Teatru Pantomimy

Edward Künneke
KUZYNEK Z KSIĘŻYCA
 Opera i Operetka w Krakowie, 2000. Reż. Zbigniew Czeski



Projekty z Archiwum Opery Krakowskiej



Projekty z Archiwum Opery Krakowskiej

Plakaty

Państwowy Teatr Śląski



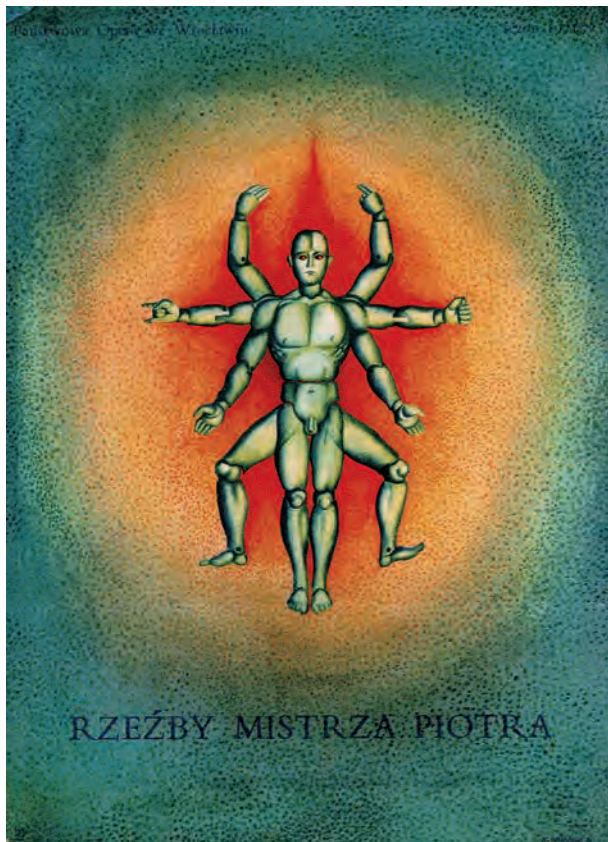
1962 r.



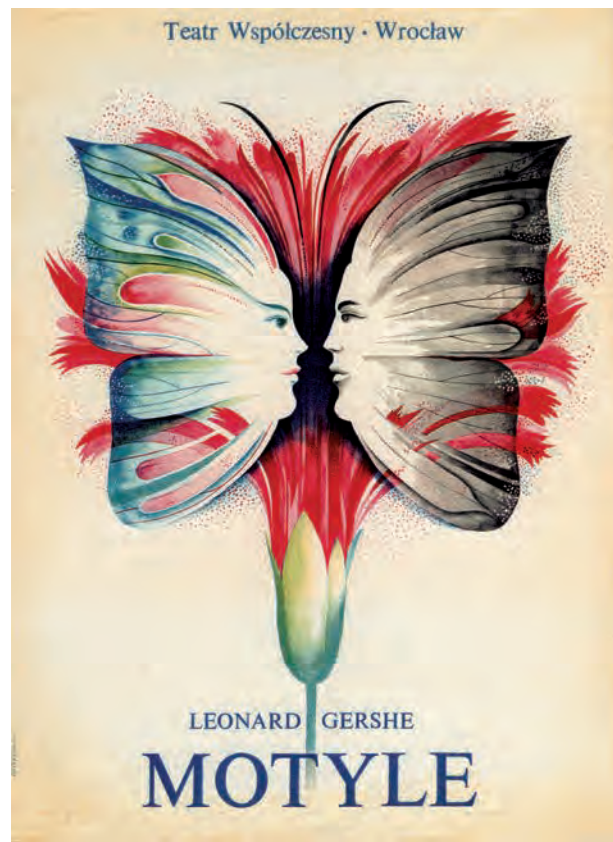
1962 r.



1964 r.



1971 r.



1972 r.



1973 r.



1973 r.

Jacques der Fatalist und sein Herr

Schauspiel mit Musik
nach **Denis Diderot**

Inszenierung
und
Choreographie:
HENRYK TOMASZEWSKI

Ausstattung:
KAZIMIERZ WISNIAK

Musik:
STANISLAW RADWAN

FOURCE PRODUKTION
EURO-STUDIO
LEITUNG JOACHIM LANGHAR



JÖRG GILLNER · JANNIS ZOIDIS

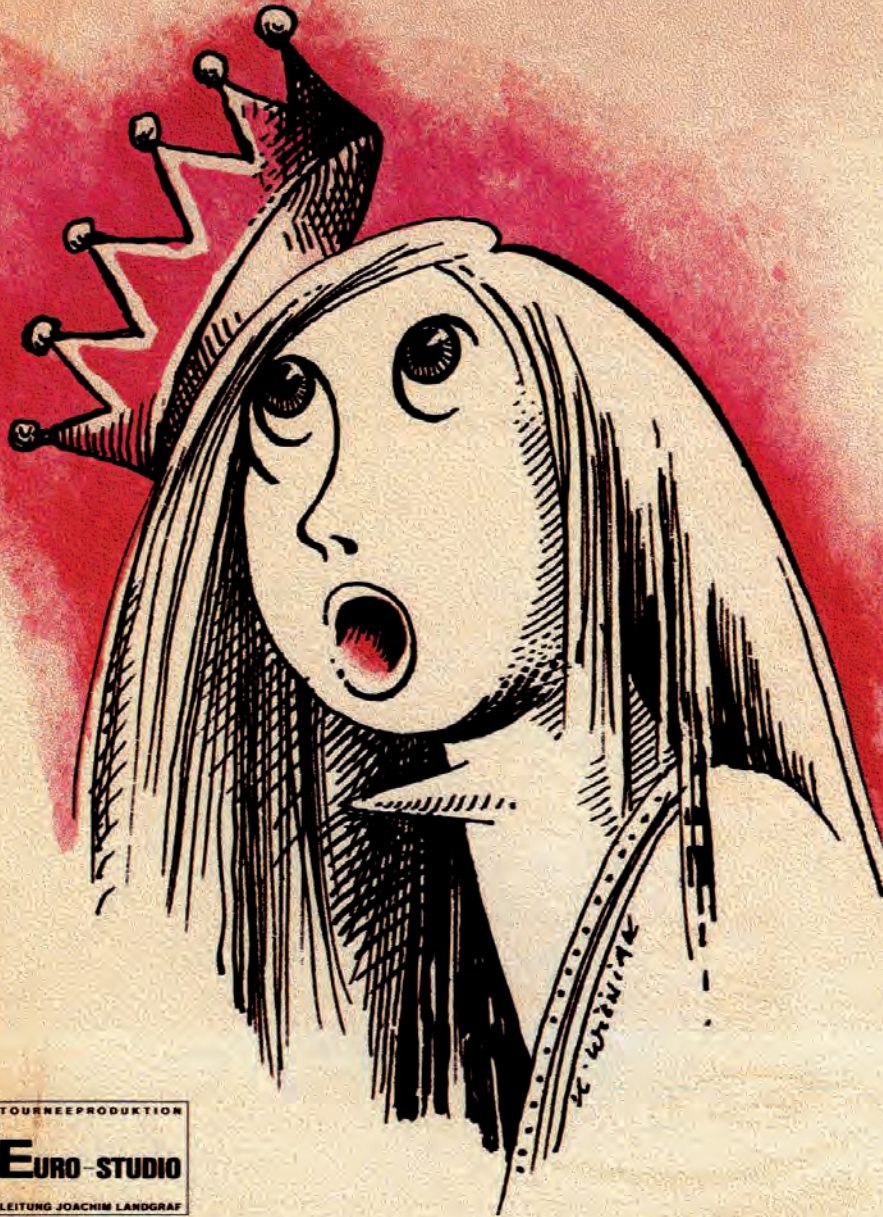
Barbara Focke

**Doris Maria Kaiser · Ulla Purr · Annemarie Schüler · Stefanie Stumpf
Alexander Dragan · Hermann Höcker · Hans Hohlbein · Jim Kain**

1988 r.

YVONNE, DIE BURGUNDERPRINZESSIN

Schauspiel von
Witold Gombrowicz



Saskia Fischer
Evelyn Fuchs
Patricia Schon
Annemarie
Schüler
Madeleine
Stingl
Basil Dorn
Gerd Eichen
Claudius Freyer
Tim-Owe Georgi
Michael Lieb
und
Corinna Genest

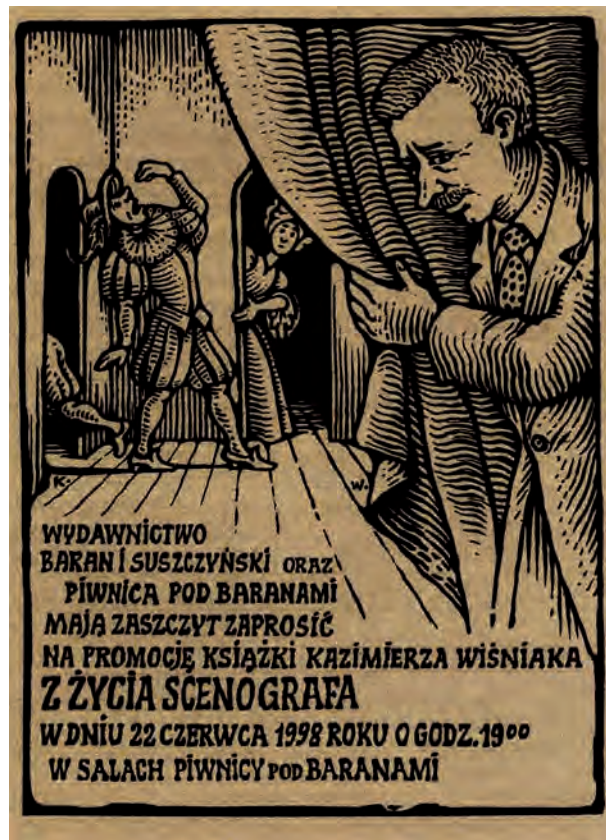
TOURNEEPRODUKTION
EURO-STUDIO
LEITUNG JOACHIM LANDGRAF

Inszenierung und Choreographie: Henryk Tomaszewski · Ausstattung: Kazimierz Wiśniak

1989 r.



1997 r.



1998 r.



1999 r.



2001 r.



2001 r.



2001 r.



2002 r.



2003 r.

PIWNICA POD BARANAMI



XIII koncert dla Piotra

12 WRZESNIA 2009 GODZ.19

OPERA KRAKOWSKA

2009 r.

PIWNICA POD BARANAMI



XIV KONCERT DLA PIOTRA

12 WRZEŚNIA 2010 • GODZ. 19
TEATR IM. J. SŁOWACKIEGO

SPRZEDAŻ BILETÓW: ● FILMOTECHNIKA-PASAŻ BIELAKA

● ŚOK - OŚRODEK DOKUMENTACJI „PIWNICA POD BARANAMI” UL. ŚW. TOMASZA 26

2010 r.



2011 r.



Fot. Jerzy Duda

PIWNICA POD BARANAMI



Bilety: Impresariat Piwnicy pod Baranami, św. Tomusza 26
Bar Piwnicy pod Baranami, Rynek Gł. 27

KONCERT 12 WRZEŚNIA 2011 R. GODZ. 19
TEATR IM. J. SŁOWACKIEGO
DLA PIOTRA S.

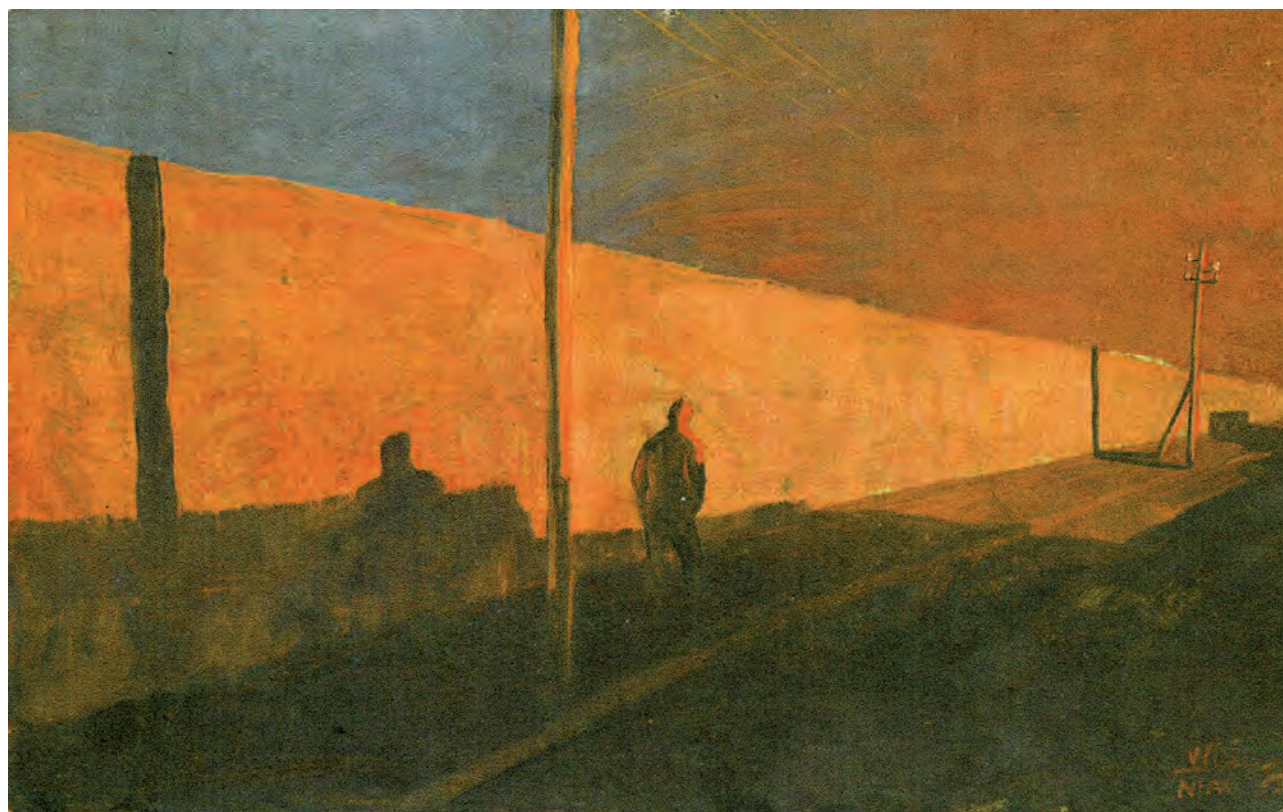
2011 r.

Malarstwo

1952, 1953 r.



Zimowy widok Łodzi, 1952. Akwarela 24 x 21



Ulica w Łodzi, 1953. Olej na tekturze 20,5 x 32,5



Pelargonie, 1953. Akwarela 40 x 28,5

1956, 1959 r.



Teatr na podwórku, 1956. Olej na płótnie 46 x 57,5



Pożar, 1959. Olej na płótnie 73 x 100. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu.

1960 r.



Pożar, 1959. Olej na płótnie 73 x 100

1973 r.



Światowid, 1973. Pastel, kredka 50 x 48

1985 r.



Nocne czuwanie, 1985. Olej na płótnie 38 x 31

1986/87 r.



Plener w Bieszczadach, 1986. Olej na płótnie 72 x 100. Ze zbiorów BWA w Krośnie



Karpackie Łąki, 1987. Olej na płótnie 65 x 100. Ze zbiorów Ewy Cisowskiej w Krośnie

1987 r.



Czarodziejski flet, 1987. Olej na płótnie 27,5 x 41,5. Ze zbiorów Kazimierza Paciorkowskiego



Pole PGRu w Słonnem, 1987. Olej na płótnie 73 x 100. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemysłu



Jesienne prace, 1987. Olej na płótnie 73 x 100. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu



Fragment

1988 r.



W cieniu drzewa, 1988. Akryl i olej na płótnie 130 x 96,5. Własność Zofii Radziwiłowicz, Warszawa



Fragment



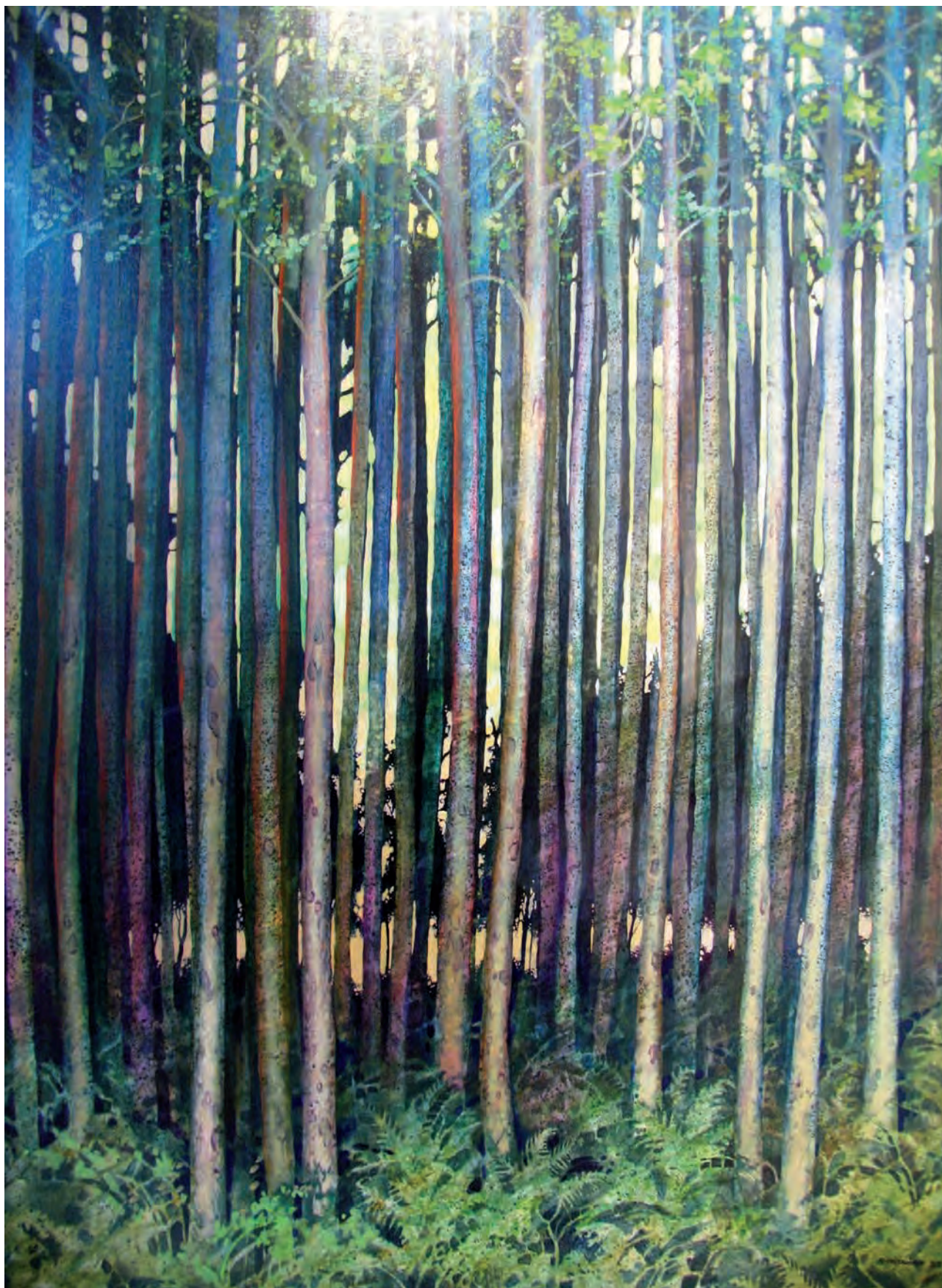
Noc księżycowa, 1988. Olej na płótnie 16 x 11. Własność Richarda Warrena, Chicago



Sikorka, 1988. Olej na płótnie 27 x 40. Własność Anny Litak, Kraków



Opowieść o duchach w Lanckoronie, 1988. Olej na płótnie 50 x 63. Własność Joanny Ronikier, Kraków



Las, 1988. Akryl na płótnie 130 x 97. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu



Krowy nad Sanem, 1988. Olej na płótnie 35 x 45. Własność Kazimierza Paciorkowskiego, Kraków



Fragment

1989 r.



Strach na wróble I, 1989. Olej na płótnie 28,5 x 34. Ze zbiorów Lisów, Kraków



Strach na wróble II, 1989. Olej na płótnie 32 x 39. Ze zbiorów Marka Bruno-Kamińskiego, Kraków



Opuszczona cerkiew w Krasicach, 1989. Olej na płótnie 31,5 x 39. Ze zbiorów po Ryszardzie Sarneckim, Kraków



Fragment

1990 r.



Jesienny bukiet z kukielkami, 1990. Olej na płótnie 34 x 28,5. Ze zbioru po Ryszardzie Sarneckim, Kraków



Po żniwach, 1990. Olej na płótnie 32,5 x 43,5. Własność Michała Ronikiera, Warszawa

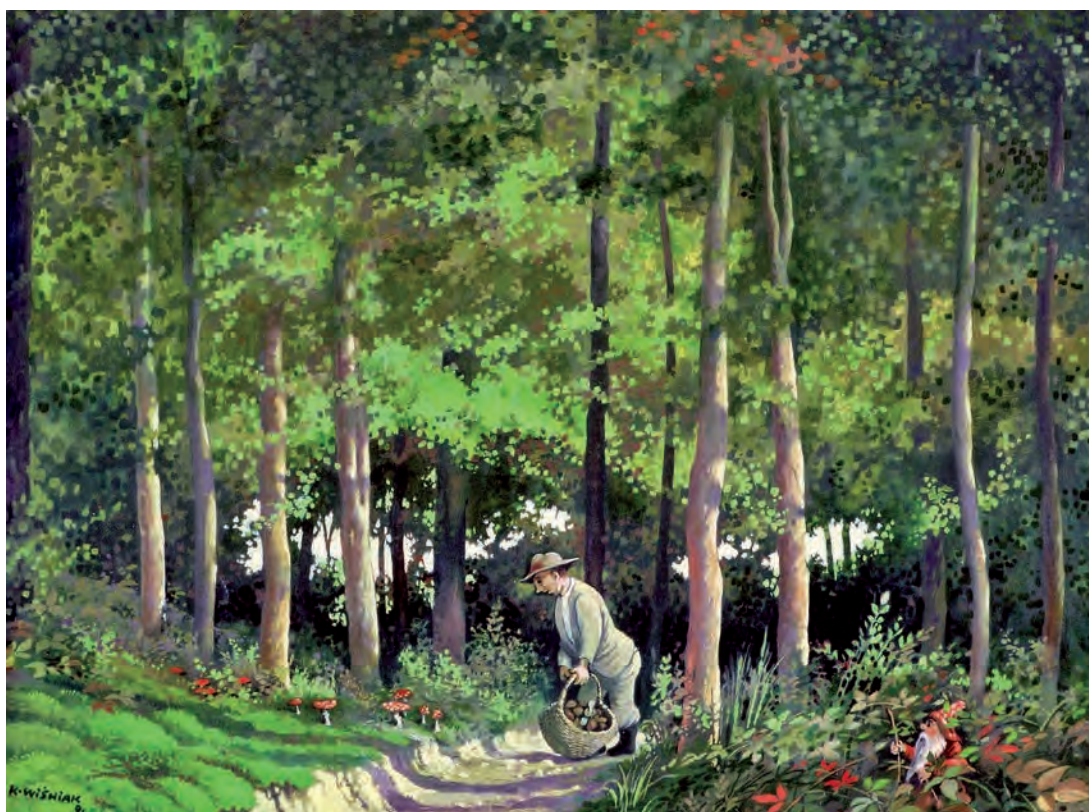


Sklepik w Lanckoronie, 1990. Olej na płótnie 22 x 30,5. Ze zbioru Eweliny i Lecha Komarnickich, Warszawa

1991 r.



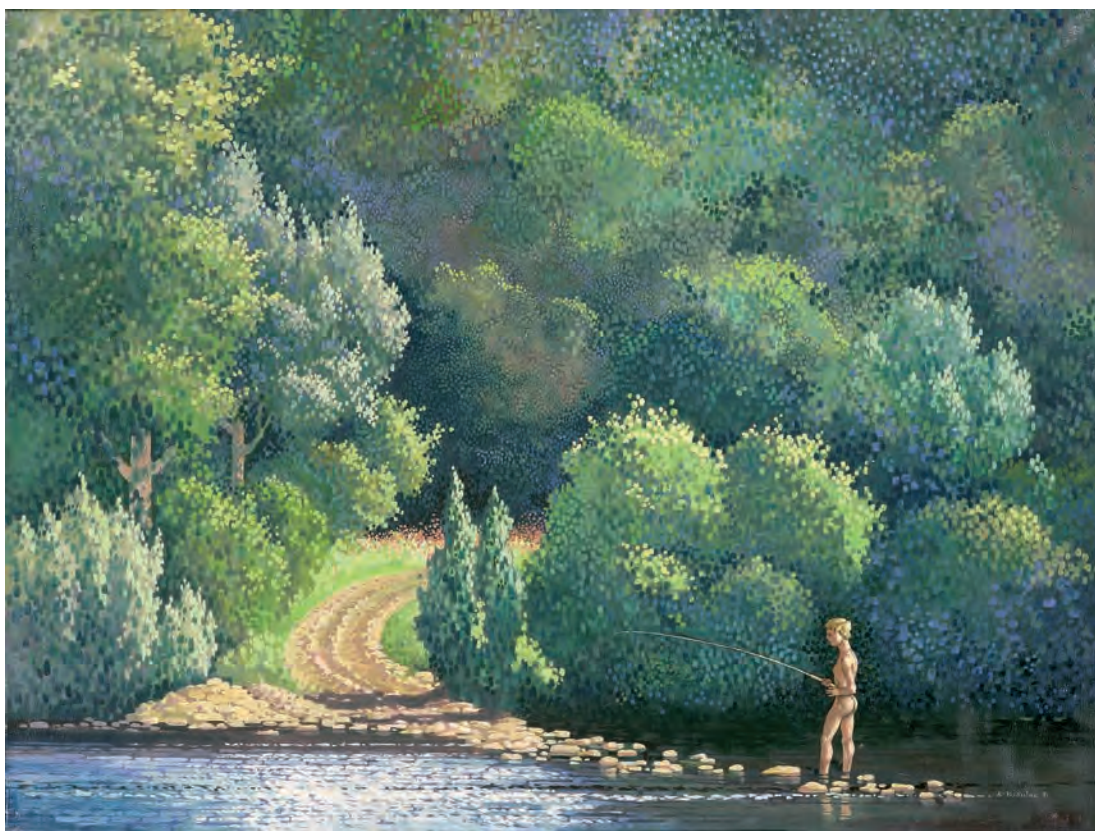
Zielarka, 1991. Olej na płótnie 18 x 24. Własność Teresy Rotte, Przemyśl.



Grzybobranie, 1991. Olej na płótnie 30 x 40. Własność Renaty i Janusza Cywickich, Przemyśl.



Baba z gęsią, 1991. Olej na płycie



Chłopiec łowiacy ryby w Sanie, 1991. Olej na płótnie 97 x 130. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu



Plotkarki na lanckorońskim rynku, 1991. Olej na płótnie 28 x 32. Ze zbiorów Władysława Andreasika, Kraków



Fragment



Przy ognisku, 1991. Olej na płótnie 55 x 71. Ze zbiorów Bronisława Nowaka, Kraków



Fragment

1992 r.



Jurek i smok, 1992. Olej na płótnie 56 x 46. Własność Ewy Bińczyckiej, Kraków



Zamek w Krasiczynie, 1992. Olej na płycie 34 x 42. Własność Doroty Segdy, Kraków



W lanckorońskim sklepiku, 1992. Olej na płycie. Własność Jana Krzyżanowskiego, Kraków

1993 r.



Muzyka na wodzie, 1993. Olej na płycie 41 x 34. Własność Bronisławy Górnisiewicz, Kraków



Usychające drzewo, 1993. Olej na płycie 41 x 34. Ze zbiorów po Adamie Molu, Kraków



Widok z Lanckorony, 1993. Olej na płótnie 46 x 55. Ze zbiorów po Arkadiuszu Michcie, Kraków

1994 r.



Jednorożec i panna, 1994. Olej na płótnie 50 x 40. Własność Marii i Mirosława Kłotzerów, Kraków



W drodze do kartofli, 1994. Olej na płycie 17 x 24. Własność Alicji Zdybalskiej, Kraków



Po burzy, 1994. Olej na płycie 24 x 30. Własność Grażyny Niezgody, Przemyśl

1996 r.



Jesienny bukiet, 1996. Olej na płótnie 61 x 50. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu



Martwa natura z chrząszczem, 1996. Olej na płótnie 20 x 25. Ze zbiorów Kazimierza Paciorkowskiego, Kraków



Fragment



Fragment



Przed burzą, 1996. Olej na płótnie 50 x 50. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu



Stacja Rzepedź, 1996. Olej na płótnie 50 x 65. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Krośnie

1997 r.



Pejzaż z widokiem na San, 1997. Olej na płótnie 80 x 60. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyśle



Zbieranie kartofli, 1997. Olej na płótnie



W drodze na połoninę, 1997. Olej na płótnie. Własność Helge Hoffmonsens. Oslo

1998 r.



Zachód słońca w lesie, 1998. Olej na płótnie. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu



Zielarki, 1998. Olej na płótnie 48 x 38. Ze zbiorów Kazimierza Paciorkowskiego, Kraków



Drabina do nieba, 1998. Olej. Ze zbiorów Władysława Andreasika, Kraków



Fragment

1999 r.



W szuwarach, 1999. Olej na płótnie.



Fragmety obrazu „W szuwarach”



Fragmenty obrazu „W szuwarach”



Święto kartofli, 1999. Olej na płótnie. Ze zbiorów Władysława Andreasika, Kraków



San, 1998. Olej na płótnie 60 x 80. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu

2000 r.



Cztery pory roku, 2000. Akryl na płótnie 31 x 41. Własność Krystyny i Andrzeja Wajdów.



Fragment



Poranek, zachód i noc, 2000. Olej na płycie 27 x 40. Ze zbiorów Władysława Andreasika, Kraków.



Przed nokturnem, 2000. Olej na płótnie. W zbiorach Anety i Karola Kuberskich



Jesienne pokosy, 2000. Olej na płycie 33 x 40. Własność Kazimierza Paciorkowskiego, Kraków.



Zbieracze gałęzi, 2000. Olej na płótnie. Własność Andrzeja Freyera, Kraków.



Łowca motyli, 2000. Olej na płótnie 50 x 40. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu

2001 r.



Zdarzyć przed burzą, 2001. Olej 55 x 46. Ze zbiorów Władysława Andreasika, Kraków.



Porzucona lalka, 2001. Olej na płótnie



Koszyk z niespodzianką, 2001. Akryl na płótnie

2002 r.



Odlot ptaków, 2002. Olej na płótnie 80 x 65. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu.



SMS – na jagody! 2002. Olej na płótnie 56 x 71. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu.



Pinokio 2002. Akryl 30 x 40



Myszy w kartoflach, 2002. Akryl na płótnie 30 x 40. Ze zbiorów Władysława Andreasika



Na wichrowych wzgórzach, 2002. Akryl na płótnie 56 x 71. Własność Artura Feyera, Kraków.

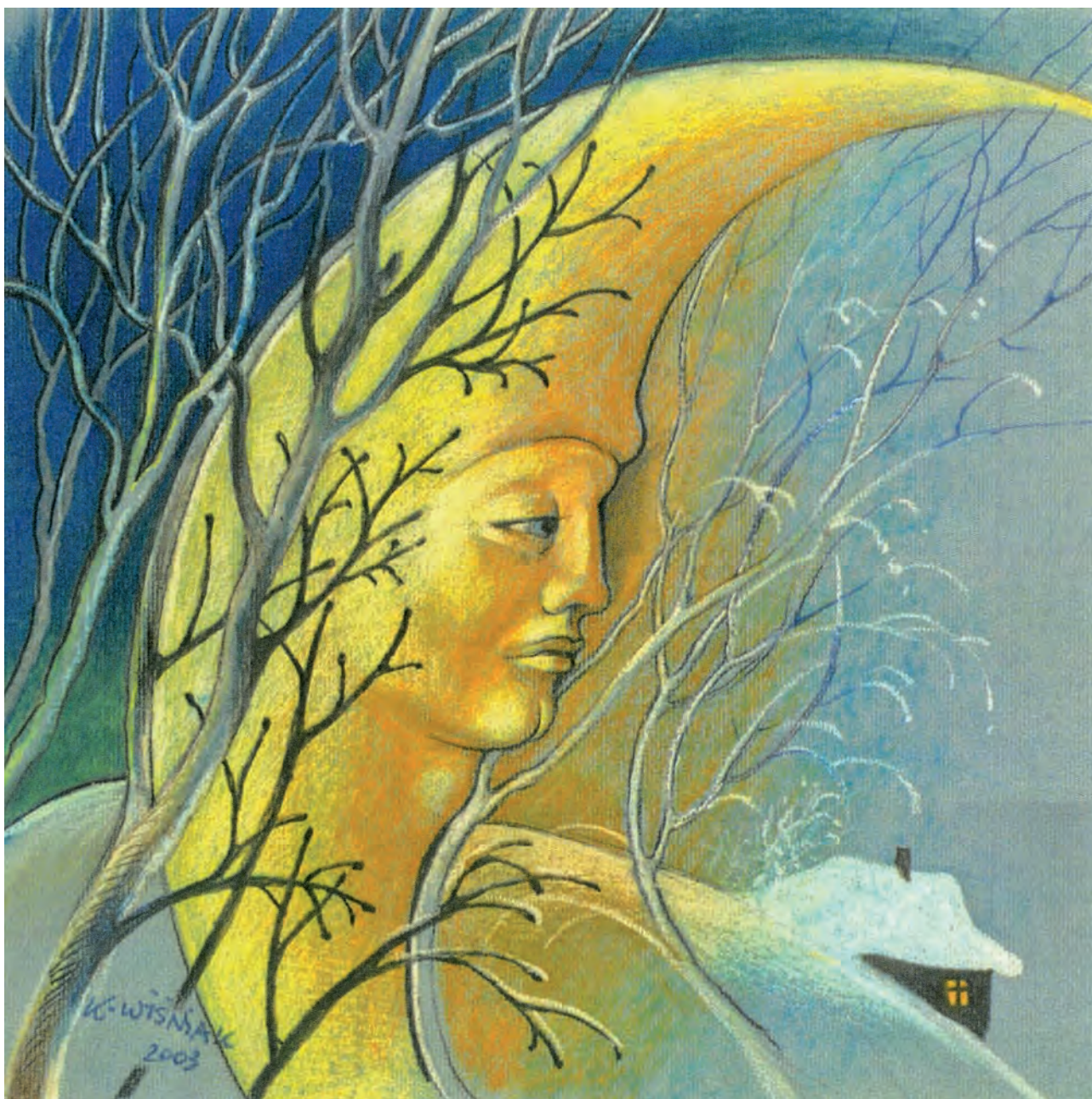


Na wichrowych wzgórzach, 2002



Fragment

2003 r.



Zimowy Księżyc, 2003. Pastel 40 x 40

2004 r.



W lasku, 2004. Akryl na płótnie 78 x 95. Własność Antoniego Kawalca, Kraków



Fragment



Fragment



Plenerowa gitara, 2002. Akryl na płótnie 65 x 54. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu.



Eine kleine Nachtmusik, 2004. Akryl na płótnie 60 x 81. Ze zbiorów Kazimierza Paciorkowskiego, Kraków.



Nadmorskie tańce, 2004. Akryl. Własność Jana Nowickiego.



Nocne tańce, 2004. Akryl na płótnie 65 x 80. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu.



Fragment

2005 r.



Przeprawa, 2005. Akryl na płótnie.



Fragment



W drodze na targ, 2005. Olej na płótnie. Własność Tomasza Iwanickiego.



Fragment

2006 r.



Idzie jesień, 2006. Akryl na płótnie 30 x 40. Własność Tomasza Iwanickiego.



Idzie jesień, 2006. Akryl na płótnie 30 x 40. Własność Tomasza Iwanickiego.



Taaka ryba ... 2006. Akryl na płótnie 61 x 81. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu.



Fragment



Helen płyń do Anglii, 2006. Akryl na płótnie. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu.



Helen płyne do Anglii, fragment



Buszujący w koszu, 2006. Akryl na płótnie 38 x 47

2007 r.



Podglądacze, 2007. Akryl na płótnie 65 x 80



Fragment



Tańce na stoliku, 2007. Akryl na płótnie 80 x 60. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu.

2008 r.



Nokturn, 2008. Akryl na płótnie 60 x 50



Pierwszy siwy włos, 2008. Akryl na płótnie. Ze zbiorów Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu.

2009 r.



Dolina Sanu, 2009. Akryl na płótnie 50 x 70. Własność Marty i Stanisława Meduckich, Kielce.



Upalny dzień, 2009. Akryl na płótnie 30 x 40

2010 r.



Powrót krasnala, 2010. Akryl na płótnie 30 x 40. Własność Artura Freyera, Kraków.



Fragment



Filatelista, 2010. Akryl na płótnie 38 x 46. Własność autora.



fot. Jerzy Duda

Varia

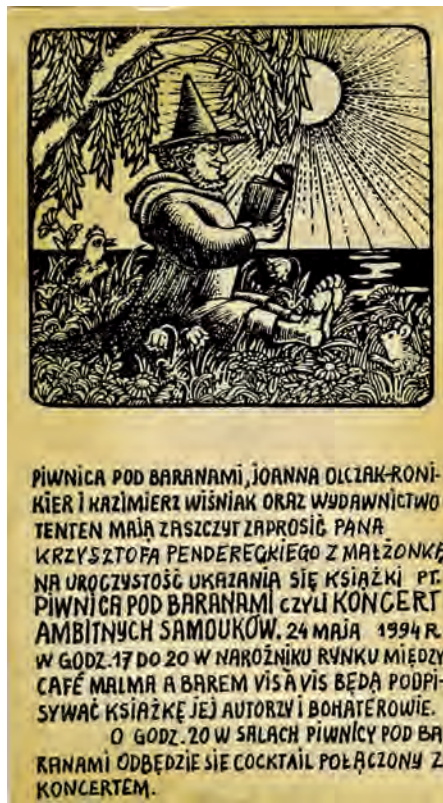
PIWNICA POD BARANAMI



Gazeta LATARNIA 1956 r.



Zaproszenie



Zaproszenie



Echo Krakowa. Winiety rubryki
Piwnicy pod Baranami



Dziennik Polski. Winiety kolumny Piwnicy pod Baranami





Winieta tytułowa w PRZEKROJU, 1976 r.



Zaproszenie



Zaproszenie, 1998 r.



Zaproszenie



Karta wstępu do Piwnicy pod Baranami, 1959 r.



1980 r.



Pamiątka z balu ku czci X. Józefa Poniatowskiego w 1980 r.



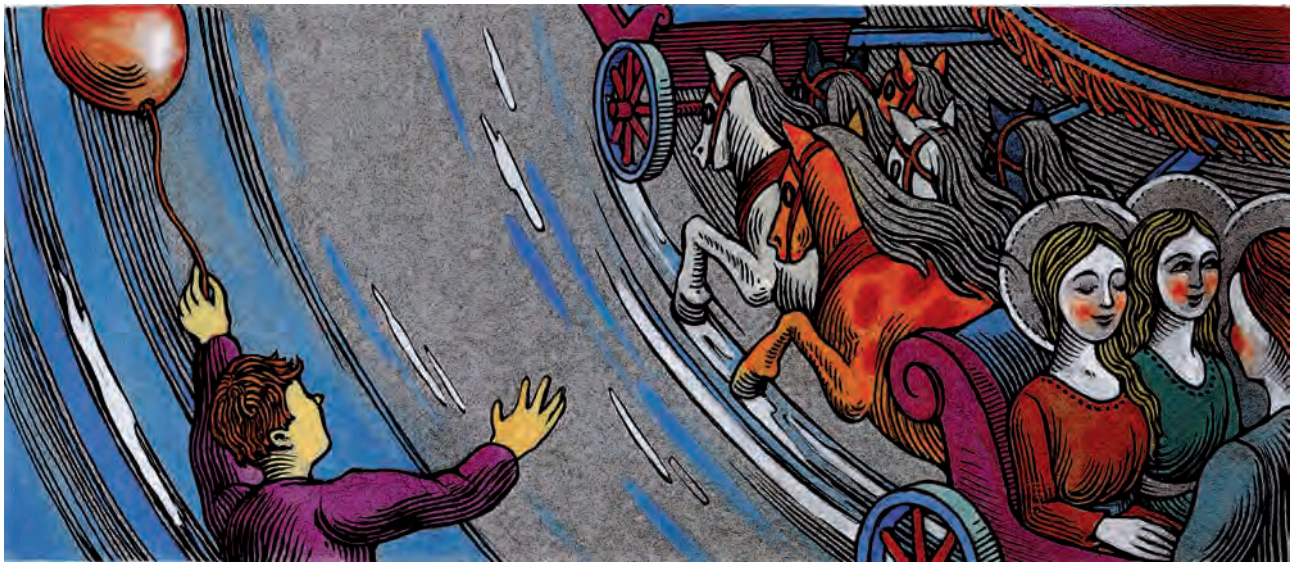
Okładka CD 2002 r.



Zaproszenie



Zaproszenie na Bal Sylwestrowy przełomu wieków



Projekty okładek CD z piosenkami Ewy Demarczyk. 2009 r.

RYCERSKI ZAKON
BIBLIOFILSKI
W KRAKOWIE
Zaproszenia



2008 r.



2008 r.



2009 r.



2009 r.



2010 r.



2010 r.



2010 r.



2011 r.



2011 r.



2011 r.



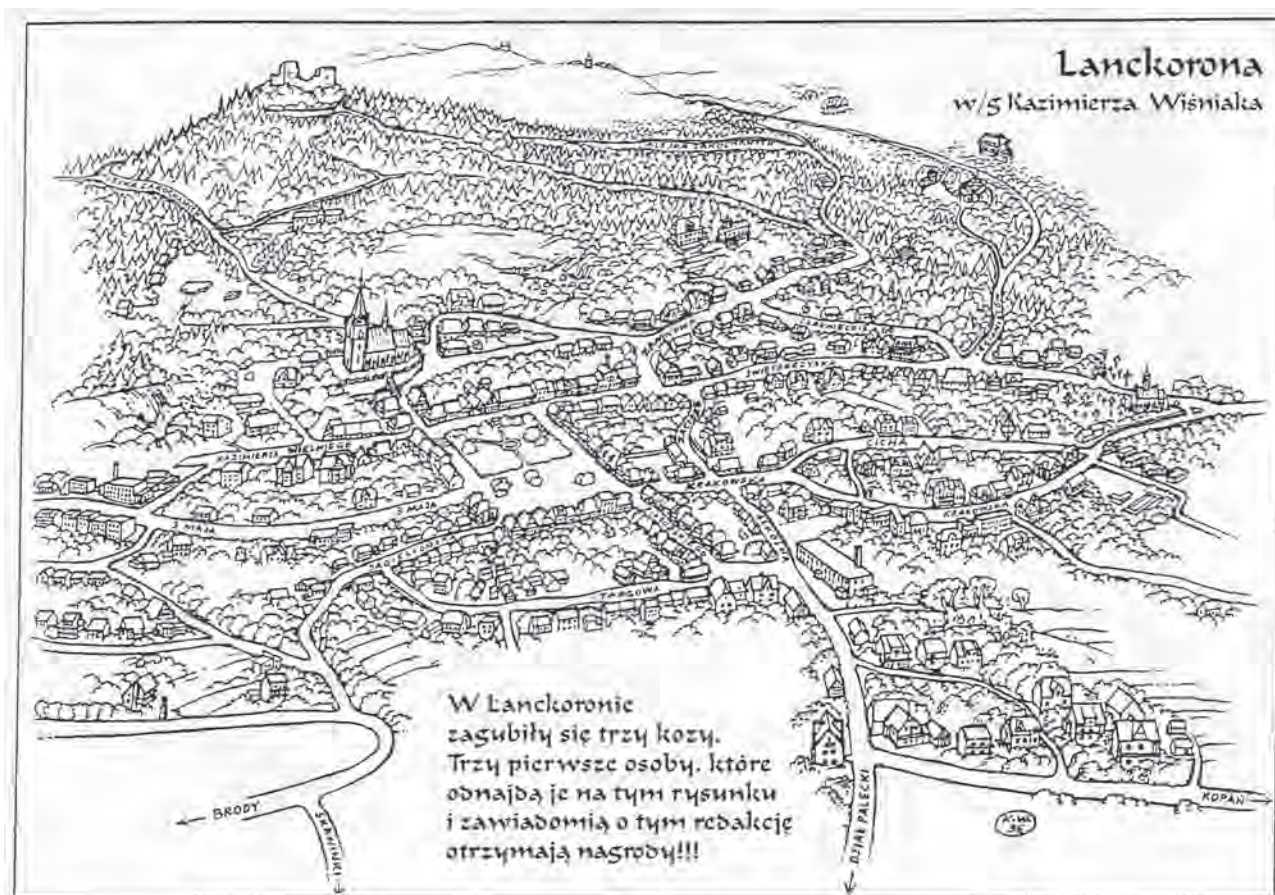
2011 r.

KOPERTY OKOLICZNOŚCIOWE





LANCKORONA



1996 r.



Pocztówka i znaczek personalizowany, 2005 r.



Na szlaku Konfederatów Barskich



Etykiety na słoiki



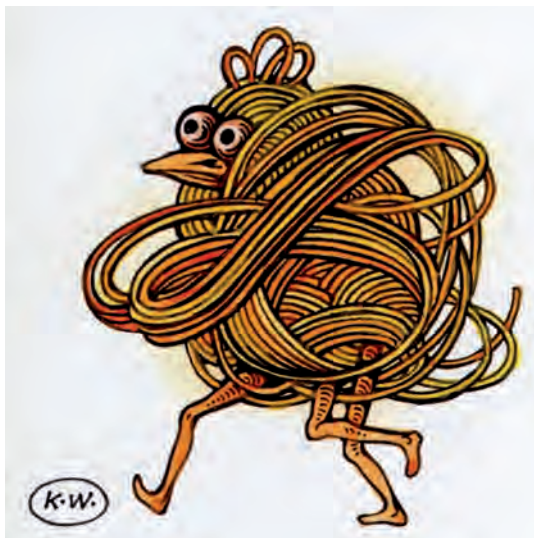
Herb Lanckorony





Inicjały. 2000 r.

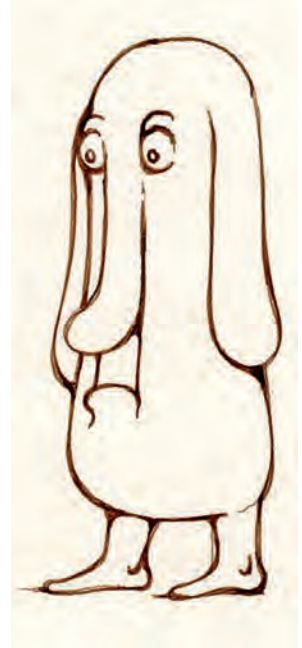
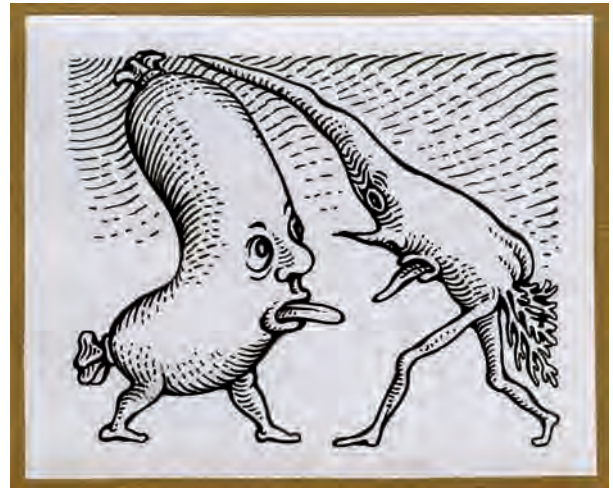
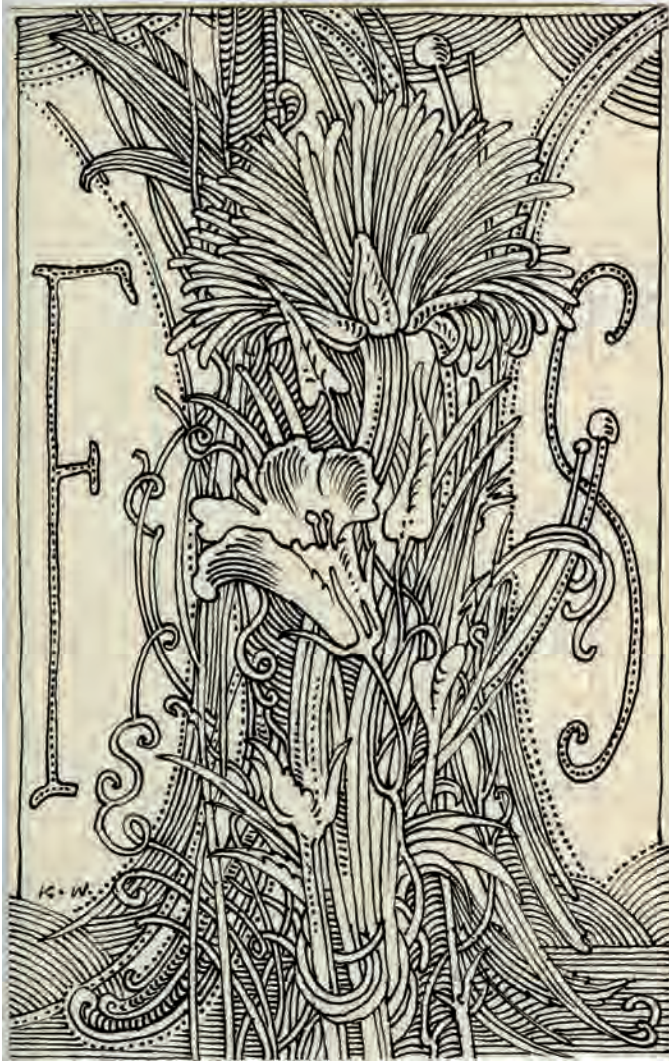
Motek





Z książki pamiątkowej hotelu Alef na krakowskim Kazimierzu. Na pierwszym planie od lewej: angielski książę Karol, Henryk Halkowski, pani Mina Gottlieb, w samochodzie Janusz Benigier i przy kierownicy Adam Natkaniec. W głębi rybę na półmisku niosą kucharze – bliźniacy Artur i Rafał Korzeniewscy, w kapeluszu z kwiatami siedzi Marta Gołąb, malarz Wiesław Obrzydowski pokazuje swój obraz turyście. 2002 r.





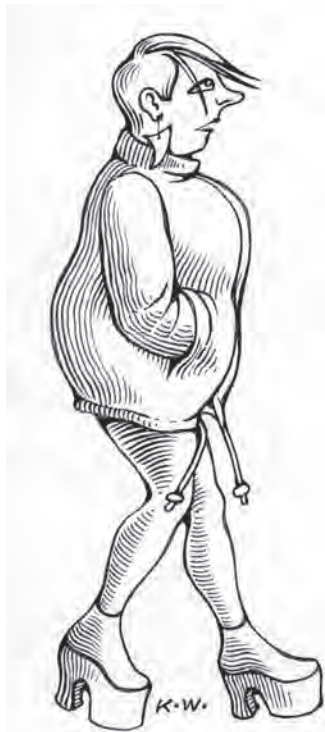


Winieta bezpłatnej gazetki dla widzów Teatru Ludowego w Nowej Hucie.

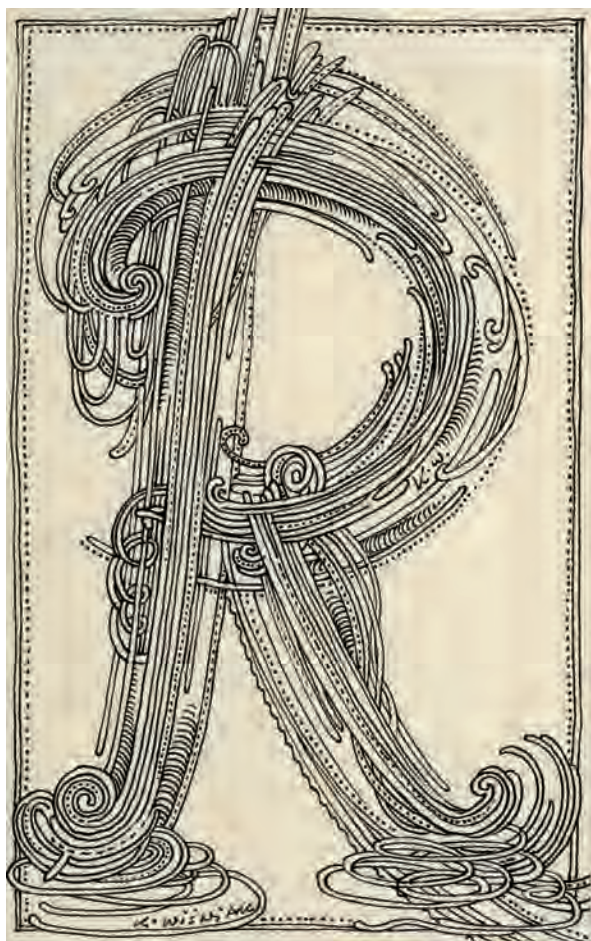


Światło księżycy. 1985 r.





Święto kwiatów w Słonnem – domalówki na perkalu





Dwaj uczniowie wydziału scenograficznego Stopki w Krakowie, którzy nie przekroczyli 26-go roku życia, wystawili dziwne pejzaże. I oni zapraszają do swego własnego świata. Anonimowy „Plastyk z prowincji” wpisał im do książki: „Fajne – dojrzałe – tylko nie nowe”. Miał zapewne rację: całe aktualne malarstwo polskie inspirowane jest dziś nie własnymi wzorami zachodnimi – nie bez znaczenia wszakże jest dobór tych modeli oraz intencja ich użycia.

Majewski interesuje się chyba Klee’em, Wiśniak – surrealistami, może też szkołą futurystyczną włoską – tą od Carra. Jest tu charakterystyczna dla tych kierunków egzaltacja błahych przedmiotów, urastających do wymiaru niepokoju, nawet pogroźki. U surrealistów była wszakże histeria, wyolbrzymiająca, koszmarnizująca np. zegarek, który wielki jak pół pejzażu, przelewający się miękko niby z kauczuku, mimo że namalowany ze starannością fotograficzną, ma wyrażać „obsesję czasu”. U Wiśniaka ta błazeńska i łatwa groza została zastąpiona bardziej polską liryczną melancholią.

Są to niewielkie, starannie malowane obrazki, czasem przypominające miniaturę. Jeden wydaje się szczególnie charakterystyczny: jest dzisiejszą wariacją na temat sławnego „Pokoju w Arles” van Gogha. Wnętrze to oznacza cały ubogi świat, w którym artysta żyje. Liche krzeselka hotelowe, brudny ręcznik, łóżko z nierównych desek, zużyta pierzyna, zdezelowane okiennice. Van Gogh nadał tym gratom intensywność kolorystyczną, natężenie kształtu, wprowadził je niemal w ruch, tak że świecą jak reflektory. Podłoga z surowych desek, tak bogata w migotliwe kolory, że niemożliwe do określenia, zdaje się nieść z rozpędem całą tę gloryfikowaną nędzę, niby potężna rzeka. *Toute proportion gardée*, obrazek Wiśniaka podejmuje ten sam temat, lecz pasja pokoju w Arles zostaje tu zastąpiona uważną kontemplacją. Łóżko metalowe jest podobnie nakryte czerwonym siennikiem, lecz jego nędzne pręty wyrysowane są jak na grafice technicznej. Żałosna zasłona na ścianę przy łóżku, przymocowana niedbale paru gwoździami, jest wystudiowana szczegółowo, jakby chodziło o zabytkowy arras. Druty brzydkiej lampy kuchennej przecinające sufit, umywalka z pustą butelką stojącą obok na podłodze, rachityczna roślina w nieciekawej doniczce, namalowanej z powagą, jakby rekwizyt holenderskiej martwej natury – wszystko wprowadza w nastrój skupienia, którego pretekstem stają się błaha otaczające nas przedmioty, pozbawione przecież owej słonecznej świetlistości, jakie miały w Prowansji van Gogha.

Wizja ta przypomina poezję „awangardzystów” polskich. Sugerują oni pewien sposób patrzenia. Na terenie pozbawionym czegokolwiek, co by uderzyło w wyobraźnię, wynajdują oni szare, z pozoru, szczegółły, dostarczające im wreszcie treści do przeżycia wewnętrznego. Tak więc doświadczenie surrealistów historyzujących przedmioty – w celu zaszokowania własną indywidualnością – zostało wykorzystane przez polskiego artystę, odkrywającego nowy, intensywny liryzm w potoczności naszego życia.

...Wiśniak i Majewski – uniknąwszy z jednej strony efekciarstwa abstrakcji – z drugiej nie popadli też w metafizyczne spekulacje, do jakich zapraszały ich, w dziedzinie filozoficznej, szkoły zachodnie, z których zdobył ci artyści postanowili skorzystać. Sztuka ich opowiada jakąś prawdę, niewielką może, lecz „tutejszą”, o melancholii naszego życia, o utopijnej poezji, którą przy pewnym wysiłku zdołamy wydobyć z otaczającego nas pejzażu prowincjonalnego.

Przez wystawy te przesuwają się setki widzów niczego nie rozumiejących oraz parę dziesiątków amatorów, niby owe duchy homeryckie, o których pisze Huxley, wyblakłych, bezkrwistych, cierpiących na

niedowład wewnętrzny, w poszukiwaniu jakiejś treści duchowej; ci stęsknieni za szansą „ucieczki w kogo innego”, wydają się narkotyzować obcą osobowością artysty, przekształcając wystawę w rodzaj psychologicznej wizyty. Jeszcze jeden przyczynek do klimatu zgubienia, jaki nastąpił po epoce wielkich namiętności.

Zygmunt Kałużyński
„Nowy Kaliban”, Czytelnik 1961, str. 84-85

Ciśnię się pytanie, czego szukał ten dojrzały już artysta, twórca swoistego uniwersum scenograficznego, wypowiadając się farbą na płótnie i podejmując przecież nowe ryzyko? Trzeba zacząć od tego, że zainteresowanie Wiśniaka malarza rozciąga się od martwej natury do pejzażu, przy skłonności do budowania czegoś pośredniego między tymi rodzajami. Artysta jest dość wierny wyglądom przedmiotów, zostawiając sobie znaczną swobodę ich interpretacji. Nie ma tu łamania struktur przedmiotowych na sposób surrealizmu, jest natomiast ocierająca się o surrealizm zdolność potęgowania wymowy przedmiotów. Wobec takich decyzji Wiśniaka, decyzji wejścia w nową dyscyplinę, wysuwa się najczęściej przypuszczenie: „przesycił się tym, co dotąd robił”. Domysł taki nie wyjaśnia, oczywiście, na czym sprawa polega.

Scenografia to oczywiście rysowanie, jeśli zaś artysta uprawia rysunek atelierowy, te dwie sfery twórczości przenikają się poniekąd. Jednak indywidualne rysy grafiki Wiśniaka dadzą się wyśledzić. Uderza obfitość i duża precyzja kreski, co kojarzy się ze sztychem. Zachowana jest tu jednak swoistość rysunku. Jest to świat gęsty, bogaty w wypracowane detale. Powtarzają się świadomie konwencjonalne wnętrza i sceny figuralne, klasyczne tematy literackie i kompozycje mityczne. I warsztat i temat traktowane są przez artystę w sposób, który zarazem jątrzy i łączy przeciwieństwa. Zdaje się on z upodobaniem wchodzić w środek tej gry, która toczy się odwiecznie w sztuce, gry pomiędzy spontanicznością a wiedzą i kulturą, jak też pomiędzy świeżością a regułami obranymi dla własnej twórczości. Sztuka współczesna obcuje z ogromnym spadkiem kulturowym, z bagażem konwencji i wyobrażeń. Reakcje na to bywają różne, przeważają wszakże próby likwidatorskie idące w rozmaitych kierunkach. Wiśniak – scenograf i rysownik – przycierając z umiłowaniem dobrodziejstwo i brzemień kultury, uczenie wykorzystuje jej rekwizyty, jej alegorie i techniki. Akceptując te szaty kultury tworzy sobie wewnątrz świat własny, zdobyty przez autentyczność rysunkowego dotknięcia. Ten świat własny potwierdza się także w ironicznym dystansie, osiąganym przez przerysowanie, przy pomocy nieco surrealistycznego naddatku w traktowaniu przedmiotu. W tej sztuce czysty i młody głos rozlega się w scenerii starych kotar i splątanych pnączy, pośród opowieści dawno już opowiedzianych, przebija się przez konwencję.

Zostawiłem na koniec Wiśniaka – malarza. Nie dlatego, abym jego dzieło malarskie umieszczał na dalszym planie. Jest przeciwnie, wydaje mi się, że tutaj jeszcze dobitniej objawia się odrębność artysty. Może jeszcze wyraźniej widać, że artysta nie tyle uprawia określoną konwencję, ile gra z nią, a ściślej mówiąc – podejmuje ją wciąż na nowo, podkreślając, że robi to w sposób całkowicie swobodny. Obrazy Wiśniaka są małe i detale kompozycji traktuje on z precyzją miniaturzysty, równocześnie przy zasadniczym realizmie przedstawień rządzi tu reguła nieco naiwnego uproszczenia. Ów realizm jest jednak umowny i wywrotny, owoce – olbrzymy, dysproporcjonalne zwierzęta otwierają ten świat ku bajce. Artysta od czasu do czasu pokazuje nam, że zna sto sposobów malowania. W jednym z obrazów sprzęty i naczynia we wnętrzu układem, swoją fakturą przypominają o istnieniu Chardina. Na innym płótnie sceneria i nastrój

pejzażu przywodzą na myśl malarstwo romantyczne. Nie jest to po prostu wirtuozeria ani żart. Nasuwa się myśl, że artysta kokietując różne drogi malowania, potwierdza wolność swego wyboru zasadniczego.

Wiśniak wystawił prawie wyłącznie pejzaże. Niemal co drugi z nich prezentuje osobliwość, która dostarcza zapewne klucza do zrozumienia czegoś dla tego malarstwa bardzo istotnego. Artysta jakby odwracał stosunek widza i pejzażu na obrazie. Najczęściej bywa tak, że malarz, jak potem widz, ma przed sobą pejzaż osobny, jakby wypreparowany, podany jak rzecz. Rzecz do malowania, rzecz do oglądania. Odwrócenie stosunku wyraził Wiśniak najdobitniej, umieszczając pośród krajobrazu artystę malującego ten właśnie widok, jaki wyobrażony jest na obrazie. Jeśli w pejzażu klasycznym artysta dominuje naturę, Wiśniak swoim obrazem powiada, że artysta jest w niej, a ona jest większa, ważniejsza. Natura na nas patrzy. Stąd zwierzęta, które jakby podglądają, stąd nieruchomo obserwujące spojrzenie, które idzie z wielkiej kociej głowy. Wiśniak wszedł w prastarą konwencję pejzażu, postąpił z nią jednak przewrotnie. (Galeria Grażyny Hase, listopad 1987).

Janusz Jaremwicz
„Wiśniak troisty”. *Literatura* nr 3(66) 1988, str. 35

Świat rysunków Kazimierza Wiśniaka, trochę melancholijny i całkiem pogodny znalazł swoje dopełnienie w barwach jego obrazów. Wiele z nich zdaje się odsyłać naszą wyobraźnię w świat poezji Bolesława Leśmiana. Może dlatego, że spora ich część powstała w plenerach Lanckorony, Słonnego czy w Bieszczadach, blisko natury, w małomiasteczkowej, żeby nie powiedzieć wiejskiej atmosferze folkloru, przepojonej jakąś naiwną wiarą w skrzaty, gadające zwierzęta i strachy. Stąd chyba bierze się w nich pewna naiwność, stylizacja ludowa.

Poezja Leśmiana jest jednak mroczna, podszyta egzystencjalizmem i wszystkimi jego dramatycznymi wątpliwościami. Świat Wiśniaka wydaje się jedynie melancholijny. Jego kreator, choć nieco wykoślawia i karykaturyzuje wszystkich mieszkańców małych miasteczek, lasów i pól, przydaje im jednak wiele światła i ciepła. Nie straszne i nie złośliwe wydają się smoki czyhające w paprociach na małych Jurków („Jurek i smok”) ani skrzaty skryte w polnej trawie („Koniec lata”). Równie sympatycznie wyglądają wiejskie baby (chociażby „Kobieta z gęsią”). Malując pejzaże, zwierzęta czy ludzi, Wiśniak nie deformuje ich bardzo, jednak przez fantastyczne zestawienia odwołuje się do alegorii, symbolizmu czy dalej do surrealizmu. Takie „niemożliwe w naturze, dalekie jej układy” malowali kiedyś, symboliści Klinger i Böcklin. Także u Schwinda można znaleźć takie rysunki, np. drzewa krajobrazu przeobrażają się w żywe istoty (Moritz von Schwind „Organiczne życie przyrody”), zupełnie jak na Wiśniakowym obrazie „Usychające drzewo”.

Te skojarzenia przywołujemy tutaj nie bez powodu – reprodukcje obrazów Böcklina i Schwinda oglądał wszak Wiśniak jako mały chłopiec, przeglądając w nieskończoność zbierane w rodzinnym domu kolorowe czasopisma i kalendarze. Tak więc pokłady kulturowe, z których teraz korzysta z taką swobodą, są przefiltrowane przez doświadczenia różnego wieku człowieka, bardzo głębokie i różnorodne. Patrząc na „Jesiennego chłopca”, który przecież ma młodzieńczą twarz, myśli się o reminiscencjach z owocowo – wazrywnych obrazów Arcimboldiego, na głowie młodzieńca bowiem złota jesień rozkwita swoimi owocami.

Prace malarskie Wiśniaka nie mają z reguły charakteru impresji. Są raczej próbą wypowiedzenia jakiejś prawdy ogólnej – opowiadają o czymś, co jest lub co bywa wpisane w rytm pór roku, o porządek natury, koleje ludzkiego życia. Dzieje się tak niejako siłą rzeczy. Farba olejna i płótno wraz z dokładnie

obmyślaną kompozycją i starannym położeniem kolorów zwyczajnie nie nadają się do roli artystycznego szkicownika. Ta funkcja przynależy rysunkom.

„Prawdy ogólne” jednak nie zawsze dają się zmieścić w jasnych, wesołych kolorach. Dlatego w obrazach Wiśniaka pojawiają się również „ciemne barwy”, smutek i nostalgia. Najlepszym dowodem puste oczy pierrota („Maska pierrota”) czy smutna twarzyczka aniołka z cerkwi w Krasicach („Opuszczona cerkiew w Krasicach”). Te nieco smętne nuty znaczą w twórczości Wiśniaka pewne wyobcowanie w świecie, samotność, które – choć skrywane pod jasnymi barwami – wydają się stale obecna w jego obrazach, zwłaszcza w pejzażach, owianych czasem pustką („Jesienne prace”, „Pole PGRu w Słonnem”). Jednak widzenie tych, zdawało by się trudnych dla człowieka, spraw w pastelowych barwach, przez pryzmat nieco naiwnej poetyki świadczy o ich akceptacji. Bo Kazimierz Wiśniak lubi świat takim, jakim on jest, ze wszystkimi jego bolączkami i trudnościami.

Maria Klotzer, Alicja Zdybalska
ze wstępu do książki Kazimierza Wiśniaka
„Z życia scenografa”. Wydawnictwo Baran i Suszczyński, Kraków 1998. str. 12-14

W obszarze niezwykle wszechstronnej i obszernej twórczości Kazimierza Wiśniaka, przy nieogarnionej mnogości szkiców, rysunków, projektów, wielkości realizacji jego monumentalnych dzieł scenograficznych (ponad 250!), przy ich konstrukcyjnej różnorodności i plastycznej oryginalności, ich rozmachu, często dynamicznej ekspresji, przestrzeń jego malarstwa jawi się jako enklawa ciszy, spokoju i pogody. Niewielkie, precyzyjne obrazki wydają się być malarską kontemplacją bogactwa natury, świata, kształtów, ale też absolutnej wolności artysty, smakowaniem przyjemności malowania, zabawy farbą, kolorem i możliwości własnego, oryginalnego „dopowiadania” świata. I rzeczywiście – są...

Mam szczęście i ogromną przyjemność od kilkunastu lat uczestniczyć w plenerach w Słonnem (organizowanych przez Galerię Sztuki Współczesnej w Przemyślu) – tych samych, na których bywa i w czasie których tworzy Kazimierz – Kazio – Wiśniak. Miałam szczęście obserwować jak maluje, jak notuje w dzienniku swoim pięknym pismem i równie piękną, precyzyjną kreską rysunków swoje refleksje, spostrzeżenia, wrażenia, opisuje plenerowe wydarzenia. Jak pochyla się z uwagą i zachwytem nad każdym stworzonkiem, nasionkiem, roślinką. Jak w pogodne ranki, po rytualnej kawie na trasie, pośpieszany przez Krysę Rokowską, z walizeczką z farbami, stołeczkiem i blejtrmem wyrusza w plener, nad San. I jak przynosi na pokrytym świeżą farbą płótnie znalezione tam słoneczne pejzaże, lśnienia światła na wodzie i ruchliwe, barwne cienie. Lub jak siedzi w swoim pokoju przy oknie i maluje, plamka po plamce, kosmos form i kolorów odkryty w gałązce dzikiej róży...

Odnoszę wrażenie, że Kaziowe przeżywanie rzeczywistości, jego patrzenie na świat, zawiera nieokreślony, szczególny rodzaj pełnego zaufania do Stwórcy: wiarę, że wszystko, każdy drobiazg ma swoje znaczenie i głęboki sens. Nawet jeśli niezrozumiały i niepojęty – to godny zauważenia i zastanowienia się nad nim, dotknięcia go; jeśli nie rozumem i wiedzą, to intuicją i wrażliwością. Świat widziany oczami Kazimierza Wiśniaka to świat bogaty, wielowarstwowy i pełen cudów. Rozciągnięty nie tylko na płaszczyźnie rzeczywistości widzialnej, ale wchodzący w głębie przestrzeni jego osobistych doświadczeń, emocji, wspomnień, doznań i nieskrępowanej wyobraźni. A ta pozwala mu kreować także światy magiczne, nastrojowe, sielankowe – przejawiające się w jego obrazach w formie szczególnego – bo bajkowego „surrealizmu.

Najwyraźniej ten poważny artysta, przez lata podróży przez życie i czas, nie uрониł z pamięci żadnego wspomnienia dziecięcych bajek i nie wyzbył się żadnego z dziecięcych marzeń...

W drobiazgowo namalowanych nadszańskich pejzażach pojawiają się istoty rodem z bajkowego świata: pod olbrzymim drzewem drzemie krasnoludek, inny, podpierając się kosturem żwawo maszeruje na jagody z... telefonem komórkowym w ręku. Realizm perfekcyjnie namalowanego zakola Sanu rozbija wizerunek nagiego, słonecznego chłopca z wędką, w kolejnym obrazie inny ciągnie z wysiłkiem sieć z niebywałych rozmiarów rybą. Mija stogi siana chudy, goniony przez wróble, strach w postrzępionej, pasiastej kapocie. Niby – rzeczywiste, przysadziste, kukiełkowe postaci pracujących w polu wiejskich kobiet – zbierających ziemniaki, grabiących siano, wędrujących przez łąki z motykami na ramionach – nabierają równie bajkowego charakteru, a wykonywane przez nie czynności – konwencji dziecięcej zabawy. Bajkowe światło wyłaca biedne, wiejskie (prawdziwe, słonneńskie) chałupy. Podobnie bajkowa jest Helen, nasza plenerowa przyjaciółka, na obrazach Kazia płynąca Sanem do Anglii w papierowej łódce, wypełnionej walizkami, z powiewającą dumnie angielską flagą. I tańczący przy świetle księżycy fantastyczni przebierańcy – których ruchy dziwnie przypominają gesty plenerowych towarzyszy...

Bajkowy surrealizm Kazimierza Wiśniaka, tak jak ten „prawdziwy”, sięga dna podświadomości, budzi uśpione wspomnienia, głębokie wzruszenia, otwiera na piękno i poszerza granice rzeczywistości. To jeden z najwspanialszych cudów świata znakomitego artysty – cud dobrej sztuki.

Stanisława Zacharko
z katalogu wystawy „Kazimierz Wiśniak, malarstwo”.
Biuro Wystaw Artystycznych w Kielcach, 2008.

...liryczna twórczość Grześczaka to zjawisko dość pogodne, rozśonecznione, migotliwie złotawe. Głównym źródłem takiej impresji są przeróżne żarty lingwistyczne, słowotwórcze fikołki, błyskotliwe popisy skojarzeniowe. Dlatego pod względem nastroju i nastawienia autora do świata – napisunki, pisalunki, grafony i snutki Grześczaka przypominają mi rysunki i malowidła Kazimierza Wiśniaka. Krakowski artysta jest człowiekiem pogodnym, niezwykle życzliwym, wyzbytym resentymentów i chorych aspiracji. Od tej strony przypomina mi właśnie spokojnego, zrównoważonego i niekiedy jowialnego twórcę „Jasności”.

Kazimierz Wiśniak rozśławia swoją ukochaną Lanckoronę, w której kiedyś miał domek letniskowy. Podkrakowska miejscowość nadal jest dla niego odskocznią od wielkomiejskiej codzienności. Marian Grześczak rezyduje w Casteldentoso – jak sam dowcipnie nazywa Ząbki pod Warszawą. To coś w rodzaju prywatnej arkadii, gdzie w wiosenno – letnie wieczory lubi przesiadywać w ogrodzie, albo też dzielnie walczy z chwastami w ogródku. Osobowościowe zbieżności nasuwają się niemal same.

Z baśniowych płócien Wiśniaka subtelnie emanuje poetyka surrealizmu. Albowiem zamieszkują je przeróżne fantastyczne postacie: skrzaty, krasnale, jaszczury, smoki, anioły i wędrujące strachy na wróble. Najwięcej takich dziwacznych, sympatycznych stworów pojawia się na jego martwych naturach, nawiązujących do żartobliwego malarstwa niderlandzkiego XVII w. (por. np. „Jesienny bukiet” 1990, „Jesienny bukiet”(II) 1996, „Kwiaty i owoce jesieni” 2006). Ich twórca powściągliwie miesza jawę ze snem, życie z bajką, realia z fantazmatami. poetycki nastrój potrafi wydobyć z najbanalniejszego motywu (por. np. „Pole PGR-u w Słonnem, 1987) lub z wyszukanej konfiguracji chmur i cieni na pustym, zaoranym polu (vide: „Jesienne prace” 1987). Elementy nadrealne artysta wprowadza (do swoich kompozycji) jakby z nie-

śmiałością albo ze szlachetnym wyczuciem, nigdy nie biorąc przykładu z przesady surrealistów. Najciekawsze, najbardziej typowe, najlepsze dzieła malarskie Wiśniaka wprost tchną specyficzną poezją jaka powstaje na styku prostoty z wyrafinowaniem.

Takie prace jak „Czarodziejski flet” (1987), „Usychające drzewo” (1993), czy „Helen wraca do Anglii” (2006) komentatorom najczęściej kojarzą się z genialną wyobraźnią Leśmiana. „Poezja Leśmiana jest jednak mroczna, podszyta egzystencjalizmem i wszystkimi jego dramatycznymi wątpliwościami. Świat Wiśniaka wydaje się jedynie melancholijny. Jego kreator, choć nieco wykoślawia i karykaturyzuje wszystkich mieszkańców małych miasteczek, lasów i pól, przydaje im jednak wiele światła i ciepła” – piszą autorki wstępu do autobiografii Kazimierza Wiśniaka „Z życia scenografa” (Kraków 1998, s. 13; tekst sygnowany przez Marię Klotzer i Alicję Zdybalską). Warto dodać, że rustykalne pejzaże krakowianina nierzadko zawierają równie wiele pogody, ciepła i światła. Z reguły po ich błękitnym niebie przemykają bielutkie i pyzate obłoki, albo suną nad ukwieconymi łąkami, nad wielobarwną szachownicą pól, nad rozłożystymi wyspami nieprzebytych borów i wysepkami młodników, nad sinozieloną mozaiką wzgórz. Nadaje to tym krajobrazom charakter wybitnie romantyczny, sielski, odrealniony (zob. np. „Krowy nad Sanem” 1988, „Po żniwach” 1990, „Zamek w Krasiczynie” 1992, „Pejzaż z Sanem” 1997, „Zdążyć przed burzą” 2001). Oglądając te bajkowe, różnokolorowe płótna, czuje się ogromną radość tworzenia (choć zupełnie inną niż np. u fowistów czy action – art), oraz afirmację życia. Czytając poezję Grześczaka, widzi się, jak wielką frajdę może sprawiać zabawa słowami i składanie ich w zadziwiające konstrukcje. Ukryte w tym jest jakieś pierwotne nienasycenie urokami egzystencji i jakaś przemożna tęsknota do demiurgicznej siły.

Jeżeli malarstwo Wiśniaka kojarzy mi się z poezją Grześczaka, to dlatego, że tę drugą również zamieszkują enigmatyczne, jeszcze bardziej niecodzienne i niespotykane jestestwa: suczydła, koniczeta, sępoloty, modliwki, mądry, paskółki, sypiny, pomężne i hulajbogi. Mistrz mnoży podobne byty z isticie nieokreślaną pasją i nieskrywaną radością. Niczym gorliwy uczeń starego Leśmiana.

Stanisław Chyczyński
„Życie poza nawiasem” Wydawnictwo TEMAT
Bydgoszcz 2010. Str. 110-112

- Było przedpołudnie. Ulica Józefa zalana słońcem, drzwi do galerii Szalom na oścież otwarte, w środku wylegiwał się piękny biały kot, tak jakby strzegł tego, co na ścianach. Pomyślałam, że muszę opowiedzieć Panu o tej naturalnej scenografii wystawy.

- Myślę, że to miejsce, ta ulica ma w sobie coś czarodziejskiego. Opowiadali mi znajomi, którzy specjalnie przyjechali z Warszawy, żeby obejrzeć moją wystawę, że w galerii Szalom Kuberscy częstowali ich kawą z ciasteczkami, później w sklepie z perskimi dywanami jedli daktyle. Boże, przecież ci ludzie nas nie znali, a tacy byli gościnni – dziwili się.

- Pan sobie tak urządza życie, że przebywa Pan w miejscach, w których dobrze się Pan czuje.

- Tak trzeba.

- Nie zawsze się tak da.

- Ale trzeba do tego dążyć. Kiedyś lubiłem Lanckoronę, nawet sobie tam wybudowałem domek i spędziłem w nim trzydzieści szczęśliwych lat. Ludzie śmiali się ze mnie: co ty będziesz robił w takiej dziurze!

A ja czułem się znakomicie, trochę jak pustelnik. Teraz lubię krakowski Kazimierz. Ta dzielnica rozkwita na moich oczach. Jest otwarta dla ludzi, serdeczna i miła.

- Salwator to też miejsce darowane od Boga.

- Dlatego Bogu dziękuję, że tam mieszkam. Co prawda nie na górce, na Salwatorze, ale u jego podnóża, przy ulicy Królowej Jadwigi. Na wprost, za oknem mam kościół Najświętszego Salwatora. W ciągu lata on się ukrywa, ale jak przychodzi jesień, liście opadają – pokazuje się w pełnej krasie. W nocy jest wspaniale oświetlony, wygląda jak dekoracja teatralna.

- Nie musi Pan mówić, dlaczego jest ważne, żeby otoczenie człowieka było ładne. Wtedy życie pięknieje. Zastanawiałam się, co Pana spośród innych wyróżnia, i myślę, że jedno: rzadko spotykany stosunek do ludzi. Jest Pan wobec wszystkich takim samym łagodnym człowiekiem. Pan chyba lubi ludzi.

- Owszem, lubię, ale też wiem, że ludzie potrafią być dokuczliwi i mogą coś ważnego zniszczyć. Czasem mnie dotkną, ale po jakimś czasie macham ręką, zapominam. Na przykład tak było w Starym Teatrze, który za dykcji Jana Pawła Gawlika był najlepszą sceną i został zniszczony przez moich kolegów aktorów, działaczy Solidarności, którzy dyrektora usunęli. Obserwuję, że od tego czasu coś w tym teatrze pękło. Powoli się sypie i nie wiadomo, czy komuś uda się go posklejać. To okropne, że człowiek może coś tak strasznie popsuć. Lubię tych ludzi. Jak się z nimi spotykam – jest miło, o tamtych sprawach zapomniałem, bo to już historia, choć może ktoś kiedyś w kronikach opisać, jak było naprawdę.

- Przez wiele lat pracował Pan w teatrze.

- Trochę za długo. Z perspektywy lat widzę, że teatr mnie wymęczył. Poddałem mu się, bo człowiek uzależnia się od magii tego miejsca jak od narkotyku. Będąc w teatrze, muszę się liczyć z tym, co napisał autor. On może nie żyć, ale muszę go wysłuchać. Jestem uzależniony od reżysera, bo pierwszy sięgnął po sztukę, jestem uzależniony od aktorów. Czytając dramat, wyobrażałem sobie np. że bohater jest wysoki, szczupły a jego ukochana drobną blondynką, a potem się okazuje, że grają aktorzy o innych warunkach, innych głosach, no i trzeba się uzależnić od ich wyglądu.

- Głos trzeba uwzględniać w kostiumie?

- Tak, np. kolor ma związek z barwą głosu. Wszystko ma znaczenie, to, jak aktor jest ubrany, jak się porusza, z kim gra. Zaczęło mnie też męczyć ciągłe przebywanie w ciemnościach. Wychodząc z teatru o trzeciej po południu, oglądałem zalane słońcem ulice i myślałem sobie: było tak pięknie, a ja to straciłem.

- A ludzie Pana nie męczyli?

- Nie, choć teatr jest zbiorowiskiem masochistów. Każdy siebie zdręcza, wszyscy na ogół się lubią, ale krzyczą na siebie, stawiają różne wymagania. Jednym słowem, praca w teatrze jest zniewoleniem. Odradzałbym ją młodym ludziom.

- Ale przecież miał Pan sukcesy, duże, namacalne.

- Owszem, miałem sukcesy, teatr miał sukcesy, wszyscy cieszyliśmy się tym, ale dla mojej psychiki była to męczarnia. Wreszcie rzuciłem teatr, idę sobie w lasy, dolinki, zacząłem jeździć na plenery malarskie i to jest prawdziwa wolność twórcza. Mogę sobie malować, mogę nie malować, mogę się położyć pod drzewem, zasnąć. Robię, co chcę. Mój obraz mnie ma się podobać. Nie liczę się z tym, czy go sprzedam, czy nie i że może się nie spodobać krytykom. To mnie nie interesuje.

- Ciekawe, nigdy nie wierzę artystom, którzy mówią, że ich nie interesuje krytyka, ale Panu wierzę.

- A cóż mam zrobić, jak krytyk napisze coś przeciwko mnie? Nie będę za nim biegał i kijem go grzmocił. Jednemu człowiekowi podoba się to, drugiemu co innego. Jeden lubi stokrotki, inny róże.

- Czy w Pańskim życiu dużo jest znajomych i przyjaciół?
- Przyjaciół niewielu, znajomych dużo. No, ale przyjaźni trzeba się poświęcić, więc nie można mieć stu przyjaciół. Trzech wystarczy. A znajomych, zwłaszcza tych, którzy dość często coś chcą ode mnie, jest wielu.
- Pan od znajomych też dużo chce?
- Nie za bardzo. Może to sprawa wychowania w domu. Ojciec, matka zawsze mówili mi: musisz sobie wszystko sam stworzyć, nie licząc na innych. Potem, gdy dorosłem, znowu mówili: nie licz na emeryturę, ona ci życia nie załatwi, odłóż pieniądze na starość. I ja się do tego stosowałem i stosuję.
- Miło jest obserwować człowieka chyba szczęśliwego.
- Nie wiem, co to szczęście... Kiedyś marzyłem, żeby pojechać dookoła świata. Nigdy nie miałem na to pieniędzy, ale pewne marzenia, np. żeby pojechać do Paryża, zobaczyć Rzym – spełniły się już w tych czasach, kiedy wyjazdy były trudne. Nagle dostałem stypendium i marzenie o Paryżu spełniło się. Lubiłem podróże, dużo w życiu zwiedzałem. Ale teraz nie chce mi się już jeździć po świecie, natomiast uwielbiam zwiedzanie małych miasteczek w Polsce.
- Przypominam sobie, że kiedyś spotkaliśmy się na ulicy i Pan tak skutecznie zachwalał mi Lewoczę, małe słowackie miasteczko, że się tam wybrałam...
- Podobało się Pani?
- Pewnie, kilka razy już tam wracałam.
- Małutkie miasteczko, można je obejść w ciągu niecałej godziny, a ma wszystko: mury obronne i ratusz z kurantem, wygląda, jakby było z bajki. Takie właśnie lubię.
- I tak Pan sobie jeździ. Ma Pan samochód?
- Nie, ale mam kolegę, który lubi stare miasteczka. Ostatnio byliśmy w Kotlinie Kłodzkiej, zobaczyliśmy tam dużo zameczków i miasteczek, byliśmy nawet w Lewinie Kłodzkim, gdzie mieszka Violetta Villas. Oglądaliśmy jej dom położony dość wysoko. Oczywiście z daleka.
- Tak to już jest z Pana obrazami, że wszystkie chętnie powiesiłoby się w domu, ponieważ nastrajają człowieka pozytywnie do świata i życia.
- Nie mam dużej pracowni, dlatego obrazy są niewielkie. A malowanie małego obrazu jest wielkim wysiłkiem niż dużego. Przy dużym stosuje się większe pędzle, malarz ma większy rozmach, odchodzi od niego, patrząc na obraz z pewnej odległości. Nie trzeba tak wypracowywać szczegółów, jak w małym, który ogląda się z bliska. Lubię moje obrazy. No i mam bardzo dużo szczęścia, ponieważ dotąd miałem kilka wystaw i po nich obrazy zostały zakupione. To jest olbrzymi sukces. Niektórzy malarze szczycą się, że sprzedali obraz na wystawie. Jeden. To też jest sukces, ale się mnie udaje sprzedać większość.
- Ludzie chcą je mieć na własność, ponieważ świat na Pana obrazach jest lepszy niż w rzeczywistości. Czarodziejski, baśniowy.
- Boję się zawsze, żeby nie dotknąć kiczu. Bo jak to się aż tak podoba... Bawię się malowaniem. Obraz maluję miesiąc, dwa. Nigdy nie wiem, czy to już koniec. Ulepszanie trwa długo. I to jest przyjemne, że trochę poprawiam naturę, według której zacząłem malować obraz. Trochę inaczej wymodeluję rysunek drzew, jakieś drogi pozmieniam, wstawię postaci, nadam, ostrzejsze światło, a gdzieś je osłabię. Akurat ze światłem przez te długie lata pracy w teatrze jestem obeznany.
- Wszyscy w redakcji bardzo lubimy Pana historyjki rysunkowe o Krakowie. Wiem, że czytelnicy „Miesiąca w Krakowie” również je lubią.

- To jest moja dodatkowa pasja – Cracoviana. Mam pokaźną bibliotekę starych, dziewiętnastowiecznych książek o Krakowie. Lubię je czytać. Wrywkowo otwieram i zawsze coś ciekawego znajduję. Robię wypisy, a potem rysunek do „Miesiąca”. Też mi to sprawi przyjemność. Kiedyś znalazłem się w Muzeum Etnograficznym i pan, który pracuje tam na portierni, mówi: O, jak ja lubię te pańskie rysunki! Specjalnie dla nich kupuję sobie „Miesiąc w Krakowie”. Poszedłem na wystawę poświęconą dawnej szkole. Bardzo ciekawa, zrobiłem rysunek klasy urządzonej przez Muzeum Etnograficzne, dodałem opis. Jak przeczytał w następnym numerze „Miesiąca”, pewnie się ucieszył, bo przecież dotyczyło to jego muzeum.

Rozmawiała Elżbieta Konieczna
„Miesiąc w Krakowie”, sierpień 2004, str. 46-47

Indeks osobowy

- Adamczewski Jan 20
Adamczuk Arkadiusz 100
Afanasjew Jerzy 10, 11, 116, 121
Andreasik Władysław 97, 99, 100, 101, 105, 305,
320, 323, 325, 328, 332
Anioł Edward 196
(AN) Antecka Jolanta 111
Apap Willie 51
Arcimboldi Giuseppe 375
Arczyński Stefan 216, 218
Arend Elżbieta 12
- Bachanek Tomasz 103
Bang Herman 41, 55, 56
Baran Bogdan 376
Barącz 23
Bardini Aleksander 34
Baum Vicki 81
Bąkowski Stanisław 231
Bednarz Aleksander 255
Bencze Iwan 105
Benigier Janusz 367
Bereziński Lucjan „Goryl” 107
Biczycycki Jan 25, 34, 35, 217
Biel Barbara 42,47,48
Biliżanka Maria 59
Bińczycka Ewa 307
Bińczycki Jerzy 62, 206
Bloch Augustyn 55
Błaszczyk Andrzej 98
Bober Jerzy 241
Bochmann A.V. 6
Böcklin Arnold 375
Bodnarowie 85
Bogusławska Krystyna 190
Bomba 40
Bomba Johann 40
Bottini Libero i Otello 51
Bouchet Robert 46
- Brachmański Zygmunt 36
Bradecki Tadeusz 206
Bradley Harold 48
Bramante 49
Brecht Berthold 23, 35, 217
Bromowicz Danuta 100
Broszkiewicz Jerzy 20, 34
Bruno Kamiński Marek 186, 299
Brückner Ferdinand 81
Bryll Ernest 184
Buchala Ryszard 98
Büchner Georg 228
Bucki Krzysztof 60
Buczyńska Ruth 20
Budzowscy Ewa i Jacek 87
Bukowscy Renata, Daniel, Olga i Zuzanna 85
Bukowska Renata 92
Buonarotti Michelangelo 46, 49, 77
Bujarski Zbigniew 14
Bursa Andrzej 20, 21, 23, 205
Burzyński Tadeusz 57
Butryńczuk Bogdan 232
- Callas Maria 107
Canetti Elias 246
Canger Leon 15, 16
Caravaggio 244
Carra Carlo 373
Chagall Marc 73
Chaplin Charlie 59, 233
Chaplin Geraldine 59
Chardin Jean Baptist 374
Chirico Giorgio de 47
Chłopek Orłowski Andrzej 12
Chmielecka Danuta 43
Chmielowa Maria 68
Chromy Bronisław 14, 16
Chwedczuk Marian 12, 16, 19
Chyczyńska Małgorzata 89

Chyczyński Stanisław 182, 378
 Ciecieręga Anna i Andrzej 87
 Cieńska Teresa 107
 Cieński Marcin i Stanisław 107, 108
 Cios Henryk 61
 Cisowska Ewa 82, 83, 291
 Clementi Pierre 59
 Cohen Natan 218
 Cordaay Charlotte de 221
 Cyrankiewicz Józef 78
 Cywicki Janusz 83
 Cywińska Izabella 57, 58, 236
 Czajkowski Piotr 31
 Czech Józef 107
 Czeski Zbigniew 266

Danilczyk Leszek 137
 Dąbrowski Bronisław 34, 222, 223
 Deburau Jean Gaspard 38
 Dejmek Kazimierz 80
 Demarczyk Ewa 358
 Diagilew Sergiej 52
 Długosz Jan 20
 Długosz Leszek 157, 191
 Dolecki Waldemar 263
 Damańska Katarzyna 100
 Drzewucki Janusz 209
 Duda Jerzy 95, 97, 98, 99, 100, 101, 102, 107,
 281, 351
 Dürer Hans 188
 Dymna Anna 206
 Dymny Wiesław 13, 14, 16, 17, 25, 30, 59, 60, 195
 Dzieduszycka Małgorzata 235, 240, 244
 Dziurnowa Maria 33

Eile Marian 14, 16, 19, 20
 Ekberg Anita 46
 Erazm z Rotterdamu 49
 Estreicher Karol 20

Falkowski Krzysztof 88
 Feltra Franco la 49, 53

Fiałkowski Tomasz 128
 Fik Marta 217, 239
 Fischbach Ryszard 15, 19
 Flaszen Ludwik 20
 Florkowska Marzena 100
 Fredro Aleksander 55
 Freyer Andrzej 326
 Freyer Artur 91, 332, 350
 Friedrich Caspar David 40
 Frąckowiak Robert 100
 Frycz Karol 18, 21, 22, 32, 195
 Frymorgen Bogdan 88

Gabriello 55
 Gaczoł Andrzej 99, 100
 Gala S. 83
 Gall Iwo 80
 Ganly Helen 343, 344, 377, 378
 Garbusiński Kazimierz 98
 Garycka Janina 15, 16, 26, 30, 74, 107, 206, 207
 Gałczyński Konstanty Ildefons 107
 Gawlik Jan Paweł 379
 Gelhorn Martha 35
 Glier Reinhold 81
 Głazunow Aleksandr 81
 Głowacki Paweł 104
 Gogh Vincent van 25, 373
 Gogol Nikołaj 21, 214
 Goliński Jerzy 222, 225
 Gołąb Marta 367
 Gottlieb Mina 367
 Gozzi Carlo 232
 Góralczyk Zofia 25
 Górecka Maria 249
 Górka Witold 91
 Górnisiewicz 309
 Górny Andrzej 236
 Grabowski Ambroży 11, 83, 98
 Grechuta Marek 88
 Grajpel Tadeusz 100
 Grochowiak Stanisław 182
 Gruca Witold 25

Gruda Jerzy 34
 Grudziński Michał 58
 Gryglewiczowie Ewa i Tomasz 100
 Gryphius Andreas 41
 Grześczak Marian 185, 377
 Grzyb Leopold 13
 Güntner Jan 23, 227
 Gutowska Magdalena 128
 Guziński Wiktor 69

Haendel Georg Friedrich 240
 Hakowski Józef 107
 Halama Lili 80
 Halkowski Henryk 367
 Hase Grażyna 375
 Hauptmann Gerhart 40, 264
 Hemingway Ernest 35
 Henze Hans Werner 54
 Herdegen Leszek 20
 Hessek Andrzej 62, 77
 Hoffman Ernst Theodor Amadeus 31
 Hoffmosen Helge 39-42, 317
 Hokusai Katsushika 245
 Holoubek Gustaw 61, 80, 151
 Horowitz Ryszard 15
 Hussakowski Bogdan 246
 Huxley Aldous 373

Ibsen Henrik 31
 Ingres Jean Auguste Dominique 77
 Ionesco Eugene 56, 57, 78, 229
 Ipohorska Janina 19, 20, 30, 35
 Iredeński Ireneusz 20, 25, 30
 Iwanicki Tomasz 340, 341
 Iwanow Lew 31
 Iwaszkiewicz Jarosław 18, 71

Jachimczyk Zdzisław „Cezar” 28, 29, 35
 Jacopetti 51
 Jan, brat jezuita 103
 Jan Paweł II, papież 72, 74, 75
 (patrz też Wojtyła Karol)

Jakisch Hedwig 80
 Jaremowicz Janusz 188, 189, 238, 375
 Jarochovska Maria „Maja” 24
 Jarochowski Konstanty „Kot” 24, 25
 Jarocki Jerzy 58, 61, 206, 235, 238, 239, 244
 Jarosz Magdalena 206
 Jarosz Rajmund 14, 15, 19
 Jaroszewicz Elżbieta 38
 Jaśko 54
 Jawiński Adam 67, 69, 72-76
 Jaworska Danuta 87
 Jędrusik Kalina 73
 Jędrus Roman 105
 Jędrzejewski Aleksander 36, 81
 Jurasz Tadeusz 254
 Jurczyk Jerzy 231

Kaczara Jan 199
 Kaczmarek Mariusz 103
 Kahl Eugenia i Karol 7
 Kajzar Helmut 58
 Kaliszewski Jerzy 31, 33, 34
 Kałużyński Zygmunt 25, 26, 374
 Kantor Tadeusz 15, 17, 18, 20, 22, 23, 55
 Karaszewski Zbigniew 83
 Karaś Adam 94
 Karczewski Zdzisław 219
 Karkoszka Elżbieta 206
 Karnecki Zbigniew 79
 Karol, książę angielski 367
 Karolak Józef 8
 Katz Janina 178
 Kawalec Antoni 93, 102, 103, 105, 335
 Kawiński Wojciech 184
 Kayser Stefan 78
 Kern Ludwik Jerzy 20
 Kępiński Antoni 20
 Kiełbasiński Michał 100, 101
 Kleist Heinrich von 79, 262
 Klimala Ewa 87
 Klinger Friedrich Maximilian 375
 Klominek Andrzej 111

Klotzer Maria i Mirosław 311
 Klotzer Maria 190, 376, 378
 Kocójowa Maria 100
 Kohansky Mendel 38, 216
 Kolak Waław 94, 134
 Kolasińska Ewa 206
 Komarnicy Ewelina i Lech 302
 Komornicka Rosciszewska Teresa 100
 Konieczna Elżbieta 381
 Konopka 29
 Kónig Heinrich 54, 80
 (patrz Tomaszewski Henryk)
 Kónig Johannes 80
 Kónig Kazimierz 80
 Kopleński Maciej 102, 103
 Korczak Janusz 252
 Korejbo Bronisława, Stefania i Janina 34
 Korene Vera 38
 Korosadowicz Edmund 107
 Korzeniewscy Artur i Rafał 367
 Korzeniowski Teofil 180
 Kowalczyk Janusz 263
 Kowalczyk Kazimierz 7, 80, 107
 Koźbiał Fryderyk 91, 92
 Krafftówna Barbara 80
 Krane Christoph 102
 Kreczmar Jerzy 61
 Kreutz-Majewski Andrzej 188
 (patrz Majewski Andrzej)
 Krupiński Bronisław 60
 Krystyna, królowa Szwecji 49
 Krzemień Marek 89
 Krzyżanowski Jan 308
 Krzyżanowski Ryszard 23
 Kuberscy Aneta i Karol 103, 104, 325, 378
 Kuberski Karol 90, 103
 Kuczyński 24
 Künneke Eduard 266
 Kwiatkowski Tadeusz 15, 20
 Kwinta Tadeusz 19
 Kwolek Józef 100
 Lang Cecylia 92
 Lange Wiesław 34
 Lassek Ewa 248
 Lelicińska Krystyna „Kika” 19
 Lem Stanisław 183
 Lepiarczyk Józef 93
 Leszczyńska Anna 86, 88, 91
 Leszczyńska-Kluza Danuta 20
 Leśmian Bolesław 375, 378
 Lisicka Monika 61-63, 66, 67, 74, 93
 Lisowie Ewa i Jerzy 299
 Litak Anna 296
 Litwin Krzysztof 15, 16, 19
 Lollobrigida Gina 53
 Loren Sophia 53
 Lorenc Tadeusz senior 89
 Lubański Włodzimierz 73
 Lubkiewicz-Urbanowicz Teresa 57, 236
 Luter Martin 82
 Łabonarska Halina 58
 Łagocki Zbigniew 15, 90, 251
 Łapicki Andrzej 61
 Ławacz Jerzy 41
 Łempicka Aniela 94, 197
 Łomnicki Jacek 89
 Maciejowski Jan 61
 Macedońscy Wanda i Adam 48
 Macedoński Adam 44
 Majeranowscy Halina i Władysław 20
 Majeranowski Władysław 21
 Majewski Andrzej 17, 18, 20, 22, 25, 26, 28, 31,
 54, 55, 373
 Makłowicz Robert 102
 Maksymowicz Danuta 206
 Malec Władysław 100
 Malikowie Andrzej, Cecylia, Jan, Justyna,
 Rozalia, Stanisław, Teresa, Walenty,
 Weronika, Włodzimierz 104
 Malski Krzysztof 16, 33
 Mamoń Bronisław 231

Marat Jean Paul 221
 Marceau Marcel 38, 39
 Marchewka Katarzyna 161
 Marczewski Wojciech 61
 Marczyński Adam 17
 Marecki Józef 134
 Marivaux Pierre Carlet de Chamblain 240
 Markuszewski Jerzy 25
 Marysia 47-49, 51, 53
 Maszewski Stanisław 12
 Matejko Jan 101, 107, 188, 231
 Meduccy Marta i Stanisław 349
 Medyk Jan 177
 Mehoffer Ludwik 22
 Mianowski Lucjan 20
 Michalski 10
 Michałowska Danuta 61
 Michta Arkadiusz 310
 Miciński Tadeusz 231
 Mickiewicz Adam 43, 248
 Mieczkowsy Joanna i Ryszard 89
 Miecznikowski Franciszek 14
 Mikułowski-Pomorski Jerzy 128
 (patrz też Pomorski Jerzy)
 Milewski 8
 Miliński Dariusz 103
 Misiorny Michał 239
 Mol Adam 309
 Moniatowicz Wojciech 79
 Morawscy Elżbieta i Wacław 94
 Mortkowicz Olczakowa Hanna 20
 Mortkowiczowie 16
 Moskal Jerzy 188
 Mozer Zdzisław 219
 Mrożek Sławomir 20, 201, 239
 Mróz Daniel 203

 Nagy Suzanne i Michał 87
 Nawratowicz Barbara 16, 17, 19, 25
 Natkaniec Adam 103, 104, 367
 Negri Pola 34
 Nerval Gérard de 107

 Neukirchen Alphons 227
 Neumann Alfred 79
 Niewęglowski Andrzej 25
 Niezgoda Grażyna 83, 312
 Nikolin Vladimir 96, 99-103
 Noailles Anne de 107
 Norwid Cyprian Kamil 254
 Nowacka Maria 100
 Nowak Bronisław 306
 Nowak Jerzy 256
 Nowak Rene 59
 Nowak Tadeusz 183
 Nowakowski Kazimierz 20, 21
 Nowiaszak Erwin 57, 77, 78
 Nowicki Jan 206, 337
 Nurkowski Włodzimierz 250
 Nyczek Tadeusz 118, 166

 Obidniak Alina 235
 Obrzydowski Wiesław 367
 Ochremowicz Jerzy 84
 Ociepka Teofil 35
 Olbrychski Daniel 197
 Olczakówna Joanna 16, 18, 19, 26, 94
 (patrz też Olczak- Ronikier Joanna)
 Olczak-Ronikier Joanna 197
 Oleksy Eliza 217
 Olesiński Ryszard 252
 Olewicz Mściwoj 24
 Olszewski 84
 Opalski Józef 197, 235, 241, 245
 Orłowicz Mieczysław 33
 Orwid Maria 20
 Orzeszkowska Joanna 58
 Osęka Andrzej 25
 Osterloff Barbara 188, 263
 Oszacka Zofia 85, 92
 Oszacki Aleksander 85
 Oświęcimowie Anna i Stanisław 83, 172
 Otrębski Andrzej 85
 Owsiany Ewa 100

Paciorkowski Kazimierz 90, 105, 106, 292, 298,
 314, 319, 326, 337
 Paczowski Bohdan 14, 16
 Pagacz-Moczarska Rita 98, 100
 Pajestka Mariusz 230, 242, 243
 Pampiglione Giovanni 247, 249
 Pankiewicz Krzysztof 32
 Pastuszewski Stanisław 184
 Parnell Feliks 80, 81
 Paweł VI, papież 46
 Pawełek Maria 19
 Pech Edwin 79
 Penderecki Krzysztof 14
 Piaskowscy Stanisława i Piotr 85
 Picasso Pablo 11
 Pietryk Edmund 184
 Pietrzyk Zdzisław 97
 Pigoń Stanisław 15
 Piotrowski Józef 78
 Pinter Harold 222
 Pirandello Luigi 219
 Pleśniarowicz Krzysztof 241
 Plewako Marek 97
 Plewiński Wojciech 15
 Polański Roman 30-32, 58, 59
 Polony Anna 206
 Pomorska Alina 128
 Pomorski Jerzy 118
 (patrz też Mikułowski-Pomorski Jerzy)
 Poniatowski Józef 357
 Poniecki Tadeusz 21
 Przeradzka Jadwiga 36, 81
 Puka Andrzej 88
 Purcell Henry 240
 Puzyna Jan 231
 Pyrlik Maria 90
 Pyzik Józef 102, 105

 Radwan Stanisław 197
 Radziwiłowicz Zofia 294
 Raimondi Angelo 6, 68, 69
 Rakowiecki Jerzy 25

 Reszke 40
 Rodin Auguste 77
 Rogacki Henryk Izidor 263
 Rogulski Andrzej 58
 Rokowska Krystyna 376
 Ronikier Joanna 118, 296
 (patrz też Olczak-Ronikier Joanna)
 Ronikierowie Joanna i Michał 94, 95
 Rostopchin Sophie Comtesse de Ségur 146
 Roszkowski Zbigniew 103
 Rotbaum Jakub 81
 Rotte Teresa 303
 Rouba Paweł 38
 Rożek Michał 94
 Różewicz Tadeusz 209, 239
 Różycki Ludomir 81
 Rudy Maciej 87, 97, 101, 105
 Rybski Tadeusz 107
 Rydel Lucjan 231, 256
 Ryłko Tadeusz 175
 Rymkiewicz Jarosław Marek 183
 Rzepa Władysława 92

 Sandauer Artur 74
 Sarnecki Ryszard 300, 301
 Sartr Jean Paul 22
 Satanowski Robert 61
 Sawulak Włodzimierz 11
 Schiller Leon 8
 Schwind Moritz von 375
 Scitiano Gregorio 101
 Sedlak Elżbieta 78
 Segda Dorota 308
 Sentowski Tomasz 103
 Shaffer Peter 61
 Shakespeare William 55, 226, 234, 238, 239, 242, 250
 Siemiradzki Henryk 231
 Sienkiewicz Henryk 43
 Sinko Grzegorz 238
 Skagestad Thormod 41
 Skarżyńscy Lidia i Jerzy 20, 26, 59, 231

- Skrzynecki Piotr 15, 16, 18-20, 25, 26, 28, 30,
35, 94, 95, 111, 200, 207
- Sławińska Irena 244
- Smendzianka Regina 74
- Smużniak Karol 241, 245
- Sobczak Mikołaj 105
- Sobczak Wiesław 83
- Sobieski Jan III, król 107
- Sokulski Justyn 98
- Solski Ludwik 60
- Sorescu Marin 255
- Staff Leopold 107
- Stanisław, biskup 231
- Stanisław, dr 70, 71, 73-75
- Stanisławska Teresa 20
- Stankiewicz Janusz 77
- Stankiewicz Henryka 81
- Sterczyński Jerzy 197
- Stępnio Dorota i Robert 88
- Stopka Andrzej 21-23, 373
- Strawiński Igor 213
- Strindberg August 61
- Strzelecki Zenobiusz 238
- Sturlason 224
- Sulma Józef 14
- Suszczyński Zbigniew 376
- Swinarski Artur Maria 215
- Swinarski Konrad 54, 55, 226, 227, 230, 235
- Szajna Józef 53
- Szaniawski Jerzy 55
- Szaszkiewicz Antoni, Joachim, Maciej 24
- Szaszkiewiczowa Irena „Kika” 23-26, 30, 35,
111, 199
- Szaszkiewiczowe: Róża z Bnińskich,
Maria z Bobrowskich,
Halina z Grodowskich,
Teresa z Horodyskich,
Zofia z Przedzrymirskich,
Katarzyna z Romerów 26
- Szatkowska Danuta 41
- Szczepanowski Wiesław 235
- Szeligowski Tadeusz 81
- Szewczyk Klaudyna 100
- Szołochow Michał 102
- Sztyc Stanisław 19
- Szulc Marian 23, 31
- Szwarc Mirosław 107
- Szybist Maciej 248
- Szymczyk Grzegorz 103
- Szymkiewicz Jarosław 229
- Szymusik Adam 20
- Ślepowron- Byrska Renata 151
- Śliwiak Tadeusz 20
- Śliwiński Jan 11
- Święcicki Mieczysław 25
- Świszczowski Stefan 83
- Targalska Stanisława 78
- Targoń Joanna 136
- Tarnowski Stanisław 231
- Thiele- Winckler, grafini 72
- Thiele- Winckler Franc Hubert 64, 75
- Tondyra Wiktoria 88
- Tomaszewski Henryk 32, 36-42, 54-56, 61, 77-81,
216, 218-220, 224, 228, 229, 232, 234, 237,
240, 242, 244, 245, 258, 260, 262-264
(patrz też König Heinrich)
- Treniew Konstantin 222
- Trojanowski Artur 85
- Turowicz Jerzy 20
- Ulewicz Tadeusz 99
- Van Vogt 28, 29
- Vigeland Gustaw Adolf 39
- Villas Violetta 380
- Visconti Luchino 67
- Voit Mieczysław 20
- Wajdowie Krystyna i Andrzej 324
- Wagner Richard 74, 263
- Walaszek Joanna 227
- Walecki Wacław 99, 100

Waligórski Andrzej 233
 Wallek-Walewski Marian 54, 76, 244
 Wałach Stanisław 20
 Wanat Andrzej 60, 188
 Waniek Eugeniusz 11
 Warpechowski Janusz „Żagiel” 42, 48, 51, 53
 Warren Richard 93, 295
 Warska Wanda 26
 Wasserman Dale 258
 Watteau Jean Antoin 240
 Wawrzynek Marian 40, 54
 Ważyk Adam 107
 Weill Kurt 35
 Weiss Peter 54, 220
 Wenzel Wojciech 183
 Wiener Maurycy 20
 Więcek Zygmunt 63, 65
 Williams Tennessee 55
 Wiśniak Adam 5, 56, 68, 70
 Wiśniak Franciszka z Wieczorków 5, 56, 68
 Wiśniak Irena i Janina 5-7, 68, 69
 Wiśniak Jerzy 5, 7, 56, 68, 70
 Wiśniak Jurek 56
 Witkiewicz Kazimierz 97
 Witkiewicz Stanisław 15, 58, 223, 247
 Wittlin Jerzy 35
 Wiszniewski Wsiewołod 102
 Wojaczek Andrzej 233
 Wojs Jacek 88
 Wojtyła Karol 72 (patrz też Jan Paweł II, papież)
 Wojtyszko Maciej 154
 Wosion Małgorzata 128
 Woźniak 5 (patrz też Wiśniak Jerzy)
 Wójtowicz Stanisław 20
 Wybicki Józef 225
 Wyczółkowski Leon 22
 Wyka Kazimierz 15, 20
 Wysińska Elżbieta 221
 Wypiański Stanisław 22, 55, 56, 60, 224, 230,
 231, 237
 Wyszomirska Grażyna 220
 Zacharias Jacek i Marek 91
 Zacharko Stanisława 377
 Zachwatowicz Krystyna 51
 Zachwatowicz-Jasieńska Katarzyna 124
 Zofón Carlos Ruiz 98
 Zając Maria 91
 Zając Ryszard 81, 82
 Zającówna-Radwan Maria 206
 Zamkow Lidia 61, 102
 Zaręba Dominika 86, 136
 Zatorski Witold 263
 Zawadzki Wojciech 54, 78
 Zebrzydowski Mikołaj 91, 139
 Zebrzydowskie Anna, Gryzelda, Zofia 139
 Zegalski Jerzy 31
 Zdybalska Alicja 190, 312, 376, 378
 Zieliński Jacek 88
 Zielińska Maryla 111
 Ziemianim Maria 201
 Zimmerer Katarzyna 94-96, 111, 128
 Zimmerer Ludwig 94
 Znamierowski Andrzej 100
 Zrałek Krzysztof 16-19, 32
 (patrz też Pankiewicz Krzysztof)
 Zychowicz Szymon 149
 Żakowska Bożena 233
 Żurowski Andrzej 245
 Żurowski Zygmunt 25
 Żytecki Edward 34

Spis treści

Życie ze sztuką splecione	3
Ilustracje	109
Portrety	193
Scenografia	211
Plakaty	269
Malarstwo	283
Varia	353
Indeks osobowy	383

Szelepiwa

Baldachim nad widownią oraz
wystawy bočne - z czerwonego płótna.

zastawka
imitująca
zakręt

3,5

3m

podest wychodzący na
widownię -

K. Wisniak 77

nasypane ziemia (torf)
Deski na drodze - malowane czerwną emalią; podłoga sceny czerwona, folie ściany na scenie
czerwne, brązowe. Zakręt na drodze, z przodu sceny do linii zakreślonych, młotony jest
poziomo. Podest wznosi się dopiero od linii zakreślonych w górę.